

Nieprawe łoże

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

Marcin Wolski

Nieprawe łoże

trident

2006

Niniejsza książka zawdzięcza swoje powstanie paru osobom.

Pawłowi Zawadzkiemu, który wpadł na pomysł, by na bazie pracy Piotra Gontarczyka o PPR-ze zamówić u mnie powieść z tamtych lat. Michałowi Jeżewskimu, który rzecz zamówił, a następnie wyegzekwował oraz Piotrowi Gontarczykowi, który nie tylko zgodził się służyć jako półprodukt, ale jeszcze podjął się roli konsultanta i przewodnika po okupacyjnej Warszawie. Było to doświadczenie dość zabawne, historyk młodszy ode mnie o generację oprowadza mnie z niezwykłym znanstwem po czasach, w których nas obu nie było na świecie.

Każdy człowiek jest tworem swoich osobistych doświadczeń, swoich lektur i swoich znajomych. To zbiornik, z którego czerpie wiedzę i inspirację. Dziękując trzej wyżej wymienionym panom, z wdzięcznością myślę o wszystkich tych, których w swoim życiu spotkałem i wysłuchałem, bo przecież bez nich nie byłoby tej opowieści.

Marcin Wolski

Samochód zaparkowałem w alei Armii Ludowej, prawie przy samym placu Zbawiciela i nie bawiąc się w zakładanie blokady na kierownicę, szybko skręciłem w Mokotowską. Miałem dzień wzmożonej ufności? Zapewne! A może po prostu szczęśliwi nie boją się złodziei? Zdawałem sobie sprawę, że cały jeszcze pachnę Martą. Palce, usta, broda... Niesamowite wrażenie, piętnaście minut wcześniej byłem z nią, przy niej, w niej... a i teraz nadal towarzyszyła mi ta przedziwna woń miodu, mleka i poziomek. Skąd w tym wszystkim wzięły się poziomki?

Ciemnawy hol w obszernym gmachu zajmowanym przez Region Mazowsze zaatakował moje zmysły tradycyjnym rejuwchem, gorączkową krzątanią i tą nieprawdopodobną, nie wiadomo skąd wyrojoną aktywnością, którą rok wcześniej wyzwoliła w nas wszystkich „Solidarność”. We wszystkich? No, prawie we wszystkich. W szkole nie uległ jej pan Bolo, wf-men – który związki ze Służbą Bezpieczeństwa miał wypisane na twarzy – oraz woźna, wdowa po milicjancie, który bohaterko poległ na służbie (spadł po pijaku z dachu jakiegoś gołębnika). No i dyrektor. Nasz „kochany” Dyro, znienawidzony na równi przez uczniów, jak i przez grono pedagogiczne. Wprawdzie Hipolit Wernicki zapisał się do NSZZ zaraz we wrześniu 1980 roku, na zebraniu założycielskim, ale szybko wycofał swój podpis, twierdząc, że jako zwierzchnik placówki edukacyjnej winien być bezstronny. Nie przeszkadzało mu to pozostawać czynnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Rzuciłem okiem na tłumek kłębiący się w kącie holu przed niewielkim sklepikiem z bezdebitowymi wydawnictwami i kamiennymi schodami pobiegłem na górę, mijając po drodze charakterystyczną postać w dzinsowym uniformie.

– Cześć, Jacku!

– Czołem, Maćku! – odpowiedział mi Kuroń.

W kanciapie u Ryśka Adamskiego, mego przyjaciela z Regionu Mazowsze, obok sali z dalekopisami, czekał na mnie komplet regionalnej prasy związkowej i trochę publikacji nadesłanych z różnych niezależnych oficyn. „Tygodnik Solidarność” nabyłem wcześniej w kiosku koło szkoły i zdążyłem przejrzeć jeszcze przed spotkaniem z Martą. Na pierwszej stronie bił po oczach dramatyczny „Apel do członków Związku i całego społeczeństwa”, wydany w związku z narastającym konfliktem z władzą. Sukces betonu na nadzwyczajnym zjeździe PZPR-u, bezczelnie zerwane przez Rakowskiego rozmowy rządu z „Solidarnością”, blokada warszawskiego ronda na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich z Marszałkowską i dziesiątki terenowych konfliktów źle wróżyły najbliższym miesiącom.

– Czy nie obawiasz się, że władza wcale nie zrezygnowała z wariantu siłowego? – zapytałem Ryszarda.

– Żarty – zaśmiał się ten ryży byczek o wyglądzie pasującym bardziej do ochroniarza niż konspiratora. – Wiadomo, coś tam te misie z pewnością kombinują, ale nie dadzą rady, jest nas 10 milionów!

– Obyś miał rację – odparłem. A Rysiek, zmieniając temat, uraczył mnie jakimś dowcipem o Breźniewie, Honeckerze i Husaku, który usłyszał w kularach krajówki w Gdańsku. Zaproponował również piwo, które wbrew przepisom miał zawsze na podorędziu. Odmówiłem i szybko zapakowałem bogaty zestaw biuletynów z tytułami wypisanymi solidarycą. Któryś już raz konstatowałem, że moje myśli pracują doskonale na dwóch niezależnych ścieżkach. Jedna dotyczyła „Solidarności”, druga ciągle Marty. „Dwie miłości, które odmieniły moje życie – pomyślałem – „Solidarność” i Marta, Marta i „Solidarność”. Obie tym wspanialsze, iż nieoczekiwane”.

Kim byłbym bez nich? Wystarczyło cofnąć się rok, by uświadomić sobie ogrom zmian. Przed wakacjami 1980 roku byłem doskonale ustabilizowanym trzydziestopięcioletkiem, lubianym przez młodzież nauczycielem geografii w podwarszawskim ogólniaku. Po stronie aktywów mogłem wpisać mieszkanie w szeregowym segmencie na Saskiej Kępie, żonę, wprawdzie nie gwiazdę filmową, ale za to z tatusiem, prominentnym członkiem Warszawskiego Komitetu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pięcioletnią córeczkę, no i „malucha” barwy (w tych rzadkich chwilach kiedy nie był brudny) *bahama yellow*, nabytego dzięki otrzymanemu talonowi. Czego trzeba więcej do szczęścia i świętego spokoju? A pasywa? Oczywiście nie zrealizowałem żadnego z mych młodzieńczych marzeń: nie opłynąłem dookoła Ziemi, nigdy nie byłem na safari w Afryce, nie stanąłem na biegunie, ani na Dachy Świata. A nasze podróże po Europie wypakowanym po sam dach fiacikiem, z oszczędnościami na każdym kroku, stanowiły jedynie blady cień tego, co sobie wyobrażałem kiedy byłem dzieckiem. I tak dobrze, że dzięki uczelnianej znajomości z naczelnym jednego z młodzieżowych pisemek mogłem pisać o podróżach na ilustrowanych łamach socjalistycznego organu, wyciskając z banalnej, pijackiej ekskursji na BAM syberyjską przygodę, pełną fascynacji męskimi przyjaźniami i surową przyrodą dziewiczej tajgi.

A jeśliby ten bilans podrażyc głębiej? Moje małżeństwo – nie ma co ukrywać – od początku było poczekalnią, która z czasem stała się dla nas obojga zaciszną kolejową bocznica. Zwłaszcza że „pociąg marzeń” jakoś nie nadjeżdżał. „Trudnych czasów nie da się przejść w pojedynkę” – tłumaczył mi w czasie jednej z nocnych dysput Artur. Mój przyjaciel od piaskownicy, który przeniósł się do Warszawy mniej więcej w tym samym czasie co ja. I musiałem się z tym zgodzić. Zresztą Arturowi niezwykle łatwo było teoretyzować, był od lat rozwodnikiem. A ja... Kim byłem naprawdę, nie patrząc się na dane wpisane w ankietę personalną? Wygodnym konformistą?

Kiedyś, bardzo dawno temu, Grażyna pociągała mnie swoją energią, optymizmem i zaradnością, z jaką kultywowała nasze domowe ognisko w postaci gazowego pieca do centralnego ogrzewania. Teraz kobieta dzieląca czas między Instytut, a wiecznie chorującą Basię w niczym nie przypominała mi tamtej wiośnianej dziewczyny z grubym, złocistym warkoczem, którą poznałem na studenckim obozie. Inna sprawa, czy ja byłem w jej oczach tym samym chudym, bladym wyrostkiem, którego wystające zebra kojarzyły się wszystkim z kaloryferem zamontowanym na sztorc. Owszem, Grażka była ciągle stałym i zapewne niezbędnym elementem mojej egzystencji, ruchomym meblem, nierozpalającym jednak więcej emocji niż etażerka, na której gromadziłem zdobywane niemałym wysiłkiem stare numery „National Geographic”.

Artur twierdził, że takie osobniki jak ja, wiecznie kroczące z głową w chmurach, pozbawione wsparcia i opieki twardej życiowej realistki, jaką niewątpliwie jest Grażyna – łącząca w niepojęty sposób obowiązki matki, żony i pracownika naukowego, dbającą o dom, o zaopatrzenie lodówki, a

nawet o komfort psychiczny męża – byłyby skazane na wymarcie. Pewnie prawda. Trudno powiedzieć o mej ślubnej złe słowo – w porównaniu z żoną Wernickiego, która notorycznie przyprawiała mu rogi, czy z byłą połowicą Adamskiego (po roku małżeństwa wyrzuciła go z domu) – moja pani doktor była niemal aniołem. Tolerowała moje drobne szaleństwa, pobłażała doraźnym flirtom, a nawet kiedy oddałem serce „sentymentalnej pannie S”, postanowiła to przeczekać. Do tej pory umiejętność przeczekiwania była najpotężniejszym atutem decydującym o trwałości naszego stadła. Czy miała jakieś poglądy, a konkretnie, czy była genetycznie uwarunkowana przez ojca komucha? Po tylu wspólnie spędzonych latach po prostu nie mam zdania. Kiedy ją poznałem, podczas jednej z pierwszych rozmów z zaskoczeniem dowiedziałem się, że nie wie nawet kto jest ministrem spraw zagranicznych w rządzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a co gorsza, nie uważa tego za okoliczność wstydliwą. „A do czego miałyby to mi być potrzebne? Jak interesuje cię polityka, to pogadaj z tatą”.

W czasach małej stabilizacji dobrego wujka Gierka kompletne *desinteressement* wobec rzeczywistości nie było stanowiskiem pozbawionym sensu, ale w okresie burzy i naporu? „Możesz nie interesować się polityką, ale prędzej czy później ona zainteresuje się tobą” – twierdził Artur. I jak zwykle miał rację. Jak tu nie wierzyć w sprawczą rolę Najwyższego Reżysera?

Wiosną 1981 roku, wkrótce po zażegnaniu kryzysu bydgoskiego, kiedy widma strajku powszechnego i stanu wyjątkowego krążyły nad Polską, w moim doskonale ustabilizowanym życiu doszło do paru zdarzeń przełomowych. 10 maja, po rocznej, beznadziejnej walce z nowotworem, który zaczął się od bezbolesnej narośli na udzie, ale w szybkim tempie zdewastował cały organizm, zmarł Artur. Trzy dni później na burzliwym zebraniu szkolnego koła „Solidarności” pani Langmann, powszechnie nazywana „Chemicą” (a mniej powszechnie „kurwiszonem na kaczych nogach”), poddała w wątpliwość moje kwalifikacje jako delegata na regionalny zjazd „Solidarności”. Nie podobała się jej moja umiarkowana postawa, jaką wykazywałem, pełniąc funkcję szkolnego przewodniczącego Związku, a także zwracała uwagę na obciążenie rodzinne, jakim była osoba mojego czerwonego teścia. W podtekście litanii zarzutów czaił się jeszcze jeden argument, którym coraz szerzej szermowali „prawdziwi Polacy” z Regionu: „Kolega Maciej” pół-, a w najlepszym razie ćwierć-Żyd nie był najlepszym kandydatem do władz związku zawodowego w katolickim kraju. Piękny nokaut, prawda?

Mogłem naturalnie kilkoma słowami zniszczyć koleżankę Langmann, wnuczkę rabina, a do niedawna radną z ramienia PZPR, ale nie miałem na to ochoty. Ku zaskoczeniu wszystkich totalnie odpuściłem, zrezygnowałem z kandydowania, złożyłem także rezygnację z dotychczasowej funkcji. Dlaczego? Chyba po prostu miałem dość ludzkiej głupoty, zawiści, a także całej tej związkowej orki, bo choć „koleżeństwo” z ochotą dawało się wybierać do rozmaitych władz, kiedy przychodziła jakaś robota, zostawałem sam. Nie chcąc by wyglądało, że się obrażam, obiecałem, że nadal będę społecznie zajmował się szkolną biblioteczką i to zajęcie absolutnie mnie usatysfakcjonuje.

Czy mówiłem prawdę? W ówczesnym stanie ducha na pewno. Ale gdy tylko wyjechałem ze szkoły dopadło mnie poczucie głębokiej pustki, której nie prędko cokolwiek będzie w stanie wypełnić. Myliłem się.

Awaria sieci elektrycznej (wyjątkowo nie strajk!) unieruchomiła wszystkie tramwaje. Stały wielkie, białe-czerwone gaśienice, poczynając od pętli na Gocławku, po rondo Wiatraczna. Część

pasażerów apatycznie oczekiwała cudu w środku wagonów, reszta chodnikami przemieszczała się w dwóch kierunkach. Do i od miasta. Głównie od, ku willowym osiedlom Wawra, Anina, Rembertowa. Tylko niepoprawni optymiści ciągle warowali na przepelnionych przystankach autobusowych. Na wysokości placu Szembeka zobaczyłem wysoką, zgrabną dziewczynę z okazałym futerałem (ani chybi wiolonczela) dość niepewnie usiłującą zatrzymywać samochody. Wyglądała znajomo. Przyhamowałem, nie zastanawiając się, czy wielkie pudło zmieści się do mojego fiata.

– Pan profesor! – wielkie oczy dziewczyny pojaśniały. – Podwiezie mnie pan? Jeśli za pół godziny nie będę na Bednarskiej, spóźnię się na egzamin...

– Oczywiście! – nie zważając na trąbiące samochody, zatrzymałem się, włączyłem światła awaryjne, pomogłem dziewczynie usiąść z tyłu, następnie wsadziłem instrument na przednie siedzenie – przydała się wprawa w pakowaniu jeszcze większych bagaży zdobyta na rodzinnych eskapadach. Równocześnie zachodziłem w głowę, zastanawiałem się skąd znam tę rudowłosą piękność? Tyle uczennic przewinęło się (w przenośni) przez moje ręce. Jak mogła mieć na imię?

– Marzena? – zaryzykowałem.

– Marta! – poprawiła. – Dwa lata temu zostawił mnie pan na drugi rok w drugiej licealnej...

– Bardzo mi przykro – wybąkałem zawstydzony. Nauczyciel jest tylko człowiekiem, za biurkiem uzbrojony w dziennik to pan życia i śmierci, bez tych atrybutów to jedynie chudy inteligent, a co gorsza bezbronny samiec.

– Nic nie szkodzi – obdarzyła mnie jednym z tych promiennych uśmiechów, które potrafią śnić się do późnej starości. – Był pan tylko jednym z pięciu egzekutorów. A ja zapowiadałam się na koszmarną kretynkę... Dlatego to zimowanie naprawdę mi pomogło. Zmieniłam szkołę, solidnie wzięłam się za muzykę... – usta się jej nie zamykały, ale miły *timbre* głosu sprawiał, że słuchałem tej paplaniny z prawdziwą przyjemnością.

Zanim dojechaliśmy do szkoły na Mariensztacie zdążyłem poznać mnóstwo szczegółów z życia początkującej artystki. A podczas zjeżdżania z mostu Śląsko-Dąbrowskiego dziewczyna znalazła na siedzeniu obok siebie jeden z numerów „National Geographic”.

– Boże, jakbym chciała pojechać na safari do Kenii – westchnęła. – Albo chociaż o tym przeczytać.

– Znasz angielski? – zapytałem.

– Uczę się...

– No to... – chciałem powiedzieć, że chętnie podaruję jej ten egzemplarz, ale ubiegła mnie.

– Naprawdę może mi go pan pożyczyć. Nie zniszczę i oczywiście szybko oddam... Kiedy możemy się spotkać?

Nie powinienem tego robić. Nie powinienem umawiać się z osiemnastoletnią panienką o włosach

koloru starego miodu. Święty nie byłem, to prawda, ale dotąd, żerując wyłącznie w kręgach pokoju nauczycielskiego, skutecznie ignorowałem wszelkie słodkie oczy, jakie robiły do mnie uczennice. (A robiły, szelmy!). Ale przecież Marta nie była już moją uczennicą! Poza tym umawiając się w sobotę na Mariensztacie, nie przewidywałem, że to się może tak rozwinąć... Gówno prawda! Wiedziałem, że to się tak rozwinie! Marzyłem o tym. Jeszcze tej samej nocy odbębniając obowiązki małżeńskie z Grażyną, wyobrażałem sobie, że trzymam w ramionach szczupłą wiolonczelistkę.

– A co ci się dzisiaj stało, Maciusiu? – zapytała po efektownym finiszu moja żona, od dawna nie przywykła do podobnych wyczynów. – Może niesłusznie dawałam ci za mało jajek i orzechów przez ostatnie lata?

Wolałem udąć, że już śpię niż dyskutować o afrodyzjakach.

Sobota, na którą się umówiliśmy, powinna być pierwszą, ale i ostatnią sobotą naszej znajomości. I mogła być. Marta spóźniała się. W którymś momencie patrząc na pustawy, socrealistyczny placyk, który wbrew wysiłkom propagandystów i filmowców nigdy nie stał się ośrodkiem ludowej rozrywki, pomyślałem z ulgą, że dziewczyna nie przyjdzie i nie będę musiał stawiać czoła budzącemu się we mnie diabłu. Przyszła jednak, zaróżowiona od biegu, w kusej, letniej sukience i lekko zakłopotana, tłumaczyła się, że zapomniała pożyczonego pisma. Czyżby chodziło jej, żeby mieć powód do następnego spotkania?

Gadając o wszystkim i o niczym przeszliśmy wiślanym nadbrzeżem aż do Trasy Łazienkowskiej, potem jedliśmy lody pod kasztanem opodal Pałacu na Wodzie, a gdy się rozstawaliśmy na placu Na Rozdrożu, widzieliśmy, że nasze następne spotkanie jest oczywistością. Poczulem muśnięcie warg Marty na swoich ustach i niestety znalazłem się w sytuacji rybki, która zasmakowała przynęty. Na razie jeszcze na długiej żyłce.

Potem nastąpiły dziesiątki sobót, niedziel, a następnie piątków i śród. Działalność związkowa (Grażynie nie chwaliłem się swoją rezygnacją ze stanowiska przewodniczącego, mimo że ją, członkinię związku branżowego, zapewne by to ucieszyło) dostarczała mi znakomitego alibi. Mogłem wracać i wychodzić z domu o dowolnej porze. W końcu walczyłem o lepsze jutro dla całego narodu (z drobnymi wyjątkami!).

Po miesiącu prześliczna wiolonczelistka zaprosiła mnie na strych. Właściwie na pachnące przedwojennym żywicznym drewnem wysokie poddasze, w starym domu na Grochowie, w którym urządziła sobie muzyczne studio. Jej przedwcześnie owdowiała ciotka, mieszkająca piętro niżej i teoretycznie zarządzająca lokalem, nie była melomanką, toteż rozumiała, że Marta mieszkająca przystanek dalej, w małym, akustycznym mieszkanku, otoczonym przez nieprzyjaznych sąsiadów, nie ma tam warunków do nauki. A ponieważ dwa razy w tygodniu pani Kazia wychodziła na całe popołudnie zajmować się dzieckiem brata, nie miała nic przeciwko temu, żeby jej siostrzenica przychodziła ćwiczyć na stryszek. Nie miała tylko pojęcia, że od czerwca były to ćwiczenia wspólnie ze mną.

Początkowo oboje zachowywaliśmy się nadzwyczaj powściągliwie. Pocałunki, drobne pieszczoty, to wszystko, na co pozwalali sobie profesor i uczennica. Jak długo jednak można utrzymać zmysły na uwieży. Rubikon został przekroczony 10 lipca 1981 roku, kiedy późnym popołudniem wpadłem na

stryszek, wracając z Marysina Wawerskiego, gdzie na miejscowym cmentarzu odwiedziłem grób Artura. Upływały równo dwa miesiące od przedwczesnej śmierci mego przyjaciela, a ja ciągle nie pogodziłem się z tym faktem. Cholernie brakowało mi tych długich, nocnych rozmów, namiętych sporów, czasem kłótni, które powodowały, że rozbudzona Grażyna wybiegała z sypialni sprawdzić, czy jeszcze się nie bijemy? Nigdy do tego nie doszło. Spieraliśmy się namiętnie, ponieważ Artur, jeśli idzie o życie, świat, kobiety czy politykę, był cynikiem pesymistą, a ja optymistą entuzjastą, ale właśnie dzięki temu nasze dyskusje nigdy nie były nudne. I nigdy tak naprawdę się nie kończyły. Jakże mi teraz brakowało tego zabawnego, nieco mentorskiego tonu („Paaanie profesorze, bezwzględnie nie ma pan racji!”), chłodnych argumentów i błyskotliwych paradoksów, a zarazem tej krzepiącej pewności, że mimo wszelkich sporów jest na tym świecie ktoś, komu w decydującej chwili można zaufać. Kto nie zawiedzie. Pomimo swej śmierci Artur nadal pozostawał moim jedynym powiernikiem. Tyle że milczącym. Ciekawe, że za każdym razem, w czasie mojego cichego monologu nad jego mogiłą, tuż obok kępy siwych brzoź, przez chmury przedzierało się słońce. Znak od starego kumpla?

Marta wiedziała o mojej wizycie, musiała też słyszeć kroki na drewnianych, skrzypiących schodach, nie czekała jednak na progu. Drzwi zastałem ledwie przymknięte. Wystarczyło je pchnąć. Mimo skwarne go popołudnia, dzięki spuszczonej zasłonom i lekkiemu przeciągowi, na poddaszu było ciemnowo i względnie chłodno. Wiolonczela nie opuściła futerału. Dziewczyna czekała na mnie na wpół leżąc na starej otomanie. W białej, letniej sukience z drobną koronką przypominała ofiarne zwierzę czekające na swój los. Była gotowa. Zbliżyłem się do niej. Nie wstała. Wpatrując się w moje oczy, z ogromną powagą szarpnęła troczki i sukienka osunęła się z ramion, ukazując drobne jędrne piersi o bladoróżowych sutkach. Rumieniec wstydu, a może tylko podniecenia, oblewał szeroko jej szyję, podążając coraz niżej. Widząc moje wahanie, powiedziała:

– Chcę tego! Kocham cię!

Więc stało się. Powiem szczerze, tak jakbym rozmawiał z Arturem. Nie pamiętam szczegółów mojego „pierwszego razu”, który miał miejsce gdzieś na początku studiów. Nie było to wydarzenie znaczące, a z pewnością przyjemne. Jakaś prywatka w wielkim mieszkaniu, dużo alkoholu, powietrze ciężkie od papierosowego dymu, przypadkowe ciało, na stercie płaszczy niewprawna walka z odzieżą i z własną niezręcznością, szybki wytrysk, strach, zażenowanie, że już, że po wszystkim. Nic do wspomniania. Podobnie jak wymęczony seks z Grażyną. Ciekawe, że zupełnie nie pamiętam, kiedy to się dokładnie zdarzyło? Pamięć podsuwa różne wersje i różną chronologię. Czasem mam wrażenie, że uległa mi w moim akademiku, nad ranem po długiej nocy, pełnej moich namów i jej skrupułów. A czasem widzę podobną szamotaninę w mieszkanku, które kupił jej stary. Jedno pamiętam, ustąpiła, gdy prawdę powiedziawszy, straciłem już ochotę. Czyżby od początku swą babską intuicją wyczuwała, że młody student geografii pożąda jej, ale jej nie kocha. Dlaczego w takim razie zdecydowała się na małżeństwo, a potem tak konsekwentnie parła do niego? Z braku lepszych kandydatów?

Niczego z tamtych doświadczeń nie da się porównać z naszym lipcowym wieczorem na Grochowie – z tkliwością pieszczot, zdecydowaniem w penetracji, szaleństwem rozkoszy i krzykiem bólu, po którym jak stempel OCENZUROWANE, pozostała purpurowa róża na prześcieradle.

– Zostaniesz ze mną, prawda? – zapytała, kiedy szczęśliwy, przytulony do niej, znajdowałem się w

stanie zawieszenia pomiędzy spełnieniem a snem. – Na zawsze?

– Ale jeszcze nie dziś – mruknąłem wymijająco. Bałem się nawet rozważać tę kwestię. Nie miałem pojęcia jak mógłbym wytłumaczyć to Grażynie. A co gorsza jej ojcu.

* * *

Mieszkanko w segmencie na Saskiej Kępie przywitało mnie pustką. Obie panie – Grażka i Baśka – nie wróciły jeszcze ze spaceru i zakupów. Miałem wielką ochotę zapaść w drzemkę (zwykle po południu ulegam takiej pokusie), postanowiłem jednak wcześniej rzucić okiem na przyniesione wydawnictwa. Jak zwykle kotłowało się w nich od wydarzeń bieżących, choć nie tylko. Doniesienia o lokalnych konfliktach, protestach, marszach głodowych oraz o przygotowaniach do zjazdu Związku, sąsiadowały z analizami o samorządnej Rzeczpospolitej i z materiałami publicystycznymi, obnażającymi istotę reżimu i skutecznie odkłamującymi najnowszą historię. Kartkując pobieżnie broszurę pochodzącą z nieznanego mi bliżej oficyny z Łodzi, natrafiłem na swoje nazwisko. Senność pierzchła błyskawicznie. Zacząłem czytać uważnie. Przeczytałem cały tekst raz, potem ponownie.

Przytoczona historia przypominała fragment powieści sensacyjnej Forsytha lub Alistaira MacLyana. Oto współczesny mieszkaniec podwarszawskiego osiedla, podczas remontu dachu, natrafił między belkami więźby dachowej a deskami, do której przybito blachę, na zamaskowaną skrytkę, a w niej na aluminiowy tubus z doskonale zachowanymi dokumentami.

Ani chybi umieścił je tam jego ojciec, oficer Armii Krajowej, pseudonim „Ryś”. Musiał dokonać tego na krótko przed swoim aresztowaniem przez Sowieców i wywiezieniem na Wschód. Z przymusowej wycieczki na białe niedźwiedzie nigdy nie powrócił.

W pojemniku obok zachowanej na przebitkach dokumentacji dotyczącej działań przeciw okupantowi, znalazł się pamiętnik „Rysia”. Jego fragment przytoczył autor artykułu. Oto w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego, kiedy „Ryś” odcięty od głównego regionu działań, w swoim domu w Wawrze daremnie oczekiwał na rozkazy (nawet zawiadomienie o godzinie „W” nigdy do niego nie dotarło), późnym wieczorem został obudzony przez Felka. Był to młody chłopak, właściwie warszawski andrus, znany mu od dziecka syn praczki i węglarza. Wyrostek prosił o pomoc. Podczas potyczki z patrolem niemieckim jego przyjaciel został trafiony w brzuch. Ukryty w zaroślach na pobliskich łąkach, cierpiał okrutnie. „Ryś” nie zapytał kim był ranny, przypuszczając, że raczej musi chodzić o jakiegoś bandziora niż żołnierza Polski Podziemnej. Jeszcze przed świtem przeniósł rannego do swej piwnicy. Akcję ułatwił ogromny bałagan, wszystkie siły niemieckie zwróciły się przeciw powstańcom. Równocześnie trwała ewakuacja Pragi; podobno w rejonie nieodległej Radości pojawiła się szpica wojsk sowieckich.

Rannemu w brzuch mężczyźnie niewiele można było pomóc – był w agonii. Na zmianę odzyskiwał i tracił przytomność. Momentami kłął po rosyjsku. Nie do końca zdawał sobie sprawę gdzie jest. Jednak kiedy „Ryś” zaproponował mu sprowadzenie księdza, odmówił ze wstrętem.

– Nie chcę klechy!

AK-owiec zorientował się, że ma do czynienia z komunistą, jak się później okazało kurierem PPR,

wiozącym ważny meldunek do polskich kolaborantów z Lublina. Kiedy zmarł, dokumenty przemyślnie ukryte w butce wprawiły „Rysia” w konsternację. Stanowiły one doskonale rozpracowany materiał na temat Polskiego Państwa Podziemnego.

– Gdybyś przeżył, musielibyśmy cię rozwalić – pomyślał z goryczą oficer Armii Krajowej, zakopując zwłoki.

Krótko przed śmiercią komunista, na wpół przytomny, zaczął powtarzać imię swej matki, Jadwigi. Prosił, żeby zawiadomiono ją o jego śmierci. Powtarzał, że mieszka pod Łukowem.

– Ale jak się pan nazywa?

– Gienek. Eugeniusz Podlaski.

Kiedy pierwszy raz doczytałem do tego miejsca, poczułem dziwną suchość w gardle. Przez moment pocieszałem się, że autor opowieści musiał najwyraźniej zdrowo konfabulować. Albo że pomyliły mu się daty... Przecież prawdziwy Eugeniusz Podlaski zmarł postrzelony przez Niemców podczas przeprawy przez Wisłę pod koniec Powstania, w ostatnim dniu września 1944 roku. A więc dwa miesiące później niż komunista, który wedle artykułu skonał na rękach „Rysia”. Tak przynajmniej podawały wszystkie jego biografie. Co dość istotne, dziewięć miesięcy później na warszawskiej Pradze urodził się jego syn, pogrobowiec. Podobno zdarzają się cuda, a Arabki w warunkach pustynnych mogą przetrzymać ciężę długie miesiące. Jednak nie słyszałem, żeby w naszych szerokościach geograficznych jakiegokolwiek dziecko urodziło się jedenaście miesięcy po śmierci ojca? A jednak się urodziło. Wiedziałem o tym doskonale, ponieważ byłem tym dzieckiem, Maciejem Podlaskim, synem Eugeniusza i Róży z Kupidłowskich. Jeśli więc „Ryś” nie kłamał – a czemu miałby kłamać – cały mój świat walił się w gruzy, a ja nie miałem pojęcia czyim mógłbym być synem.

* * *

Któż z ludzi wychowanych w latach pięćdziesiątych nie słyszał o Gienku Podlaskim? (Ciekawe, że nikt z hagiografów nie nazywał tego dwudziestodwuletniego osiłka Eugeniuszem). Był czas, w okresie stalinowskim, że wśród ikon komunistycznych świętych wymawiany był jednym tchem obok Mariana Buczka czy Janka Krasickiego. Okrzyknięto go bohaterem z racji bezsensownego skądinąd zamachu na niemiecką knajpę. Zginęło wtedy parę prostytutek, jakiś cywil i kelner Polak, konspirator z AK. W ramach odwetu hitlerowcy rozstrzelali stu polskich zakładników. Jedno z czołowych dzieł socrealizmu przedstawia atak oddziału „Chudego Gienka” na pociąg pancerny pod Puławami. A jego śmierć podczas ostatnich dni Powstania opisał jeden z ówczesnych poetów:

Gdy pochodnia londyńskich zdrajców

podpaliła niezłomne miasto

stanął z bronią by mężnie walczyć,

z hitlerowską krwawą hałastrą. (...)

On robotnik z czerwonej Pragi

skoczył w nurty ze skarpy Bielan

jak szkarłatny sztandar odwagi,

co żyć umie

i umie umierać.

Siekły kule, strzelali kaci,

on bez trwogi w znoejnej przeprawie,

płynął w stronę radzieckich braci,

którzy wolność nieść chcieli Warszawie...

Po 1956 roku, kiedy wolno już było szerzej pisać o Powstaniu, i wielu autorów zbudowało na tym swoje kariery, gwiazda Podlaskiego zaskakująco zbladła. Z kolejnych publikacji znikły scena wynoszenia przezeń z kanału jednego z rannych dowódców AL i dramatyczna śmierć w wiślanych falach. Ktoś niezgodnie z oficjalną wersją napisał, że zginął na Freta, razem z całym sztabem komunistycznego podziemia, ktoś inny, że bronił do końca samotnej kamienicy na Powiślu i tam poległ. Później „Chudy Gienek” w ogóle wyparował z podręczników.

Choć to może się wydać nieprawdopodobne bardzo długo nie wiedziałem, że mój nieznany, poległy w czasie wojny ojciec i heros komunistycznej sprawy to jedno. W domu ciotki Reginy nie mówiło się o rodzinnej historii, ani o polityce. Ta dopadła mnie dopiero na studiach. Zapamiętałem dobrze mój egzamin wstępny. Nie tylko dlatego, że Warszawa oszołomiła przybyłego z Dolnego Śląska prowincjusza. Mimo zdenerwowania omawiałem dość zręcznie problemy światowej gospodarki cukrem, kiedy jeden z członków komisji, wysoki, chudy, o nosie przypominającym dziób drapieżnego ptaka, utkwiał we mnie swe przenikliwe oczy.

– Pan Maciej Podlaski, syn Eugeniusza?

Potwierdziłem.

– Znałem pańskiego ojca – zagadkowy uśmiech rozświetlił pobrużdżone lico profesora – i... matkę. Ale wróćmy do tego cukru.

Ciotka Regina, którą przyparłem do muru zaraz po powrocie do Wrocławia, odpowiadała niechętnie na jakiegokolwiek pytania dotyczące moich rodziców. Bardzo niechętnie. A to, co mówiła znałem z wcześniejszych opowieści. Twierdziła więc, że ze swą siostrą nie miała kontaktu przez całą okupację. Ich rodzice rozwiedli się jeszcze w 1937 roku. Osiemnastoletnia Regina została z ojcem,

Janem Kupidłowskim, stolarzem, zatrudnionym w warszawskich tramwajach, młodsza o 4 lata Róża, teraz częściej nazywana Ruth, pozostała przy swej matce, która zaraz po rozwodzie wyszła za zamożnego adwokata Herszla Lichtera. I razem z nim wkrótce po wybuchu wojny podzieliła losy całej żydowskiej części swojej rodziny. Tylko Różyczka, drobna blondynka o niebieskich oczach, przeżyła okupację. Z siostrą odnalazły się dopiero w marcu 1945 roku. Właściwie Regina wpadła na nią, na parterowej, doszczętnie zrujnowanej Marszałkowskiej, w stolicy budzącej się do życia.

– Ledwie ją poznałam, bo z jednej strony bardzo widoczna zaawansowana ciąża, mimo wielkiego wojskowego szynelu zmieniła jej figurę, a z drugiej odnowił się jakiś stary postrzał z Powstania, więc poruszała się z trudem, bez właściwej dla niej gracji.

– Mimo wszystko ciocia ją poznała?

– Właściwie to ona zawołała do mnie pierwsza... Padłyśmy sobie w ramiona.

Mogę wyobrazić sobie tę scenę w kanionie wśród ruin, na de koślawego szyldu jakiejś garkuchni... Dużo łez, pocałunków. I jedno zdanie, na które nie zwracałem szczególnej uwagi.

– Różyczka mówiła, że spadłam jej z nieba. Mimo jakiejś oficjalnej posady i mnóstwa znajomych w kręgach nowej władzy, czuła się bardzo samotna. Zaproponowała żebyśmy zamieszkały razem. Ponieważ właśnie gorączkowo szukałam mieszkania, byłam zachwycona ofertą. Zamieszkałyśmy razem na Pradze. Tu urodziłeś się pierwszego lipca.

– To wiem – przerwałem, nie chcąc słuchać dalej jakim byłem bobasem, jaki miałem loczek... Niech mi ciocia powie coś więcej o jej mężu, o Podlaskim!

Westchnęła.

– Nigdy go nie poznałam. Z tego co wiem, nie mieli żadnego ślubu. Jak to komuniści. Poza tym trwała wojna. Wybuchło powstanie. Nikt nie był pewny czy przeżyje następny dzień.

Ta wersja musiała mi wystarczyć na całe lata. Tak jak jedna jedyna wspólna fotografia moich rodziców, wykonana w czerwcu lub na początku lipca 1944 roku na wiślanej plaży. Śliczna Różyczka i obok chudy, choć nieźle umięśniony chłopak o chmurnym wejrzeniu.

Nigdy nie chwaliłem się swym rodowodem przed rówieśnikami, nawet kiedy już dotarł on do mojej świadomości. Kłamstwem jednak byłoby twierdzić, że pochodzenie nigdy w niczym mi nie pomogło. Jak się później dowiedziałem bardziej swemu nazwisku, niż protekcji wujka Mirka zawdzięczałem i stypendium, i miejsce w akademiku przy Kickiego. Profesor Kutner (ów egzaminator o ptasim profilu) też wyraźnie mnie faworyzował i obiecywał asystenturę.

O to, że nic z tych ambitnych planów nie wyszło mogę obwiniać jedynie historię. Po studenckich protestach w marcu '68 profesor stracił posadę, a pół roku później, pewnego jesienno-dżdżystego dnia, byłem jedynym studentem, a właściwie świeżo upieczonym magistrem, który żegnał starego geografa na Dworcu Gdańskim.

– Coraz bardziej przypominasz mi Różyczkę – powiedział profesor banita i rozplakał się.

Rozpłakałem się i ja. Teraz, w świetle mojego odkrycia, bardzo żałuję, że nie zapytałem Kutnera o jakieś szczegóły na temat ich znajomości sprzed wojny.

Wcześniej doszło do jeszcze bardziej spektakularnego zdarzenia. Dziewiątego marca z grupą studentów ostatniego roku geografii dojechałem trolejbusem w rejon Politechniki Warszawskiej. W ostatniej chwili dołączyliśmy do ogromnego tłumu wylewającego się z auli na plac Jedności Robotniczej. Przywódcy, a może prowokatorzy, zgrupowani wokół człowieka niosącego białoczerwoną flagę, wśród okrzyków „Prasa kłamie!” zamiast ku centrum miasta, na KC, poprowadzili tłum ulicą Polną, w kierunku redakcji „Życia Warszawy”. Rozbito nas na skraju Pola Mokotowskiego. Ani się spostrzegłem, jak znalazłem się w policyjnej suce. Ponieważ stawiałem się gliniarzom i bajdurzyłem, młody kretyn, o konstytucji i prawach obywatelskich, oberwałem dwa razy w pysk i dopiero wówczas ucichłem. Noc spędziłem „na dołku” w Pałacu Mostowskich wraz z innymi podobnymi mi „warchołami i wichrzycielami”. O świcie wyciągnięto mnie z celi, kazano mi się umyć i zaprowadzono do niewielkiego, schludnego gabinetu. Szedłem jak skazaniec oczekujący na niechybną egzekucję. A tu zaskoczenie. Zamiast grupy oprawców czekał na mnie postawny mężczyzna o szerokiej, pobrużdżonej twarzy pod nastroszoną grzywą ciemnych, tu i ówdzie przetkanych siwą nicią włosów. Oczywiście znałem tego człowieka z telewizji – osławionego szefa MSW i przywódcę frakcji „partyzantów” Mieczysława Moczara.

– Bawiłeś się dobrze? – zapytał wszechwładny generał. Milczałem bardziej zaskoczony niż przerażony sytuacją. – Rozumiem cię, buntowanie się to przywilej młodości. Gdybym był w twoim wieku pewnie też poszedłbym z kolegami na ulicę. W końcu ćwierć wieku temu my byliśmy podobni. Tylko – głos mu stwardniał – cele były inne. A i ryzyko większe. No cóż – potraktuj to jako życiową lekcję i ostrzeżenie.

Otworzył cienką teczkę, wyjął jakieś dwie karteczki i podarł je starannie.

– Jesteś wolny – dodał tonem jakby był kardynałem Richelieu, a ja d’Artagnanem. A jeśli jakaś swołocz będzie ci robiła jakieś kłopoty, wal prosto do mnie. Tu masz mój domowy telefon.

– Ale dlaczego pan to robi? – wybąkałem.

– Powiedzmy przez sentyment do twojej matki... i ojca.

Nigdy nie skorzystałem z oferty generała. Odmówiłem wstąpienia do partii, co zaraz po marcu zaproponował mi osobiście sekretarz POP. Konsekwencje były łatwe do przewidzenia. Zamiast asystentem w Instytucie Geografii, lub choćby pracownikiem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, gdzie załapał się starosta naszego roku, zostałem nauczycielem w peryferyjnym liceum. Może należało nie słuchać wuja i wrócić do Wrocławia? Za późno, kwiatku, za późno!

Pomieszkowałem już wtedy w kawalerce Grażyny i czułem się warszawiakiem. O swych rodzicach myślałem rzadko. Nawet dziś w odróżnieniu od częstych odwiedzin u Artura, przy grobie matki na Bródnie bywałem jedynie w okolicy pierwszego listopada. O mogile ojca nawet nie słyszałem. A teraz... Na dobrą sprawę nie miałem nawet mglistych podejrzeń kto mógł być moim ojcem?

W pierwszej chwili nie wiedziałem co zrobię z uzyskaną informacją. Na wszelki wypadek nie powiedziałem nic Grażynie. Chyba wspominałem, że moja ślubna nie lubiła historii. Zwłaszcza najnowszej. Wiedziałem też, że z pewnością poleciałyby z takimi rewelacjami do tatusia. A „towarzysz Waław”, jak określałem go w swych myślach, nie był człowiekiem szczególnie mi przyjaznym, miał byczy kark, szerokie plecy i potężną dupę wyrobioną na niezliczonych szkoleniach i nsiadówkach. Jak sam twierdził, przeszedł wszystkie szczeble partyjnej hierarchii, co, przekładając na język ludzki, oznaczało, że nigdy uczciwie nie pracował. Nie przeszkadzało mu to uznawać swego zięcia za pięknoducha i darmozjada, który zbałamucił mu jedyną córkę, uniemożliwiając jej zrobienie kariery odpowiedniej do pochodzenia. A to z pewnością zapewniłoby jej wyjście za mąż za obiecującego oficera SB albo stypendystę Fundacji Fulbrighta. We wzajemnych kontaktach posiadanie ojca bohatera Armii Ludowej było jednym z niewielu argumentów przemawiających na moją korzyść.

Wobec Marty mogłem być bardziej szczery. Tylko co z tego? Kiedy spotkaliśmy się następnego dnia w „Hortexie” przy placu Konstytucji, wysłuchała mojej historii z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Ojciec, nie ojciec. Jakie to ma dzisiaj znaczenie? Wszyscy zainteresowani i tak nie żyją! – powiedziała, po czym uraczyła mnie dużo bardziej, z jej punktu widzenia, dramatyczną historią o koleżance, która właśnie zaszła w ciążę, ale nie wie z kim.

– Jak to nie wie?! – zachnąłem się.

– Ale ty jesteś staroświecki! Biologiczne ojcostwo to rzecz drugorzędna. Aśka ma do wyboru trzech kandydatów: jeden żonaty, drugi piękny ale biedny, a trzeci bogaty, wolny i zakochany...

– Rozumiem, że to przesądza sprawę ojcostwa bez badania grupy krwi? – zażartowałem. Nie kupiła żartu, bo stwierdziła z całą powagą.

– A co ma zrobić biedna dziewczyna, skoro za późno na zabieg?

Wróciłem do pierwotnego tematu.

– Chyba naprawdę jestem staroświecki, bo postanowiłem wyjaśnić, kto był moim ojcem – oznajmiłem zadecydowanie. – Mam nadzieję, że wystarczy poszperać w dokumentach, odbyć parę rozmów. Są wakacje, mam na to trochę czasu...

– Mieliśmy wyskoczyć na Mazury!

– Jeszcze wyskoczymy.

Teraz nastąpiła najtrudniejsza część rozmowy. Sprawa mego wyjazdu. Z żoną udało się wyjątkowo łatwo.

– Jadę służbowo do Wrocławia – oświadczyłem podczas śniadania. – Przy okazji zajrzę na chwilę do ciotki Reni. Bardzo dawno jej nie odwiedzałem.

– Dawno powinieneś to zrobić – poparła mnie Grażyna. – Ledwo odpowiadamy na co trzeci list, a jesteś jej coś winien, w końcu staruszka wychowała cię jak własnego syna. Świetnie by było, gdybyś zabrał ze sobą Basię... Tak dawno nie widziała babci.

– Z Basią pojedziemy innym razem. Po drodze muszę wpaść jeszcze do Łodzi – wykręciłem się. Na szczęście moja stara specjalnie nie nalegała.

Z Martą poszło mi znacznie ciężiej. Na wiadomość o wyjeździe na Dolny Śląsk strasznie się zapaliła i zawołała: „Pojadę z tobą!”. Ale kiedy wytłumaczyłem jej, że to niemożliwe, choćby ze względu na tradycyjne poglądy Reginy, wybuchnęła płaczem. W ramach przeprosin (chata chwilowo była niedostępna) pojechaliśmy do lasu w rejon Staraj Miłosnej i tam, wykorzystując fakt, że ulewa wymiotła z zagajnika potencjalnych spacerowiczów, szybko pokochaliśmy się w samochodzie, co w przypadku malucha wymagało ode mnie nie lada sprawności. Zdecydowanie poprawiło to humor prześlizgniętej wiolonczeliste. Potem jednak było już mniej przyjemnie. Marta wróciła do swego ulubionego tematu.

– Kiedy wreszcie powiesz Grażynie o nas?

Ten motyw był obecny w naszych rozmowach od samego początku. Właściwie od pierwszego razu. Pamiętam, leżeliśmy nadzy, spoceni i szczęśliwi, kiedy Marta wypaliła:

– Ożenisz się ze mną?

Wiedziałem naturalnie, że taka kwestia może prędzej czy później paść, ale żeby tak od razu? Poczulem się tak, jakbym oberwał pięścią w splot słoneczny. Dobry nastrój diabli wzięli. Potrzebowałem paru minut aby jej wytłumaczyć, że na wszystko przyjdzie czas. Do matury pozostał jej okrągły rok. Trzeba poczekać. Kiedy zda do konserwatorium znajdziemy się w zupełnie innej sytuacji.

– Ale do tego czasu musisz się rozwieść.

– Wszystko we właściwym czasie...

Mijały kolejne miesiące, a sytuacja nie zmieniła się o cal. Poza jednym. Coraz bardziej kochałem Martę. Jestem tylko człowiekiem, mężczyzną, właśnie przekraczającym conradowską „smugę cienia”. Jej młode ciało działało na mnie jak narkotyk. I choć dosyć często miewałem po dziurki w nosie jej banalnej gadaniny, poza podróżami i muzyką klasyczną nie miała szerszych zainteresowań, byłem świadomy, że dobrowolnie nie potrafię z niej zrezygnować. Prędzej z Grażyny. Choć, prawdę powiedziawszy, najbardziej odpowiadał mi stan aktualny. Trochę dwuznaczny, ale zrównoważony. Instynktownie odsuwałem od siebie myśl o rozwodzie. Gdzieś w podświadomości marzyłem, że sprawa rozwiąże się sama. Tylko jak niby miała się rozwiązać? Grażyna się w kimś zakocha i sama odejdzie? Marzenie ściętej głowy!

Obiad zjedliśmy w drewnianej knajpcie przy pętli tramwajowej na Goławku. Rozmowa nie kleiła się. Nie chciałem zanudzać dziewczyny dalszymi problemami mojej genealogii, a i ona wyglądała na zmęczoną. Obiecałem, że po powrocie z Wrocławia kupię jej markowe dzinsy w Pewexie i to osłodziło jej gorzyc rozstania.

* * *

W Łodzi odniosłem jedynie połowiczny sukces – po dłuższej rozmowie z redaktorem mikroskopijnej oficyny wydawniczej, któremu przedstawiłem się jako historyk amator badający dzieje dzielnicy Praga Południe, udało mi się uzyskać nazwisko i adres syna „Rysia”. Nazywał się Piotr Ruczajski i nadal mieszkał w Wawrze. Pracował jako inżynier w międzyleskim ZWAR-ze i jak dotąd nie był znany z publikacji historycznych.

– Po prostu odpowiedział na nasz apel w sprawie nadsyłania pamiętników związanych z powstaniem warszawskim – stwierdził redaktor.

– Macie ten pamiętnik? – dopytywałem się.

– Tylko fragment, który opublikowaliśmy.

– Czyli teoretycznie, może być to opowieść zmyślona.

– Nie przypuszczam. Ryszard Ruczajski „Ryś” to autentyczny bohater Polski Walczącej, o czym pan, historyk dzielnicy Praga Południe powinien wiedzieć lepiej niż ja.

Zaczerwieniłem się przyłapany na kłamstwie. Na szczęście jakaś awaria powielaczy przerwała naszą rozmowę. Redaktor pobiegł do piwnicy. Ja zaś wymknąłem się z lokalu ze świadomością, że niczego więcej się nie dowiem.

* * *

Regina Kupidłowska-Janisz zajmowała niewielki dwupokojowy lokal w ponurym bloku na wrocławskich Krzykach, który jeszcze w latach pięćdziesiątych przydzielono ówczesnemu kapitanowi Mirosławowi Janiszowi, funkcjonariuszowi Informacji Wojskowej. Moja ciocia liczyła niewiele ponad sześćdziesiąt lat, jednak po wylewie, który sparaliżował prawą część jej twarzy, od dwóch lat przebywała na rencie inwalidzkiej.

– Było uprzedzić, że przyjedziesz – ciotka powitała mnie gderliwie. Mimo popołudnia była w szlafroku, z nieodłącznym papierosem w dłoni. – Upiekłabym sernik.

Sernik! Na moment przymknąłem oczy, przypominając sobie dzieciństwo i ciocine wypieki o brunatnej skórce, spod której, jak purchawki, wyglądały smakowite rodzyнки. Cmoknąłem ją w przywiedły policzek, z bólem zauważając, że od ostatniej Wielkanocy znacznie się posunęła.

Wewnątrz mieszkania unosił się gęsty zapach nikotyny, starzyzny i licznych kotów, zadających kłam obiegowej tezie, że są to zwierzęta nadzwyczajnie czyste. Mroczne wnętrze rozświetlała mała lampka paląca się przed obrazkiem Matki Bożej, dzielącym przestrzeń na ścianie z wizerunkiem

papieża Polaka.

– Za duża z niej dewotka, nawet jak na katolicką neofitkę – przypomniała mi się opinia wuja Mirka, który z wyraźnym zadowoleniem przytaczał to sformułowanie przy każdym naszym spotkaniu. Za wiele ich zresztą nie było. Janisz opuścił Wrocław (a przy okazji Reginę i małego Maciusia) w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Potem wpadał do nas tylko sporadycznie. Uczciwie muszę jednak przyznać, że poczuwał się do roli opiekuna i nigdy nie zapominał o sprawianiu podwójnemu sierocie co jakiś czas prezentów. Raz był to rower, kiedy indziej skrzynka z narzędziami do majsterkowania albo łyżwy. Zabawne, ale z wszystkich tych podarunków najbardziej ucieszył mnie radziecki globus. Godzinami wpatrywałem się w morza i kontynenty, sylabizując wypisane cyrylicą nazwy. Wtedy wybrałem swój przyszły zawód: geograf!

Janiszowie nigdy się oficjalnie nie rozwiedli. Reginie nie zezwalała na to religia (w 1946 roku jakimś cudem namówiła Mirosława na ślub kościelny), dla jej męża „stan niewolny” był szalenie wygodny. Podobno gdziekolwiek przebywał (od lat sześćdziesiątych na stałe zakorzenił się w Warszawie) swoje konkubiny zmieniał równie szybko jak sorty mundurowe. Kiedy miłość mijała, nic nie mogło wstrzymać nokautu zużytej kochanki.

– Żona jutro wraca! – informował przez zaciśnięte poźółkle zęby kolejną kobietę i wskazywał jej drzwi. Podobno skutkowało.

Po wstępnej wymianie zdań „Co z Grażynką? Jak tam Basia? A u nas znowu wymieniać będą rury!”, przeszedłem do rzeczy.

– Muszę zadać cioci kilka pytań – rzekłem, szeroko otwierając okno, przeciwko czemu starsza pani nie zaprotestowała.

– Jakich pytań? – w wiecznie załzawionych oczach pojawił się niepokój.

– Czyim synem jestem naprawdę? Bo na pewno nie „Chudego Gienka”.

– Przecież ja nic nie wiem – pisnęła Regina, mimowolnie ścisząc głos. – Różia nic mi nie mówiła na ten temat. Owszem cieszyła się, że będzie miała dziecko, ale nigdy nie wspomniała o ojcu. A ja nie naciskałam.

– Ale przecież musiała ci opowiadać o Eugeniuszu Podlaskim.

– O Podlaskim dowiedziałam się od Janisza, już po twym urodzeniu.

– Od wujka Mirka?

– Przecież mówię, że od Janisza – nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek ciotka wyraziła się o swym małżonku po imieniu. – Załatwiał twoją metrykę.

– Ale skąd on niby o tym wiedział? – naciskałem. – Zawsze twierdził, że całą okupację przeżył w Rosji.

– Kiedy się urodziłeś, od miesiąca mieszkał z nami w jednym domu, na Pradze. Mieliśmy wspólną kuchnię, łazienkę. Bardzo nam pomagał. I wtedy, i potem. Może Różia coś mu opowiadała.

– Nie uwierzę, że ciocia nigdy nie zapytała.

– A nawet jeśli pytałam? Różia nie chciała o tym mówić. Po porodzie była bardzo słaba. W dodatku obie nie wiedziałyśmy czy przeżyjesz. Raz może, czekaj, właśnie wtedy kiedy pokazała mi to zdjęcie z plaży, rzekła: „To ja i Gierek Niedługo potem zginął”. Wtedy ją zapytałam, czy bardzo się kochali? A ona: „W pewnych sytuacjach trudno mówić o miłości”. I tyle.

– A babcia Jadzia? – usiłowałem przypomnieć sobie starą wieśniaczkę, z którą spotkałem się może dwa razy w życiu. – Nigdy nie miała wątpliwości, czy jestem jej wnuczkim?

– Nie wiem.

– Nie była na chrzcinach?

– Nie odbyły się żadne chrzciny. Osobiście, na wszelki wypadek ochrzciłam cię z wody. Ale tak naprawdę zostałeś chrześcijaninem na krótko przed pierwszą komunią.

Na moment przemknął mi obraz nasłonecznionego skweru pod kościołem. Dzwony, zapalone świece, woda ściekająca mi po policzkach... Nie potrafiłem jednak przypomnieć sobie, kim byli moi chrzestni. W roli matki na pewno wystąpiła ciotka, ale kto był ojcem?

– Po prostu nie chce się wierzyć, że niczego cioci nie powiedziała... Przecież tak bardzo się kochałyście.

– Bo to prawda, ale zawsze wolałyśmy rozmawiać o tym, co miłe...

Przysunąłem się bliżej okna, zapach spalin był mimo wszystko przyjemniejszy niż kocie szczyny, a zapowiadało się na dłuższą opowieść, którą skądinąd znałem na pamięć. Nawet kolejność epizodów bywała zawsze taka sama – uroczę dzieciństwo na warszawskim przedmieściu (tu opowieść jak obie siostry omal nie utopiły się w bagnie), dalej rozdzierający serce opis rozstania rodziców: „Obie popłakałyśmy się jak dwa bobry. A twoja matka groziła nawet, że popełni samobójstwo!”.

Czy rozpad małżeństwa Kupidłowskich należał do szczególnie oryginalnych? Raczej banalnych. W drugiej połowie lat trzydziestych mój dziadek poważnie zachorował na nerki. Leczył się długo, z marnymi efektami. Stał się nieprzyjemny i nieznośny dla otoczenia. Prawdopodobnie przestał liczyć się jako mężczyzna. Do ich domu zająrział niedostatek. Jego żona, a moja babcia musiała pójść do pracy. Koledzy załatwili jej posadę w dyrekcji Tramwajów w charakterze sekretarki. Salomea miała wówczas dopiero trzydzieści siedem lat i była niezwykle efektowna. Nic dziwnego, że wkrótce wpadła w oko mecenasowi Lichterowi, który reprezentował jakiegoś starozakonnego nieboraka, procesującego się z Tramwajami Miejskimi. Bardziej zaskoczyło wszystkich, że kiedy zdrada wyszła na jaw i doszło do rozwodu Kupidłowskich, adwokat poprosił Salomeę o rękę...

W tym miejscu zwykle historia opowiadana przez ciotkę się kończyła. Tego dnia jednak zdecydowanie zażądałem dalszego ciągu i Regina spełniła moje życzenie – opowieść-rzeka przelała

tamę.

– Do wojny spotykaliśmy się zaledwie parę razy. W tajemnicy. Tata – świeć Panie nad jego duszą – stawał się coraz bardziej chory. Dawny agnostyk teraz zwrócił się do Boga i Matki Najświętszej. Dostawał szału, słysząc, że była żona z jedną z córek uczęszcza do bożnicy. Wiesz, jednego razu nawet ja wybrałam się z Rózią do synagogi na Tłumackiem. Kiedy przyznałam się do tego podczas spowiedzi, nasz ksiądz proboszcz okropnie mnie zbeształ.

– Ale co działo się dalej? – nalegałem.

– Opowiadałam ci wielokrotnie, jak we wrześniu uciekaliśmy wszyscy z Warszawy, na wschód i jak niemieckie samoloty...

– ...zaatakowały was pod wsią Konik Mały.

– Teraz już nie jestem pewna, może był to Konik Duży, w każdym razie nie dojeżdżając do Mińska Mazowieckiego. Leżeliśmy wszyscy na płask w rowach, dookoła wybuchały bomby, z góry siekły karabiny maszynowe. Kiedy to się skończyło byłam zdumiona, że tak niewielu z nas zginęło. A potem, tego ci nigdy nie mówiłam, zobaczyłam samochód. Piękną limuzynę pełną ludzi i bagaży, która lawirowała między furmankami i lejami po bombach. Wóz Lichtera! Utyłana w błocie od stóp do głów, wyglądała jak nieboskie stworzenie. Rózia jakimś cudem wypatrzyła mnie w tłumie i zaczęła wołać, żebym wsiadła: „Nie mamy wolnych miejsc, ale wezmę cię na kolana!” – krzychała. – „Chodź!”.

„A tata?” – wskazałam na naszego ojca gramolącego się z rowu.

„Jemu, gojowi, Niemcy nic nie zrobią, my musimy uciekać!” – ponaglał Herszl. W binoklach na spoconej twarzy, wyglądał jeszcze bardziej antypatycznie niż zwykle. Salomea milczała, przyciskając do piersi rocznego Dawidka.

„W takim razie ja też zostaję” – powiedziałam. Różyczka zaczęła płakać. Ale jej ojczym tylko dodał gazu.

Resztę, Maciusiu, znasz. Dotarliśmy tylko do Siedlec, a potem, kiedy przetoczył się front, wróciliśmy jak niepyszni do Warszawy. Tata umarł zimą trzydziestego dziewiątego roku, zaraz po tym jak hitlerowcy rozstrzelali stu paru Polaków w Wawrze. Mnie przytuliła do siebie rodzina Kupidłowskich, zamieszkująca w Kaczym Dole drewniany, pożydowski domek w stylu „świdermajer”. Całą okupację robiliśmy tam papierosy z trefnego towaru, a ja rzadko wybierałam się do miasta. Miałam dobre, oryginalne papiery, niestety znacznie gorszy wygląd niż Rózia. Czy to nie śmieszne, ja z wyglądem typowej izraelitki byłam katoliczką, natomiast ją, aryjskiego aniołka, usiłowano wychować w wierze przodków. Chyba bezskutecznie. Po wojnie powiedziała mi, że ma z Bogiem swoje prywatne kontakty, chociaż do kościoła nie chodzi. Przekabaciła ja ta żydokomuna! Ale o czym ja mówiłam?

– O swoich wyprawach do miasta.

– No więc jakoś nigdy nie wpadłam. Miałam szczęście i Bóg mnie strzegł. Obaj moi kuzyni zginęli w Powstaniu, stryj umarł na krótko przed wyzwoleniem, a drewniak spłonął podczas artyleryjskiego ostrzału...

– A to drugie spotkanie, o którym ciocia wspomniała?

– To musiało być gdzieś w czterdziestym trzecim roku, latem, na pewno już po powstaniu w getcie. Robiłam zakupy na Nowym Świecie i wtedy ją zobaczyłam. Szykowna jak Simone Signoret i bardzo dorosła, szła pod rękę z jakimś przystojnym Niemcem w mundurze. Zatkło mnie. Na moment nasze spojrzenia skrzyżowały się. Jej nie drgnęła nawet powieka. Ja natomiast chciałam się zapaść pod ziemię. Moja siostra, krew z naszej krwi, paradowała z okupantem. Może nawet żyła z nim? Zastanawiałam się, jak i kiedy wróciła do Warszawy? Ostatni list dostałam od niej wiosną czterdziestego pierwszego z sowieckiego Białegostoku. Później, po ataku Hitlera na Rosję, nie dała najmniejszego znaku życia. Dopiero w czterdziestym piątym wyznała mi, że wtedy na Nowym Świecie wykonywała zadanie zlecone jej przez Organizację... Podobno od dłuższego czasu przebywała w Warszawie, ale nie mogła się kontaktować z rodziną.

– A opowiadała cokolwiek o swojej pracy w komunistycznym podziemiu?

– Nigdy! – usta Reginy zacisnęły się w cienką ciemną linię na szarej twarzy.

* * *

Wyjazd do Wrocławia w najmniejszym stopniu nie przybliżył mnie do poznania prawdy. Na krótkiej liście osób, z którymi musiałem porozmawiać pojawiły się kolejne nazwiska – po pierwsze Mirosław Janisz, dalej rodzina „Chudego Gienka”. Jego matka wprawdzie już nie żyła, ale musiała żyć siostra. Trzeba było też porozumieć się z synem „Rysia”. Może w dokumencie ukrytym w tubusie znajdowało się więcej informacji?

Czułem, że sprawa mnie rozpala. Chyba niezbyt dziwne. Sierota od zawsze, miałem szansę odnaleźć własną przeszłość. Opinia ciotki, która na dobranoc powiedziała mi: „A czego ty chcesz tam szukać? Po co? A jeśli odnajdziesz coś, co cię zrani?” – zupełnie mnie nie przekonała. Chciałem prawdy! Całej prawdy i tylko prawdy!

Długo nie mogłem zasnąć, smród kotów wydawał się nie do zniesienia, na dodatek światło latarni wpadające przez otwarte okno, trafiało mnie dokładnie w twarz. Męczyłem się, kręciłem na wąskim wyrku (w dzieciństwie wydawało się całkiem znośne). Wreszcie przenieśliem podgłówek w nogi, zmieniłem kierunek spania z dotychczasowego zachód – wschód na wschód – zachód i, o dziwo, pomogło...■

Sen zaraz ogarnął mnie dziwny, osobliwie konkretny, pełen barw, dźwięków, przysięgłbym, że nawet zapachów – oto przyśniła mi się szkoła. Tylko, że nie była to moja szkoła, wrocławska podstawówka, czy ogólniak – nie poznawałem twarzy kolegów ani mundurków z tarczami. Nad tablicą górował wąsaty portret Stalina, tak jak w naszej pierwszej klasie na Krzykach. Ale nie była to moja podstawówka i 1953 rok. Zgromadzone bractwo wyglądało na niemal dorosłe, szczególnie dziewczyny jawiły się absolutnie dojrzałe. A może nie była to w ogóle lekcja, lecz prelekcja? Chyba

tak, obok nauczycielki stał barczysty mężczyzna w mundurze... Naraz zdałem sobie sprawę, że nie bardzo rozumiem, co mówią. Przestraszyłem się – dopiero po chwili zorientowałem się, że to rosyjski. Z wrażenia zakręciło mi się w głowie, ale chwilę później poczułem jak ktoś swoją nogą dotyka mojej nogi. W dodatku nieprzypadkowo. Sąsiad, blondas o perkatym nosie uśmiechał się szelmowsko, trochę lepko... „Co jest?” Wszystko zagotowało się we mnie, snów pedalskich jak dotąd nie miewałem, ale w tym momencie mój wzrok padł pod ławkę, zobaczyłem moje stare sznurowane buciki, podkolanówki, gołe szczupłe nogi, sukienkę... Byłem dziewczyną!

Potok słów płynący z ust prelegenta przerwał jęk pikującego samolotu. Na twarzy sowieckiego oficera pojawiło się zdziwienie, które przeszło w niedowierzanie, kiedy dotarł do klasy grzmot spadających bomb. Uczniowie najpierw zamarli, po czym rzucili się do okien... *Wajna!!!*

Poderwałem się z pościeli. Cisza, ciemność. Nawet światło latarni nie wpadało już do pokoju. Pewnie ktoś zbił żarówkę, a może wrocławska elektrownia planowo wyłączyła prąd. Serce łomotało we mnie jak opętane. Dopiero smród kocich odchodów i dobiegające z sąsiedniego pokoju pochrapywanie ciotki Reginy przywróciły mnie do rzeczywistości. Tylko wspomnienie niezrozumiałego snu nie przestało mnie dręczyć przez cały następny dzień.

* * *

– Dawno się nie widzieliśmy, synku! – pułkownik Janisz uściśnął mnie mocno, jak na wojaka przystało. – Było uprzedzić, bym się lepiej przygotował, a tak mam tylko trochę nalewki, no i coś do przetrącenia...

– To był nagły impuls – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Nagły przyływ uczuć rodzinnych, co?

Nie chciałem kłamać, chociaż było to trudne. Z latami moje wyobrażenia na temat pułkownika bardzo ewoluowały. Od wizerunku przyjaznego, choć momentami surowego wujaszka – bon vivanta, po... No właśnie, kogo? Dzieciom wystarcza kiedy opiekun mówi, że pracuje w wojskowości, czasami paraduje w mundurze, częściej bez i wzbudza respekt u sąsiadów. Respekt, a może strach? Bardzo długo nie chciałem wiedzieć czym tak naprawdę się zajmuje. On i jego resort. Że nie tylko szpiegami i dywersantami przekonałem się w pamiętnym marcu. A zwłaszcza kiedy w poniedziałek, jedenastego, „dla mojego własnego dobra” zamknął mnie u siebie w mieszkaniu, zakazując wytykać nosa na ulicę. Praktycznie był to areszt domowy: okute drzwi, zakratowane okna. Miałem cały dzień na przemyślenia. Czego innego zresztą mogłem się po nim spodziewać? Bojowiec z radzieckiej partyzantki, który z początkiem Polski Ludowej trafił do wojskowej informacji, a potem pełnił rozmaite funkcje w resorcie spraw wewnętrznych, miał poglądy nader wyraziste. Kiedy wieczorem wrócił podпиты, przeklinając ile wlezie syjonistów i rewizjonistów, wybuchła między nami straszna kłótnia. Przez dobre pół godziny krzyczeliśmy na siebie, nie żałując przekleństw, choć i pod tym względem wyraźnie górował nade mną. Myślałem nawet, że mnie uderzy, ale nie. W ostatniej chwili zapanował nad sobą.

– Kiedyś przekonasz się, gdzie leży prawda – powiedział, kończąc dyskusję.

Lata mijały i nic nie wskazywało żebym miał przyznać mu rację, bo i kiedy? W 1970, gdy jego towarzysze strzelali do robotników w Gdańsku, w 1976 – gdy pałowali w Radomiu i Ursusie, wreszcie gdy musieli zrejterować w 1980... Toteż podczas sporadycznych spotkań starałem się unikać aktualnej polityki. Podobnie i teraz od razu przystąpiłem do rzeczy.

– Mam pewien problem i sądzę, że tylko wuj może mi pomóc...

– A od kiedy liczysz się ze zdaniem wuja? – Mirosław wprowadził mnie na drewniany, szeroki taras za domem. Niewielka chałupa pułkownika stała na wysokim brzegu rzeki, w dole płynął Bug, rozlany, pełen łach, mielizn i niebezpiecznych wirów. Szybko znalazła się butelka trunku, dwie szklaneczki i świeżo uwędzony węgorz na zagrychę. Po czym szybko wrócił do swej ulubionej melodyjki:

– Mówisz, chcesz rady? Ciekawe. Przecież ty nigdy mnie nie słuchasz. Ostrzegałem cię przed angażowaniem się w ten antysocjalistyczny ruch! – Janiszowi jakoś nigdy przez gardło nie przechodziło słowo „Solidarność”. – Ale puściłeś to mimo uszu.

– Niezależny Samorządny Związek jest organizacją legalną – nieśmiało zaprotestowałem.

– Dziś jest – skrzywił się Janisz, jakby połykał wyjątkowo gorzką tabletkę. – Ale zapamiętaj moje słowa, chłopcze, taka zabawa zapalnikami na beczce prochu musi się źle skończyć!

– Nie przyjechałem rozmawiać o polityce! – jeszcze raz próbowałem zmienić temat. Dyskusja nie miała przecież najmniejszego sensu. Wprawdzie Janisz przebywał na zasłużonej emeryturze, ale poglądy miał niezmiennie od lat. Bardzo dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem usiłował wychowywać mnie twardo, po wojskowemu, ale ciotka nie pozwoliła na kształcenie ukochanego siostrzeńca na janczara komunizmu. Mirosław jednak nie rezygnował. Mimo stosunkowo rzadkich kontaktów, nigdy nie rezygnował z okazji aby namówić mnie do kariery wojskowej. Nie miałem jednak najmniejszych inklinacji w tym kierunku i dzień, w którym na komisji wojskowej otrzymałem kategorię „D”, należał do najszcześniejszych w moim życiu. Jedynym z mej strony ukłonem wobec namów wuja było podjęcie studiów w Warszawie, na czym wyraźnie mu zależało. Inna sprawa, że wyboru geografii jakoś nigdy nie zaakceptował. Kiedyś zastanawiałem się, dlaczego podczas swych wychowawczych zabiegów wuj nie użył nigdy argumentu „Bądź taki jak twój ojciec!”, co więcej, nawiązując do swoich wojennych przeżyć, co czynił z wdziękiem i wiarygodnością barona Münchausena, nigdy nie wspominał o „Chudym Gienku”. Obecnie znalazłem najprostsze wyjaśnienie – pułkownik od początku wiedział o mistyfikacji. Toteż po kolejnym kielichu zapytałem go wprost:

– A może to ty jesteś moim ojcem?

Na moment Janisz zbaraniał, zgłupiał, zamrugał bezrzęsyimi powiekami, a potem zaniósł się długim tubalnym śmiechem.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś równie głupiego – powiedział, kiedy wyśmiał się do końca.

– Dlaczego?

– Twoja matka nigdy by nie zadała się z kimś takim jak ja, ona... – urwał i jak człowiek, który zorientował się, że powiedział za wiele, zmienił temat. – Poza tym, nawet gdybym chciał, fizycznie nie mógłbym tego dokonać. Wiesz, że służyłem wtedy w Pierwszej Armii. Do Warszawy dotarłem już po jej wyzwoleniu, w lutym. I dopiero wtedy poznałem Różę. Czysty przypadek. Zakwaterowano mnie w pokoju należącym do wielkiego przedwojennego mieszkania na Pradze gdzie była moja sąsiadką przez ścianę... Tak się poznaliśmy. Chyba pomagałem jej wnosić jakiś mebel i wówczas po raz pierwszy wspomniała mi o Gienku. Twoim ojcu!

– Dokładnie kiedy?

– Nie prowadzę notatek, pod koniec lutego, może w marcu czterdziestego piątego. W każdym razie, zanim jeszcze wprowadziła się do niej Regina. Z jej słów wynikało, że z Podlaskim znali się jeszcze z radzieckiego Białegostoku. Chłopak pracował tam w milicji. Ponownie zbliżyli się w czasie Powstania. Ostatni raz spędzili ze sobą noc pod koniec września, na dzień przed decydującą próbą przedarcia się przez Wisłę. Chyba właśnie wtedy zostałeś poczęty...

– Ależ pamiętnik „Rysia” wyklucza taką możliwość. Mój rzekomy ojciec zmarł w nocy z pierwszego na drugiego sierpnia...

– Stawiasz słowo własnej matki przeciw insynuacjom jakiegoś bandziora z AK? Moim zdaniem cały ten artykuł pachnie normalną fałszywką. Synuś, wierz mi, gdyby ufać wszystkiemu, co drukują teraz na powielaczach, to prędko wszyscy wylądowalibyśmy w domu wariatów.

– Ale jaki byłby cel takiej fałszywki? – nie dawałem za wygraną.

Janisz nagle spowaźniał.

– Prosty! Toczy się walka, mój synu. Podważa się prawdę historyczną, podważa podstawy ustroju, dezinformuje, niszczy bohaterów...

– Powiedzmy. Jednak coś mi tu nie pasuje do hipotezy prowokacji. „Chudy Gienek” to przecież bohater kompletnie zapomniany. Jego los nie obchodzi nikogo poza mną.

– Co ty wiesz o prowokacji, Maciusiu? Każdy atak można prowadzić frontalnie albo flankami. Zakwestionujesz jedno ogniwo, wnet cały łańcuch diabli biorą... – na moment umilkł i napełnił obie „literatki”. – Chcesz znać moje zdanie, to ci powiem: daj sobie spokój! Nawet gdybyś rzeczywiście nie był synkiem Podlaskiego, co to zmienia? Jesteś, kim jesteś. Myśmy cię wychowali... Tego chyba się nie wyprzesz?

– Nie zamierzam – zgodziłem się.

– Poza tym na pewno znasz powiedzonko: „Ojciec nigdy nie jest pewny”. Twoja matka była piękną kobietą. Mężczyźni tracili dla niej głowę. Niezależnie od terminu śmierci Gienka, ktoś inny mógł ją też dopaść.

– Ma wuj jakichś kandydatów?

– Powiedziałem, nie było mnie wtedy przy niej, nie mam pojęcia z kim mogła się zadać.

– Jednak mówił wuj, że na pewno nie byle kto?

– Kiedy ja to niby powiedziałem?

– Przed kwadransem. Zacytuję dokładnie: „Twoja matka nigdy by nie zadała się z kimś takim jak ja”.

– Przekręcasz moje słowa! – na pofałdowanym jak zakrzepła lawa czole Janisza pojawiła się kropelka potu. – Chodziło mi jedynie o to, że nie byłem w jej typie. Zawsze wołała ciemnych blondynów. – Tu szybkim haustem opróżnił szklaneczkę i dorzucił: – Ale gorąc! Chodźmy lepiej nad rzekę, połowimy sobie ryby...

– Mam jeszcze parę pytań – zaproponowałem.

– A co, to nad wodą gadać nie można? Ryby przecież się nam do dyskusji nie włączają.

Niczego więcej o swoim ojcu nie wyciągnąłem ze starego partyzanta. Janisz nie wiedział, albo nie chciał o nim mówić, znacznie chętniej opowiadał o swojej szwagierce.

– Twoja matka to była osoba „myląca” – podkreślał.

– Myląca? Co wuj przez to rozumie?

– Na pierwszy rzut oka płocha, rozszczebiotana blondyneczka. A wewnątrz osoba spokojna, piekielnie inteligentna, twarda... Nie spotkałem nikogo podobnego do niej. Ale nikogo też tak długo nie potrafiłem rozgryźć... Wiesz co, wypijmy za nią!

Być może zaszkodziło mi słońce i świeże powietrze, ale najpewniej alkohol. Po kolejnej wódce kompletnie urwał mi się film. Jakby ktoś nagle zgasił światło. Zapadłem w czeluść bez snów i przewidzeń. Nie przebywałem tam jednak długo. Wkrótce po północy obudziłem się pijany jak bela, omal nie wyrzygałem wątroby, potem piłem wodę, znowu rzygałem. I znów zasnąłem. Drugi raz ocknąłem się nad ranem na skraju ogrodu. Leżałem skulony w zroszonej trawie. Nad polami unosiła się gęsta mgła. Naraz usłyszałem kroki. Janisz? Pokonując wściekły ból głowy, rozwarłem powieki. Wydało mi się, że widzę na tle krzaków jakąś białą postać o złocistych włosach.

– Mamusi! – chciałem krzyknąć, ale wyszło mi tylko jakieś „mmmmuuu”...

Tak czy owak odpowiedzi nie było. Postać przybladła, cofnęła się i roztopiła we mgle.

– Poczekaj! – rzuciłem nieco głośniej i wyraźniej, próbując wstać na nogi. Zjawa jednak zniknęła, a ja sam, po wykonaniu trzech chwiejnych kroków, potoczyłem się w dół skarpy. Nie wiadomo jakby to się dla mnie skończyło, szczęściem hałas obudził Janisza. Stary ubek wygrzebał mnie z pokrzyw, podniósł jak piórko i dobrotliwie posapując, zataszczył do łóżka. Cóż za różnica kondycji! Piliśmy równo, ze mnie był prawie trup, a stary pułkownik pozostał trzeźwy jak świnia.

Do podłukowskiej wsi dotarłem koło południa, walcząc z potwornym bólem głowy, który mimo zażycia trzech aspiryn i wypicia dwóch kaw, za żadne skarby nie chciał mnie opuścić. Mały fiacik śmierdział jak gorzelnia, o kierowcy lepiej nie mówić. Gdyby teraz zatrzymała mnie milicja, miałbym się z pyszna.

We wsi pełnej murowanych sześcianów i tradycyjnego dla Mazowsza niechlujstwa śladów bohatera Gwardii Ludowej znalazłem tyle, co kot napłakał, albo nawet mniej. Po śmierci Jadwigi Podlaskiej gospodarstwo sprzedano, jej jedyna siostra też już nie żyła, a potomstwo rozproszyło się po świecie.

– Z Arkadkiem ty powinien pogadać – poradziła mi wiekowa sąsiadka. – On w Siedlcach pracuje, w bibliotece.

W miejskiej bibliotece okazało się, że pan „Arkadek” już tam nie pracował, ale podano mi adres niewielkiego mieszkania w blokach z epoki „późnego Gomułki”.

Arkadiusz Kosik, teoretycznie mój cioteczny brat, ucieszył się na widok swego „kuzyna” tak, jakby czekał na to spotkanie całe życie.

– Ależ mi miło, ależ mi miło, że nareszcie możemy się poznać – wołał zasuszony mężczyzna o wyglądzie archaicznego wieszaka, potrząsając moją ręką, jakby to było ramię od studni. – Człowiek teraz nie ma do kogo ust otworzyć! Te skurwysyny z „Solidarności” wysłały mnie na emeryturę! Nie uwierzysz braciszku, nikt mnie nie bronił, ani w Radzie Narodowej, ani w Komitecie. A ja w PPR-ze, od czterdziestego czwartego roku... Tak się dziękuję za wierność! No, ale mów, co cię sprowadza? Napijesz się... – chyba zauważył, że propozycja zapaliła w moich skacowanych oczach przestrach, bo szybko dorzucił – ...herbaty?

Przy zaparzonym „po turecku” Ulungu wyszło na jaw, że bibliotekarz jest prawdziwym kustoszem legendy swego ciotecznego brata, której tutaj nikt nie unieważnił. Miał sporo zdjęć, wycinków z dawnych pism, parę broszur. Prawdopodobnie od dawna nie spotkał nikogo, komu mógłby pochwalić się swymi skarbami, a przy okazji wygadać się, więc nawijał jak najęty. Pozwoliłem mu na to. Pociągając przez zaciśnięte zęby przesłodzoną „plujkę”, nie zadawałem zbyt wielu pytań. Nie chciałem zdradzać powodu, dla którego badałem swe korzenie, a tym bardziej nie zamierzałem przedwcześnie wyjawiać swoich politycznych preferencji. Patrząc na zmierzwiony krążek siwych włosów wokół łysiny emeryta i grdykę skaczącą na chudej szyi niczym szczur w klatce, zastanawiałem się, czy tak wyglądałby mój teoretyczny ojciec, gdyby przypadkiem dożył dzisiejszych czasów?

Arkadek najpierw rozwodził się długo nad losem przedwojennych biedaków, pomijając fakt, że mimo koszmarnych lat sanacji, udało mu się ukończyć szkołę elementarną. Gienek mniej na edukację zawzięty zakończył swoją naukę na trzeciej klasie. Szybko podjął pracę na kolei i tam zetknął się z ruchem komunistycznym. Za udział w nielegalnym proteście i zranienie policjanta zaliczył parę lat odsiadki, a po ucieczce z więzienia znalazł się w Białymstoku, który na mocy paktu Ribbentrop-

Mołotow przypadł Sowietom.

– Tam poznał twoją matkę, chodziła wtedy jeszcze do szkoły, a on pracował w tartaku.

– Słyszałem, że w milicji.

– Może i w milicji, ale krótko. Po dwudziestym drugim czerwca, kiedy faszyci napadli na Związek Radziecki, trafił do partyzantki. Początkowo radzieckiej, ale kiedy jego oddział został rozbity, przedostał się do Lublina i tam trafił w szeregi naszej Gwardii Ludowej.

– A moja mama towarzyszyła mu?

– Ależ nie. Bardzo długo nie mieli ze sobą kontaktu. Wiem tylko, że po jakimś czasie przedostała się do Warszawy. Miała wielkie szczęście, cała jej rodzina zginęła w egzekucji.

– Jednak na pewno wiesz, kuzynie, co robiła przez te wszystkie lata w Warszawie?

Zdawkowej odpowiedzi towarzyszyło wzruszenie ramionami.

– Walczyła o sprawę. Ludową sprawę, ma się rozumieć. W każdym razie z Gieniem spotkali się ponownie dopiero na krótko przed powstaniem... I wtedy pojawiła się miłość! Gwałtowna, szalona...

– Opowiadał ci o tym?

– Niby kiedy? – naraz Arkadiusz zrobił się czujny. – Przecież ostatni raz widzieliśmy się zimą czterdziestego czwartego. W lutym, może w marcu, Gienek wpadł na wieś jak po ogień. Obiecował, że spotkamy się po zwycięstwie.

– W takim razie skąd znasz jego dalsze losy?

– Z książek, artykułów.

– A o jego śmierci? Też dowiedziałeś się z książek?

– No pewnie... – mruknął, ale to „pewnie” było jakieś niepewne.

– Nie rozmawiałeś nigdy z żadnym z towarzyszy Gienka?

– A z kim miałem rozmawiać? Przeprawdę przeżyło ledwie dwóch – wskazał postrzępioną broszurę. – Tomek Karczoch, który poległ w następnym roku pod Berlinem.

– I Witkowiec? – pochwaliłem się wcześniejszą znajomością publikacji. – Ten chyba żyje.

– Nie mam pojęcia. Może i żyje. Chyba osiadł na Ziemiach Odzyskanych. Ale ja nigdy o nim nie słyszałem.

– Wróćmy do mojej mamy. Znałeś ja dobrze?

– Ja? – bibliotekarz wydawał się być zmieszany. – Przecież nigdy jej nie widziałem.

– Nawet na pogrzebie taty?

– Z tego co wiem, nigdy nie było pogrzebu Gienka. Ciało uniosła Wisła. Szkopski ostrzał uniemożliwił poszukiwania. Ma tylko symboliczny grób na naszym wiejskim cmentarzu i tablicę w Alei Zasłużonych.

– Dwa groby i oba puste?

– Tak wyszło... – Arkadek tylko westchnął.

Postanowiłem przejść do rzeczy.

– A nie obita ci się o uszy inna wersja. Że zginął jeszcze przed powstaniem? Albo na samym jego początku?

Kolejne „nieee” Arkadka było tyle długie, co nieprzekonujące.

Późnym popołudniem wróciłem do Warszawy i zająłem do kompletnie pustej szkoły. Dyrektora już nie zastałem, a woźny zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem, tak jakbym planował wysadzenie w powietrze sali gimnastycznej. Idiota! Kto organizowałby takie rzeczy w rozleniwiającym, sennym dniu? Nawet muchy mdlały od upału, a asfalt na ulicy miał konsystencję czekolady na gorąco. Z sekretariatu zadzwoniłem do domu. Nikt nie odbierał, widocznie Grażyna jeszcze nie wróciła z pracy. Dopiero wtedy przypomniałem sobie o spotkaniu z Martą. Cholera! Byłem spóźniony już ponad dwie godziny! Czekala na stryszku milcząca i naburmuszona. Cicho szemrał chłodzący wiatraczek, moje usprawiedliwienia brzmiały równie słabo. Na szczęście już pierwsze pieszczoty poprawiły jej nastrój. A informacja, że od trzech dni nie widziałem się z żoną wprawiła ją w szampański humor. Lubiła takie wiadomości świadczące o „kompletnym rozkładzie pożycia”. Budowała na nich swe marzenia, niczym zamki na lodzie. Do spraw rozwodu na szczęście nie wracała.

Ledwo skończyliśmy seks, zmęczenie, upał i szmer wentylatora zrobiły swoje...

* * *

Biegliśmy przez las, widny, żywiczny, na wysokość człowieka porośnięty krzakami, które smagały nas po twarzach. Nikt nie mówił ani słowa, ciszę mącił jedynie przyśpieszony oddech uciekających, trzask łamanych gałęzi, szelest odzieży, czasem odgłos upadku. Ptaki zamilkły. Daleko za naszymi plecami rozlegało się szczekanie psów.

Zdawałem sobie sprawę, że śpię płytkim snem okropnie znużonego faceta i że to, co się rozgrywa wokół mnie, jest jedynie snem... Chociaż hiperrealistycznym! Serce wydawało się wyskakiwać z piersi, a pot zalewał mi twarz. Sen mara... A jednak dławiło mnie przeświadczenie, że to wszystko rozgrywa się naprawdę. Potknąłem się, zapiekło boleśnie rozharatane kolano. – Biegnij, Ruth, biegnij! – syknęła Salomea, podrywając mnie z ziemi. Litcher sapał parę korków za nami.

Nie potrafiłem zrozumieć swego przedziwnego rozdwojenia. Równoczesnego bycia Różą Kupidłowską tam i sobą tu, na poddaszu, obok Marty. Co więcej miałam powody sądzić, że moje wrażenia są jednokierunkowe. Towarzyszyła mi świadomość przebywania w dwóch wymiarach, moja nastoletnia matka jej z pewnością nie miała.

Z grubsza domyślałem się, co się stało. W obliczu niemieckiego najazdu miejscowi Żydzi usiłowali zbiec z Białegostoku. Dla rodziny Herszla Lichtera – który został aktywnym członkiem Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) – zagrożenie było oczywiste. Niestety pociąg, którym uciekali na wschód, utknął w lesie... Tory zostały zbombardowane. Parę dni przedzierali się przez lasy, czekając na kontrofensywę niezwyciężonej Armii Czerwonej. Daremnie. Zostali wytropieni. Być może zresztą i tak nie było dla nich ratunku, ponieważ pierścień wojsk hitlerowskich zaciskał się jak pętla. Wszelkie oddziały sowieckie na tym terenie praktycznie przestały istnieć. Wybiegliśmy na szeroką przesiekę...

– Halt!

Wszyscy stanęli jak wryci. Niemcy już tu byli, wyskoczyli z ciężarówki i z wycelowaną bronią przypatrywali się gromadzie, która wysypała się z lasu. Jakiś maruder biegnący z tyłu usiłował się cofnąć. Suchy strzał powalił go twarzą w jeżyny.

Kątem oka Róża (a dzięki niej również i ja) zauważyła jak Lichter unosi do góry drżące ręce. Inni poszli za jego przykładem. Walizki i węzłki posypały się na ziemię. Niemcy naradzali się chwilę. Powtarzające się słowo „juden” nie pozostawiało wątpliwości. Wiedzieli kogo dopadli.

– Jestem obywatelem litewskim! – rozległ się w pewnym momencie głos kuzyna Abramskiego. – Mogę okazać paszport!

Zignorowano go.

Róża zacisnęła powieki, próbowała się modlić. Wraz z nią bezgłośnie powtarzałem modlitwę.

– A ty co tu robisz? – zabrzmiało po polsku i czyjaś ręka wyszarpnęła ją z szeregu. Moja matka otworzyła oczy.

Młody mężczyzna, właściwie wyrostek stojący przed nią, nie wydawał się obcy. Gdyby nie ten mundur i czapka... Ależ oczywiście, to był Karol, brat jej koleżanki z podwórka. Przezywali go Szwabem, bo jego ojciec, rodowity Niemiec, był szoferem w ambasadzie Rzeszy... Nie potrafiła wykszusić z siebie słowa. Jednak nie było to konieczne. Usłyszała głos Karola tłumaczący dowódcy patrolu.

– To Polka, Róża Kupidłowska, ja ją znam, nie ma nic wspólnego z tymi brudnymi Żydami.

Chciała sprostować, powiedzieć, że w gromadzie przerażonych ludzi jest jej matka, ojczym, braciszek. Młodzik odgadł jej zamiary, bo błyskawicznie odwrócił głowę i syknął: „Milcz!”.

Potem ujął ją pod rękę i poprowadził w stronę ciężarówek. Nie wiedziała dokładnie co robi, powolna, jak ptak zahipnotyzowany przez węża dała się wepchnąć do środka. Prawie natychmiast rozległy się strzały. Strzały i krzyki.

* * *

– Co się stało? – w rozszerzonych źrenicach nagiej Marty zauważyłem autentyczny przestach. – Strasznie krzyczałeś!

– Ja? – półprzytomny rozglądałem się dookoła. Siedzieliśmy oboje, spoceni, w zmierzwionej pościeli. Wentylator szumiał, jak gdyby nigdy nic.

– W dodatku wołałeś po niemiecku: „Nein, nein!”.

– Chyba miałem sen – wymamrotałem. – Śniła mi się wojna, jakaś egzekucja Żydów. Za dużo naoglądałem się telewizji!

– Przestraszyłeś mnie.

Dziewczyna wstała.

– Zrobić ci herbaty?

Machinalnie skinąłem głową, a gdy odwróciła się, wyciągnąłem długopis i zapisałem na kawałku gazety imię i nazwisko „Karl Poller”. Nie miałem pojęcia skąd je znam. Skąd wiem, że tak nazywał się ryży chłopak z warszawskiego podwórka, który został reichsdojczem? Podobnie nie mieściło mi się w głowie, jak mogła mi się tak dokładnie przyśnić egzekucja, w której zginęła cała rodzina Lichtera. Moje wszystkie informacje na ten temat stanowiły najwyżej pięć procent tego, co zobaczyłem. Najbardziej zastanawiało mnie, że był to już drugi sen dotyczący tamtych czasów. Przypadek? Zdarzenie to upewniało mnie co do jednego. Wbrew temu, co radził wuj, powinienem nadal drążyć przeszłość.

Ostatecznie nie zdążyłem wypić przygotowanej herbaty. Zrobiło się dość późno. Lada chwila mogła wrócić ciotka Marty, poza tym miałem jeszcze jedną zaplanowaną wizytę, u Ruczajskich w Wawrze. Kiedy szedłem do samochodu zaparkowanego na wszelki wypadek przecnicę dalej, w uszach dźwięczały mi ostatnie słowa mojej młodej kochanki: „Kiedy wreszcie porozmawiasz z nią o nas?”.

* * *

Czasami bywały takie dni, zwłaszcza kiedy Grażyna była bardziej upierdliwa niż zwykle, że naprawdę zastanawiałem się, czy nie powinienem się z nią rozstać. Argumenty były mocne. Nasz związek robił się coraz bardziej fikcyjny. Ostatni raz kochaliśmy się na samym początku romansu z Martą, zanim jeszcze doszło do pierwszego zbliżenia. Wróciłem z pracy podchmielony po urodzinach dyrektora i nie bardzo wiedziałem co robię. Grażyna, jak na nią wyjątkowo podniecona, może sprawiła to karafka samotnie wypitej wiśniówki, oczekiwała mnie w prowokacyjnym różowym szlafrocuku. Mimo to poszło mi marnie. Czyli jak zawsze z Grażyną. Od paru ładnych lat moja powiększająca się oziębłość zakrawała na impotencję, podczas gdy z Martą... Każde dotknięcie jej delikatnych, nieprawdopodobnie szczupłych palców wiolonczelistki zamieniało mnie w prawdziwego Casanovę. Mogłem o każdej porze, dowolną ilość razy... Ale co się będę chwalić!

O ile jednak średnio udany seks można jakoś przeboleć, coraz bardziej ciążyło mi życie w kłamstwie. „Życie w kłamstwie” – za duże słowo? Choć należę do licznej kategorii Polaków wierzących niepraktykujących, uczestniczę, było nie było, w ruchu, którego czołowe hasło brzmiało „Prawda nas wyzwoli!”. I jak to pogodzić z praktyką?

Nie jestem ryzykantem, życiową brawurą pewne też nie grzeszę, toteż niewygodne decyzje staram się zazwyczaj maksymalnie odwlekać, a o kłopotliwych rzeczach po prostu nie myśleć. Artur lubił żartować z mojej postawy: „Czy ignorując problem, szkodzisz bardziej jemu czy sobie?” – pytał. Teoretycznie miał rację. Ale, jak dotąd, z moją umiejętnością niezawracania sobie głowy skrupułami, miałem zdrowy żołądek, system nerwowy w nie najgorszym stanie... Tyle że jak długo dało się to ciągnąć? Niewidzialny mur, na którym mogło roztrzaskać się moje życie zbliżał się niebezpiecznie, a ja ciągle nie zdecydowałem się na żaden manewr. Bo co miałem zrobić? Wyznać Grażynie prawdę? Czasami wyobrażałem sobie taką decydującą rozmowę. Ale gdy pomyślałem o wielkich czarnych

oczach Basii, patrzących na nas z bezbrzeżnym przetrachem podczas każdego rodzinnego konfliktu, a także o prawdopodobnym gniewie teścia... No i kończyło się odłożeniem decyzji na później. Za rok, jak Martusia zda maturę, Basia pójdzie do szkoły, Grażka awansuje w pracy...

* * *

Dom państwa Ruczajskich, leżący na skraju Nowego Wawra w bezpośrednim sąsiedztwie rozległych łąk wiślanej pradoliny, ponad którymi widać było kominy Siekierok i samotną sylwetkę Pałacu Kultury, był właściwie mocno zapuszczonym drewnianym dworkiem, ledwie widocznym wśród liści dzikiego wina. W pierwszej chwili robił wrażenie niezamieszkałego. Nie było słychać dzwonka (nie działał?) i gdyby nie ujadanie psa dochodzące z domu, szybko bym zrezygnował. Dopiero po paru minutach potrząsania mocno zardzewiałą furtką otworzył się lufcik na parterze i rozległo starcze: „Kto tam?”.

– Ja do pana Piotra Ruczajskiego, w sprawie jego artykułu – zawołałem.

– Syna nie ma! – zaskrzeczało niewyraźnie, ale niechętnie.

– To może mógłbym z panią porozmawiać, zbieram informacje na temat kapitana „Rysia”.

Nie było odpowiedzi, ale po chwili zgrzytnęły spaczony drzwi i na progu stanęła wsparta na lasce staruszka, siwiutka i drobnutka jak porcelanowa figurka.

– Niech pan, z łaski swojej, przecisnąć rękę przez otwór w siatce, sięgnie od środka do klamki i mocno naciśnie – poinstruowała mnie. – Furtka nie jest zamknięta na klucz.

Za gospodynią wyskoczył piesek, na oko zapasiony serdel-terrier, ujadający ze wszystkich sił, który jednak zamiast wbić zęby w moją łydkę, obwąchał ją i natychmiast ucichł.

– Bezbłędnie rozróżnia dobrych ludzi od złych – wyjaśniła staruszka. Zabrzmiało to jak udzielony na wyrost kredyt zaufania.

Wnętrze prezentowało się dokładnie tak, jak chciałbym, żeby wyglądał mój dom rodzinny, którego nigdy nie miałem – szeroka sień tonąca w starych książkach, drewniane zakręcone schody, portret marszałka Piłsudskiego ponad podestem. Poniżej dwie skrzyżowane szable. Czas odmierzały trzy zegary o dość dużej rozpiętości czasowej, na pierwszym dochodziła szósta, na drugim siódma, a trzeci miał tylko jedną wskazówkę zbliżającą się do ósemki. Być może gospodarzom zależało, aby mieć w domu równocześnie czas letni, zimowy i moskiewski?

Przedstawiłem się jako historyk amator, na wszelki wypadek dość niewyraźnie wymawiając swoje nazwisko. Starsza dama mogła nie mieć ochoty rozmawiać z synem Eugeniusza Podlaskiego.

Okazało się, że pani Ruczajska jest osobą niezwykle rozmowną, wręcz gadatliwą, a może po prostu nudziła się sama w domu. Dzieci – jak mówiła – wyjechały do Niemiec na zarobek.

– Kiedy wrócą? – zapytałem.

– Kiedy się dorobią, albo gdy skończy się im praca.

Nie zapowiadało to rychłego powrotu syna „Rysia”.

Staruszka, prawdziwy anioł gościnności, poczęstowała mnie doskonałą herbatą z konfiturami, posadziła obok szklanej gablotki ze wspaniałą kolekcją figurek z saskiej porcelany, cały czas nie przestając opowiadać o synu (z zachwytem) i o synowej (z lekką rezerwą). Wyciągnęła skądś trzy pudełka po czekoladkach pełne zdjęć...

Próbowałem zvekslować rozmowę na temat tubusu z pamiętnikiem. Naturalnie znała tę historię, podobnie jak opublikowaną w prasie relację. Jednak nie miała pojęcia, gdzie syn przechowuje papiery i czy przypadkiem nie zabrał ich ze sobą. Moją supozycję na ten temat skwitowała krótko:

– Nie sędzę.

– Ale może była pani świadkiem śmierci „Chudego Gienka”? – pytałem.

Przeczący ruch siwej główki.

– Nie było mnie tutaj. W czterdziestym czwartym, na początku lipca wyjechałam z małym Piotrusiem do rodziny nad Liwiec. Tam doczekałam wejścia bolszewików. Z powrotem w Wawrze znaleźliśmy się dopiero z początkiem września. Nie uwierzy pan jak było wtedy strasznie? Szalało NKWD i wyłapywało ludzi podziemia. Naszego szwagra zastrzelił przy placu Szembeka jakiś pijany żołdat, tylko dlatego, że spodobały mu się jego buty, oficerki.

– A pani mąż uniknął wówczas represji?

– Wyglądało na to, że jest doskonale zakonspirowany. Kolejne aresztowania jakoś go omijały. Dopiero pod koniec lipca następnego roku przyszli po niego.

– Polacy?

– Rosjanie, z jednostki w Miedzeszynie. Ale wiem, że zadenuncjował go Polak. Nieduży, najwyżej osiemnastoletni wyrostek, w mundurze milicjanta. Mój mąż znał go od dawna. Pamiętam jak wyprowadzali „Rysia” z domu, rzucił do tego szczeniaka: „Dlaczego to robisz, Felek?”.

– Felek?

– Tak. Dzisiaj, po lekturze pamiętnika, jestem pewna, że był to ten sam gówniarz, proszę wybaczyć mi wulgarne określenie, ale innego nie znajduję, który rok wcześniej prosił męża o pomoc dla rannego komunisty. Jak to mawiają mądrzy ludzie: „Żaden dobry uczynek nie może ujść bezkarnie”.

– A wie pani jakie nazwisko nosił ten kapuś?

– Wiem jak się nazywał podczas wojny. Feliks Macaj. Mały bandzior, który przystał do czerwonych. Wtedy, chociaż nie wiedziałam o tamtym incydencie z rannym komunistą, próbowałam dowiedzieć się czegokolwiek o tym donosicielu. Ja i mecenas Ostrósko. Ale nikt o kimś takim nie

słyszał. Prawdopodobnie używał już innego nazwiska. Jak pan pewnie się domyśla, mój mąż nie miał normalnego procesu. Wywieziono go na Wschód. Później dowiedziałam się, że dostał dziesięć lat łagru za sabotaż przeciwko Armii Radzieckiej i nigdy nie wrócił – otarła łzę, która zakręciła się w kąciку oka. – Ze też kary na nich nie ma!

Starszej pani nie zamykały się usta, niestety przekazywane informacje w niczym nie mogły pomóc mojemu śledztwu. Interesująca była właściwie jedna informacja, że po aresztowaniu „Rysia” Rosjanie przeprowadzili niezwykle dokładne przeszukanie, przekopali ogródek i piwnice. Jednak nie odnaleźli ani ciała Podlaskiego, ani broni, ani żadnych papierów.

– Czy w tym metalowym cylindrze były również dokumenty wyciągnięte z buta tego AL-owca? – zapytałem.

– A wie pan, że nie! Doszliśmy do wniosku z synem, że Ryszard albo przekazał je swemu dowództwu, albo ukrył gdzie indziej. Wzmianka w pamiętniku to wszystko, co po nich pozostało...

Zapadł zmierzch. Czułem, że więcej się nie dowiem. Od gadaniny Ruczajskiej nawijającej z prędkością kołowrotka rozboleła mnie głowa. Na wszelki wypadek, gdyby Alicji Ruczajskiej coś się przypomniało, podałem jej swoją wizytówkę z telefonem.

– Pan Podlaski! – oczy staruszki pociemniały gniewnie. – Pan jest synem tego...

– ...łajdaka, chciała pani powiedzieć? Nie! Na całe szczęście nie jestem. Urodziłem się zdecydowanie za późno, żeby poszło to na jego rachunek. Moja wizyta u pani bierze się właśnie stąd, że chciałem odszukać swego prawdziwego ojca. Tu streściłem w paru słowach tajemnicę mojego pochodzenia. Staruszka uspokoiła się jak wzburzone morze polane oliwą. Prosiła nawet żebym ją jeszcze odwiedził.

– Serdecznie życzę panu powodzenia w poszukiwaniach ojca – powiedziała, odprowadzając mnie aż do furtki. – Sadząc po synu, musiał to być przystojny mężczyzna.

* * *

Zamyślony jechałem Wałem Miedzeszyńskim. Wybrałem tę drogę, kierując się złudnym przeświadczeniem, że tak będzie krócej. Nieoczekiwanie silnik kaszlnął i stanął tak, że ledwie siłą rozpędu udało mi się zjechać na pobocze. „Niech to szlag!” Wyglądało na to, że zabrakło mi benzyny. Dziwne! Według wszelkich wyliczeń, a jestem w tych sprawach dosyć skrupulatny, powinno mi zostać jeszcze pół „rezerwy”. O tej porze okolica wsi Las była równie odludna i nieprzyjazna jak Nizina Syberyjska. Z jednej strony wał i zarośla nad Wisłą, z drugiej koślawe chałupki pogrążone w ciemności. Wstrętna pora, paskudne miejsce. Wszedłem z samochodu i wyciągnąłem z bagażnika kanister, który przygotowany na wszystko mieszkaniec PRL-u powinien zawsze wozić ze sobą. Potrząsałem, ani kropelki! Najbliższa stacja CPN znajdowała się o całe lata świetlne. Pojawienie się taksówki graniczyło z cudem.

– Masz szluga? – usłyszałem tuż obok siebie chrapliwy głos.

Menel, który wyłonił się niewiadomo skąd, był dość wysoki i nie miał postury degenerata, raczej chwilowo zaniedbanego komandosa. Od nieogolonej twarzy załatywało tytoniem i wódką.

– Nie palę – odpowiedziałem, starając się nie pokazać lęku w głosie.

– I bardzo słusznie – zauważył łachmaniarz. – Po co ryzykować życie, które jest takie cenne.

Mimo zaskoczenia kunsztownością frazy w ustach degenerata, nie miałem ochoty na kontynuowanie dialogu. Spróbowałem oddalić się w stronę zabudowań, ale facet złapał mnie za ramię.

– Poratuj człowieka chociaż stóweczką.

Chwył był silny, nawet bardzo silny. Zastanawiałem się już nad użyciem metalowego kanistra jako broni, ale w tym momencie omiotły nas reflektory nadjeżdżającego samochodu. Rozległ się pisk hamulców. Tuż obok mojego malucha zatrzymała się ciemna łada i wyrzwał z niej jakiś postawny mężczyzna.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

– Skończyło mi się paliwo – odparłem. Chciałem jeszcze dodać słowo o natręcie, ale zorientowałem się, że odrażający menel zniknął jakby go ziemia pochłonęła, dlatego ograniczyłem się do nieśmiałej prośby. – Gdybym mógł zabrać się z panem do najbliższej stacji...

– Jest prostszy sposób – odparł mój wybawca. – Pożyczę panu litr z mego kanistra. Zawsze wożę zapas. Ma pan lejek?

– Kto by jeździł bez lejka w tych ciężkich czasach?

Pięć minut później było po wszystkim. Chciałem zapłacić mojemu dobroczyńcy, w końcu benzyna była tej jesieni dobrem wyjątkowo poszukiwanym, ale ten machnął ręką.

– Musimy sobie pomagać!

I odjechał.

Natarczywy menel więcej się nie pojawił. Ruszając z miejsca, rozważałem, co mogło się z nim stać, a także, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie pojawienie się łady. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. „Po co ryzykować życie, które jest takie cenne” – powtórzyłem w zamyśleniu słowa alkoholika, zastanawiając się, czy uznać to za czysty przypadek, czy też pierwsze poważne ostrzeżenie.

Do domu wróciłem piekielnie zmęczony. Grażyna mruknęła coś sennie na powitanie i pochrapywała dalej. Wślizgując się do ciepłej pościeli, zastanawiałem się, czy znów będę miał sen o przeszłości. Tylko właściwie czy to, co mi się przydarzyło, było snem? Dobra kwestia! Czy można śnić o rzeczach, których się nie widziało, o miejscach, w których nigdy się nie było. W dodatku to zadziwiające wrażenie obserwowania świata oczyma matki, przy zachowaniu pełnej świadomości, że ONA nie wie o mojej obecności, podczas gdy ja odczuwam jej emocje... Chociaż nie wszystkie.

Jednak tej nocy nic mi się nie przyśniło, a jeśli nawet, to rano o niczym nie pamiętałem.

* * *

Poszedłem za impulsem. Rano, kiedy Grażyna wyszła do Instytutu, wyciągnąłem nieużywany brulion o laminowanych okładkach, w którym kiedyś chciałem zapisywać wrażenia ze swoich podróży, ale nigdy do tego nie doszło i w dwie godziny spisałem w punktach to, co w całej sprawie przydarzyło mi się do tej pory. Dołączyłem też listę osób do sprawdzenia. Od wczoraj przybyły na niej nowe nazwiska – Karl Poller, Witkowiec... Z broszury podarowanej mi przez Kosika wyłowilem imię AL-owca, który wedle oficjalnej wersji towarzyszył Podlaskiemu w ostatnich chwilach – Ignacy. Dopisałem również nazwisko swojej matki w trzech znanych mi wariantach: Róża Kupidłowska, Ruth Lichter i Różyczka Podlaska. Postanowiłem też (jeśli tylko znajdę adres) napisać do profesora Kutnera, który podobno zamiast w Izraelu, ostatecznie wylądował w Szwecji.

Potem ruszyłem w miasto. Na pierwszy ogień poszła Poczta Główna, gdzie w książkach telefonicznych z województw zachodnich i północnych zamierzałem poszukać Ignacego Witkowca. Jego nazwisko nie należało do szczególnie popularnych, imię także. Jana Kowalskiego bym nawet nie szukał. Chyba się udało. Jedyne osobnik, do którego pasowały wszystkie dane mieszkał w Świebodzicach. Spróbowałem się z nim połączyć.

– Słucham? – głos w słuchawce był słaby, zmęczony, choć z pewnością nie należał do starca.

– Pan Ignacy Witkowiec?

– Tak, a kto mówi?

– Pan Witkowiec, uczestnik Powstania Warszawskiego? – upewniałem się, nie chcąc zawracać głowy komuś postronnemu.

– Oczywiście, ale kim pan jest?

– Nazywam się Maciej Podlaski, syn Eugeniusza. Chciałbym z panem porozmawiać...

Rozmowa urwała się nagle, tak jakby rozmówca poczuł, że trzyma w dłoni rozżarzony węgiel. Próbowałem łączyć się jeszcze parę razy ze Świebodzicami, ale, jak twierdziła, telefonistka, abonent się nie zgłaszał. Było to dziwne, a nawet niepokojące.

Potem spędziłem wiele godzin w bibliotece na Koszykowej, ale był to czas w dużej mierze stracony. Rzetelnych publikacji o Gwardii i Armii Ludowej nie znalazłem wiele. A mój „ojciec” pojawiał się tylko w starszych drukach propagandowych. W nieco późniejszych pamiętnikach i opracowaniach występował nad wyraz rzadko – zwykle bez nazwiska, jako „Chudy Gienek”, jeden z wielu bojowników o „wolność i demokrację”. Ani słowa o tym skąd wzięła się jego legenda, ani dlaczego zgasła. Chronologicznie pierwszą z broszur o nim wydano jeszcze w Lublinie w styczniu 1945 roku. Najwyraźniej potrzebny był taki bohater. Autor publikacji, Roman Fornal, nie powtarzał się w katalogu. Nie było też żadnych danych na jego temat. Albo umarł, albo nie napisał nic więcej. Za to wystarczyło pół godziny lektury, by wyciągnąć oczywisty wniosek, że wszystkie inne

opracowania i utwory literackie bazowały na tej jednej cieniutkiej książeczynie. Co ciekawe, moja matka występowała w niej wyłącznie jako miłość bohatera, łączniczka „Narcyza”, bez nazwiska. Jak się zresztą okazało była to jedyna wzmianka o niej w całej bibliotece. Siedziałem w czytelni aż do zmierzchu, ale nie znalazłem najmniejszej wzmianki o Róży Kupidłowskiej-Lichter-Podlaskiej. Tak jakby ktoś taki nigdy nie istniał. Nie pojawiała się we wspomnieniach, opracowaniach, ani w indeksach. Nie znalazłem nawet jej nekrologu. Zdziwiałem jak na osobę, która potrafiła czarować profesorów i generałów. Zdecydowanie dużo więcej udało mi się odszukać na temat Karla Pollera. Jako podoficer żandarmerii zasłużył się w pacyfikacji getta, poszukiwano go również za jakieś wcześniejsze sprawy na Wschodzie. Z jednego z opracowań wynikało, że przeżył wojnę, a w RFN-ie uniknął procesu. Postanowiłem popytać o tego reichsdojczę w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Pracował tam jeden z moich kolegów z uczelni, Jerzy Stręczyński, który po trzecim roku przeniósł się z geografii na historię. Liczyłem, że Jurek nie odmówi mi pomocy. Nie pomyliłem się. Dopiero o zmierzchu zorientowałem się, że znów zapomniałem o spotkaniu z Martą. Zadzwoiłem do niej, ale odebrała ciotka, która widać wróciła wcześniej. Rozłączyłem się błyskawicznie.

Wracając do domu, zaraz przy skrócie z Trasy Łazienkowskiej zobaczyłem znajomą sylwetkę. Marta? Wjechałem na chodnik i zatrzymałem się. Dziewczyna podbiegła do mojego fiacika. Była bardzo zdenerwowana.

– Co się stało? – zapytała podniesionym tonem. – Czekałam na ciebie pół dnia. Dzwoniłam do szkoły. Do domu...

– Prosiłem cię, żebyś tego nie robiła!

– Uspokój się. Nie zmąciłam twojej „rodzinnej stabilizacji”. Odebrała Basia. „Tatusia nie ma i nie wiadomo kiedy przyjdzie” – powiedziała.

– Tak czy owak, nie powinnaś dzwonić. A ja... Rzeczywiście nawaliłem. Przepraszam! Powinienem się odezwać, ale miałem okropnie dużo roboty...

– Rozumiem, że zesłałam na dalszy plan? A kto znalazł się na pierwszym?

Nie lubiłem takich wymówek. Poza tym myślami byłem dość daleko i bardziej dumałem o sprawach, które mam do zrobienia, niż o ewentualnych pieszczotach.

– Może przejedziemy się gdzieś? – Marta zwinnie wsunęła się do samochodu. Jej drobna ręka przesunęła się po moim udzie. Nie podjąłem oferty. Nie miałem dziś najmniejszej ochoty na miłość.

– Odwiozę cię do domu – powiedziałem z trochę sztuczną troskliwością. – Jestem dziś naprawdę skonany.

* * *

Grażynę zastałem przy telewizorze. Właśnie kończył się dziennik. Władza znów straszyla konfrontacją, destabilizacją, anarchią. Widząc jak wchodzę do pokoju, wyłączyła odbiornik i wstała.

Może była to kwestia oświecenia, ale tego wieczoru moja żona wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Po raz pierwszy od lat założyła purpurową sukienkę z dekoltem, którą bardzo lubiłem. Musiała chyba odwiedzić fryzjera, miała włosy upięte w piękne loki opadające na ramiona.

– Święto jakieś? – zapytałem.

– Nie pamiętasz?

Z tonu jej głosu wynikało, że powinienem pamiętać. Rzuciłem okiem na ścienny kalendarz.

– Rocznicą naszego ślubu? – domyśliłem się. – A ja, cham, nawet bez kwiatka!

– Za to ja przyniosłam prezent. Byłam u taty – po tym oświadczeniu nie zaskoczyły mnie nawet dwie butelki czerwonego wina. Ani pocałunek, jaki wycisnęła na moich ustach. – Upiekłam też kurczaka. Cieszysz się?

Wieczór był przyjemny. Nawet bardzo. Niby padałem z nóg i nie marzyłem o niczym innym jak o odpoczynku, ale... Mężczyzna to podobno bardzo prosty w obsłudze mechanizm, dużo łatwiejszy od fortepianu. Ma niewiele klawiszy i tylko jak się wie, który wcisnąć... Moja żona po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przypominała dziewczynę, o jakiej zdążyłem już zapomnieć. Żadnych wymówek, narzekań. Zjedliśmy kolację, a gdy Basia poszła spać, zasiedliśmy przy drugiej butelce, wspominając Artura, nasze długie wieczory za kawalerskich czasów, wspólne wycieczki, kierki aż po świt... Jednak póki nie skończyło się wino, nie przypuszczałem, że wieczór tak się rozwinie. Od lat skłonienie Grażyny do seksu było trudniejsze od oswojenia piranii. Dziś jednak pirania zachowywała się zdumiewająco i ku memu zaskoczeniu posunęła się do seksualnych ekstrawagancji, których, zdaniem większości żon, przyzwoita kobieta czynić nie powinna. To, że pierwsza zaczęła mnie całować mieściło się w ramach prawdopodobieństwa, ale to, że rozpięła mi koszulę, całowała moje piersi, a potem osunęła się niżej, rozpięła spodnie... Odbiło jej?! Niewiarygodne! Wprawdzie obiecywałem Marcie i sobie, że z obowiązkami małżeńskimi koniec. Ale czy to, co się działo można było uznać za obowiązki?

Grażyna obrabiała mnie fachowo, jak zawodowa gwiazdka filmu porno, który całkiem niedawno pokazywał mi teść, wykorzystując projektor, przywieziony ostatnio z wizyty u towarzyszy w NRD. Równocześnie rozebrała się sama. Kolejny szok! Moja żona, zazwyczaj tak pruderyjna, miała dziś na sobie seksowną, czarną bieliznę jakiej nigdy dotąd nie widziałem na żywo. Gdy wszedłem w nią, wydała okrzyk rozkoszy i jęcząc, powtarzała: „Jaki jesteś wielki, wspaniały, cudowny!”. Byłem tymi recenzjami nieco oszołomiony, ale równocześnie bardzo podniecony, coś podobnego nie zdarzyło się nigdy w naszym pożyciu, ale zawsze mógł to być ten pierwszy raz... Wystrzeliłem w nią z siłą wodospadu i ze zdumieniem zauważyłem, że Grażyna autentycznie płacze. Chwilę później, gdy podniecenie minęło sam też się rozplakałem, tyle że wewnątrz, czując jakie świństwo wyrządzam Marcie. Potem zasnąłem.

Lampa naftowa bez abażura obejmowała słabym kręgiem światła skromne sprzęty, ściśnięte w kiszkowatym pomieszczeniu. Łóżko, nocną szafkę, koślawy zydel i wnękę zastępującą szafę, przysłoniętą zrudziałą firanką. O szyby wąskiego okienka dzwoniły krople deszczu. Kończyła się wieczorna burza. Gdzie ja jestem? W jakim czasie, w którym wymiarze? Znowu zdałem sobie sprawę, że patrzę na świat oczyma mojej matki. W małym wyszczerbionym lusterku odbijała się jej twarz, blada i piękna, ową pięknnością cmentarnych aniołów, którym nie udało się upilnować dusz powierzonych im śmiertelników. Kobieta, widziałem to w lustrze, rozczesywała swoje włosy, świeżo umyte, które pod wpływem wilgoci skręcały się w naturalne anglezy. Poza odgłosami oddalającej się nawałnicy wewnątrz domu panowała niezmacona cisza.

Nie byłem jednak wyłącznie obserwatorem. Jakimś cudem docierał do mnie kontekst sytuacji. Tak jakby moja matka celowo dokonywała streszczeń odcinków, które rozegrały się w międzyczasie.

Po egzekucji Karl Poller zawiózł ją do pobliskiego miasta, w pełni już administrowanego przez Niemców. Opanowano pożary, usunięto z ulic trupy końskie i ludzkie. Jako funkcjonariusz władz okupacyjnych Karl otrzymał kwaterę niedaleko starego rynku, w dużym pożydowskim domu, którego właściciele, podobnie jak Lichterowie, uciekli tuż przed wkroczeniem hitlerowców. Dziewczynie przypadła dawna służbówka, wąska klitka, w której z trudem mieściły się łóżko, szafka i taboret.

– Wszystko będzie dobrze. Powiedziałem szefom, że będziesz moją służącą. Przy mnie możesz czuć się bezpieczna, nic ci nie grozi – oznajmił wybawca w niemieckim mundurze.

Uczepiła się tych słów jak koła ratunkowego. Nadal była jak półprzytomna i nie potrafiła jednoznacznie określić swego stosunku do młodego mężczyzny. Z jednej strony należał do hordy oprawców, choć jak sam twierdził nikogo osobiście nie zabił, z drugiej ocalił ją przed pewną śmiercią. Łudziła się, że bezinteresownie. Pierwsza noc upewniła ją w tym mniemaniu, Poller wrócił dopiero w środku nocy i zmęczony uwalił się na tapczan w swoim pokoju. Rano zerwał się skoro świt i bez śniadania pobiegł do pracy. Domyślała się, jaka to była praca. Organizacja policji w mieście, polowanie na ludzi... Mimo to pod koniec dnia pomyślała o swoim wybawcy jakoś cieplej. Samorzutnie posprzątała kwaterę. Umyła okna, wyrzuciła mnóstwo śmieci pozostawionych przez poprzednich właścicieli, którzy musieli opuszczać lokal w najwyższym pośpiechu. Potem zeszła do ogrodu, narwała kwiatów i wstawiła do wazonu. Zauważyła, że tym zabiegiem przygląda się leciwa sąsiadka, wyglądająca przez lufcik.

– Niemka ty czy Polka? – zapytała śpiewnie.

– Polka – odparła Róża, myśląc, że zyska w ten sposób sympatię tej kobiety. Ale ta tylko gniewnie zatrzasnęła okienko.

Koło południa wybrała się na rynek. Ludzie, w pierwszych dniach przyczajeni, teraz powyłazili z domostw i komentowali komunikaty niemieckie. Podobno na całej długości wschodniego frontu Wehrmacht przełamał obronę sowiecką i parł niepowstrzymanie w głąb Kraju Rad. Nawet jeśli była to propaganda, potwierdzały ją zwykle obserwacje. Brak było kontrnalotów radzieckiego lotnictwa,

a także artyleryjskiej kanonady, pojawiły się za to pierwsze grupy sowieckich jeńców. Powszechnie wygadywano na Żydów, wypominając ich niedawną współpracę z NKWD i wyrażając opinię, że Niemcy prędko zrobią z nimi porządek. Patrząc na twarze miejscowych Polaków odczuła boleśnie, że taka perspektywa nikogo nie przeraża. Ci z Żydów, którzy ocalili, nie wyściubiali nosa z domów.

Poller wpadł do mieszkania po południu. Tylko na chwilę. Miał oczy zaczerwienione z niewyspania i zlatywało od niego ostrą wonią przepoconego munduru. Kazał jej przygotować kolację. „Wódkę sam zorganizuję!” – powiedział. Przestraszyła się tej zapowiedzi. W swoim siedemnastoletnim życiu nie kosztowała wielu napojów wysokich, wyjąwszy sytuacje gdy raz, czy dwa z koleżankami piła tanie, domowe wino. W dodatku lata wojny nauczyły ją, że trunki wyzwala w mężczyznach emocje, które zawsze napełniały ją grozą. Dotąd nie miała poważniejszych doświadczeń z osobnikami płci przeciwnej. Chyba żeby liczyć kilka pocałunków na potańcówce z okazji pierwszego maja. Z młodym harmonistą z milicyjnego zespołu, Gienkiem Podlaskim, który podobał się wszystkim dziewczynom. Chłopak usiłował się nawet umówić z nią na randkę. Najpierw zgodziła się, ale potem stchórzyła. No i jeszcze Lichter... Bywały takie chwile, kiedy Salomei nie było w domu, że ojczym ją przerażał. Sposób, w jaki na nią patrzył, lepki uśmiech przyklejony do warg, gesty niby przypadkowe, muśnięcia jej biustu, pośladków. I ten zwrot „dziecineczko”, którego używał wobec niej...

Jednak Herszl nigdy nie posunął się za daleko. Owszem, zapuszczał żurawia w jej dekolt, podglądał w kąpielu. Można jednak było mówić o rewanzu. Róża wielokrotnie była świadkiem, kiedy parzył się z jej matką. Sen miała czujny, a słuch jeszcze lepszy. I choćby nawet nie chciała, musiała słyszeć... Te niskie pomruki, którym odpowiadały kocie miauknięcia, przyspieszone oddechy, szelest pościeli, cmoknięcia pocałunków, słowa wypowiedane półgłosem, a potem jęk sprężyn i tłumiony spazm...

Przestach i wstyd walczyły w niej z podnieceniem. Nie potrafiła się opanować. Podśluchiwała ze wstrzymanym oddechem. Jej ręka zapuszczała się pod koszulkę, odnajdywała miejsce najwrażliwsze. Czowała zniewalającą słabość, wilgoć spływającą na palce... Gardziła sobą, ale marzyła.

Na imię miał Andrzej. Poznała go zimą trzydziestego ósmego roku na ślizgawce w Dolinie Szwajcarskiej. Poznała? Mocne słowo – podziwiała, gdy skakał podwójne rittbergery, kiedy prowadził swoją partnerkę Krysie ku brawurowej spirali śmierci. Oczywiście nawet nie zwrócił uwagi na czternastoletnią sikse, wykonującą z odgiętą głową piruet na wzór Sonii Henie... Boże, jakże wtedy go kochała! Oddała by życie za jeden dzień u jego boku. I nikt dotąd nie zdetronizował go w jej marzeniach. Zresztą kto to mógłby być? Bo przecież nie Abramski, kuzyn i wspólnik Lichtera, ulubieniec jej matki. Przystojny elegancik, który uwielbiał prowokować ją gestem, słowem. Teraz leżał razem z jej ojczymem w leśnym dole. W dawnym umarłym świecie, za parę lat z pewnością wydano by ją za niego.

„Skąd ja to wszystko wiem?” – zastanawiałem się jakiś czas później, spisując informacje, które dotarły do mnie we śnie.

Tymczasem Karl Poller nie wrócił na kolację. „Może i lepiej” – uśmiechnęła się smutno do lusterka. Nie doczekawszy się powrotu swego pana, usnęła.

O tym, że nie jest sama zorientowała się, kiedy obca ręka wtargnęła pod jej koszulę. Jak na koszmar senny dłoń była zbyt realna i bezczelna. Przez moment miętosiła jej sutki, potem posunęła się niżej. Róża krzyknęła. Właściwie usiłowała krzyknąć, ale czyjaś twarda dłoń nakryła usta.

– Cicho *mein Rose*, to tylko ja!

Był brutalny, zdecydowany i znów niezłe pijany. Trzymając ją dłonią za twarz i dociskając do poduszki, drugą ręką pozbywał się własnej garderoby. Jej koszulka podciągnięta aż ku szyi nie stanowiła żadnej ochrony. Wbił kolano między jej ściśnięte uda, rozwierając je na podobieństwo klina. Ugryzła go w rękę. Zaklął i poderwał się. Uderzenie w twarz smagnęło ją jak piorun.

– Żydowska dziwka! – w słabej poświacie bijącej od okna, ze sterczącym członkiem przypominał najgorsze z wyobrażeń bożka Priapa. – Chcesz, żebyśmy porozmawiali inaczej? – wycedził, przeładowując pistolet. – Mam cię rozwalić na miejscu, czy oddać wcześniej moim kolegom.

Była zbyt przerażona, żeby powiedzieć cokolwiek mądrego. Choćby to, że przy odrobinie cierpliwości, czułości dostałby od niej wszystko, czego pragnął, bez stosowania przemocy. Zamiast tego milczała. Dygotała ze strachu, kiedy lufa pistoletu przejechała po jej policzku, okrążyła sutki, przejechała ku pępкови i dotarła tam gdzie wszystko się kończy i wszystko zaczyna. Pokornie rozsunęła nogi. Chyba podobał mu się jej strach.

– Będiesz grzeczna? – jej uległość zdawała się go uspokajać.

Kiwnęła głową.

A potem zacisnęła zęby. Pozostała bierna, kiedy Poller, niczym sprawny frezer, obrabiał ją tak, jakby była bryłą metalu. Brał ją od przodu i tyłu, brutalnie i konsekwentnie. Na koniec odszedł, bez słowa, bez pocałunku, jak oprawca, który dokonał swego dzieła. Gdzie się tego wszystkiego nauczył? Gdzie podział się tamten Karol sprzed wojny, wysoki, milczący chłopak, odrobinę podobny do ukochanego Andrzeja, ukradkiem pożerający ją wzrokiem, kiedy odwiedzała jego siostrę. Czyżby już wówczas chuda i niezgrabna Róża była przedmiotem jego seksualnych fantasmagorii? A może dopiero wczoraj obudziła jego chucie. W ciągu paru ostatnich lat mogła się przekonać jak wojna i zdrada potrafią w parę lat tak zmienić człowieka. Burżuja Lichtera, który po 17 września 1939 roku odkrył w sobie nagle żarliwego komunistę, jej matkę, kiedyś polską patriotkę, która zmuszała ją do intensywniejszej nauki rosyjskiego...

Umyła się w lodowatej wodzie, czując cały czas przeszywający ból. Potem próbowała zasnąć. Nie mogła. Płakała, ale wkrótce także zabrakło jej łez. W ciągu dwóch dni straciła wszystko. Rodzinę, nadzieję i dziewictwo. Poller kazał sobie drogo zapłacić za uratowanie życia. Zapłaciła i żyła. I choć początkowo pragnęła umrzeć, z każdą nieprzespaną minutą rosła w niej wola życia. Różowiło niebo, odezwały się ptaki. Świat był nienawistny, ale piękny.

* * *

– A może ja to sobie wymyślam? – zastanawiałem się po raz setny, kiedy nazajutrz rano przelewałem swe przeżycia na papier. – Nie, to niemożliwe. Przecież nie mam talentów beletrysty. A

te sceny? Na jakiej podstawie miałbym wyobrazić sobie Pollera, skoro jego nazwisko poznałem dopiero we śnie. Czyżby dokonywał się jakiś przekaz z zaświatów? A może odpowiadały za to moje geny? Pamięć odziedziczona po mojej matce?

Siedziałem w swoim pokoju, za plecami miałem regał z laminowanej płyty, przed sobą okno, za nim paskudne bloki z fabryki domów. Starłem się zachować maksymalny chłód naukowca. Coś się działo. Nie po raz pierwszy. Coś, co wykraczało poza mały realizm. Nie miałem wpływu na śnioną rzeczywistość, nawet będąc w środku zdarzeń, mogłem jedynie obserwować, bez szans na jakiegokolwiek porozumienie z moją z matką. Przeżywałem wszystko jak film, wykreowany przez nieznanego reżysera, czy raczej serial. Tak, na pewno serial. Odcinki układały się w logiczną całość. A ja podświadomie czułem, że ciąg dalszy może i musi nastąpić.

Nie słyszałem nigdy o czymś podobnym. Owszem książkowi bohaterowie przeżywali nieraz *deja vu*, niejeden człowiek opowiadał o wrażeniach powrotu do znajomego miejsca, w którym nigdy nie był, jednak to, co mi się przydarzyło nie miało precedensu. Przypadek, czy czyjś świadomy zamysł? A jeśli tak, jaka rola została dla mnie przewidziana? Oczywiście podobieństwo do serialu nie było pełne. Poszczególne obrazy często były urywane, fragmentaryczne, często niewyraźne, toteż ustalając fakty, co i rusz musiałem dokonywać drobnych rekonstrukcji, by odtworzyć prawdopodobny przebieg wydarzeń. W kolejnych tygodniach, po kolejnych snach, nie raz zadawałem sobie pytanie: Jak mojej matce, rówieśniczce Marty, udało się przez to wszystko przejść i nie zwariować?”.

Nie wiedziałem wszystkiego. Mając dostęp do jej najprostszycy emocji, nie mogłem zajrzeć w głąb jej duszy. Chyba że sama tego chciała. Wtedy dostępne stawały się i wspomnienia z przeszłości i refleksje, i zamierzania. Był to jednak dostęp REGLAMENTOWANY. Nie wiem przez kogo? Przez nią, przez Najwyższego Reżysera? Otrzymywałem pewne wskazówki pozwalające rekonstruować całość. Ale czy na pewno całość? Czy trafnie odczytywałem wszystkie motywy. W każdym razie mam dowody, by sądzić, że przy życiu utrzymywały ją wiara i patriotyzm. Mówiąc pompatycznie – Bóg i Ojczyzna! (O honorze zapomnijmy!). Jako nastolatka Róża nie była szczególnie religijna (przejście na judaizm w parę lat po Pierwszej Komunii tylko wprowadziło zamęt w jej rozumienie świata). Podczas okupacji sowieckiej oczywiście nawet nie zajrzała do kościoła. Teraz wróciła. Byłem tego świadkiem. Uczestnictwo w porannej mszy lub w nieszporach przynosiło jej przedziwne oderwanie się od rzeczywistości, ukojenie. A zarazem poczucie wspólnoty z tymi wszystkimi nieznanymi ludźmi klęczącymi w ławkach. W chwilach kiedy przebywałem tam razem z nią, rejestrowałem te uczucia nadzwyczaj silnie. Na całą godzinę nabożeństwa przestawał istnieć świat przemocy, świat wieczne spoconego Pollera, jego kumpli zerkających na nią łakomie i patroli przemierzających miasto w poszukiwaniu Żydów, którzy jeszcze nie dali się zamknąć w getcie.

A Ojczyzna? Polska? Chyba nigdy dotąd nie pałała do niej tak głębokim uczuciem. Lichter miał do państwa polskiego stosunek ambiwalentny, a po wkroczeniu bolszewików wręcz wrogi. W sowieckiej szkole bez przerwy powtarzano o obszarniczo-burżuazyjnej Polsce, kraju krzywdy, wyzysku i nędzy. Róża jednak nie mogła pozbyć się innych odniesień i emocji – powracały wspomnienia, opowieści ojca, który jako ochotnik walczył nad Wkrą z nacierającymi wojskami Tuchaczewskiego, i opisy zapamiętane z lektur Żeromskiego, Mickiewicza, Słowackiego. Wśród paru swych dziecińczych skarbów, skrzętnie zaszytych w rąbku sukienki, przechowywała różaniec i harcerską lilijkę.

Kiedy słyszała kroki Pollera zmierzającego do jej sypialni przypominała sobie rady jakich ongiś udzielono pani Walewskiej: „Zamknij oczy i myśl o Polsce!”. Postępowała zgodnie z tym zaleceniem. Niestety Karl nie miał w sobie nic z Napoleona. Brutalny i prostacki nie dał się polubić. Dlatego Róża nie przywykła do niego. A przeciwnie, każdy dzień pogłębiał w niej niechęć i rozpacz. Czowała się jak w potrzasku. Był panem jej życia i śmierci, smokiem strzegącym ją w wieży. Myśli o ucieczce odsuwała od siebie. Dokąd miałyby uciec? Do getta?

Czasami, czułem to wyraźnie, marzyła o zemście. Ba, mniej straszny wydawał się jej powrót Sowietów. Na razie jednak było to równie nieprawdopodobne jak wolna Polska. Komunikaty Oberkommando der Wehrmacht każdego dnia przynosiły wiadomości o nieustannych sukcesach niemieckiego oręża na froncie wschodnim. Żelazne zagony wchodziły w nią wschodnioeuropejski jak w masło. Przystawały istnieć całe dywizje i armie. Żołnierze Armii Czerwonej całymi formacjami przechodzili na stronę najeźdźcy, mieszkańcy Białorusi i Ukrainy witali wroga chlebem i solą. Czyżby Hitler miał rzeczywiście opanować cały świat?

Najgorsze jednak, że musiała przechodzić przez to sama. Rodzina zginęła. W miasteczku nie miała przyjaciół, znajomych. Nie było obok niej nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, wyzalić. Przynajmniej porozmawiać. Czasem na rynku lub w kościele podsłuchiwała kogoś, kto kolportował wiadomości docierające przez radio z Londynu. Obwieszczenia o egzekucjach pojawiające się na ulicach dowodziły istnienia ruchu oporu. Jestem pewien, że zazdrościła młodym ludziom z miasta, po których kroku i wyrazie twarzy poznawała, że nie załamali rąk, gdzieś przynależą, coś robią. Jakże chętnie by do nich przystała! Opinia „hitlerowskiej kurwy”, jaką miała w sąsiedztwie, ograniczała absolutnie możliwość nawiązania jakichkolwiek kontaktów.

Z początkiem września jak co tydzień moja matka wybrała się na targ. Lubiała to miejsce, dość anonimowe a zarazem stwarzające pozór normalności, oazę swojskiego bałaganu w nieludzkim, perfekcyjnym systemie. Szła między kramami, gdy naraz wśród sprzedawców staroci wypatrzyła znajomą twarz. Babina próbowała natychmiast naciągnąć chustkę na oczy, ale było za późno. Dziewczyna podeszła do niej. Rozlatane oczy starej kobiety wskazywały, że waha się między ucieczką a atakiem.

– Nie wydam pani, pani Heleno – szepnęła Róża.

Niewiasta nadal udawała, że jej nie poznaje.

– Jesteśmy w tej samej sytuacji – powtórzyła półgłosem dziewczyna, czujnie rozglądając się, czy ktoś może ją usłyszeć. – Proszę się nie denerwować. Wrócę później.

Kobieta kiwnęła głową, ale moja matka nie miała żadnej pewności, czy na nią zaczeka. Kiedyś bardzo się lubiły, Helena Halter była księgową obsługującą firmę Lichtera. Zawsze życzliwa dla dziewczynki, chętnie częstowała ją czekoladkami trzymanymi w biurku. Nie widziały się od września 1939 roku.

Bazar opustoszał po południu. Róża przeszła go dwa razy wzdłuż i wszerz, ale nigdzie nie dostrzeżę starszej kobiety. Już zamierzała się oddalić, gdy zauważyła, że ktoś kiwa na nią z bramy. Ucałowały się serdecznie. Dla Róży stara księgowa jawiła się jako ostatnia pamiątka z zaginionego

świata, Halterowa też nie kryła swego sentymentu. Płacząc, opowiadały sobie przeżycia ostatnich lat. Dzięki dobrym papierom i dość aryjskiemu wyglądowi pani Helena żyła w miarę bezpiecznie. Nie chcąc ryzykować rozpoznania przez jakiegoś szmalcownika (tych nigdy nie brakowało), opuściła Warszawę i utrzymywała się z handlu starzyzną, prowadziła też mały lombard. Róża zrewanżowała się jej opowieścią o śmierci rodziny, wspomniała też, że pracuje jako gospoia „u Niemców”. Obiecały, że się wkrótce spotkają. I rzeczywiście, przez następnych parę tygodni widywały się coraz częściej, aż któregoś dnia dziewczyna otworzyła się zupełnie. Szlochając, opowiadała jak strasznie jest terroryzowana przez Karla Pollera i zakończyła swą spowiedź rozpaczliwym stwierdzeniem, że nie ma dla niej ratunku.

– Póki się żyje, zawsze jest szansa na ratunek – odparła filozoficznie Halterowa. – A jeśli się ma mamonę, wszystko jest do załatwienia.

– Niby w jaki sposób?

– Kiedy człowiek żyje tak długo jak ja, to musi mieć różnych znajomych. Postaraj się o forszę. Resztę się załatwi.

Moja matka nie miała własnych pieniędzy, ale sposób, w jaki je zdobyć, znajdował się w zasięgu ręki. Poller nie był aż tak wielkim ideowcem na jakiego pozował. Chętnie brał łupówkarski szmal, nie gardził łupami zdobywanymi na Żydach. Jako bystra obserwatorka szybko odkryła jego skrytkę – ruchomą klepkę parkietu, ukrytą pod dywanem. Nigdy do niej nie zagłębiała, jednak z grubsza domyślała się zawartości. Wprawdzie dotąd nie ukradła nawet cukierka, ale jeśli te nieuczciwie zdobyte przez Karla pieniądze miałyby być ceną jej wolności...? W końcu sam towarzysz Lenin nauczał: „Grab zagrabione!”.

– Jeśli będziesz miała pieniądze mój znajomy może załatwić dokumenty w ciągu doby – obiecywała kusocielsko księgowa. – Masz może swoją oryginalną metrykę?

– Przepadła.

– Szkoda. Najlepsza jest oryginalna rzymskokatolicka metryka. Wystarczy przeszkrobać jedną albo dwie literki i jesteś zupełnie innym człowiekiem. Ale skoro nie masz, trudno, załatwi się to inaczej. Na razie zrobisz sobie zdjęcie, przyniesiesz je razem z forszą, w dwa dni dostaniesz taką kenkartę, że cię nawet do samego Berlina wpuszczą.

– Co z tego – westchnęła Róża. – I tak nie mam dokąd uciec.

– Przecież mówiłaś, że masz w Warszawie rodzinę ojca... W dodatku to rodowici Polacy.

– Ale Poller ją zna. Natychmiast mnie odnajdzie. A co z nimi zrobi, strach pomyśleć.

– A kto ci mówi, że masz chronić się u rodziny. Dasz sobie radę sama. Jesteś młoda... I ładna! – dodała z naciskiem.

– Tylko nikogo nie znam.

– Niech cię o to głowa nie boli, aniołeczku! Skombinuj pieniądze. Resztę się załatwi...

Wyglądało obiecująco. A jednak po powrocie do domu dopadły moją matkę wątpliwości. Ufała Halterowej, ale nie bez reszty. Bała się, że zaryzykuje, okradnie Karła, a potem nie otrzyma dokumentów i zostanie na lodzie... Na samą myśl o takiej możliwości ogarniał ją paraliżujący strach. Na tydzień poniechała myśli o ucieczce, przestała się spotykać z Halterową. Ta odwiedziła ją sama. Oparta o parkan chwilę obserwowała jak dziewczyna zrywa w ogródku owoce, a kiedy Róża podeszła do niej, szepnęła ciepło.

– Do niczego cię nie namawiam, dziecinko. Przyjdź do mnie kiedy wreszcie się zdecydujesz. Ale fotografię na wszelki wypadek sobie zrób!

W połowie września ofensywa niemiecka rozwijała się w najlepsze. Dziewiętnastego *sieñtiabra* padł Kijów, XVIII Armia znalazła się pod Leningradem, a los stolicy ZSRR wydawał się przesądzony. Róża ciągle nie podjęła decyzji o ucieczce, chociaż zdjęcie sobie zrobiła. Sytuacja w domu jakby poprawiła się. Poller wydawał się miłszy, przynajmniej nie bił jej bez powodu. A nawet rzadziej wymagał seksualnych usług. Jak się okazało była to cisza przed burzą. Którejś soboty zjawił się na kwaterze z dwoma kumplami. Popili tego. A Karl co pewien czas zwracał się do swej kochanki: „Bądź dobra dla mych przyjaciół”. Nie rozumiała dwuznacznego sensu tych słów. Starła się być miła. Jak zawsze. Przygotowała dla wszystkich kolację. Wypiła nawet kieliszek wódki. Więcej, próbowała nawet śmiać się z grubych żartów opowiadanych po niemiecku. Koło dwunastej Poller stwierdził, że musi się przewietrzyć. Jego nie obowiązywała godzina policyjna. Ledwo wyszedł wzięli się za nią. Ryży Helmut bezceremonialnie wsadził jej łapy pod bluzkę, Fritz zwinnie zdarł jej majteczki.

– Co wy robicie, przestańcie! – wołała. – Wszystko powiem Karlowi.

Ich rehot był jedyną odpowiedzią. Jeszcze nie docierała do niej prawda, że Poller „wypożyczył ją” swoim kumplom w zamian za karciany dług. Pracowali nad nią zawzięcie ponad pół godziny. Nie przeszkadzała im jej bierność. Brali ją z każdej strony, nic sobie nie robiąc z jej łez i jęków (te doświadczenia w pewnym sensie stały się i moim udziałem, odczuwałem zarówno ból, jak i obrzydzenie). W pewnej chwili moja matka spostrzegła w szparze niedomkniętych drzwi twarz Karla. Zaciągał się papierosem i podglądał. Co za łajdak!

Wtedy podjęła ostateczną decyzję. Bładym świtem zaniósła zdjęcie Halterowej.

– Muszę mieć tę kenkartę! Jak najszybciej!

– A pieniądze?

– Przy odbiorze. Dam dwa razy tyle ile trzeba.

– Znakomicie!

Umówiły się na pół godziny przed odjazdem pociągu, w kościele opodal dworca. Moja mama nie przespała tej nocy ani minuty. Słyszała jak jej „pan i władca” przewracał się w swoim łóżku. Czyżby

i jego mężczyźli zły sny? A może coś przeczuwał? Nad ranem wstała żeby się napić. Weszła do kuchni. W smudze księżycowego światła lśniły wiszące na ścianie mosiężna patelnia do konfitur i fantazyjny tasak. Jej dreszcz odczułem bardzo mocno, wiedziałem – nasza ją ochota, aby zdjąć toporek ze ściany. Zdjęła. Przejechała palcem po jego ostrzu. Błysnęła kropelka krwi. Wystarczyłoby parę kroków, dobry zamach... Jednak odwiesiła tasak na miejsce. Nie potrafiłaby zabić. Nawet jego. Na wszystko inne była gotowa. Rano, kiedy tylko drzwi zamknęły się za Pollerem, podniosła dywan. Potem nożem podważyła klepkę. Oby tylko skrytka nie okazała się pusta!

Zawartość przerosła oczekiwania. Obok okazałego zwitka dolarów, znalazły się tam i złote „świnki” carskie i amerykańskie „twarde” i trochę biżuterii. Wahala się tylko chwilę. Wzięła wszystko. Nie odczuwała wyrzutów sumienia. Należało się jej za krzywdę, za poniżenie, za ból i strach. „Grab zagrabione” – powtórzyła sobie raz jeszcze. Odliczyła umówioną kwotę dla fałszerza. Resztę ukryła w specjalnie uszytym woreczku pod sukienką. Miała swój plan. Nie zamierzała korzystać z warszawskich kontaktów Halterowej. Pod Krakowem mieszkała dalsza rodzina ze strony jej taty, ciocia Stefania, z którą jako dziecko zwiedzała Wawel, Ojców i Wieliczkę. U niej się ukryje. Pieniądzy wystarczy, nawet jeśli ta wojna będzie trwać tyle co Pierwsza Światowa. Kościół dopiero się napełniał, Halterowa już czekała na pustych schodach prowadzących na chór. Sama. Różę przeszedł dreszcz.

– Jestem zgubiona!

Księgowa uśmiechnęła się na jej widok i zaskrobała do niewielkich drzwiczek. Zaraz wyłonił się zza nich niski mężczyzna z rzadkim wąsikiem. Błyskawicznie dokonali wymiany. Kankarta, metryka, nawet akt zgonu ojca katolika...

– Nazywasz się teraz Maria Kaczmarek – powiedziała półgłosem księgowa. – Maria Kaczmarek, urodzona pierwszego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku w Gnieźnie, córka Jerzego i Krystyny, wysiedlona z kraju Warty pół roku temu...

– A jak to sprawdzą?

– Mogą długo sprawdzać – uśmiechnęła się pani Helena. – Dokumenty są autentyczne. Prawdziwa Maria Kaczmarek umarła miesiąc temu na tyfus i spoczywa w zbiorowej mogile. Lepiej powtórz swoje dane.

Powtórzyła.

– A teraz zapamiętaj twój kontakt. W Warszawie zgłosisz się do pana Teodora Delkacza, buchaltera w fabryce beczek „Arbor” na Woli. Trzeba pojechać tramwajem i wysiąść przy ulicy Powązkowskiej, tam zapytać w fabryce. „Profesor” ci pomoże.

Wyrecytowała adres jak dobrze nauczoną lekcję, zdecydowana zapomnieć go, kiedy tylko pociąg ruszy.

Wszystko poszło jak z płatka. Na dworcu nikt jej nie zatrzymał. Bez trudu kupiła bilet, a nawet znalazła siedzące miejsce w zatłoczonym wagonie, między jakąś babą z tobołami a chuderlawym

mężczyzną w czapce. Do ostatniej chwili niepewnie zerkała przez okno, obawiając się, że coś może przeszkodzić w jej planie. Naraz zobaczyła w oddali biegnącego jasnowłosego mężczyznę w mundurze. Pobladła. Ale nie był to Poller, tylko ktoś inny, żegnający pasażerkę z wagonu „tylko dla Niemców”.

Rozległ się gwizd, lokomotywa drgnęła.

– Udało mi się – pomyślała „Maria Kaczmarek”. I ja z nią.

Przedwcześnie.

* * *

Lista nazwisk do sprawdzenia na mojej liście znów musiała się wydłużyć: Stefania Kupidłowska, Helena Halter, Maria Kaczmarek. Zajęło mi to trzy dni. Trzy dni, w trakcie których tylko raz spotkałem się z Martą. Godzina intensywnego seksu upewniła mnie jedynie, że potrafię być kłamcą doskonałym. Na szczęście podobne ekscesy z własną żoną więcej się nie powtórzyły. Następnego wieczora znów zastałem przed telewizorem zmęczoną trzydziestoparolatkę, w wytartym szlafroku i rozdeptanych kapciach, nie proponującą mi żadnego czerwonego wina lub łózkowej gimnastyki. Najwyraźniej miałem do czynienia z jednorazowymi obchodami rocznicy naszego ślubu i wszystko wracało do normy. Przyjąłem to z ulgą.

Jurek Stręczyński mnie nie zawiódł. Ten erudyta i wielki miłośnik historii najnowszej wygrzebał z kartoteki Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce całkiem sporo informacji na temat Karla Pollera, dziś zasobnego emeryta żyjącego spokojnie w kurorcie Bad Liebenzell, w zachodniemieckim Schwartzwaldzie. Podzielił się również zupełnie prywatnymi informacjami o pani Helenie Halterowej. Podejrzewam, że zajmowanie się biografiami komunistycznych funkcjonariuszy stanowiło jego prywatne hobby, z którego zwierzał się mało komu. Po wojnie towarzyszka Helenka, zasłużona działaczka Ruchu Robotniczego, pracowała nadal jako księgowa w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Na emeryturę przeszła w wieku sześćdziesięciu pięciu lat w roku 1954, co zbiegło się z wielką czystką związaną z ucieczką na Zachód pułkownika Józefa Światły. W roku 1957 wyemigrowała do Izraela. Najprawdopodobniej już nie żyła. Chociaż kto ją wie. Stefani Kupidłowskiej nie było w żadnej ewidencji, nie figurowała też w aktualnej książce telefonicznej Krakowa i okolic.

A co się tyczy „Marii Kaczmarek”? Tu Jurek wiele nie mógł mi pomóc. Po dwóch dniach spędzonych w bibliotece na Koszykowej miałem niezły mętlik w głowie. Okazało się, że ktoś taki nie figurował w katalogu rzeczowym, nie posiadał też własnego biogramu, jednak kobieta, a może parę osób o tym popularnym nazwisku (czasem tylko jako Kaczmarek, czasem M. Kaczmarek, albo Marysia K.) przewijało się dość często w indeksach opracowań dotyczących początków PPR-u. Były to w większości nieistotne wzmianki mogące zainteresować wyjątkowo skrupulatnego historyka, jednak zauważyłem, że osoba o tym nazwisku marginalnie pojawiała się w kilku epizodach, w których występowali pierwszoplanowi bohaterowie komunistycznej jacejki: Teodor Duracz, Marcei Nowotko, bracia Mołojcowie, Pinkus Finder, Marian Spychalski, Władysław Gomułka...

– Na miłość boską, co robiłaś w tym towarzystwie, mamó?!

W mieszkaniu zastałem zaniepokojoną Grażynę.

– Ktoś tu był? – powtarzała, kręcąc się wokół mnie jak sztuczny satelita. – Buszował w twoim pokoju.

– Skąd wiesz? Widziałaś kogoś?

– Nie było mnie w domu. Ale poczułam, że był tu obcy.

– Zapach? – na moment z przestachem pomyślałem o Marcie. Dałem jej kiedyś klucz, kiedy Grażyna z Basią wyjechały do Łeby. A jeśli strzeliło jej do głowy, żeby mnie odwiedzić?

– Nie, nie. Nic konkretnego. To tylko intuicja.

Gdy dotarłem do swojego pokoju, zrozumiałem, że niepokój mojej połowicy był w pełni uzasadniony. Wewnątrz panował ZA DUŻY PORZĄDEK. Zbyt równo były poskładane moje papiery. Śmieci w koszu znajdowały się w innej kolejności niż je wyrzucałem. Z pobieżnego oglądu wynikało, że nic nie zginęło. Ani książki, ani bibuła z Regionu (brulion z notatkami na temat mego śledztwa nosiłem cały czas przy sobie!). Nawet sto pięćdziesiąt dolarów ukryte między kartami *Ilustrowanego Nowego Testamentu* nie zmieniło właściciela. Bardzo dziwne. Z filmów (zachodnich!) wyniosłem opinię o monstrualnym bałaganie, jaki pozostawiały po sobie tajne służby, robiąc kipisz u swego „klienta”. Natomiast ci nieznani goście dołożyli tyle staranności, żebym nie zauważył ich wizyty... Może reprezentowali inną szkołę? Ale czego mogli szukać? Czyżby interesowały ich efekty podjętych przeze mnie poszukiwań?

– Niech się panienka obudzi, jesteśmy w Warszawie... – energiczne szarpnięcia za ramię obudziły Kupidłowską. Otworzyła oczy i ujrzała przyjazną twarz kolejarza. – Ale panienkę zmgło. A my już na Wileńskiej.

Zamrugnęła powiekami i wstała ociężale, tak jakby przybyło jej dobrych kilkanaście kilo. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że gdzieś za Zambrowem urwał jej się film. Ostatnie co zapamiętała, to szmuglerskie opowieści babiny siedzącej obok i niewybredne kawały chudzielca z drugiej strony, który poczęstował ją herbatą. Ściskając mocno w rękę torebkę, wyszła na peron. Zawiał wietrzyk i poczuła nagły chłód na udzie. Po chwili zorientowała się, że jej sukienka została czymś przecięta. Zniknął też woreczek z całym majątkiem. Zajrzała do torebki, poza bezcenną kenkartą zostały jej tylko jakieś grosze. O Boże! Wyjazd do Krakowa stał się niewykonalny. W jednej chwili poczuła się zgubiona i bezradna. Opanowała się jednak. Miała przecież jeszcze jedno wyjście. Doszła do ulicy Targowej.

– Jakim tramwajem dojadę na ulicę Powązkowską? – zapytała pierwszego napotkanego przechodnia.

Do fabryki beczek „Arbor” Róża dotarła bez większych komplikacji. Wiozący ją tramwaj najpierw przebył most Kierbedzia z charakterystyczną potężną kratownicą, potem wspiął się Nowym Zjazdem obok mocno nadwyrężonego Zamku. Pozostawiając za sobą Stare Miasto i Plac Bankowy, kanionem ulicy Chłodnej wysłużony skład przecisnął się pomiędzy Dużym i Małym Gettem, połączonym wysokim, drewnianym mostem, wznoszącym się nad torowiskiem. Obserwując ludzkie mrowie wspinające się po stopniach, ścisnęło jej serce. Wspomniała matkę, brata, Lichtera. „Moglibyśmy być między nimi – żywi!”.

W fabryce zapytała o Delkacza. Strażnik popatrzył na nią jakoś dziwnie, ale nic nie powiedział, tylko zawołał kolegę, który zaprowadził ją do biura i wskazał drzwi pokoju buchaltera z niewielką, przyszpiloną pineską tekturką „Teodor Delkacz”.

Zapukała. Wyjrzała jakaś wymokła dziewczyna, sekretarka bądź kontystka.

– Do kogo? – rzuciła opryskliwie, tarasując sobą wejście.

– Do pana Delkacza – dygnęła. – Nazywam się Maria Kaczmarek, poleciała mnie...

– Wprowadź gościa i zostaw nas samych, Marianno – dobiegł dźwięczny głos z głębi.

Teodor Delkacz, mężczyzna wysoki, wyjątkowo przystojny, o szlachetnej twarzy i lekko szpakowatych włosach przeredzonych na szczycie czaszki, nie pasował do tego miejsca. Nie wyglądał na kogoś, kto spędził życie jako rachmistrz klepek. Idealnie pasowało do niego przezwisko „Profesor” albo „Mecenas” – jak tytułowali go wtajemniczeni. Miał koło pięćdziesiątki, ale nie wyglądał na tyle. Róża nie potrafiła ukryć onieśmienia. Oczywiście nie miała pojęcia, że stoi przed słynnym obrońcą politycznym z międzywojnia, przy którym ktoś taki jak Lichter był pospolitym kauzyperdą.

– Czym mogę panience służyć? – zapytał z wdziękiem, tak często zniewalającym przyjaciół i mylącym wrogów.

– Przysyła mnie pani Helena Halterowa – wypaliła dziewczyna. – Tylko pan mi może pomóc.

Zauważyła, że się uśmiechnął. Zasłaniając dłonią przeciętą sukienkę, usiadła na skraju kozetki pod ścianą. Delkacz tymczasem wyjrzał z pokoju i przywołał Mariannę.

– Bądź tak dobra, zorganizuj dla nas herbatę i coś do zjedzenia.

Po czym zwrócił się do swojej matki:

– Na czym polega twój problem, panienko?

Zrazu okropnie się jąkając, później coraz to składowiej opowiedziała o śmierci matki i ojczyma, o służbie u Pollera, o ucieczce i kradzieży w pociągu. Delkacz nie przerywał, ale słuchał, patrząc na nią cały czas łagodnie. Czowała, jakby jego wzrok prześwietlał ją całą. Potem zapytał „Marysię” o jej kwalifikacje – zrelacjonowała swój pobyt w warszawskim gimnazjum i dwa lata spędzone w

radzieckiej szkole średniej. Nieoczekiwanie odezwał się do niej po niemiecku. Odpowiedziała płynnie. Potem zadał pytanie po rosyjsku – ten sam efekt. Spytał o lektury. Nie musiała się wstydzić. Całkiem nieźle znała klasykę polską i obcą, a w Białymstoku poznała również „arcydzieła” literatury radzieckiej. Zagadnął ją o *Pokój na poddaszu* Wandy Wasilewskiej.

– Czytałam, naturalnie – odparła.

– I co o tym sądzisz?

W pierwszej chwili chciała powiedzieć, że to okropne nudziarstwo, ale intuicja podpowiedziała jej, że właśnie zdaje egzamin. Halterowa nie mówiła jej wiele o obecnym egzaminatorze, napomknęła jednak, że jako prawnik bronił przed wojną komunistów i przeciwników sanacji.

– *Pokój na poddaszu* to dobre dla dzieci – rzekła. – Osobiście z dzieł tej pisarki bardziej przemawia do mnie *Ojczyzna*.

Odpowiedź chyba go zaskoczyła.

– Dlaczego? To przecież powieść historyczna.

– Ale jaka aktualna. My, podobnie jak fornal Krzysiak, mogliśmy się przekonać, że świat jest całkiem inny niż go sobie wyobrażaliśmy.

Delkacz nie skomentował tej odpowiedzi. Zresztą akurat weszła Marianna z herbatą i talerzem sandwiczów.

Róża rzuciła się na nie zachłannie. Mecenas obserwował ją z półdystansu.

Czekała na dalsze pytania. O rzeczywistość radziecką, o jej obecny stosunek do ZSRR. Nic takiego jednak nie padło. Może „Profesor” dowiedział się już wszystkiego.

– Na razie ulokuję cię u przyjaciół – rzekł. – Potem pomyślimy o jakiejś pracy dla ciebie. A teraz trzeba cię jakoś ubrać. Mamy tu mały magazynek używanej garderoby, Marianna wyszuka tam coś dla ciebie, a tę sukienkę się zaceruje. Przebrać się możesz w tej pakamerze. Marianno!

Pięć minut później weszła z trzema sukienkami do zaimprovizowanej garderoby. Zrzuciła swe perkalowe nieszczęście i zaczęła przymierzać. Nie miała pojęcia o małym wizjerze ukrytym w ścianie, przez który Delkacz śledził każdy jej ruch, podziwiał wspaniałą linię nóg i jędrne dziewczęce piersi.

– Doskonała – mruknął do siebie półgłosem. – Będzie z niej wiele pożytku.

Po przebudzeniu długo zachodziłem w głowę, jak w świecie widzianym oczyma mojej matki mogłem oglądać to, czego ona nie widziała, oraz o jakim pożytku mamrotał słynny obrońca przedwojennych komunistów?

Zmyłem z twarzy resztkę mydła, wypłukałem wielorazowego „polsilvera”, podstrzygłem brodę na wzór hiszpańskich hidalgów, choć Artur twierdził, że jej kształt najbardziej przypomina mu wzgórek łonowy. Potem dłuższą chwilę wpatrywałem się w lustro: „Kim ty właściwie jesteś, Maćku? Jak wzięłeś się na tym padole płaczu?”. Szukając odpowiedzi na to pytanie, w ciągu ostatnich dni wielokrotnie przestudiowałem przywieziony od ciotki album rodzinnych zdjęć. Z matki, przynajmniej takiej jaką utrwalono na zdjęciach, miałem niewiele – zarys ust, jasne włosy, drobną kość. Tylko oprawa oczu przypominała przodków babci Salomei, bo już nos, słowiański kartofel, z pewnością odziedziczyłem po dziadku Kupidłowskim. Ale reszta. Wzrost? Te błękitne oczy, lekko spiczaste uszy? Czy była to pamiątka po dawniejszych przodkach, czy raczej po nieznanym ojcu? Gdzie podziały się cechy wskazujące na przynależność do narodu wybranego? Mogłem je odnajdywać tylko w charakterze, w owej przesadnej skłonności do analizy i spekulacji, jaką przenieśli w genach wieki studiowania Talmudu. Wedle ortodoksyjnej definicji byłem po kądzieli Żydem, genetycznie jednak – niezwykle rozcieńczonym mieszzańcem. „Kundlem, po prostu!” – uśmiechnąłem się do swego wizerunku. Tego ranka podjąłem decyzję, by nie czekać na kolejne senne objawienia i odwiedzić Ignacego Witkowca. Któż mógł wiedzieć więcej o Eugeniuszu Podlaskim, niż towarzysz walki, uczestnik przeprawy przez Wisłę, w której rzekomy ojciec miał zginąć. Po pierwszej nieudanej próbie zdawałem sobie sprawę, że wyciągnięcie zwierzeń ze starego komunisty napotka spore trudności, umyśliłem więc zabrać ze sobą Martę.

- Potrafisz zagrać reporterkę „Żołnierza Wolności” piszącą artykuły o kombatantach? – zapytałem.
- Czemu nie, muszę tylko zrobić się na starą i brzydką.
- Wystarczy, że ubierzesz się trochę poważniej i zrobisz sobie odpowiedni makijaż.

Sam pomysł wyprawy na Dolny Śląsk przyjęła entuzjastycznie. Od razu przestała krytykować moje genealogiczne zainteresowania. „Będziemy mieli tyle czasu dla siebie...” – szepnęła rozmarzona.

Wstępną rozmowę z Witkowcem przeprowadziliśmy perfekcyjnie. Wprawdzie do Świebodzic można się dodzwonić za pomocą automatycznej centrali, pozwoliłem sobie na małą inscenizację. Po uzyskaniu połączenia, najpierw bąknąłem pod nosem „Brylant, łączę Rubin”, a potem oddałem słuchawkę Marcie.

- Marzena Bąk, „Żołnierz Wolności” – przedstawiła się z energią fizylierki. – Czy mam przyjemność z obywatelem Ignacym Witkowcem?
- Tak. A o co chodzi?
- W ramach zwiadu reporterskiego prowadzimy wywiady z kombatantami II wojny światowej.
- A jaki ze mnie kombatant. Inwalida i tyle.
- Właśnie. Naszych czytelników szczególnie interesują ludzie, którzy zapłacili wysoką cenę za

wyzwolenie narodowe i społeczne.

– A o co chcecie mnie pytać? – w głosie Witkowca pojawiła się czujność. – Bardzo mało pamiętam.

– Przede wszystkim będę chciała zapytać o te pierwsze trudne lata na Ziemiach Odzyskanych. O waszą pracę w przywracaniu ich macierzy. O osadników, zagrożenia ze strony dywersantów i Wehrwofu...

– A o tym... – mężczyzna odetchnął z ulgą. – Dużo czasu to nam zabierze? Bo ja, wie pani, słabuję...

– Godzinę, góra półtorej. Na pewno nie zmęczone pana.

Odkładając słuchawkę, popatrzyła na mnie z tryumfem.

– Tak to się załatwia, panie profesorze! Gwarantuję ci, że na miejscu wyciągnę z niego wszystko, co tylko zechcesz.

* * *

No więc pojechaliśmy. Dookoła roztaczało swe czary upalne lato. Bujna zieleń przykrywała niedostatki peerelowskiej egzystencji. Dojrzewały owoce, a mijani młodzi ludzie wydawali się dorodniejsi i zdrowsi niż w mniej reprezentacyjnych porach roku.

Wokół drogi w przedziwnej symbiozie propagandowe napisy: „Partii serca, myśli i czyny” koegzystowały z biało-czerwonymi flagami na kominach oznaczającymi kolejną gotowość strajkową. Wydawać się mogło, że Samorządna Rzeczpospolita, cokolwiek miałoby to oznaczać, znajduje się na wyciągnięcie ręki, a imperium komunistycznej władzy ogranicza się do paru symboli i kilku sprzedajnych dziennikarzy w telewizji. Byłem jednak wystarczająco dorosły by wiedzieć, że jest to wrażenie mylące, a system nadal ma swoje kły i pazury. Może chwilowo pochowane. Pod samym Wrocławiem musieliśmy zatrzymać się i ustąpić drogi przejeżdżającej kawalkadzie ciężarówek wojskowych. Pomimo brezentowych opakowań w nieforemnych kształtach spoczywających na platformach, bez trudu można było rozpoznać wozy bojowe, a charakterystyczne wypustki ani chybi skrywały lufy dział i karabinów maszynowych. Przypomniałem sobie sierpień ‘68, agresję na Czechosłowację i dźgnął mnie chłód.

– To tylko manewry – powiedziałem uspokajająco do Marty. – Próbują wygrać z nami za pomocą wojny nerwów.

– To Polacy czy Rosjanie? – zapytała. Zauważyłem jej lęk. – Nie boisz się, że mogliby do nas wkroczyć.

– Szczerze mówiąc, nie! – zapewniłem, choć w głębi ducha tak do końca nie byłem przekonany. – Ruscy nie są tacy głupi, żeby wchodzić. Mają na głowie Afganistan, Zachód przypiera ich do muru prawami człowieka... Za dużo do stracenia.

– I myślisz, że wygramy tę próbę sił?

– Tak myślę. Choć niekoniecznie tym razem.

– Nie tym razem? Jak to rozumiesz?

– Spróbują nas podzielić, skłócić, oszukać, zmęczyć. W pewnym momencie zamiast Stanisława Kani pojawi się jakiś nowy mąż opatrnościowy, który poprosi o kredyt zaufania. Może odegra nawet jakąś komedię z udziałem Rosjan, postawi się Breżniewowi. Lud to kupi. „Pomożecie? Pomożemy!”. Początkowo nic się nie zmienia, ale z czasem zaczną przykręcać śrubę prasie... Przywołają do porządku artystów.

– I „Solidarność” na to pozwoli?

– Ta dzisiejsza dziesięciomilionowa z pewnością by nie pozwoliła. Dlatego spróbują ją podzielić, zapewne wprowadzą do kierownictwa swoich ludzi lub przeszkolonych agentów. Jeśli do tej pory tego nie zrobili...

– Jesteś strasznym pesymistą, Maćku!

– Wręcz przeciwnie, jestem ogromnym optymistą, tyle że z poczuciem realizmu. Przeżyłem październik pięćdziesiątego szóstego i grudzień siedemdziesiątego roku, za każdym razem obserwując wielkie ożywienie społeczne: Zmianę ekipy, obietnice reformy, potem wycofywanie się z nich...

– A więc uważasz, że przegramy?

– Pozwól mi skończyć, Marto! Uważam, że jeśli nawet przegramy, to nie całkiem. Za każdym razem fala protestu była u nas wyższa i wyższa, partyjnemu kierownictwu trudniej przychodziło ściągać cugle i zawsze część zdobyczy wymuszonych przez społeczeństwo pozostawała. Myślę, że i tym razem będzie podobnie. Odwrót od zdobyczy Sierpnia, parę lat regresu. Do następnego razu. System gnije nie tylko u nas. Za parę lat znów gdzieś nastąpi kolejne tąpnięcie, w Bułgarii, Rumunii, może w samej Rosji. Bądź spokojna, dożyjesz jeszcze swojej wiosny czy jesieni ludów.

Zaśmiała się.

– Mówisz jak prorok.

– Nie, jak geograf, który zna prawa dotyczące tektoniki i ekonomii. Nawiasem mówiąc, nie masz pojęcia jak interesującym geologicznie regionem jest Pogórze Sudeckie...

Ale wiolonczelistka zupełnie nie interesowała się geologią, toteż szybko zmieniła temat.

Do Świdnicy zajechaliśmy pod wieczór. Świebodzice leżały tuż, tuż. Marta chciała odwiedzić Witkowca z marszu, zadzwoniła nawet do niego, ale były bojowiec wyraźnie nie był chętny na spotkanie o zmierzchu.

– Zapraszam na jutro – wychrypiał przez telefon. – Ja, widzi towarzyszka redaktor, chodzę wcześniej spać. Za to wstaję wcześniej, z pierwszym świtem. Wpadnijcie o ósmej, to sobie porozmawiamy.

– Ósma to nieludzka pora. Mogę być o dziesiątej?

– Niech będzie dziesiąta... A nie macie przypadkiem kawy. Bo ja od lat tylko zbożową...

– Postaram się o tę kawę. W Świdnicy powinien być jeszcze czynny Pewex.

W dość obskurnym hotelu wynajęliśmy dwa pokoje (oszczędności na mojej książeczce PKO niepokojąco mały). Taniej wypadłaby jedna dwójka, ale nawet w schyłkowym PRL-u obowiązywały niewzruszone zasady moralne. Tęgawa recepcjonistka dość długo nieufnie oglądała dowód Marty, która zaledwie przed pięcioma miesiącami skończyła osiemnaście lat.

– Czy coś nie w porządku? – zapytała zadziornie dziewczyna. – Może mam jeszcze pokazać metrykę?

Złośliwe babsko otaksowało z ponurą miną śliczną, długonogą dziewczynę i dwa razy starszego od niej mężczyznę, po czym dało nam pokoje na dwóch różnych piętrach. Ale to już nie stanowiło problemu. W odróżnieniu od Rosji, w Polsce nie przyjęła się instytucja babuszek etażowych, kontrolujących ruch między pokojami. Nie minęło pięć minut, a zachłannie tuliliśmy się do siebie, nie zwracając uwagi na popękane ściany, chodnik, który lata swej świetności przeżył za Bieruta, czy kit wyłazający z okiennej ramy, bardziej dobitnie niż fałsz z propagandy sukcesu.

* * *

Nocą znowu podążyłem za moją mamą...

Domek Stasiaków stał na skraju podwarszawskiej Kobyłki. Gospodarstwo robiło wrażenie zaniedbanego, a wszechobecne kury i gołębie opaskudziły je w wiadomy sposób. Franciszek Stasiak pracował na kolei, jego żona zajmowała się domem, czworgiem dzieci i całą resztą inwentarza. Pani Stefania nie wyglądała na uszczęśliwioną przybyciem Marii Kaczmarek. Jej mąż natomiast, po przeczytaniu rekomendacji Delkacza proponującego zatrudnienie „sieroty z Gniezna” w charakterze pomocy w gospodarstwie, potraktował to jak rozkaz towarzysza „Profesora”.

Sny podobno bywają bezwonne, ja jednak czułem wyraźnie wszechobecny w całym domostwie zapach kiszzonej kapusty, częściowo tylko łamany przez fetor dolatujący z koślawej sławojki w podwórzu.

Wnętrze było ubogie, ściany prawie nagie. Zastanawiał brak jakichkolwiek symboli kultu religijnego. Ta nieobecność wyjaśniła się już najbliższej niedzieli, kiedy pod oknami chałupy ciągnął w stronę kościoła sznur babin w chustach i mężczyzn w marynarkach i obowiązkowo wykrochmalonych koszulach. Domownicy w komplecie pozostali w mieszkaniu. Stasiak czytał jakąś książkę, co jakiś czas sponad okularów rzucał nienawistne spojrzenia na wiernych, mrucząc: „Co za zabobon!”. Żona milczała. Dzieciaki pochowały się po kątach. Róża nie знаła dotąd prawdziwych

komunistów – przed wojną ojciec mówił o nich z najwyższą pogardą („swolocz, bolszewia, pacholki Stalina”), trudno byłoby też utrzymywać, że mieszkańcy Białegostoku, ogarnięci przez ZSRR, byli szczerymi wyznawcami nowej wiary. Poddali się nowemu rytuałowi ze strachu, bywali nadgorliwi jak Lichter, ale czy ktokolwiek wierzył w to, co praktykował? Propaganda sowiecka była tak prymitywna i nachalna, przymus tak oczywisty...

Jednak Stasiak, przedwojenny komunista, który zaliczył trzy lata odsiadki w ponurym więzieniu w Łomży, nie robił wrażenia człowieka przymuszonego do czegokolwiek. On po prostu wierzył w to, co „napisał Marks, a działał Lenin” – w lepsze jutro, nieuchronność procesów dziejowych. Upajały go prawdy proste a jednoznaczne – Boga nie ma, człowiek pochodzi od małpy, wszystko jest dziełem ewolucji, a ziemia kręci się na lewo. Z tej wiary czerpał swoją siłę, a zarazem dziwne poczucie wyższości w stosunku do reszty ciemniaków, zabobonników i klerykałów.

Moja mama po raz pierwszy od miesiący nie poszła na niedzielną mszę. Pomodliła się sama w swojej klitce na stryszku. Ostatnie czasy nauczyły ją, że przebywając pośród wron należy krakać jak one. Chciała przeżyć i tylko to się Uczyło.

Przez pierwszy tydzień pracowała w obejściu. Starła się być robotną, posłuszną, niezbyt wścibską. Wiedziała, że jest obserwowana, oceniana i szkolona ideologicznie. Nie znoszącym sprzeciwu tonem jej gospodarz karmił ją sloganami na temat konieczności walki z niemieckim okupantem, a czasami rozmarzał się wizją przyszłej sprawiedliwej ojczyzny robotników i chłopów. Jej o zdanie w tych kwestiach nie pytał.

Z Teodorem Delkaczem zobaczyła się dopiero na początku października. Ponownie w fabryce beczek. Później stało się normą, że „Narcyza” – taki pseudonim otrzymała – melduje się u niego trzy razy w tygodniu, chyba że „Profesor” ustalił inaczej. Za każdym razem wyznaczał jej inne miejsce spotkania – a to restaurację koło cmentarza, a to sklep z towarami kolonialnym, czasami kościół. Kontaktom towarzyszyły zazwyczaj niewielkie zlecenia, raz chodziło o dostarczenie jakiegoś listu, kiedy indziej niewielkiej paczki. Komentarza na temat powierzonego zadania nigdy nie było. Jednak mimo że raz adresem był szewc, innym razem kuśnierz, a jeszcze innym frezer z zakładów na Pradze, domyślała się, że nie chodzi o podzelowanie butów czy naprawę kołnierza. I cieszyła się, że może być przydatna. Z drugiej strony, każdy patrol lub choćby człowiek w mundurze wywoływał w niej mocne ściśnięcie gardła, zimne poty i niepokojące parcie na pęcherz (wiem, bo odczuwałem to razem z nią!).

– Ze Szwabami jest jak z psami – powiedział pewnego dnia Stasiak, widząc jak Róża szykuje się do wymarszu. Tym razem celem była podwarszawska Miłosna (ciekawe czy zauważył, że trzęsie się jak galareta). – Nie można okazać tym sukinsynom strachu, bo ci się rzucą do gardła.

Z biegiem czasu poczucie zagrożenia spowszedniało, poza tym przekonała się, że nawet okupanci byli tylko mężczyznami i widząc piękną dziewczynę, bardziej interesowali się jej nogami, niż zawartością torebki.

Do pierwszej poważnej próby doszło, kiedy po raz czwarty otrzymała zadanie. Znajdowała się na ulicy Piusa, w samym środku dzielnicy niemieckiej. Naraz na wprost niej pojawił się patrol, bardziej niż inne czujny i ponury. Zatrzymywali wszystkich. Uprzedzając ewentualne pytanie, z promiennym

uśmiechem, nienaganną niemczyzną zapytała: „Przepraszam bardzo. Na Aleje Adolfa Hitlera to w tym kierunku czy w przeciwnym?”. Odpowiedzieli jej równie uprzejmie. I znów się udało.

* * *

Upływ czasu w świecie z mojego snu rządził się innymi prawami niż rzeczywistość. Bywało, że dwie lub trzy noce z rzędu śniły mi się zdarzenia z jednego dnia, po czym następował przeskok parotygodniowy albo dłuższy. Dlaczego? Nie wiem. Moje majaki zachowywały natomiast absolutną konsekwencję chronologiczną i nie zdarzało się pomylenie odcinków. Przepisując moje zapiski, odrzucam zdarzenia błahe, historie banalne, lub działania rutynowe, choć nie było ich aż tak wiele. Po mniej więcej trzytygodniowym odstępnie, późnym jesiennym popołudniem, moja mama stawiała się po raz pierwszy w mieszkaniu Teodora Delkacza na Kruczej. Tu dopiero można było znaleźć dowody, że jej dobroczyńca i mentor nie zawsze był skromnym buchalterem w fabryce beczek. Sporo pięknych mebli, parę obrazów, a przede wszystkim moc książek – wszystko to świadczyło o zasobnej przeszłości. Teraźniejszość, sądząc po zaopatrzeniu barku, też przedstawiała się nie najgorzej. Francuski koniak w Warszawie, w trzecim roku wojny, był nie lada rarytasem. Później moja mama miała się dowiedzieć o licznych wspaniałych podróżach jakie „Profesor” odbył po Europie, a z drobnych niedyskrecji wynikało, że lata 1939-1941 kiedy w stosunkach między Rzeszą a ZSRR obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow należały w jego karierze do najlepszych.

– Nieźle ci idzie, kwiatuszku – powiedział „Profesor”, odbierając przesyłkę, po którą jeździła aż do Grójca. – Wejdz dalej, rozbierz się, usiądź. Należy ci się chwila odpoczynku. Poza tym musimy porozmawiać.

Ponieważ nadal stała niezdecydowana w przedpokoju, wziął ją za rękę i pociągnął do środka.

– Od dawna nosiłem się z zamiarem tej rozmowy, „Narcyzo” – mówił, używając przydzielonego jej pseudonimu. – Być może powinienem zacząć od niej naszą znajomość. Chciałem jednak, byś wcześniej oswoiła się z nową sytuacją i zrozumiała, że jesteś wśród przyjaciół. Napijesz się?

Pokręciła przecząco głową, ale widocznie uznał ją za Bułgarkę, bo napełnił dwa kieliszki szlachetnym trunkiem.

– Nasze zdrowie – brzęknęło trącone szkło. – A wracając do twojej adaptacji w Warszawie, dobrze ci u Stasiaków?

– Dobrze – miała dużą ochotę dodać „lepiej niż u Pollera”, ale ugryzła się w język.

Delkacz wstał, wsunął kciuki do kieszonek kamizelki. Widać było, że mocno stęskniony za sądową publicznością rad był, że znalazł wreszcie wdzięcznego słuchacza.

– Zdajesz sobie sprawę, że pracujesz dla nas. Nie zadajesz pytań i to ci się chwali. Ale najwyższy czas... Istnieje oczywiście kwestia, czy powinienem cię w to wciągać, ryzykować twoim młodym życiem, ale jeśli przegramy nie będzie dla nas życia. („Dla nas czyli dla kogo: dla Żydów, Polaków, komunistów?” – przemknęło mi, a równocześnie mojej matce). Każdy, kto przeczytał *Mein Kampf*, wie od lat, o co chodzi Hitlerowi. Walka z bolszewizmem to jedynie propagandowy frazes. W istocie

idzie mu o Lebensraum – przestrzeń życiową dla aryjskiej rasy. Przestrzeń zdobytą kosztem Słowian, nas Polaków, Czechów, Ukraińców, Rosjan – prawnik zapalał się coraz bardziej, tak jakby znów znajdował się na sali sądowej. – Dziś hitlerowskie hordy są już w Donbasie, podobno pierwsze pancerne zagony zbliżają się do Moskwy. Cała nadzieja, że jeszcze raz do akcji wkroczy „generał Mróz”. Jednak czy powinniśmy w tej sytuacji pozostawać bezczynnie. Czekać i zacierać ręce, że Moskal bierze w dupę? My Polacy, my patrioci? Nie, wszystkie nasze siły muszą iść na osłabianie wroga, wspólnego wroga wierzących i niewierzących... O to idzie gra. O Polskę niepodległą i sprawiedliwą.

Słuchała zdumiona. Czy ten Delkacz był na pewno komunistą? To co mówił, w świetle tego wszystkiego, co przez dwa lata słyszała z ust agitatorów w Białymstoku, brzmiało jak herezja. Choć, dla niej osobiście, herezja miła.

– Rozumiesz już, o co walczymy? Rozumiesz? – zbliżył się i ujął ją za podbródek. Patrząc w jego szare ciepłe oczy, przeżyła energetyczny wstrząs. Nie miała nic przeciwko temu gdyby ją pocałował.

Nie uczynił tego.

– Mógłbym być twoim dziadkiem – powiedział jakby z żalem i znów sięgnął do barku. – Jeszcze po jednym?

Splószyła się, wstała, poprawiając zgniecioną sukienkę.

– Powinnam już iść – rzekła. – Muszę zdążyć dojechać do Kobyłki przed godziną policyjną.

– Nigdzie nie pójdziesz – zdecydował, nie pozostawiając jej czasu na choćby jedno słowo. – Przenocujesz tu w gabinecie. Moja żona właśnie wyjechała. A ta kozetka wbrew pozorom jest dość wygodna, to jedne z niewielu mebli, które ocalałem z mojego dawnego mieszkania. Żebyś wiedziała jacy ludzie na niej spali. Nawet sam Feliks Edmundowicz...

Wzmianka o Dzierżyńskim nie była chyba najlepszym środkiem nasennym, ale Róża nie wiedząc sama dlaczego, uśmiechnęła się promiennie. „Nawet jeśli mnie wypieprzy, trudno! – pomyślała. – Po Pollerze nic gorszego nie może mnie spotkać”.

Nic jednak nie wskazywało, żeby do tego zmierzał. W miarę jak ubywało koniaku rozgadywał się coraz bardziej. Krążąc po pokoju, który z każdą chwilą wydawał się być dla niego coraz bardziej za mały, snuł wizje przyszłej Polski – niepodległej i sprawiedliwej, „Polski przemienionych kołodziejów”, kraju robotników, chłopów i pracującej inteligencji, w którym każdy otrzyma wszystko według potrzeb. Mówił też o nowym ładzie światowym, który wyłoni się z chaosu, gdy opadnie wojenna kurzawa, o świecie wiecznego pokoju i sprawiedliwości, bez dyskryminacji ze względu na kolor skóry, czy pochodzenie. Wyglądało, że wierzy w to, co mówi, a może tylko miał takie gadane.

Słuchała jak urzeczona, a gdy zawieszał głos, wzrokiem prosiła by mówił dalej. Więc mówił. Głos miał piękny, męski, trochę nosowy, ale niesamowicie sugestywny i pociągający. Kiedy milknął, pokój stawał się jakby mniejszy, światło przygasało, a Róży robiło się chłodniej. Pragnęła jego żaru.

Z drugiej strony, mimo swady z jaką roztaczał arkadyjską wizję przyszłości, nie potrafiła zapomnieć swoich doświadczeń z sowieckim rajem.

Kiedy bolszewicy wkroczyli do Białegostoku z dnia na dzień zniknęły towary i ludzka życzliwość, pojawiły się za to bród, kolejki, chamstwo i strach. Towarzyszyły im trwożne opowieści o nocnych aresztowaniach i wywózkach, opisy gwałtów i zbrodni. Czy były to tylko, jak twierdził „Profesor”, „grzechy i wypaczenia okresu przejściowego”?

Za oknem miasto ucichło, z rzadka ulicą przejechała policyjna buda, czy patrol motocyklowy. Słuchając głosu Delkacza, samego głosu, nie poszczególnych słów, te wraz ze zmęczeniem i alkoholowym upojeniem przestały mieć większe znaczenie, czuła się dobrze, lekko, przyjemnie. Można nawet powiedzieć, że odczuwała swoiste podniecenie.

– Zmęczona? – mimo monologowania „Profesora” dostrzegł wreszcie coraz częściej opadające powieki dziewczyny.

Pokiwała głową. Na otwarcie ust po prostu nie było jej stać.

– Przesadziłem z pierwszą lekcją – uśmiechnął się po ojcowsku. – Pora spać, weź kąpiel i do łóżka!

Z rozkoszą wypławiła się w ogromnej wannie. Umyła włosy, „gościnną” szczoteczką wyszorowała zęby. Po powrocie do gabinetu zastała posłaną kozetkę i obok lampę z zielonym abażurem roztaczającą intymne światło. Ani śladu Delkacza. Żadnych odgłosów z pozostałych pomieszczeń domu. Odczuła coś w rodzaju zaskoczenia. Potem odrobinę podziwu, na koniec jakby żalu. „Czyżbym się mu nie podobała?”

Nie doceniła „Profesora”. Zjawił się koło trzeciej. Czyżby aż tak długo bił się z myślami? Na wpół uśpiona zorientowała się, że przyszedł na moment przed tym, jak odrzucił okrywający ją pled. W trakcie snu koszulka nocna (jedwabna i pachnąca – pewnie najlepszy ciuch z bieliźniarki żony) podwinęła się tak, że w ogóle nie musiał jej poddzierać. Najpierw poczuła jego oddech, potem delikatne pocałunki, po brzuchu, udach, na koniec do akcji włączył się jego język, który zatańczył wokół pępka, potem podążył niżej... Nie ośmieliła się drgnąć. To znaczy ośmieliła się, po pewnym czasie. Kiedy zagłębił się w jej runie, rozszerzyła gościnnie nogi ułatwiając dostęp do interesującego go zakątka. Teodor tymczasem nie śpieszył się, otwierał ją delikatnymi, spowolnionymi ruchami, smakował, poszerzał, zagłębiał, dalej i dalej. Po raz pierwszy straciła panowanie nad sobą. Może dlatego, że nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego. Nie mogła opanować swego oddechu, tak jak on nie tłumił pomruku rozkoszy.

– Chodź, chodź! – zawołała.

Soki puściły, a jednocześnie runęła ostatnia tama wstydu i skrępowania. Jęcząc, wiała się na wąskiej kozetce, nie mogąc się doczekać kiedy spadnie na nią, rozedrze, dotrze do najdalszych granic. Nic z tego! Nadal penetrował ją wyłącznie językiem, ruchliwym jak koliber i długim jak wąż. Aż naraz jęknął, i poczuła jak jej stopy oblewa gorące nasienie.

Spodziewała się pocałunku, paru słów.

Nie doczekała się.

Rozległ się dźwięk bosych stóp na podłodze, skrzypnięcie drzwi. I gdzieś z któregoś z pobliskich podwórek żalosse wycie psa.

* * *

Głupia sprawa. Ocknąłem się niebywale podniecony, tak jakby przeżycia matki były moim osobistym udziałem. Obok, oddychając równo i zdrowo, spała Marta, pachnąca swym na wpół dzieciennym aromatem. Była naga. Przejechałem dłońmi po jej ciele tworzącym nieomal idealną sinusoidę. Wgięcie nóg, atlasowa pupcia, plecy i kark ukryty pod burzą włosów. Uniosłem je i pocałowałem ją w ten karczek. Mruknęła coś sennie, ale jej ciało drgnęło, gotowe natychmiast mnie przyjąć. Uda rozluźniły się. Wszedłem w nią mocno, głęboko, jednym sztychem, zapominając o przeszłości i przyszłości, z dziwnym przeświadczeniem, że tak dobrze jak teraz już mi nigdy nie będzie. Nadal spała. A może tylko udawała, że śpi, wiedząc, jak to mnie rajcuje.

Rano, punktualnie o dziesiątej, zawiozłem Martę na spotkanie z Witkowcem. Sam miałem udawać fotoreportera, chociaż komatant musiałby być naprawdę ciężkim frajerem, aby uznać turystyczny Zenith E za profesjonalny sprzęt pracownika „Żołnierza Wolności”. Zatrzymaliśmy się u wylotu uliczki stromo wspinającej się na wzgórze.

– Jedź dalej – syknęła mi w ucho Marta.

Nie była to potrzebna sugestia. Równocześnie z nią dostrzegłem przed niezgrabnym domkiem pod numerem ósmym grupę gapiów i karetkę pogotowia. Mógł to być przypadek, ale nie musiał. Zaparkowałem fiata w bezpiecznej odległości i pieszo podeszliśmy pod dom. Pogotowie właśnie ruszyło na sygnale, a ludzie nieśpiesznie zaczęli się rozchodzić.

– Wypadek? – Marta zagadnęła zażywną jejmość, kierującą się ku sąsiedniej posesji.

– A tam zaraz wypadek. Pan Ignacy wylewu dostał. I tyle. Szczęściem zdążył jeszcze zadzwonić do mnie. Nie mogłam nic zrozumieć, bo tylko coś bełkotał, ale głos poznałam... Szybko wezwałam pogotowie. Nie wiadomo czy przeżyje, nieboraczek. Tak to jest na tym świecie. Wczoraj śliwki w sadzie zbierał, a dziś jego zabrali...

– Sam mieszkał?

– Pewnie, że sam. Odkąd żona go obumarła w sześćdziesiątym szóstym samiutki był jak palec. Ale jakoś nikogo na stancję do domu wziąć nie chciał. Odludek taki. A ty, dziecko, dlaczego pytasz? Ty chyba nietutejsza?

– Jestem z kroniki wypadków „Głosu”...

– Szybko coś przyjechałaś?

– Byłam w pobliżu, zobaczyłam karetkę pędzącą na sygnale...

– Tak trzeba. Dziennikarz musi mieć instynkt – pochwalił staruszek o długiej szyi z obwisłą grdyką, wypisz wymaluj marabut. Od dłuższej chwili przysłuchiwał się rozmowie. – W jego wieku każdego może to spotkać.

– Poszkodowany nazywał się Ignacy...? – Marta wyciągnęła przygotowane zawczasu notes i długopis.

– Witkowiec.

– Emeryt?

– Ma się rozumieć...

– A nie wiedzą państwo, gdzie wcześniej pracował?

– Gdzieś przy wojskowości. Ale kto go wie gdzie, od kiedy pamiętamy zawsze był na rencie. W każdym razie mówić o tym nie chciał.

– Ale zawsze trzymał się po wojskowemu. Chociaż kaleka! – dorzuciła jejmość. – Nogę miał krótszą, ale niewiele mu to przeszkadzało. Nawet dziś maszerował jak złoto.

– Dziś? Widzieli go państwo?

– Pół godziny przed nieszczęściem. Dobrze mówię, Marian?

– Dobrze – pochwalił „marabut”. Musiał w sklepie być, bo siatkę niósł i gazety kupił. Co rano kupował gazety. Taki był.

Więcej się nie dowiedziała. Zresztą od dłuższego czasu mrugałem na nią, sygnalizując by kończyła rozmowę. Nie podobała mi się czarna wołga, która od dłuższego czasu parkowała po drugiej stronie ulicy, a żaden z jej dwóch pasażerów nie kwapił się z wysiadaniem.

Ruszyliśmy w górę uliczki. Marta szybko zrelacjonowała mi, czego się dowiedziała. Byłem więcej niż zaniepokojony. Nagły wylew u Witkowca, na krótko przed umówionym spotkaniem wyglądał wyjątkowo podejrzanie.

– Czyżby takich emocji dostarczyła mu sama myśl o spotkaniu z prasą? – zastanawiała się moja dziewczyna.

– A może z kimś się spotkał dziś rano? – włączyłem się z własnymi hipotezami. – Może wpadł do kogoś, kto poczęstował go herbatką lub kawą... Albo ktoś w nocy zmienił jego pastylki przeciw miażdżycy. Czytałem, że są środki mogące dość szybko wywołać wylew lub zawał. Podobno dość chętnie stosuje je KGB...

– Daj spokój, KGB w Świebodzicach?

Tak czy siak nasz dalszy pobyt w miasteczku nie miał większego sensu. Było dla mnie jasne – Witkowiec nawet jeśli przeżyje, szybko zeznań nie złoży. Aby szukać ewentualnego zamachowca, mimo że Marta miała na to wielką ochotę, nie mieliśmy ani sił ani środków.

– Zmywamy się – zdecydowałem. – Nic tu po nas. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

– Boisz się?

– Chyba żartujesz! – zaśmiałem się nieszczercze. – Czego miałbym się bać?

Wkrótce miałem okazję się przekonać, jak bardzo była to mylna opinia.

Zaraz za miastem przylepiła się do nas wielka ciężarówka marki Kamaz. Jej kierowca, we wstecznym lusterku dostrzegałem jedynie wielkie wąsiska przypominające dwa wiechcie słomy i czapkę mocno naciśniętą na oczy, wydał mi się człowiekiem nadzwyczaj towarzyskim, bo niezależnie od mego postępowania trzymał się naszego fiacika w odległości zaledwie paru metrów. Kiedy przyspieszałem, wąsaty szedł w moje ślady, gdy zwalniałem, kamaz czynił to samo. Taka zabawa bardzo szybko mi się zanudziła, w Świdnicy energicznie skręciłem do centrum, w niezłym tempie przejechałem kilka krętych i wąskich uliczek poczym wyjechałem na boczną drogę w stronę Dzierżoniowa.

– Trochę nadłożymy drogi, ale ten „budionny” przestanie się ze mną bawić – powiedziałem do Marty.

O naiwny! Kamaz dogonił nas po zaledwie kilkunastu kilometrach. Zabawa toczyła się w najlepsze, tylko ryk silnika potężnej maszyny z każdą minutą stawał się bardziej nieprzyjemny. Zdenerwowany wypatrzyłem mały placyk przed sklepem GS-u, gwałtownie wyrzuciłem kierunkowskaz, zjechałem na błotnisty pasek gruntu by zatrzymać się z impetem.

– Ciekawe, co teraz zrobi, mądrala? Więcej miejsca na zaparkowanie tu nie ma.

Kamaz prawie nie zwolnił. Minął GS i pognał dalej, dając na pożegnanie mocny sygnał klaksonem. Oczekaliśmy z kwadrans, Marta schrupała jakieś herbatniki, ja wypilem butelkę ciepłej oranżady. I ruszyliśmy dalej.

– A jeśli będzie na nas czekać? – niepokoila się Marta.

– Daj spokój, dlaczego niby miałby czekać? – odparłem bagatelizująco. Jednak przez następnych dwadzieścia minut byłem spięty i uważnie rozglądałem się dookoła. Ani śladu. Tuż za Dzierżoniowem wybrałem drogę na Łagiewniki, wąską, pełną dziur, za to absolutnie pustą.

– Patrz! – krzyknęła naraz dziewczyna.

Kamaz pojawił się nagle na szczycie wzgórza, pędził prosto na nas, środkiem szosy.

– Cholera! – dałem sygnał klaksonem, ale był to dźwięk porównywalny z piskiem przerażonej myszy. Pobocza nie było. Z jednej strony kamienny mur oddzielał nas od jakiegoś strumyka, z drugiej

strony piętrzyła się ściana wzgórza.

– Koniec – przemknęło mi. Szarpnąłem kierownicę, zjeżdżając maksymalnie na prawo. Słyszałem jak karoseria trze o gałązki krzaków wystające sponad murku i zamknąłem oczy.

Ze wściekłym łoskotem kilkanaście ton rozpędzonego metalu przeleciało obok nas, wicher, niczym trąba powietrzna, szarpnął maluchem, podniósł się kurz... I nic się nie stało. Tylko po kilkunastu sekundach dobiegł nas pożegnalny klakson.

– On się śmiał – zawołała Marta, która do ostatniej chwili nie przytknęła powiek. – Zarobił sobie z nas zabawę. Skubaniec!

Nie skomentowałem. Otarłem pot, wyszedłem na miękkich nogach z wozu i zwymiotowałem do strumyka. Doskonale rozumiałem, że nie była to żadna zabawa, tylko kolejne bardzo poważne ostrzeżenie.

Rozpoczęcie nowego roku szkolnego w naszym ogólniaku oznaczało dla mnie zmianę na gorsze – powrót do rutyny codziennych porannych wstawiań, do pracowitych przedpołudni, spędzanych w brzydkim, betonowym gmachu „tysiąclatki”, która jak pudło rezonansowe wznagała hałas rozsadzający korytarze. Ten gwar z każdą dużą przerwą wydawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Zastanawiałem się nieraz ze starszymi kolegami nauczycielami, czy myśmy też byli tacy wrzaskliwi w młodości, czy tylko nasze uszy stały się bardziej czułe.

Zmieniła się też i to radykalnie atmosfera panująca w budzie. Dyrektor Wernicki, przed wakacjami dziwnie zmalował i ustępliwy, teraz zhardział, a objętościowo jakby się powiększył. Nie był już tym samym przestraszonym, niepewnym dnia ani godziny człowieczkiem, tylko z tygodnia na tydzień coraz bardziej pewnym siebie oficerem frontu oświatowego. Odnosiłem wrażenie, że negatywnej przemianie ulegali nie tylko moi koledzy, ale także ludzie spotykani na ulicach. Poszarzeli jakoś, tak jakby odchodzące lato zabrało im dotychczasowe barwy. Stali się bardziej nerwowi, zastraszeni. Gwoli ścisłości wyznam – nie zauważyłem tego od razu. Zajęty swoimi sprawami, nie dostrzegałem codziennych zmian wokół, tym bardziej, że zachodziły stopniowo. Inna sprawa, sam też coraz częściej bywałem w złym humorze. Śledztwo w sprawie moich korzeni utknęło. Choroba (?) Witkowca oznaczała definitywny supel na nitce, która, gorąco liczyłem, miała doprowadzić mnie do kłębka. Nie odpisał mi profesor Kutner, a może tylko poczta zgubiła list. To zdarzało się ostatnio dość często. Jedyne pani Ruczajska, którą odwiedziłem z początkiem września, dodawała mi otuchy. Zaofiarowała się nawet napisać do syna. W odróżnieniu ode mnie zdecydowanie nie ufała Poczcie Polskiej. Pękate pismo (były tam jeszcze jakieś wycinki i fotografie) miał wziąć ze sobą jakiś znajomy wybierający się za granicę. W liście, którego fragment mi odczytała, prosiła syna o wszystkie informacje jakie mógł mieć w sprawie Podlaskiego, sugerowała też, aby w miarę możliwości nawiązał kontakt z Karlem Pollerem. Spisała serię pytań, które chciałem zadać pierwszemu kochankowi matki, twierdząc, że na ile zna Piotrusia, wykopie byłego reichsdojczca choćby z podziemi i wycisnie go jak cytrynę.

– Tylko to może potrwać – zastrzegła.

– Jestem cierpliwy – oświadczyłem.

Największa przykrość spotkała mnie jednak z zupełnie innej strony. Po paru dziwnych telefonach zdałem sobie sprawę, że Jurek Stręczyński zaczyna mnie traktować jak gorący kartofel lub, co gorsza, śmierdzące jajeczko. Początkowo tak chętny do współpracy, przez dwa tygodnie września nie znalazł dla mnie minuty czasu, wymawiając się ogromem zajęć. Później w pracy przestał odbierać telefony, jego koleżanka z pokoju podnosząc słuchawkę, a dzwoniłem codziennie, za każdym razem zapisywała mój numer i obiecywała, że pan Jerzy oddzwoni, odezwie się „jeszcze dziś, najpóźniej jutro”. I nic. Nie oddzwonił ani razu. Łapany w domu rozmawiał półgłosem, z niechęcią, a propozycji spotkania na mieście wywijał się jak mógł. Dociskany kolanem wyznaczał mi terminy, które w ostatniej chwili odwoływał.

– Zastraszili go – sugerowała Marta. – Tylko dlaczego?

– Sam chciałbym wiedzieć.

Zmiana postawy historyka oznaczała dla mnie brak dostępu do dokumentów z przeszłości. Co gorsza również w bibliotece na Koszykowej zaostrożono przepisy i odcięto mnie od prohibitów, które dotąd pani Krysia udostępniała mi „na słowo”.

Jakby tego było mało, w całym kraju wszystko szło ku gorszemu. Zimna wojna rządu z „Solidarnością”, którego czołowymi eksponentami stali się wicepremier Rakowski i rzecznik Urban stała się faktem. Obaj renomowani dziennikarze z redakcji „Polityki”, do niedawna uznawani za liberałów i nadzieję polskich reform, teraz licytowali się z partyjnym betonem na inwektywy wobec zrewoltowanego społeczeństwa.

– Nie ma najmniejszej woli porozumienia – skomentował stanowisko władz Rysio Adamski, którego zastałem w Regionie po powrocie z kolejnej konferencji Jerzego Urbana. – Oni nas po prostu nienawidzą – dorzucił. – Z trudem maskują rządzą unicestwienia Niezależnego Związku.

– Może się po prostu boją? – usiłowałem zrozumieć ich stanowisko. – Zresztą wcale się im nie dziwię. Są pod dwustronną presją: Moskwy i partyjnej konserwy.

Rozmawialiśmy nazajutrz po zakończeniu pierwszej tury zjazdu „Solidarności”, której najbardziej spektakularnym aktem było „Posłanie do narodów Europy Wschodniej”. Liczni komentatorzy uznali tekst za nieodpowiedzialne szarpanie białego niedźwiedzia za wąsy.

– Sam zastanawiam się, czy nie była to umiejętnie wrzucona prowokacja – martwił się Adamski.

– A może wizjonerski krok rzutujący na przyszłość? – zaryzykowałem. – Wyciągnięta ręka do naszych sąsiadów ponad głowami ich rządów...

– Żeby jeszcze ktoś kiedykolwiek w Sajuzie dowiedział się o tej inicjatywie... – Od pewnego czasu w głosie młodego działacza Związku pobrzmiwała gorycz. Gdzież podział się ów młodzieńczy entuzjazm z początku roku? A jeśli takie nastroje pojawiły się w centrali, co myśleć o reszcie kraju?

Afera w szkole wybuchła w poniedziałek, wczesnie rano. Jeszcze przed pierwszą lekcją przybiegła do mnie zapłakana profesor Wierzchowska, nauczycielka historii, przezywana przez młodzież „królową Boną”. Stara panna była zrozpaczona – kółko historyczne, jej oczko w głowie, przygotowało wystawę z okazji wybuchu II wojny światowej. Dyrektor początkowo sprzyjający inicjatywie, kiedy tylko dowiedział się, że znaczną część ekspozycji mają wypełnić plansze i zdjęcia dotyczące inwazji radzieckiej z 17 września 1939 roku, zabronił udostępnienia klucza od gabloty na korytarzu. Wierzchowska zebrała eksponaty w swojej szafce, negocjując przeniesienie wystawy do sali katechetycznej w miejscowej parafii. Niestety, podczas weekendu ktoś wyłamał drzwi szafki, a wszystkie materiały, plon dwutygodniowej pracy młodzieży, zniknęły.

– Przecież wiadomo kto to zrobił! – lamentowała „królowa Bona”. – W szkole po lekcjach oprócz woźnej był jeszcze pan Bolek.

– To jeszcze żaden dowód – uspokajałem ją. – Mógł to zrobić ktoś inny.

– Ale ten ktoś musiał mieć klucz! Zamek do mojej klasopracowni nie został naruszony.

– Była pani z tym u dyrektora?

– Nie chciał ze mną gadać. A kiedy trochę się uniosłam, zaczął mi grozić, że nie potrzebuje w swojej szkole „rozrabiaczy!”. Tak mi powiedział! Po trzydziestu pięciu latach w szkolnictwie.

– Spokojnie, nie damy pani skrzywdzić – tu wykonałem ruch jakbym chciał przytulić przeraźliwie chudą nauczycielkę o wystających zębach bobra, który nigdy nie odwiedzał stomatologa, jednak ta, na moje szczęście, cofnęła się o krok. – „Solidarność” stanie za panią murem!

Pomyliłem się. I to okrutnie. Moja związkowa następczyni Danuta Langmann vel „Chemica” skrytykowała pomysł indywidualnej akcji w obronie koleżanki. Inni nauczyciele też nie byli skłonni do osobistego zaangażowania. W efekcie poszedłem do dyrektora sam.

– Bardzo cenię sobie waszą opinię, panie kolego, ale przyznajcie, że jest to typowa sytuacja, którą można określić ludowym porzekadłem „z małej chmury wielki deszcz” – zaczął Wernicki. – Nic wielkiego przecież się nie stało. Profesor Wierzchowska trochę nieodpowiedzialnie usiłowała wmieszać młodzież do polityki, co w obecnym klimacie rozchwiania nastrojów nie jest zbyt trudne. Jednak do najgorszego nie doszło. Problem nie wyszedł poza mury szkoły. Nikomu nie stała się krzywda. Ja jestem gotów zapomnieć...

– A co młodzieżą, z ich zapalem, z wykonaną pracą?

– Koleżanka Wierzchowska może uwzględnić ich wysiłek w ocenach na półroczu... A zapal przyda się podczas listopadowej ekspozycji...

– Poświęconej Rewolucji Październikowej?

– To naprawdę niepotrzebna ironia, panie kolego – dyrektor zaplótł na brzuchu swoje przykrótkie rączki. – Miałem na myśli powstanie listopadowe, a także rocznicę odzyskania niepodległości przez naszą Ojczyznę w tysiąc dziewięćset osiemnastym... A co się tyczy pani Ani, są niestety poważne naciski z kuratorium...

– Chyba pan jej nie zwolni?

– Zrobię wszystko, żeby czegoś takiego uniknąć. Wie pan, jakie mam zasady w stosunku do zespołu – „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, jednak gdyby problemy jej... specyficznego wpływu na młodzież miały narastać, być może należałoby rozważyć kwestię jej przejścia, od przyszłego roku, na wcześniejszą emeryturę...

Krew napłynęła mi do głowy.

– Nie robi pan tego! – zawołałem. – Ta praca to jej całe życie!

– Z pewnością nie zrobię, jeśli nie będę musiał! – dyrektor nawet nie podniósł głosu. – Jak pan mógł się przekonać, jestem bardzo tolerancyjny. Przymykam oczy na wiele spraw. Zwłaszcza gdy kogoś cenię i... – utkwiał swoje wylupiaсте, żabie oczka w moim torsie, w oczy jakoś nie patrzył – ...osobiście lubię.

– Może, pan dyrektor, z łaski swojej wyrażać się jaśniej?

– Jeszcze jaśniej? A bardzo proszę, panie kolego. W szkole obowiązują pewne kanony, być może przestarzałe, jednak obowiązują i będą obowiązywać. Na przykład w kwestii osobistych relacji pedagogów i ich uczennic, nawet jeśli te obecnie uczą się już w innej placówce.

* * *

– Skurwysyn, wie o nas! – powiedziałem Marcie, kiedy jeszcze tego samego dnia spotkaliśmy się u niej na poddaszu. – Ktoś musiał widzieć nas raz, donieść o tym... Musimy być bardziej ostrożni.

– To znaczy?

– Na przykład nie umawiać się w miejscach publicznych.

– Przecież od dawna nie umawiasz się ze mną w miejscach publicznych, Maciusiu, tylko cichutko rzniesz, tu na mansardzie – odparła z goryczą. – Ale nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Jest przecież prościuteńki problem rozwiązania twoich kłopotów.

– Mianowicie?

– Ożeń się ze mną!

Bardzo nie lubiłem takich tekstów.

– Wiesz, że to niełatwe – mruknąłem.

– Ale teraz chyba nieuniknione.

Ostatecznie do żadnej wielkiej awantury w szkole nie doszło. Dyrektor obiecał nie podejmować żadnych działań przeciwko „królowej Bonie” i to przyrzeczenie przedstawiłem Wierzchowskiej jako swe osobiste zwycięstwo. Nauczycielka pogodziła się z utratą wystawy. Jedyne pan Bolo, za każdym razem kiedy spotykał się ze mną na korytarzu czy w pokoju nauczycielskim, uśmiechał się coraz bezczelniej.

Tymczasem moje śledztwo utknęło na dobre. W opracowaniach, do których dotarłem, udało mi się znaleźć jeszcze kilka marginalnych wzmianek na temat „Marii Kaczmarek” (jedno niewyraźne zdjęcie kobiecej postaci z drugiego szeregu mogło sugerować, że znajdowała się w delegacji polskich komunistów, którą w końcu 1944 roku przyjął na Kremlu Stalin), żadna jednak z tych poszlak nie przybliżała znalezienia odpowiedzi na pytanie – czyim synem był Maciej Podlaski, i dlaczego tak zakamuflowano tę prawdę i najwyraźniej bano się jej po dziś dzień.

– A może jesteś synem samego Stalina? – pokpiwała Marta.

– Oszalałaś, czy ja wyglądam jak dziobaty Gruzin?

Z braku nowych źródeł ostatnie nadzieje łączyłem z moimi snami, z których bez żadnej regularności, ale z niezmiennym zachowaniem chronologii, dowiadywałem się o losach mojej matki. W miarę możliwości precyzyjnie zapisywałem wszystko tuż po obudzeniu, a później czytałem mojej młodej kochance.

– Nie wierzę ci w te sny, ty to wszystko zmyślasz – powtarzała. – Po prostu piszesz sobie powieść sensacyjną.

– Ależ Martusiu, przysięgam...

– Nie jest możliwe zapamiętanie aż tylu szczegółów, miejsc, nazwisk, dialogów. Ja, nawet jeżeli coś mi się śni, nigdy nie pamiętam co to było.

– Bo ich nie notujesz. Spróbuj choć raz zapisać sen tuż po obudzeniu.

Spróbowała. I była wstrząśnięta. Długo nie chciała zdradzić, co to było. Wreszcie któregoś wieczora pękła.

– To był naprawdę okropny sen. Śniłam, że cię straciłam.

– Umarłem?

– Nie. To nie był tak.

– A jak?

– Zapamiętałam mój strach o ciebie. Wiem, że szukałam cię, choć nie wiem po co. Biegałam po pustym, ośnieżonym mieście, pełnym czołgów i żołnierzy grzejących się przy piecykach z koksem, wszystkim pokazywałam twoje zdjęcie i pytałam. Ale nikt cię nie widział!

– Przestań się przejmować zabobonami! Sny przeważnie sprawdzają się na opak. Sen o czyjejś śmierci to gwarancja długiego życia dla bohatera snu. Ja sam w początku lat sześćdziesiątych, a szczególnie podczas kryzysu kubańskiego, obsesyjnie śniłem o wojnie, atomowej zagładzie, a chwalić Boga do dziś żyjemy. Po prostu bardzo często majaki tego typu są projekcją naszych fobii i codziennych problemów.

– A twoje odcinki z życia matki? Sam mówisz, że nie jest to proste przetworzenie danych, które zdobyłeś z normalnych źródeł.

– To prawda, nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć. Jeśli wykluczyć możliwość istnienia czegoś takiego jak pamięć genetyczna, pozostaje mi tylko super fantastyczna interpretacja, że gdzieś z zaświatów moja mama, której nigdy nie poznałem, opowiada mi swoje życie.

Mecenas Delkacz nie skomentował nocnych igraszek ze swą protegowaną. Kiedy wstał świt i gospoia (chmurna i czemuś wściekła) przygotowała mu śniadanie, zaprosił Różę Kupidłowską do stołu i traktował jak normalnego gościa, który zaskoczony przez godzinę policyjną musiał spędzić noc pod wspólnym dachem. Nie pozwolił sobie wobec niej na najmniejszą poufałość. Można powiedzieć – nic się nie stało. Po śniadaniu wysłał ją z jakimś listem na bazar na Polną, gdzie miała przekazać świstek papieru pewnemu chłopu. Wykonała zadanie. I jej życie potoczyło się – dalej jak gdyby nigdy nic. Nadal mieszkała u Stasiaka, jednak co drugi dzień meldowała się u mecenasa. Niewprowadzana w szczegóły pełniła zadania kuriera, dziwiąc się niekiedy osobom, z którymi przychodziło się jej kontaktować. Raz na Warszawie Zachodniej musiała odbierać przesyłkę od kolejarza z Berlina, kiedy indziej odwiedziła mieszkanie na Hożej, w którym przywitał ją mówiący słabo po polsku Niemiec. Przez chwilę miała nogi jak z waty, ale Szkop potraktował ją miło, poczęstował prawdziwą pomarańczą, a na odchodne wymierzył klapsa w kształtny pośladek. Czy kontakty te miały charakter „handlowy”, czy jakiś inny, nie próbowała dociekać. Teodor przy jakiejś okazji udzielił jej generalnej dyrektywy – „robić jak najwięcej, wiedzieć jak najmniej” i postanowiła się tego trzymać. Jeszcze parokrotnie zdarzało się jej nocować w mieszkaniu na Kruczej. Tu scenariusz powtarzał się. Adwokat odwiedzał ją w nocy i pieścił. Kolejnym razem zapragnął skończyć w jej ustach. Potraktowała to życzenie jako rzecz normalną. Zresztą mało uciążliwą. W porównaniu z ogromnym instrumentem Pollera, „Delkacz junior” był raczej niewielki, pękaty, o słabych możliwościach wzrostowych. Nie miał też szczególnych aspiracji poznawczych. Ani razu nie zbliżył się do łona dziewczyny. Podobnie zresztą jak jego pan. Dając upust temu, co uznawał wedle własnych słów „za zwierzęcą część ludzkiej natury”, „Profesor” nie pragnął uczuciowego zbliżenia. Może był do niego niezdolny. A co do seksu „po Bożemu”? Kiedyś, kiedy już zaczęli rozmawiać o tym swobodniej, wyznał szczerze, że nie odczuwa potrzeby przekazania swego biologicznego wzorca dalszym pokoleniom. Podobno miał tu w Warszawie dorosłe dzieci: córkę i syna. To wyraźnie mu wystarczało. Nie zamierzał zaludniać świata swymi mniej lub bardziej udanymi replikami. Może zresztą nazbyt dobrze wiedział, jaki Nowy Wspaniały Świat mógłby ich czekać.

Z tego na ile rozumiałem moja matkę, w zasadzie odpowiadał jej taki układ – nie potrafiłaby pokochać tej emocjonalnej bryły lodu. Jednak nie narzekała. Seksualnie zaspokajana za każdym razem, mogła też nie obawiać się ciąży, co tak bardzo przerażało ją podczas kontaktów z Pollerem. Po każdym zbliżeniu z Karlem poddawała się drobiazgowym irygacjom (na bazarze nabyła nawet specjalne urządzenie), a potem oczekiwała na kolejną miesiączkę, jak dzieci na Świętego Mikołaja.

Oczywiście, pominiawszy rzadkie spotkania z „Profesorem”, nadal dokuczała jej samotność. Nie potrafiła się zaprzyjaźnić ani z tępawą, wiecznie czymś przestraszoną Stasiakową, ani z jej mężem, aż nudnym w swoim wojującym antyklerykalizmie. Trudno o coś bardziej nieznośnego niż apodyktyczny samouk, który na każdy temat wygłasza opinie, tonem jakby pozjadał wszystkie rozumy. Czuła ogromną ochotę odwiedzenia swojej rodziny, zwłaszcza siostry. Jednak „Profesor”, którego zapytała o zdanie, zdecydowanie jej odradził. Myślała, że chodzi o dobro konspiracji i bezpieczeństwo pozostałych Kupidłowskich. Ja obserwując to z trochę innej perspektywy, miałem zdecydowanie inną teorię. Delkaczowi zależało, aby mieć nad moją mamą kontrolę absolutną. Bo nie ulega wątpliwości, że Róża była cały czas kontrolowana, Stasiakowie pilnowali, żeby nie zaprzyjaźniła się z nikim z sąsiedztwa, po każdym zadaniu w mieście musiała składać dokładny

raport.

W połowie listopada 1941 roku świat wstrzymał oddech. Rozpoczęły się walki na przedpolach Moskwy. Wedle komunikatów niemieckich, powtarzanych przez gadzinowego „Kuriera” upadek Stolicy ZSRR był kwestią godzin. Oficjalne wiadomości uzupełniała stugębna plotka. Mówiono, że Stalin uciekł na Syberię, inni równie dobrze poinformowani twierdzili, że został obalony przez grupę generałów, a w tajemnicy negocjowany jest układ pokojowy między ZSRR a Trzecią Rzeszą. Delkacz, choć starał się tego nie okazywać, chodził wyraźnie przygnębiony. Czyżby zwątpił w niezłomność centrum światowego komunizmu? Jednak skończył się listopad, a hakenkreutz jakoś nie załopotał nad Kremlem. Mijały kolejne dni, oczekiwanie na kapitulację przedłużało się. Zaczęto mówić o sowieckim przeciwnatarciu. Potem z Londynu dotarła wieść o japońskim ataku na Pearl Harbour i o przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych. W kolejkach i tramwajach komentowano to jednoznacznie: nareszcie następuje przełom, z Ameryką faszyci nie wygrają. Pojawiły się nawet wieści o odwróceniu Niemców spod Moskwy. Około Bożego Narodzenia opinia, że to ostatnia zima tej wojny, stała się wśród Polaków dominująca.

Mimo tych nadziei bożonarodzeniowe święta upłynęły Kupidłowskiej wyjątkowo smutno. U Stasiaków gardzono tradycją – opłatkiem, kołędami, a nawet życzeniami. Dobrze chociaż, że pozwolono jej pójść do kościoła.

Dwudziestego dziewiątego grudnia zgodnie z wcześniejszą umową stawiała się u mecenasa. Zastała go rozpromienionego. „Przyjaciele wylądowali” – powiedział. Nie miała pojęcia o co chodzi.

* * *

Ta sekwencja mojego snu przypominała poważnie prześwietlony film. Nadmiar bieli powodował wrażenie zupełnej nierealności. Moja matka wysiadła z zatłoczonej kolejki na stacji Radość (sam jako dziecko przejeżdżałem często przez tę osadę w drodze do Świdra). Brnąc po śniegu ścieżkami wśród zagajników i koślawych chałupek, Róża dotarła na miejsce. Celem okazał się drewniak w stylu laubzegowym. Zastukała. Początkowo długo nikt nie otwierał, wreszcie jakiś kobiecy głos zapytał: „Czego?”.

– Ja od „Profesora” do „Starego” – odparła.

Drzwi się otworzyły, jakaś starsza kobieta zaprowadziła ją do izby, w której przy rozpalonym piecyku grzało się trzech mężczyzn. Wszyscy z bronią na widoku. Popatrzyli na nią pytająco.

– Miałam dostarczyć dokumenty – powiedziała, wyciągając z zanadrza niewielki pakiet. – Niestety na razie są kłopoty z pieniędzmi...

– Pieniądze to żaden problem – odparł krótko ostrzyżony czterdziestolatek o wydatnych ustach i zdecydowanym wejrzeniu czekisty. Rozpakował zawiniątko i podał kenkarty drugiemu, półleżącemu na wyrku. Dopiero teraz zobaczyła grubo zabandażowaną kończynę.

– Złamałem nogę przy skoku – wyjaśnił niepytany. Z jego bladą twarzą kontrastowały ciemne włosy i dość gęste brwi.

Moja mama nie miała pojęcia z kim ma do czynienia. Jeśli idzie o mnie już w pierwszej chwili rozpoznałem obie twarze powielane do znudzenia we wszystkich komunistycznych podręcznikach do historii. Pierwszym z rozmówców był Paweł Finder, tym kontuzjowanym zaś Marceli Nowotko.

* * *

Ten ostatni sen przesądził, że postanowiłem zmienić charakter mego pamiętnika. Dotąd w moim zeszycie notowałem jedynie na gorąco ważniejsze fragmenty sennych majaków. Za każdym razem kiedy się obudziłem, człapałem do kuchni, by tam sporządzać notatki. Jeśli z jakiegoś powodu nie mogłem ich zapisać, powtarzałem sam sobie głośno to, co widziałem i słyszałem, aby w ten sposób utrwalić treść przekazu. Teraz zdecydowałem się to wszystko uporządkować. Nabyłem kolejny brulion, gruby, pokryty imitacją skóry, i zacząłem w każdej wolnej chwili przepisywać wszystko raz jeszcze. Zamieniałem równoważniki zdań i suche punkty w to, co być może w tej chwili ktoś czyta. Nie wiem kim jesteś nieznany czytelniku, moim potomkiem, badaczem z archiwum, funkcjonariuszem...? Nie wiem, bo sam nie mam jeszcze pojęcia co z tym zrobię, czy w ogóle dobrnę do końca. Inna sprawa, czy kogokolwiek zainteresuje moja rekonstrukcja. I czy nie uzna tego za jedną wielką konfabulację?

Od pewnego czasu jedynym odbiorcą mojej historii jest Marta. Czytam jej głośno całe partie tekstu, a ona wysłuchuje kolejne epizody. Zrazu przystała na to, chyba tylko dlatego, żeby sprawić mi przyjemność (historia interesowała ją mniej niż średnio), potem jednak sama wciągnęła się w akcję.

– Niezły numerek był z twojej mamusi – skomentowała. – Nie oszczędzała swej dupci dla nikogo.

– Chciała przeżyć.

– Kto by nie chciał? Ale chyba nie musiała się pieprzyć na prawo i lewo. Widocznie po prostu to lubiła...

– Nie wolno ci tak mówić. Przestań!

Nie było dnia, żebym zamknąwszy już brulion, nie usiłował zrozumieć postępowania mojej matki. Zachodziłem w głowę, dlaczego wdepnąwszy w to podejrzane towarzystwo, nie próbowała się z niego wydostać. Nie czuła się przecież komunistką. Niestety, mimo że tak często nawiązywałem z nią kontakt, nie byłem w stanie zgłębić jej myśli. A może nie życzyła tego sobie. Co do motywów – przypuszczam, że się po prostu bała. Może wzięła sobie do serca zdanie Stasiaka, który przyuważał ją raz gdy rozmawiała z młodym chłopakiem z sąsiedztwa. Od pewnego czasu Jacek Marczak kiedy tylko widział ją w obejściu przystawał przy płocie i wymieniał z nią parę słów. Jej gospodarz bardzo szybko zareagował na te pogawarki.

– Nie powinnaś gadać z tym Marczakiem. Szpieguje nas!

– Niemożliwe.

– A moim zdaniem to wręcz pewne. To przecież czystej wody sikorszczak. Faszysta.

– Faszysta? Przecież oni także walczą z Niemcami.

– E tam, walczą! Mają rozkaz stania z bronią u nogi. Kiedyś zrobimy z takimi jak on porządek. A tobie tylko tego potrzeba, żeby cię wzięli za prowoka.

– Mnie? Przecież jestem wierna sprawie...

– Możesz być wierna, ale przede wszystkim musisz być czujna. Trwa wojna. A na wojnie najpierw wykonuje się wyroki, potem sądzi.

Wtedy nie potraktowała przestrogi zbyt poważnie, choć zakończyła pogaduszki z Marczakiem, a życie już wkrótce miało potwierdzić prawdziwość tych ostrzeżeń. Nie jedynych. Teodor Delkacz znacznie wcześniej dał jej do zrozumienia, że dezercja to zdrada, a zdrada równa się śmierć. Inna sprawa – nie miała najmniejszego powodu żeby zdradzać. Czyż jej opiekunowie nie walczyli z Niemcami, śmiertelnym wrogiem reszty świata? A roztaczana przez „Profesora” wizja Polski wolnej i sprawiedliwej, czyż nie wyglądała pociągająco?

Senne odcinki dawało się uporządkować w dość zborną całość. Dla mnie, obserwatora, fascynujące było to, że bardzo długo Róża Kupidłowska nie wiedziała w czym uczestniczy. Nie miała pojęcia jak brzemienne w skutki dla Polski jest to przedsięwzięcie. Szefowie nie wtajemniczali jej w całość, znała jedynie wycinkowe zadania. Organizując ze Stasiakiem ludzi do poszukiwania w śniegu pod Wiązowną zakopanej paczki, nie orientowała się, że chodzi o zagubioną przez grupę Nowotki radiostację, która miała umożliwić kontakt z Moskwą. Radiostacji zresztą nigdy nie udało się odnaleźć. Aż do lata 1942 roku warszawska komórka nie miała bezpośredniego kontaktu z centralą Kominternu. Podobnie moja mama była całkowicie nieświadoma wagi spotkania piątego stycznia przy Krasińskiego 18, w mieszkaniu Juliusza Rydygiera, spotkania, na które osobiście doręczała zawiadomienia różnym ludziom z miasta. Skąd miała wiedzieć, że jest to de facto zebranie organizacyjne przyszłej Polskiej Partii Robotniczej? Jak mogła przeczuć rolę, jaką odegrają w niedalekiej przyszłości ci dość przeciętni ludzie, których znała jedynie pod pseudonimami – „Sowiński”, „Witold”, „Wiesław”...

„Profesor” nie uważał za celowe wtajemniczać dziewczyny ani w szersze plany, ani w funkcje spełniane przez niego i jego towarzyszy. Ona nie pytała. Inna sprawa, że cały czas miała oczy i uszy otwarte i pilnie obserwowała to, co działo się dookoła niej.

Nie było to specjalnie trudne – w ciągu pół roku pobytu w Warszawie nauczyła się sztuki mimikry. Jak stać się niezauważalną? Jak unikać męskich zaczepek i seksualnych propozycji? Popęd płciowy okazywał się najbardziej ludzką cechą właściwą komunistom. Sposoby na niewidzialność nie były specjalnie wyszukane – ukryć włosy pod chustką, nosić ubrania o dwa numery za duże, nie stosować żadnego makijażu i jak najczęściej przybierać bezmyślny wyraz twarzy. Wtedy naprawdę nie odcinała się od tapet, miejskich murów, a przede wszystkim od tłumu. Dzięki tej metodzie pozostawała praktycznie niewidoczna podczas długotrwałej rozmowy stoczonej przez „Pawła” z grupką towarzyszy przyprowadzonych przez Stasiaka. Dyskutowano o programie partii. Jakiś suchotnik chrząkał: „Dlaczego nazywamy ją robotnicza zamiast wrócić do nazwy komunistyczna?”. Inny, starszy, podobno weteran jeszcze SDKPiL, protestował głośno przeciwko wyciąganiu ręki do wrogów klasowych i eksponowaniu walki o wolność narodową zamiast o wyzwolenie społeczne.

– Spokojnie towarzysze – uspokajał „Paweł”. – Droga do rewolucji społecznej, a następnie do zbudowania społeczeństwa bezklasowego, prowadzi dzisiaj przez hasła narodowo-społeczne. Polacy chcą dziś przede wszystkim bić Niemca. Na tych nastrojach swoją siłę budują faszyci podlegli Londynowi. Jeśli chcemy przejąć od nich inicjatywę, musimy mówić społeczeństwu to, co ono chce usłyszeć... Nie wolno nam w tej walce zrazić chłopstwa, drobnego mieszczaństwa, inteligencji.

– Żydowska dialektyka! – zachnął się gruźlik.

– To słowa samego towarzysza Stalina! – Pinkus Finder powiedział to zdanie prawie szeptem, ale natychmiast zapadła cisza tak głęboka, że słychać było krople wody spadające z rozmarzających sopli. – Czy ktoś z towarzyszy chciałby jeszcze powiedzieć coś w tej sprawie?

Powiódł wzrokiem po zebranych, jakby chciał dobrze zapamiętać, kto jakie miał zdanie. Obserwując tę scenę, mógłbym przysiąc, że ani na ułamek sekundy nie zatrzymał wzroku na mojej matce. A już z pewnością nie skrzyżowały się ich spojrzenia.

Oczywiście nie zawsze udawało się jej pozostawać w cieniu. Co jakiś czas aktywista PPR-u rozpoznawał jej ukryte zalety i dobierał się do nich bezceremonialnie. Metody stosowali różne. Jedni zachowywali się brutalnie, na podobieństwo kresowych watażków, lub nieokrzesanych parobków, inni próbowali uwodzić z wdziękiem prowincjonalnych amantów. Oporów moralnych nie mieli. Wielu, niezależnie od aktualnej linii partii, w głębi serca wierzyło we wspólnotę kobiet w komunistycznym raju, a już teraz chętnie wymieniało się partnerkami. Bóg nie istniał, śmierć mogła nastąpić każdego dnia, więc hulaj dusza!...

Oryginalnej metody umizgów użył pewien działacz z prowincji, elokwentny trzydziestopięcioletek o mocno przeredzonych włosach, który po prostu postanowił ją zanudzić. Nocując u Stasiaków, najpierw przywiezioną śliwowicą spoił gospodarza, a gdy ten padł, cały swój słowotok skierował pod adresem Róży. Fotograficzna pamięć szła u niego w parze z niewyczerpywalną energią. Bredził na najrozmaitsze tematy, od sukcesów industrializacji ZSRR po problemy ruchu robotniczego w Ameryce Łacińskiej, wstawiając co jakiś czas mocny komplement pod adresem swej rozmówczynie. Jej sugestie, żeby wreszcie poszedł spać, pozostawiał bez komentarza. Nie pozwalał też jej odejść. Nad ranem padająca z nóg Róża była gotowa na wszystko, byle tylko się zamknął. Zdesperowana zaczęła się rozbierać. Poskutkowało. Kiedy spadały z niej kolejne szatki, „Wiesław” od razu zaniemówił, wpatrywał się w nią z półotwartymi, zaślinionymi wargami... A gdy pozostała tylko w majtkach zerwał się z miejsca i pociągnął ją na łóżko...

– Jezu, mogę być synem Władysława Gomułki! – zawołałem, błyskawicznie przytomniejąc. Byłem spocony jak ruda mysz, a łomot serca zdawał się rozsadzać mi klatkę piersiową. Przysiągłbym, że jest głośniejszy niż pochrapywanie ślubnej żony.

Na szczęście jestem całkiem niezłym fachowcem od autoterapii, już po chwili udało mi się zapanować nad przerażeniem.

– Czego się boisz? – powtarzałem sobie w myśli. – Obserwujesz dopiero zdarzenia z 1942 roku. Do twego poczęcia jest jeszcze diablo daleko.

Uspokojony tą konstatacją i pewien, że szybko nie zasnę, sięgnąłem po mój brulion, aby pouzupełniać zapisy.

No i zaczął się październik. Noce stały dłuższe, dni krótsze, a nastroje w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jeszcze gorsze. Ogólnokrajowe napięcie, które lekko opadło po drugiej turze zjazdu „Solidarności”, po paru dniach wróciło do gwałtownej huśtawki, pełnej protestów, strajków i marszów głodowych. Resztki zeszłorocznego optymizmu kompletnie z ludzi wyparowały. Wkradać poczęły się strach i zwątpienie. Rysio Adamski coraz częściej przychodził do pracy na kacu. Znikł też na dobre jego promienny uśmiech, którym jeszcze niedawno mnie witał, kiedy tylko zaglądałem do „Mazowsza”. Nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że mój młody przyjaciel, który rok wcześniej sam przylgnął do mnie, teraz już mnie nie lubi, podobnie jak pracy, którą wykonuje, i samego siebie.

– To się musi źle skończyć! – powtarzał z grobową miną, krążąc pomiędzy dalekopisami wypluwającymi płachty wiadomości z regionów.

Z początkiem lata żywiłem pewną nadzieję, że Rysio w jakiś sposób wypełni bolesną dziurę, która powstała w moim życiu po śmierci Artura. Te rachuby jednak się rozwiały. Nie ten format intelektualny! Artur wprawdzie, w przeciwieństwie do mnie (i Adamskiego!), nie zachłysnął się „Solidarnością”. „Nie lubię tłoku” – mawiał, a idee o równych żołądkach czy państwie rządzone przez związki zawodowe (nawet wolne!) uznawał za niebezpieczną utopię, ale przynajmniej jak cudownie można było się z nim spierać!

Moja praca nad własnymi „korzeniami” też ugrzęzła. Owszem, pojawiła się pewna pomoc, w dodatku z zupełnie nieoczekiwanej strony. Któregoś dnia, kiedy korzystając z „okienka” między lekcjami, w pustej klasopracowni geograficznej uzupełniałem notatki i konfrontowałem rozmaite miejsca, które oglądałem we śnie, z fotografiami przedwojennej Warszawy i jej planem z czasów okupacji, poczułem naraz na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia. Odwróciłem się raptownie. Pani Wierzchowska! Kto wie jak długo stała tak za moimi plecami.

– Nie wiedziałam, że interesuje się pan historią II wojny światowej, panie Macieju – rzekła.

– Trochę ze względu na biografię rodzinną – odparłem.

– Swego czasu mój tatuś też się tym interesował. Zgromadził całkiem niezłe zbiory... Może chciałby pan kiedyś je zobaczyć?

Zawahałem się. Bardzo chciałem, ale nie lubiłem się narzucać, mimo że Artur powiedział mi kiedyś: „Jak nie wleziesz sam, to za cholere cię nie wpuszczą!”.

„Królowa Bona” rozstrzygnęła sprawę za mnie:

– A więc jutro czekam na pana z podwieczorkiem. – Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie ma wobec mnie erotycznych zapędów.

Stara nauczycielka historii mieszkała w centrum dawnej Pragi, opodal ulicy Targowej. Okolica

należała do niebezpiecznych, a każdy kto z własnej woli zapuszczał się na jedno z podwórek studni po prostu prosił się o utratę zębów albo portfela. Może miałem po prostu szczęście, w każdym razie nie spotkała mnie żadna z wyżej wymienionych przyjemności. Po wyminięciu faceta powtarzającego jak mantrę: „Bony kupię, bony”, wspiałem się na strome schody pachnące moczem, starzyzną i beznadzieją. Tym większe zdziwienie wywarło na mnie mieszkanko Wierzchowskiej, pełne książek i starych rycin – można powiedzieć – enklawa kultury śródziemnomorskiej na pograniczu Azji. Stara panna w gustownej czarnej bluzce z koronkowym kołnierzykiem bardziej niż kiedykolwiek przypominała królową Bonę na emeryturze. „Cholerka, chyba jednak postanowiła mnie poderwać?”. Moje niepokoje rozwiał wyschnięty jak szkielet mężczyzna, na oko stuletni, odziany w kraciasty szlafrok, z długą, chudą szyją strusia.

– Łącznik przybył? – zapytał, przewiercając mnie wzrokiem.

– Nie tatusiu, to tylko mój kolega ze szkoły, profesor Podlaski.

Starzec chyba nie usłyszał odpowiedzi, bo obrócił się naraz i z chytrym uśmiechem wystrzelił palcem w stronę mojej piersi.

– Bitwa pod Wagram, urwiesz!

– 6 lipca 1809 roku – wyrecytowała za mnie panna Wierzchowska.

– Ciebie nie pytam, Anno. Nie podpowiadaj! – zgromił ją starzec. – Marengo! – wycelowany we mnie palec nie opadł ani o centymetr.

– Czerwiec roku tysiąc osiemsetnego... daty dziennej chwilowo nie pamiętam – wyjąkałem speszony.

– Czternasty, ale jak na ciebie to i tak dobrze, leniuchu. Tak trzymać. Czterdzieści wieków patrzy na nas! – to mówiąc, zakręcił się na pięcie i wyszedł równie nagle jak się pojawił.

– Biedny tata – powiedziała Wierzchowska, przekręcając klucz w drzwiach, za którymi zniknął. – Ciągłe wydaje mu się, że uczy w szkole. Jego Alzheimer postępuje ostatnio coraz szybciej. Czasami bierze mnie za swoją matkę, kiedy indziej za żonę albo którąś z uczennic. Tylko pamięć do faktów historycznych i dat ma nadal doskonałą...

Z przedpokoju weszliśmy do saloniku, w którym książki wypełniały każdy skrawek ściany. Zarówno stare, o skórzanych grzbietach, z blednącymi złoceniami, jak i nowsze wydane w latach stalinowskich na gazetowym papierze, za to w gigantycznych nakładach.

– Póki zdrowie pozwalało, tata wspólnie z kolegami spotykał się tu raz w tygodniu, wymieniali się informacjami, rękopisami, dokumentami. Organizowali takie małe archiwum z czasów II Rzeczypospolitej i lat okupacji. Niestety, jego towarzystwo wykruszyło się, a tata... sam pan widzi.

Na stole pojawiła się kawa i kruche ciasteczka własnego wyrobu. Trochę mnie to wzruszyło. Podobne robiła dawnymi laty ciocia Regina.

– Czego pan szuka, panie Maćku, i w czym mogę panu pomóc? – powiedziała, siadając naprzeciwko mnie.

Opowiedziałem jej o swym problemie genealogicznym, pomijając rzecz jasna wątek snów.

– Ciekawa sprawa – zmarszczyła brwi. – Działalnością komunistycznej konspiracji zajmowaliśmy się marginalnie, ale wszystko co mamy, łącznie z indeksem osobowym jest do pana dyspozycji.

– Bardzo dziękuję, tylko jak...?

– Mógłby pan z tego wszystkiego korzystać. Tylko, że tata... Może umówmy się tak. Przestudiuje pan nasz katalog, co będzie trzeba, pożyczę. A jeśli pojawi się jakaś kwestia, nazwisko do sprawdzenia, sama poszukam.

Wsparcie okazało się interesujące, a obraz okupacji, jaki rysował się na podstawie tych domowych zbiorów był zupełnie różny od tego, jaki przekazywały oficjalne opracowania. Jednak w ciągu paru pierwszych spotkań nie udało mi się znaleźć tam niczego, co rzuciłoby więcej światła na dzieje Róży vel Marysi alias „Narcyzy”, czy na zagadkę mego poczęcia. Co gorsza, owa kwerenda znów odbywała się kosztem Marty. Na tym odcinku również nie układało się najlepiej. Nie znaczy, żeby wygasł afekt, jednak pojawiły się ogromne utrudnienia aby go kontynuować. Pierwszego października zrozpaczona dziewczyna zakomunikowała mi, że jej ciotka wynajęła mansardę jakimś studentom.

– Zupełnie nie wiem, gdzie się teraz będziemy spotykać – powiedziała, wyginając usta w podkówkę.

Oczywiście przedpołudniami było wolne moje mieszkanie (Grażyna szła do pracy, a Basia do przedszkola). Jednak nie uważałem tego miejsca ani za miłe, ani za bezpieczne. Sąsiedzi należeli do wścibskich, wredny wf-men mieszkał na tym samym osiedlu. Poza tym Grażyna zawsze mogła źle się poczuć, albo z jakiegokolwiek innego powodu niespodziewanie wrócić z pracy. W dodatku kochanie się w warunkach stresu też nie wychodziło nam najlepiej, natomiast nadchodzące chłody i opadanie liści coraz bardziej utrudniały pieszczoty w plenerze.

W tej sekwencji porażek mogłem odnotować tylko jeden jaśniejszy punkt. Zniknęły wszelkie objawy zainteresowania się mną osób trzecich, nie zauważałem żadnych śladów inwigilacji, a tym bardziej rewizji, skończyły się głuche telefony i tajemnicze samochody podążające w ślad za mną. Zupełnie tak jakby mój przeciwnik bez twarzy zwątpił, podobnie jak ja, w możliwość sukcesu prowadzonego przeze mnie śledztwa. Pojawił się za to jeszcze jeden powód do zmartwień.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś chory? – zapytała któregoś ranka przy śniadaniu Grażyna. Patrzyła na mnie tak, jakbym był zoologicznym okazem pod mikroskopem.

– Skąd to przypuszczenie? – zachnąłem się. – Czuję się całkiem normalnie.

To jej nie przekonało.

– Obserwuję cię od paru tygodni i zupełnie cię nie poznaję – powiedziała.

– Trochę schudłem, to prawda – przyznałem, zastanawiając się w duchu, czy jest to bardziej efekt seksualnej gimnastyki z Martą, czy chandry wynikającej z komplikacji na wszystkich frontach.

– Nie o to chodzi! Znam cię tyle lat, a jednak ostatnio bywa, że cię nie poznaję. Gadasz do siebie po nocach, potem wstajesz z łóżka i godzinami przesiadujesz w kuchni. Myślisz, że ja tego nie zauważam? A najgorsze, że i w ciągu dnia częściej stajesz się nieobecny.

– Ja? Kiedy?

– Prawie codziennie. Siedzisz przy telewizorze i śpisz jak zając z otwartymi oczami.

– Dziwisz się? Każdy wie, że program naszej telewizji jest wybitnie usypiający.

– Ale ty masz cały czas otwarte oczy. Tylko zachowujesz się tak, jakby ciebie tu wcale nie było. Bywa, że mówię do ciebie, a ty w ogóle nie reagujesz. Jestem przerażona, Macieju...

Trochę się zaniepokoiłem. Podobne sygnały otrzymywałem nie tylko od żony. Marta również narzekała, że zdarza mi się odpływać. Czyżby tamten świat w miarę upływu czasu działał na mnie silniej niż ten rzeczywisty?

– Przesadzasz z tą nieobecnością, widocznie zamyśliłem się wyjątkowo głęboko – próbowałem zagłuszyć obawy żony.

– Tylko to wcale nie wyglądało na zamyślenie.

Jestem niezłym materiałem na hipochondryka, więc w duchu uznałem, że obie panie chyba mają rację. Działo się ze mną coś, czego nie potrafiłem wyjaśnić. Najgorsze, że niezwykła przypadłość dopadała mnie nawet podczas lekcji. Któregoś dnia opowiadałem właśnie o bogactwach naturalnych Związku Radzieckiego, kiedy jakiś ruch – ptak na parapecie, a może tylko porywiste uderzenie wiatru – odwrócił moją uwagę od klasy...

Zamilkłem. Naraz zobaczyłem przed sobą uchylone drzwi... Ktoś pchnął mnie energicznie. Wypadłem na zewnątrz. Uderzyła mnie fala gorącego, letniego powietrza. W pobliżu ktoś krzyczał. Słychać było strzały. Sporymi jak na kobietę susami, dopadłem wylotu uliczki.

– Spokojnie, „Narcyzo” – rozległ się głos. Z zarośli wynurzył się wysoki blondyn o zaczesanych do góry włosach. „Długi”, tak to był „Długi”. Pseudonim nie mówił mi nic, ale mojej matce był najwyraźniej doskonale znany. Wiedziała nawet, że mężczyzna ma imię ma Bolek.

– Wrócisz tam – powiedział dobitnie „Długi”. – Wrócisz, zabierzesz pieniądze... Ja będę cię ubezpieczał.

Wróciła. Dom stał na odludziu i poza ujadającym kundlem desperacko szarpiącym się na łańcuchu nigdzie żywego ducha.

Na moment udało mi się dotrzeć do jej myśli i zobaczyć to, co zdarzyło się wcześniej. Moja mama

weszła tam chyba bez pukania. Dwaj mężczyźni, którzy układali pieniądze na parę kupek, kłócąc się ile ze szmalu zdobytego w ataku na pocztę wziąć dla siebie, a ile oddać partii, początkowo nie zwrócili uwagi na drobną dziewczynę. Kiedy usiłowała im coś powiedzieć niższy, ospowaty na twarzy wypchnął ją za drzwi. Potem, nie wiadomo skąd, padły strzały. Teraz obaj towarzysze byli martwi. Starszy zginął od kuli z pistoletu trzymanego przez młodszego, kto jednak celnym strzałem zabił drugiego z bojowców?

– Zbierz pieniądze ze stołu! – za zakratowanym rozbitym oknem pojawiła się szczupła twarz „Długiego”. Posłusznie zgarnęła paczki banknotów, nie mogąc się na dziwić, że mokrą robotą zajmował się osobiście ktoś z samej góry, potem przecisnęła przez kratę worek wypełniony młynarkami.

– Myśleli, że można oszukać partię – uśmiechnął się Bolek i zabrawszy z wierzchu kilka zakrwawionych banknotów, rzucił je jej. – Wypłucz, wysusz i kup sobie za to coś ładnego!

Hojne panisko.

– Panie profesorze, panie profesorze!

Naraz zdałem sobie sprawę, że stoję nieruchomo przed mapą gospodarczą ZSRR i milczę, a cała klasa w śmiertelnej ciszy wpatruje się we mnie. Ciekawe jak długo mnie tu nie było? Usiłowałem sobie przypomnieć, ile brakowało do dzwonka gdy zaczynałem wykład. Na wszelki wypadek chrząknąłem.

– Na czym ja stanąłem?

– Na kopalinach regionu Norylska, Jakucji i Czukotki! – wyrecytowała puciołowata prymuska.

– Czy w tym kontekście potrafiłabyś wymienić inne regiony świata liczące się dla produkcji szlachetnych kruszców?

Kiedy z entuzjazmem sypała danymi na temat zasobów Australii, Kanady i RPA, ukradkowo zerknąłem na zegarek. Do dużej pauzy pozostał kwadrans. A więc straciłem kontakt z rzeczywistością zaledwie na chwilę. Na minutę, może dwie. Ale i to wystarczyło, żeby mnie zdenerwować. Co będzie, jeśli podobne zdarzenia zaczną się powtarzać? Nic nie wskazywało, że bym potrafił kontrolować taki proces.

– Powinieneś pójść do lekarza! – stwierdziła Grażyna, kiedy przyznałem się do incydentu. – Pamiętasz Elę Górską?

– Nie pamiętam.

– Na studiach nazywała się Hoffman. Chyba nawet smaliłeś do niej cholewki. Już zapomniałeś?

Uśmiechnąłem się, ale nie skomentowałem. Ela Hoffman! Jakbym mógł zapomnieć o zgrabnej studentce psychiatrii, którą wyrwałem którejs nocy z Klubu Medyka, posiadaczce najwspanialszych piersi w mojej karierze, które niczym dwa balony zdawały się nieomal unosić jej smukłą figurkę.

Byliśmy młodzi, bez dachu nad głową, a w mieście panował ziąb jak w psiarni. Co było robić? Kochaliśmy się pospiesznie w zatrzymanej między piętrami windzie. Niestety byłem zbyt pijany, żeby skończyć jak należy. Może dlatego nie umówiła się ze mną więcej.

Po telefonie Grażyny pani doktor zgodziła się przyjąć mnie za parę dni u siebie w domu. Nie kryła, że niezależnie od porady zawodowej bardzo chętnie zobaczyłaby kolegę sprzed lat. Ja cieszyłem się mniej. Nie miałem najlepszych wspomnień.

Z incydentu podczas lekcji udało mi się wyciągnąć inną korzyść. Na podstawie materiałów Wierzchowskiej zidentyfikowałem następnego amanta mojej matki. Według nielicznych opracowań i maszynopisu pracy jakiegoś dysydenta, „Długi” – weteran wojny domowej w Hiszpanii i specjalista od mokrej roboty, tamtej zimy wraz z Nowotką i Finderem wchodził w skład „trójki kierowniczej” PPR-u i nazywał się Bolesław Mołojec.

„Że też komuś takiemu udało się poderwać moją mamę?”

* * *

– Nic się nie zmieniłeś, Maciusiu! Powiem więcej, zmężniałeś i przybyło ci dystynkcji – zawołała Ela, witając mnie na progu swego mieszkania. Nie mogłem zrewanżować się podobnym komplementem. Gdyby nie tabliczka na drzwiach i charakterystyczny wysoki głos, nie poznałbym doktor Górskiej. Wystarczyło zaledwie kilkanaście lat, aby nadwiślańska orchidea przywiedła. Jej rysy wyostrzyły się, we włosach pojawiły się pasemka siwizny. Owszem, zachowała smukłą figurę, może nazbyt smukłą. Wydawała się wręcz kościotrupem i nie wiadomo gdzie podziały się jej wspaniałe piersi.

– I cóż ci dolega? – zapytała, sadzając mnie na kozetce. – Melancholia, nerwica...?

Powiedziałem jej, chociaż nie wszystko. Oczywiście nie tałem ani wojennych koszmarów, ani tego, że w snach i owych stanach nieobecności, zdarzało mi się oglądać świat sprzed czterdziestu lat oczyma własnej matki. Pomiąłem jedynie szczegóły: kim była Róża Kupidłowska, w jakim towarzystwie się obracała, nie wspominałem też o współczesnych implikacjach politycznych.

Górska, przywykła do szybkich diagnoz, uważała, że moje natręctwa i urojenia mogą być wynikiem ukrytej w podświadomości choroby sieroczej. Odrzuciłem podobne sugestie.

– Czy znasz chorobę, która pozwala dowiedzieć się o faktach, o których nie miałaś pojęcia? – powiedziałem z naciskiem. – Poznajesz miejsca, w których nie byłaś, nazwiska, których nigdy nie słyszałaś. Potem weryfikujesz to z fotografiami, których przedtem nie miałaś w ręku i wszystko się zgadza, tak jakbyś osobiście odbywała podróż w czasie. – Widząc jej niedowierzanie, prawie krzyknąłem. – Słuchaj, Elu, ja nie śnię o tych latach wojny, ja je odwiedzam. Nic nie odrzekła, tylko cofnęła się bardziej za biurko. W jej oczach pojawił się przestach. Bała się o mnie, czy mnie? „Widzi we mnie psychola? A może ja rzeczywiście zwariowałem?”. Umilkłem, usiadłem potulnie i ograniczyłem się do odpowiedzi na zadawane pytania.

– Nie potrafię powiedzieć, co ci dolega – powiedziała na koniec pani doktor. – Jedyne co mogą ci

poradzić, to dalsze konsultacje. Mój były promotor jest ordynatorem w Pruszkowie...

– Proponujesz, żebym dał się zamknąć w domu wariatów?!

– Kto mówi o zamykaniu. Spędziłbyś tam najwyżej parę dni, wyłącznie na badaniach. Dla twojego własnego dobra.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Mogę być groźny dla otoczenia?

– Dla otoczenia zapewne nie, ale dla samego siebie, nie wiem...

Opuściłem gabinet, nie dopiwszy herbaty. Padało. Szybko pobiegłem do samochodu i natychmiast po przekręceniu stacyjki włączyłem wycieraczki. Ujechałem ledwie kilkanaście metrów i gwałtownie wdepnąłem hamulec. Jakaś postać w długim, wojskowym płaszczu weszła na jezdnię i mimo że jej chyba nie trąciłem osunęła się na ziemię. Wyskoczyłem z wozu, bojąc się tego, co mogę zobaczyć. Ale niczego nie zobaczyłem. Nikt nie leżał przy samochodzie. W snopach reflektorów nie było żywego ducha. Brudny zderzak i kłapa też nie zostały naruszone. Zamrugałem oczami. Przewidzenie, koszmar na jawie? Nie potrafiłem nawet określić, czy zjawą była mężczyzna, czy kobieta. A może rzeczywiście odbijała mi szajba?

* * *

Co się tyczy leczenia, osiągnęliśmy kompromis. Na badania do Tworek nie pojechałem, ale zgodziłem się regularnie brać jakieś proszki o skomplikowanej nazwie, które zapisała mi doktor Górka. Nawet podziałało! Dotychczasowe majaki przestały mnie nękać. Przez kolejne noce spałem jak zabity, bez zwidów i omamów, a jeśli nawet coś mi się przyśniło nie miało to najmniejszego związku z historią mojej matki. Być może ważniejszą rolę od farmakologii odegrał czynnik psychologiczny. Tak czy siak przez ponad tydzień pławiłem się w błogim poczuciu własnej normalności.

Niestety, cena dobrego samopoczucia okazała się zbyt wygórowana. Już po paru dniach, świadom braku postępów swoich poszukiwań (to czego dowiadywałem się z materiałów u Wierzchowskiej poszerzało moją wiedzę o okresie okupacji, ale w niczym nie posuwało śledztwa), zacząłem tęsknić za wizytami w Generalnym Gubernatorstwie. Najpierw więc zmniejszyłem dawkę prochów, a potem w tajemnicy przed Grażyną wypluwałem leki. „Skoro wiem jak kontrolować moją przypadłość, zawsze będę mógł wrócić do przerwanej terapii” – uspokajałem sam siebie. Przez dwie doby nadal spałem jak dziecko, z rączkami na kołdrze, ze ślubną żoną u boku, bez żadnych majaków. Sny wróciły dopiero trzeciej nocy. Zabawne – odczułem ulgę. Przez te puste dni czułem się jak telewidz, świadom uciekających mu odcinków ulubionego serialu. Szybko przekonałem się, że w trakcie zażywania leków zgubiło się gdzieś ponad pół roku historii.

* * *

A więc znów tam byłem!

Mieszkanie przestronne, ale dość puste i niskie oświetlała jedna słaba żarówka. Choć zegar wskazywał dopiero piątą po południu, za oknem zapadł już mglisty wieczór. „Późna jesień” – pomyślałem. Później, dzięki konfrontacji z opracowaniami historycznymi, uda mi się dość precyzyjnie ustalić datę – 28 listopada 1942 roku. Jak zwykle przy wkraczaniu w tamtą rzeczywistość przeżywałem moment specyficznego zawieszenia, chwilowej dezorientacji, potem jednak wchodziłem w myśli Róży i lokalizowałem zdarzenia tak w czasie, jak i w przestrzeni.

Tym razem zastałem moją mamę przy cerowaniu garderoby. Wkrótce zorientowałem się w poważnych zmianach, które zaszły w jej życiu. Od paru miesięcy pracowała w biurze firmy spedycyjnej Wolff i Kajzer mieszczącej się przy ulicy Towarowej na Woli. Odpowiedni towarzysze postarali się dla niej o świadectwo małej matury z Gniezna, a także o opinię z praktyki w nieistniejącej firmie w Białymstoku. Firma była newralgicznym miejscem, w którym krzyżowały się przeróżne oficjalne i nielegalne interesy, toteż partii komunistycznej zależało, by mieć tam swoich ludzi. Mama pisząca niezłe na maszynie i mówiąca biegle po niemiecku i rosyjsku, wyjątkowo przypadła do gustu staremu Gerhardowi Wolffowi, a jeszcze bardziej młodemu Hermanowi Rajzerowi, który od pierwszego dnia zaczął smalić do niej cholewki. Zamieszkała w pobliżu, wspólnie z niejaką „Walercią”. Ta wdowa po przedwojennym komuniście opiekowała się sporym trzypokojowym mieszkaniem, którego właściciele dobry czas temu przenieśli się do getta. Lokal na Płockiej – pierwsze piętro plus dwa wejścia – doskonale spełniał funkcję tzw. „przejazdówki”. Często nocowali w nim towarzysze z terenu, bojowcy przed akcjami i po nich. W skrytce w komórce na podwórku chowano broń, w innej kryjówce na poddaszu była przechowywana bibuła lub magazynowano papier zanim nie zjawił się kurier. Bywało, że musiały udostępnić pokój na zebranie partyjnej „wierchuszki”, która ze względów bezpieczeństwa rotacyjnie spotykała się w różnych punktach miasta. Wspólne mieszkanie z „Walercią” miało swe zalety, baba była wielka jak szafa i silna jak byk. Moja mama osobiście była świadkiem jak poskromiła dwóch lokatorów, którym po pijaku zebrało się na amory. Jednego wyrzuciła przez okno z pierwszego piętra, drugiemu złamała rękę i nawet się przy tym nie zasapała. Potem wygłosiła im pogadankę o socjalistycznej moralności, dając do zrozumienia wszystkim, że traktuje Różę jak rodzoną córkę i nie pozwoli jej wykorzystać. Inna sprawa, że czasem, kiedy sama sobie popiła, jej czułości wobec „córeczki” stawały się podejrzane, zgoła niemacjerzyńskie. Na szczęście wystarczał stanowczy protest mojej matki, by „Walercia” rezygnowała.

Wojna tymczasem wydawała się nie mieć końca, walki toczyły się hen daleko, w Afryce i na Pacyfiku. W Rosji Niemcy ugrzęźli na dobre. Przez całą jesień dochodziły do Polski sprzeczne informacje o walkach o Carycyn, nazwany przez Sowietów Stalingradem. Hitlerowskie szczekaczki co rusz obwieszczały o sukcesach, ale wieści przychodzące z Londynu mówiły, że nad Wołgą idzie im ciężko, a walki toczą się o każdy dom. Pod koniec listopada rozpromieniona „Walercia” przyniosła wiadomość o sowieckiej kontrofensywie. Ponoć nad Wołgą armia niemiecka znalazła się w okrążeniu. Róży nie bardzo chciało się w to wierzyć, tyle już było plotek na temat klęsk hitlerowców, a tymczasem ich podboje były coraz większe i większe.

Informacje jednak zaczęły się powtarzać, a wśród Niemców, z którymi dzięki pracy u Wolffa i Kajzera miała okazję stykać się bez przerwy, po raz pierwszy zauważyła podejrzaną nerwowość. Jej życie w tym czasie uległo istotnej odmianie. Z mecenasem Delkaczem widywała się dużo rzadziej, ale orientowała się, że organizacja urosła w siłę, a jej pryncypał stał się w niej nie lada fiszą.

Podobnie jak „Długi”. Ten watażka sypiał z nią nieregularnie („Walercia” w takich chwilach dyskretnie omijała jej pokój) i kiedyś mocno wstawiony pochwalił się, że jest w kierowniczej trójce. Nie miała powodu mu nie wierzyć. W parze z męską jurnością szedł prawdziwie „mołojcki” charakter – mieszanina ambicji, zarozumiałstwa, podszyta jednak bolszewicką nieufnością, każącą widzieć wszędzie wtyczki, prowokatorów, zdrajców lub przynajmniej tchórzy. Bywało, gdy miał dobry humor, że rozmarzał się, opowiadał wtedy ze szczegółami o czarnobrewych hiszpańskich senioritach, które w trakcie wojny domowej zerznął lub zarznął, co często na jedno wychodziło. Wiedział, że w partii go nie znoszą, że za plecami nazywają go „Skurwysynem”, ale nie dbał o to. Nawet polubił to przezwisko, podobnie jak pseudonim „Długi”, który – jak twierdził (nie bez racji) – wziął się od jego imponujących męskich parametrów.

Wracam do tematu. Był wieczór dwudziestego ósmego listopada. Moja mama przebywała sama w mieszkaniu, „Walercia” pojechała pod Garwolin załatwiać rąbankę. Róża nie spodziewała się żadnych gości i miała zamiar wcześniej pójść spać. Zadzwonił telefon. Odebrała.

– „Narcyza” – nieznajomy głos wychrypiął jej konspiracyjny pseudonim. – Ty ostrzeż „Stary”, natychmiast, róg Prosta i Karolkowa. Schneller!

Zanim zdołała zareagować, zapytać kto dzwoni, rozmówca odłożył słuchawkę. Niemiec albo ktoś podszywający się pod Niemca. Znał jednak jej pseudonim i pseudonim przywódcy organizacji. Z całą pewnością nie był to Gerhard Wolff ani Hermann Kajzer. Mimo to nie wahała się ani minuty. Na Karolkową było parę kroków. Zrzuciła płaszczyk i szybko wybiegła z domu.

Latarnie na wolskich ulicach rozstawiono rzadko, jednak ta na samym rogu Prostej świeciła dosyć mocno, oświetlając mężczyznę stojącego pod murem w jasnym płaszczu i kapeluszu. Marceli Nowotko wyraźnie czekał na kogoś. W chwili gdy go zobaczyła spoglądał na zegarek. Już zamierzała podbiec do niego, kiedy z bramy tuż obok „Starego” wyłonił się wysoki osobnik w czapce. Poznała wysoką, charakterystyczną sylwetkę – „Długi”.

„Może powinnam zawołać?” – zawahała się i rozejrzała dookoła. Nikt nie nadchodził. A jednak coś ją powstrzymywało.

Mężczyźni przywitali się serdecznie. Bolesław Mołojec otoczył ramieniem sekretarza i razem skręcili za róg.

– Dokąd oni idą? – zdziwiła się Róża. Zaraz przecież zaczynały się bezлюдne o tej porze magazyny przy Dworcu Zachodnim, dość gęsto patrolowane przez bahnschutzów.

Ruszyła za nimi, starając się stąpać na palcach, by nie robić obcasami zbytniego hałasu. Dochodziła do rogu, gdy rozległ się pojedynczy strzał, zaraz odpowiedziały mu dwa inne. Usłyszała krzyk śmiertelnie trafionego mężczyzny.

Zaraz na Karolkowej otworzyło się jakieś okno, potem drugie... Natychmiast zawróciła. Życie w okupowanej Warszawie nauczyło ją jak postępować. Jeśli obaj PPR-owcy wpadli w niemiecką zasadzkę nie mogła im pomóc. Sunąc tuż pod murem, nie za wolno, ale i nie za szybko, dotarła do Płockiej. Kiedy skręcała do domu minął ją pędzący na sygnale wóz granatowej policji. Nie

rozbiegając się, siadła na krześle i czekała na kolejny telefon. Nikt nie zadzwonił.

Godzinę później zjawił się „Długi”. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Nie miał jednego buta i brakowało rękawa w jego płaszczu. Z kamiennie spokojną, choć pobladłą twarzą, kontrastowały oczy, niespokojne ślepie ściganego wilka.

– Załatwili „Starego”! – rzucił od progu.

– Kto?

– Nie przedstawili się. Grzali do nas zza węgła, więc raczej nie byli to szkopi. Najpewniej londyńscy faszyci... – ciężko opadł na wytartą otomanę.

– Widziałeś to? – pytając, nie zdradziła się najmniejszym gestem, że była świadkiem zdarzenia.

– Wszystko zdarzyło się nawet nie daleko stąd. Byłem wtedy razem z nim. Rozmawialiśmy sobie, kiedy naraz pojawili się oni... co najmniej trzech... „Stary” pierwszy oberwał. Strzelali również do mnie, ale chybili. Jednego chyba trafiłem... Masz wódkę?

Miała. Mołojec wypił duszkiem pełną szklanekę i przez dłuższą chwilę tępo wpatrywał się w stół.

– Kurewskie życie, kurewska śmierć! – powiedział wreszcie i nalał sobie jeszcze raz i jeszcze, nie zwracając uwagi na dziewczynę. – Odpocznę trochę – oznajmił, kiedy w butelce ukazało się dno.

Nie miał ochoty na seks i zasnął prawie natychmiast. Za to rano, ledwo się zbudził, zapytał Różę.

– Możesz mi znaleźć jakiegoś gnata? Bez spluwy czuję się jak goły.

Zdziwiła się. „Długi” znany był z tego, że lekceważąc pragmatykę konspiracji, nigdy nie rozstawał się z bronią. Zauważył jej pytający wzrok.

– Nadziałem się na patrol Niemców – wyjaśnił. – Musiałem wyrzucić mego walthera do studzienki ściekowej. Muszę mieć broń!

Bez słowa udała się do skrytki w wygodce.

Wedle relacji gadzinowego „Kuriera”: O godzinie 17.30 na ulicy Karolkowej 1 został zabiły strzałem w pierś Wysocki Jan, lat 49, zamieszkały Pańska 8. Sprawca nieznany...”

Dwa dni po tym zdarzeniu Róża spotkała się z Delkaczem i opowiedziała mu o wszystkim. „Profesor” ze zmarszczonymi brwiami uważnie wysłuchał jej opowieści. Jak zwykle nie przerywał jej i zadał tylko jedno pytanie:

– Mówiłaś „Dłугоmu” o telefonicznym ostrzeżeniu przez tego anonimowego Niemca?

– Nie... – w jej głosie zabrzmiało zaskoczenie.

– A dlaczego?

– Nie mam pojęcia, może po prostu nie pomyślałam.

– I bardzo dobrze – z tonu głosu prawnika nie wynikało jednak, czy informacja ta zmartwiła go, czy ucieszyła. – W ogóle nie rozmawiaj z nikim na ten temat. A „Długiemu” oczywiście nie wspominaj, że rozmawiałaś ze mną.

– Dobrze, panie „Profesorze” (mimo ich seksualnych zbliżeń, nigdy nie odważyła się mówić mu po imieniu).

Mołojec odwiedził ją jeszcze raz, w przeddzień Sylwestra. Akurat znowu „Waleria” była na wsi u rodziny Miał nowy płaszcz i eleganckie buty. Zamiast prezentu na Nowy Rok przywiózł Róży trochę pieniędzy. Nie krył, że teraz jest „pierwszym” w partii. Ale w środku nocy, kiedy skończyli się kochać i zapalili papierosy, nieoczekiwanie zwierzył się z pewnego zdarzenia, jakie miało miejsce na krótko przed świętami.

– Właściwie nie powinienem ci o tym mówić, ale chcę żebyś o tym wiedziała. Parę dni temu mieliśmy spotkanie kierownictwa w Wesolej u jednego szewca.

– Pewnie pana Śmigielskiego? – domyśliła się moja matka, zdumiona wyznaniem Mołojca. Nigdy nikt z równą szczerością nie rozmawiał z nią o sprawach partii.

– Mniejsza o szczegóły. Spotkanie jak spotkanie, ale przez cały czas miałem dziwne wrażenie, że mieli ochotę mnie załatwić.

– Kto?

– Wszyscy pozostali. „Wiesław”, „Witold”, „Paweł”... No może nie wszyscy, „Olek” z pewnością by na to nie poszedł. Oczywiście nie dawali niczego poznać po sobie, ale czułem, że coś wisi w powietrzu. A Jasia” wyraźnie pękała. Widziałam to po jej oczach. Czułem, że coś knują...

– Ale dlaczego?

– Nie mówią tego wprost, ale chętnie oskarżyliby mnie o załatwienie „Starego”.

– Ciebie? – udała zdumienie. – Najbliższego towarzysza? Przecież to absurd.

Bolesław dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu zaciągał się papierosem.

– Co ty wiesz o najbliższych towarzyszach, mała? Żeby coś rozumieć, trzeba było być w Hiszpanii w trzydziestym szóstym, albo w Moskwie w trzydziestym siódmym. Jeśli ktoś zostaje uznany za wroga nie ma dla niego litości...

– Ale jeśli jest niewinny?

Zaśmiał się krzywo.

– Wina jest pojęciem względnym, a prawda absolutna – burżuazyjnym przeżytkiem prawa rzymskiego. Jest tyle prawd, ilu ludzi. A wygrywa prawda tego, kto ma akurat w ręku broń. Nic nowego nie dzieje się na tym świecie, tak było za Nerona i za świętej inkwizycji. Widziałem egzekucje, w których jedni ginęli z imieniem Stalina na ustach, a drudzy z tym samym imieniem w sercu wołali „agoń!”. Uwierz mi, nie zabiłem „Starego”, chociaż dziś nie ma to już większego znaczenia...

– A wiesz przynajmniej kto to zrobił?

– Cholera wie. Może hitlerowcy wystawili go londyńczykom. A może było odwrotnie... Od dawna wiedziałem, że ma jakieś konszachty z Gestapo... – urwał, bo zorientował się, że chlapnął zbyt wiele i szybko zmienił temat. – Miałbym do ciebie jedną prośbę, „Narcyzo”, jeśli coś się ze mną stanie, zawiadom „Antona”...

– Kogo?

– No, mojego brata Zygmunta. On im nie popuści. Oczywiście mówię tak na wszelki wypadek. Nikt z bandy nie ma dość jaj, żeby stanąć przeciwko mnie i mojemu bratu. Po Nowym Roku osobiście ich załatwię... I nie martw się, kochana. Gdy wygramy będę rządził Polską Republiką Rad.

Bolesławowi Mołojcowi nie dane było zrealizować swej obietnicy. Już nazajutrz zwabiony na Stare Miasto, zginął na jednej z wąskich uliczek, trafiony strzałami „moskiewskich zrzutków” – Janka Krasickiego i Mietka Hej mana. Wiedziałem o tym z dokumentów Wierzchowskiej, jednak moja matka nie miała wtedy o tym bladego pojęcia.

* * *

Zygmunt Mołojec z rysów twarzy przypominał swego brata, był tylko nieco niższy i miał ciemniejsze włosy. Niespodziewanie podszedł do Róży, kiedy z tłumem wiernych wysypała się z wolskiego kościoła. W pierwszej chwili pomyślała, że to „Długi”.

– Nie zatrzymuj się, „Narcyzo” – powiedział „Anton”. – Musimy porozmawiać.

Wziął ją pod ramię i ruszyli z wolna w kierunku pobliskiego cmentarza. Sypał śnieg, tworząc fantazyjne czapy na krzyżach i nagrobkach. Mołojec rozglądał się czujnie, sprawdzając czy nikt ich nie śledzi, ale nie mówił nic, zanim nie znaleźli się w jakiejś ustronnej alejce.

– Ładna jesteś, „Edward” w niczym nie przesadził! – powiedział, używając drugiego z pseudonimów brata. – Widziałas się z nim ostatnio?

– Po Nowym Roku już nie.

– Dzwonił chociaż, komunikował się poprzez kogoś?

Pokręciła głową i w paru zdaniach opowiedziała mu o ostatniej rozmowie i wyrażonym życzeniu. Wyglądał na zaszępionego.

– Zostawił dla mnie jakieś dokumenty?

– Nie. A wy też nie mieliście od niego żadnego sygnału? Bo wśród towarzyszy krążą różne, sprzeczne pogłoski, że zaginał, albo że wpadł w ręce Gestapo...

– Do mnie też docierają różne wersje, ale z własnych źródeł wiem, że Niemcy go nie mają... Z kolei gdyby otrzymał jakieś zadanie w terenie, też byłbym wiedział.

– Czyli co się stało?

– Podejrzewam najgorsze. Prowoki są wszędzie. Najpierw dobrali się do „Starego”, teraz do mojego brata.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Kilku. Znasz „Marka”? „Witold” wprowadził go na moje miejsce.

– Słabo – postanowiła nie zdradzać się ze swą wiedzą na temat kierownictwa PPR-u.

– Powciskało się tam kilku legionistów i przedwojennych dwójkarzy – parsknął gniewnie. – Jestem pewien, że cały czas intrygują za naszymi plecami. Czy wiesz, że kazali mi zdać moje funkcje?

Nie pytała jakie, ale sam jej powiedział.

– Na razie to ja jestem szefem informacji. Nie oddam swej funkcji „Markowi”, tej pierdole z dyplomem architekta, dopóki nie prześwietlę wszystkiego i nie będę wiedział, czy służy to naszej partii czy też nie. Myśli, że jestem sam i że można mnie łatwo wyeliminować. Bardzo się sukinsyn przeliczy. Teraz jadę w Radomskie, a kiedy wrócę z ludźmi, to inaczej pogadamy.

Wydawał się zdeterminowany i szalenie nieostrożny. Właściwie nie wiedziała, dlaczego jej to mówi? Żeby przekazała „Profesorowi”, o którym mówiono, że prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Nowotki? A może po prostu musiał się z kimś tym podzielić. Z kimś, kto to zapamięta.

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, dam ci znać. Jeśli nie i trzeba będzie przebić się do Francji, zabiorę cię ze sobą. Odezwę się sam albo przyślę jedną z trzech osób – „Marylkę”, „Białego Adasia” lub „Czarnego”...

Znaleźli się przy bocznej bramie cmentarza. Nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Teraz wracaj – rzucił – i nie oglądaj się za siebie. A jeśli chcesz przeżyć, nikomu nie mów o naszej rozmowie. Obiecałem Bolkowi, że będę cię chronił. Więc będę, dotrzymuję złożonych obietnic! Zawsze byłem wierny ludziom i partii. Od dzieciństwa, od Pionierów, przez Hiszpanię, do dziś. I do grobowej deski.

Taka deklaracja złożona na cmentarzu sprawiła, że moją matkę przeszył lodowaty dreszcz. Też go odczułem i się obudziłem.

Do rana notowałem swoje przeżycia, po południu w dokumentach z archiwum Wierzchowskich sprawdzałem ludzi i fakty. Nie potrafiłem wyjść z podziwu nad bogactwem tego zbioru. Obok archiwaliów własnych i wycinków, znalazły się tam liczne publikacje podziemne, a także pozycje przemycone z emigracji, nie mówiąc już o artykułach i materiałach na wpół jawnych, jak choćby te z sesji na temat początków PPR-u, która odbyła się w lutym 1981 roku w Towarzystwie Miłośników Historii. Czy wobec tego, co wyśniłem, była do utrzymania wersja „Komisji Duracza”, że to właśnie „Anton” na rozkaz brata zastrzelił Nowotkę?

– Bracia Mołojcowie, prymitywne rezuny! A są durnie, którzy twierdzą, że gdyby wygrali, byłiby lepsi od Gomułki i jego frakcji... A to bzdury, bzdury, bzdury!

Odwróciłem głowę. Stary pan Wierzchowski wydostał się jakoś ze swego pokoju i stał obok mnie, w pidżamie, patrząc tak przytomnie jakby miał o 20 lat mniej, a jego Alzheimer wyjechał na wakacje.

– Interesujesz się dziejami PPR-u chłopcze? Brawo. Ale jeśli chcesz cokolwiek zrozumieć z tej materii, postudiuj historię mafii i wyrzuć poza nawias Pana Boga razem z jakimikolwiek zasadami moralnymi! – stwierdził stary profesor. – Niektórzy historycy puszczają między sobą oko na temat rzekomych nacjonalistów w PPR-ze, sugerując istnienie zwolenników suwerenności Polski... Łatwiej byłoby chyba znaleźć w dżungli Sumatry tygrysa wegetarianina. Kto służy bolszewii, służy jej bez reszty, a co najwyżej Kreml wystawia według swego widzimisię cenzurki. Podobnie te wszystkie podziały na natolińczyków, czy puławian, twardogłowych i liberałów, to fikcja, drogi panie, fikcja... Podobnie jak legenda Eugeniusza Podlaskiego.

Na moment zamurowało mnie, ale kiedy podniosłem głowę, chcąc zadać parę pytań, zobaczyłem puste oczy, głupkowaty uśmiech i plamę moczu rozlewającą się po spodniach od pidżamy.

Z wrażenia wypuściłem trzymane fotokopie, a kiedy podniosłem je z ziemi, zorientowałem się, że starego profesora już nie ma w pokoju. A może w ogóle nie było.

Fakty odnotowane w dokumentach były ponure – z wyprawy w Radomskie młodszy z braci Mołojców już nie powrócił. Wkrótce potem zginęli jego bliscy: łączniczka „Marylka”, obaj „Adasiowie”, rozwaleni podobno osobiście przez późniejszego generała Edwina Rozłubirskiego „Gustawa”... A jaką rolę odegrała w tym moja matka? Z następnych snów wiem, że nawet wobec Delkacza zachowała milczenie na temat rozmowy z „Antonem”. Może dlatego przeżyła?

Oczy zaczynają mnie szczypać, najwyższa pora przerwać pracę. I tak mam mnóstwo materiału do przetrawienia. Szokującego materiału. Nie należałem nigdy do wielbicieli komunizmu, jednak to, czego dowiaduję się na jego temat ze snów i źródeł, przekracza najgorsze wyobrażenia na temat jego początków w Polsce. Jak dalece nie znaliśmy prawdy o tamtych czasach. Nie wierzyłem oczywiście oficjalnym podręcznikom historii, ale podobnie jak większość ludzi żyjących w PRL-u łudziłem się, że choć w części zawierają one prawdę. Jakimże byłem dzieciakiem. Nie przyjmując brutalnej prawdy, okłamywałem sam siebie.

Ciekawe, że cynik Artur dużo wcześniej nie miał podobnych złudzeń.

– W naszych podręcznikach prawdziwe są jedynie numery stron – powiedział. – Nie ma jajeczek

częściowo świeżych, paaanie profesorze. Konstrukcję zbudowaną na kłamstwie mogą podierać tylko kłamstwa...

– Daj spokój! Gdyby tak było, nie dałoby się żyć!

– Ale żyjemy. Ty ponieważ masz trochę złudzeń, ja ponieważ nie mam żadnych i postanowiłem się do tego przyzwyczaić. Wiem, że to bolesne, ale przecież my nie jesteśmy żadnym suwerennym państwem, ani nawet porządnym protektoratem z lokalnym samorządem.

– A czym w takim razie?

– Kolonią, a może należałoby powiedzieć – gubernią, która niczym wieś potiomkinowska miała, wedle Stalina i jego następców, udawać normalne, europejskie państwo.

Nie mogłem się zgodzić z taką opinią.

– Być może twoja ocena jest trafna w stosunku do okresu stalinowskiego, ale po październiku to się zmieniło...

Artur tylko prychnął.

– A czymże był ten „polski październik”? Gigantycznym kłamstwem, jedną wielką manipulacją, która pewnej części inteligencji wmówiła, że wzięli swoje sprawy w swoje ręce. Patrz na konkrety, co się zmieniło w sprawach naprawdę istotnych? Czy wyszła z Polski Armia Radziecka, czy zyskaliśmy swobodę w polityce zagranicznej, a może zniesiono cenzurę? Owszem, dopuszczono indywidualne rolnictwo, bo sowietci potrzebowali naszej żywności! A kochany Gomułka, towarzysz „Wiesław”? Mąż stanu? Wódz narodu? Cała jego zasługa polegała na tym, że należał do części koterii, czasowo represjonowanej. Gdyby w czterdziestym ósmym Stalin wiedziony jakimś kaprysem postawił na niego, rehabilitowalibyśmy Bieruta lub Bermana... Pewnie pośmiertnie.

– Jesteś zaślepiony!

– Jestem realistą, który domyśla się na czym polega gra w te klocki. Istnieje system, który ma wpisane w swe działanie totalitaryzm i ekspansję. Jeśliby z tego zrezygnował, szybko rozsypałby się jak rzeźba z piasku. Nasze bunty, polskie drogi do socjalizmu, przyjacielu, to są kontrolowane eksperymenty. Powiem ci więcej, wcale nie jestem pewien, czy rodząca się „Solidarność”, ta nasza zabawa z wolnymi związkami zawodowymi, nie jest przypadkiem poligonem, na którym wnuczeta Lenina testują w kraju priwiślińskim ewentualne warianty rozwoju realnego socjalizmu.

– Jeszcze chwila, a powiesz, że to KGB wyznaczyło naszego Papieża?

– Nie, paaanie profesorze. Nie powiem. Jak wiesz jestem zwolennikiem teorii manichejskich. Dlatego biorę pod uwagę możliwość, że do gry prowadzonej od dłuższego czasu solo przez szatana włącza się wreszcie Pan Bóg. Na nasze szczęście!

Była to nasza ostatnia rozmowa przed jego pójściem do szpitala. Nie miałem pojęcia, że aż tak z nim źle. Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, już na oddziale onkologii, nie rozmawialiśmy o

polityce. Dziwnie poczerniały, z malującym się w oczach czymś, czego do tej pory nie potrafię nazwać, zadał mi pytanie, czy naprawdę wierzę, że istnieje Bóg?

No to teraz zabiorą się za kontrrewolucję! – powiedziała Grażyna, jak zwykle oglądająca telewizję przez uchylone drzwi od kuchni. – I tak długo zwlekali z działaniem.

– Nic nam nie zrobią. Tylko straszą! – odpowiedziałem impulsywnie. – Jest nas, jakby nie było, dziesięć milionów.

– Poczekaj parę miesięcy, połowa się zniechęci, a połowa przestraszy! – ucięła moja stara i zniknęła w głębi spiżarni.

Wyłączyłem odbiornik z uczuciem znużenia. Nie zamierzałem dyskutować z moją ślubną, zresztą sam też miałem coraz mniej złudzeń. Nastroje towarzyszące dzisiejszemu plenum i zastąpienie Stanisława Kani na stanowisku pierwszego sekretarza KC PZPR przez generała Wojciecha Jaruzelskiego nie wróżyły niczego dobrego. Może pod wpływem Artura, w odróżnieniu od wielu rodaków, nie miałem nigdy najmniejszego zaufania do tego manekina w generalskim mundurze. Pamiętałem mu marcowe czystki w wojsku i interwencję w Czechosłowacji, i odpowiedzialność za grudniowe salwy w 1970 roku. Nie dałbym złamanego grosza za umiejętnie rozprowadzaną od lat legendę głoszącą, że w trakcie wydarzeń na Wybrzeżu przebywał w areszcie domowym. Instynktownie czułem, że ten gładki prymusik o zaciśniętych ustach i oczach ukrytych za taflami ciemnych okularów posłusznie wykonałby każdy rozkaz mocodawców z Kremla. I dorzuciłby jeszcze coś od siebie.

– Ciekawe, co zamierzasz, draniu. Spróbujesz zdławić „Solidarność” siłą? – rzuciłem w stronę pociemniałego ekranu. – Poważysz się zdobywać zakład za zakładem, pałować prądki z zakładów tekstylnych i naukowców z instytutów badawczych? A może wcześniej dostaniesz ze strachu sraczki?

Czy jednak było to takie nieprawdopodobne? Od Ryśka wiedziałem, że już wiosną, w trakcie konfliktu bydgoskiego, przygotowywane były listy proskrypcyjne...

Pewnie mój bluzg pod adresem pierwszego sekretarza byłby jeszcze dłuższy, ale zadzwonił telefon.

– Słucham, kto mówi?

W pierwszym momencie nie poznałem głosu Ruczajskiej, później gdy już zorientowałem się, że to ona, miałem trudności z rozróżnianiem poszczególnych słów staruszki.

– Widziałam go, widziałam – powtarzała pełna emocji. – O dobry Boże! O Matko Przenajświętsza!

Odczekałem parę sekund, po czym zapytałem:

– Proszę się uspokoić i powiedzieć mi, kogo pani widziała?

– Felka! Tego cholernego Felka!

– Jakiego znowu Felka?

– Felka Macaja. Tyle lat minęło i moje oczy nie są najlepsze. Ale jego rozpoznałabym nawet w piekle. Ten sam śliski uśmiech, te ruchy i głos...

– Zaraz... Mówi pani o człowieku, który zadenuncjował pani męża?

– A o kim by innym. Bolszewicka swołocz! A teraz jaka figura! Dobrze go wynagrodzili za służalczość.

– Ale gdzie go pani spotkała?

– W telewizji go zobaczyłam, w dzienniku gadał.

– Feliks Macaj pojawił się w telewizji? – powtórzyłem na wszelki wypadek.

– Nosi teraz całkiem inne imię i nazwisko, ale to ta sama kanalia!

Chwyciłem notes i długopis.

– Może mi pani powiedzieć, jak się nazywa obecnie...

– Nie przez telefon – głos pani Ruczajskiej zrobił się jeszcze cichszy. – Proszę do mnie przyjechać! Jak najszybciej!

– Może jutro? – zaproponowałem.

– Nie, dzisiaj. Jak najszybciej. Ja się boję! Bardzo się boję!

Nie musiała tego powtarzać, jej przestach był absolutnie nieudawany. Moje zmęczenie pierzchno natychmiast. Niewiele myśląc, sięgnąłem po kurtkę i kluczyki od malucha.

– A ty dokąd? – zdziwiła się Grażyna. – Kolejne nocne posiedzenie, czy gotowość strajkowa?

– Muszę coś odebrać od znajomego, niedługo wrócę – odparłem, lekceważąc żoniną ironię.

Na skrzyżowaniu Ostrobramskiej i Płowieckiej zdarzył się wypadek, tak więc zamiast kwadransa droga zajęła mi ponad Czterdzieści pięć minut. Błotniste uliczki Wawra tonęły w mroku. Paliła się ledwie co czwarta latarnia. Domek pani Ruczajskiej, poza purpurową lampką przed stojącą w środku klombu figurką Matki Boskiej, spowijały egipskie ciemności. Nie zauważyłem srebrzystego odbłasku telewizora na szybach, nie paliło się światło nad wejściem. Zadzwoiłem raz i drugi. Żadnej odpowiedzi. Nie rozległo się też ujadanie leciwego terriera. Pamiętając o wskazówkach, wsunąłem dłoń przez dziurę i od wewnątrz nacisnąłem klamkę. Wejście na posesję stanęło otworem. Okazało się, że dom był ciemny również od strony ogrodu. Zastukałem do drzwi, potem do okna. Cisza. „Może staruszka zemdląca?” – pomyślałem, ale zaraz się zmitygowałem. „Tak, zemdląca, ale przedtem, z oszczędności, wyłączyła wszystkie światła i nakazała psu śluby milczenia?”

Ostatnią możliwością było, że wysiadły korki. Jednak przeczył temu dobiegający z domu słabiutki ale słyszalny dźwięk dzwonka w momencie gdy naduszałem przycisk przy schodkach. Posprawdzałem wszystkie drzwi – główne, kuchenne, ogrodowe. Pozamykane na głucho! To przynajmniej świadczyło, że nie uciekała w panice. Ale przecież, gdyby wybrała się na wieczorny spacer z psem, z pewnością zapaliłaby światło nad stromymi schodkami... „A jeśli...?” – pomyślałem o losie Witkowca i robak strachu wlaź mi pod koszulę.

Wróciłem na ulicę, rozglądając się dookoła. Nadal nikogo. Usiłowałem myśleć racjonalnie. Może niepotrzebnie się denerwuję, gdy tymczasem starsza pani, troszkę przestraszona tym co zobaczyła w telewizji, schroniła się u którejś z sąsiadek. Postanowiłem jednak nie budzić całej okolicy. Odczekałem w samochodzie jeszcze dobrą godzinę, licząc, że skoro mnie wezwała, jednak się pojawi. Albo przynajmniej wyśle kogoś, żeby sprawdzić czy przyjechałem. Nic takiego nie nastąpiło. W końcu postanowiłem wracać, przekonany, że jutro wszystko się wyjaśni. Jednak kiedy zapaliłem światła w samochodzie, przyszło mi do głowy jeszcze coś. Wszedłem z wozu i starannie obejrzałem rozmiękłą drogę. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej! Wśród wielu kolein najbardziej zainteresowała mnie ostatnia. Jakiś duży, ciężki wóz musiał całkiem niedawno zatrzymać się przed domem, wskazywał na to ślad hamowania, a następnie zawracania. Sądząc po odciskach kół, nie była to raczej taksówka. Żadnych innych śladów poza tym nie udało mi się zauważyć. Przygnębiony i pełen niedobrych przeczuc wróciłem do domu. Grażyna już spała.

Następnego dnia przeczytałem w „Życiu Warszawy”, że opodal stacji Wawer podczas dżdżystej nocy pod pociąg elektryczny z Pilawy wpadła emerytka Alicja R. Przechodziła przez tory w miejscu niedozwolonym. W notatce była mowa o wczesnych godzinach rannych. Wyglądało na to, że w milicji nikt nie zadał sobie pytania, co staruszka robiła bladym świtem na torach? A może badano ten wątek, tylko nie poinformowano o tym prasy. Dla mnie szczególnie zagadkowe wydawało się coś innego. Wkrótce po dwudziestej pani Ruczajska dzwoniła do mnie z własnego domu, godzinę później jej tam nie było. Pod pociąg wpadła dopiero nad ranem? Co w takim razie działo się z nią przez te wszystkie godziny pomiędzy zniknięciem a śmiercią? I kto się nią przez ten czas zajmował? Kwestia była tak przerażająca, że niewiele brakowało bym zapomniał zanotować sen, który przyśnił mi się tamtej nocy.

* * *

Kościół Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście większość mieszkańców stolicy rozpoznaje prawie natychmiast. Mato jest gotyckich świątyń w Warszawie. Kiedy weszła tam moja matka, był prawie pusty. Jedna penitentka spowiadała się w konfesjonale, druga przycupnęła parę kroków dalej z twarzą zwróconą w stronę ołtarza. Róża klękła w ostatniej ławce, zimnej jak kawałek lodu. Czuję, że się bała. A może należałoby powiedzieć – odczuwała niesamowitą treść (podczas tego snu wyjątkowo precyzyjnie odbierałem cały zamęt panujący w jej głowie). Ostatni raz u spowiedzi świętej była jeszcze przed rozwodem rodziców, jako niewinne dziecko. Od tego czasu nabierała się wielka góra grzechów, pod którą załamałby się najmocniejszy wielbłąd. Nawet bez konieczności przechodzenia przez ucho igielne. Wahała się tym bardziej, iż nie chodziło tylko o to, aby złożyć na głowę starszego, zmęczonego mężczyzny, którego fioletowa stuła wystawała z konfesjonatu, wszystkie mniejsze lub większe przewiny, obciążające jej moralną hipotekę. Nie było dnia, żeby odmawiając wieczorny pacierz – ten jeden nawyk pozostał jej z katolickiego dzieciństwa

– nie stawały jej przed oczyma najróżniejsze uczynki, za które gardziła sobą. Jakże często chciała przez te lata pobiec do najbliższego kościoła i zawołać w ucho kapłanowi: „Tak, proszę księdza, kradłam, kłamałam, wyparłam się ojca i matki mojej, złorzeczyłam Panu, a nade wszystko pieprzyłam się na prawo i lewo, pod przymusem i bez przymusu. Czasami znajdowałam w tym odrazę, ale niekiedy również perwersyjną przyjemność. Nie potrafiłam miłować nieprzyjaciół moich, życzyłam im śmierci we śnie i na jawie... Czy ojciec duchowny potrafi odpuścić mi to wszystko za pięć zdrowasiek? No, nie targujmy się, za dziesięć, niech stracę!”.

Niestety od dawna nie wierzyła w taką moc kapłana. Prędzej już dopuszczała myśl o prowadzonej tam w górze księdze złych i dobrych uczynków, za którą przyjdzie zdać kiedyś rachunek. Miała nadzieję, że Bóg miłosierny i wszechwiedzący był z nią, kiedy dopuszczała się występków, płakał z nią i za nią, cierpiał, wstydził się, toteż na ostatecznej szali, pchnie ją palcem w stronę światłości...

Nie! W to też nie wierzyła. Przynajmniej nie zawsze! Miewała takie momenty, kiedy dochodziła do wniosku, że Bóg jest zły, albo umarł, skoro jest możliwe to, co się dzieje na świecie. Widziała ogłoszenia z ulicznych egzekucji, doskonale zdawała sobie sprawę dokąd podążają transporty jej współbraci z Umschlagplatzu. Jeśli potrzebowała dziś księdza, to dlatego, że musiała z kimś porozmawiać. Zwierzyć się komuś. Za dużo zdarzyło się ostatnio jak na jedną, młodziutką dziewczynę. Jeśli miała jakieś wątpliwości co do organizacji, w którą wdepnęła, te rozwiązywały się ostatecznie. Delkacz i owszem roztaczał przed nią ideologiczne landszafty, jednak nocującym w „przejazdówce” gwardzistom, zwłaszcza gdy sobie popili, szybko rozwiązywały się języki. Bez żenady opowiadali o swoich akcjach, głównie rabunkowych. Przechwalali się, mówiąc o złupionych dworach, zlikwidowanych „wrogach klasowych”. Szczególnie barwnie o swych przewagach opowiadał niejaki „Jastrząb” ze sztabu „Grzegorza”, działający na Lubelszczyźnie (nie miałem wątpliwości, że idzie o oddział Grzegorza Korczyńskiego, kata Wybrzeża z roku 1970, który szczełł gdzieś na placówce w Algierii). Jastrząb” nie krył, że wcześniej miał samodzielną bandę, nawet tym się chlubił. Nosił zegarki na obu rękach i jeszcze jeden z dewizką w kieszonce, miał też parę sygnatów ściągniętych z jakichś „jaśniepanów”. Podochocony opowiadał o rżnięciu kryjących się po lasach Mośków (ale tylko burżujów). Raz nawet udało im się zdobyć obóz zbudowany dla Żydów w Janiszowie, zastrzelono tam Niemca pilnującego więźniów, część młodych Żydów wcielono do oddziału, z reszty ściągnięto haracz. Opowieści te budziły w mojej matce grozę. Tym bardziej, że co i rusz dochodziły ją wieści o wewnętrznych porachunkach.

– Nie uwierzycie! – opowiadał „Jastrząb”. – Te sukinkoty z miejscowego PPR-u wspierane przez miejscowych Żydków, ukrywających się po chałupach w Ludmiłowce, udusiły powrozami moich ludzi i zabrały cały szmal. Ale jak wróciliśmy z „Grzegorzem”, to zrobiliśmy tam taką łaźnię, że mało kto uszedł z życiem...

W lutym 1943 roku Róża dostała poważne zadanie. Miała wraz z „Walercią” przywieść furmanką spod Ryk jakiegoś ważnego towarzysza. Delkacz nie do końca wiedział kto zacz i po co przybywa. Moskwa kazała jedynie zapewnić transport. Później okazało się, że ten zrzutek to jakiś znakomity pisarz i płomienny komunista. Kto wie, może przyszły sekretarz partii? Niestety w umówionym miejscu oczekiwany towarzysz się nie pojawił. Później, od miejscowego łącznika dowiedzieli się, że nocą we wsi Bramka, kilkanaście kilometrów od Ryk, wylądował na drzewie jakiś „Rusek” na spadochronie. W dodatku złamał nogę. Podobno wzywał głośno pomocy po polsku i rosyjsku.

– I co? – zapytała „Waleria” łącznika.

– I nic. Obok były wprawdzie dwa gospodarstwa, ale jeden gospodarz, miejscowy chłop, nie pospieszył z pomocą, bo za bardzo obawiał się tego drugiego, wysiedleńca z Poznańskiego. Słusznie zresztą. Wysiedleńca poszedł wprawdzie zobaczyć co się dzieje, ale pomoc nie chciał, mimo że Rusek dolarami chciał płacić...

– A to łajdak!

– Mało tego. Zaraz pobiegł donieść żandarmom. W tej sytuacji skoczek spalił papiery, które miał ze sobą, zniszczył radiostację, a na koniec zastrzelił się ze swojego mauzera. Od polskiego tłumacza na miejscowym posterunku „Waleria” wyciągnęła informacje, że spadochron był z całą pewnością sowiecki, a samobójca miał dowód na nazwisko Witold Kolski, urodzony w Łodzi...

Wkrótce po powrocie z tej nieudanej eskapady moja mama dowiedziała się, dzięki niedyskrecji syna Delkacza, o wykryciu spisku w Komitecie Centralnym, sądzie oraz likwidacji zdrajców i szpiegów hitlerowskich. Żadne nazwiska nie padły, ale zdała sobie sprawę, że chodzi o Mołojców. Stały jej przed oczyma fakty, wypowiedzi, twarze i czara goryczy się przebrała.

Miała dosyć, czuła, że musi się wyrwać z tego bagna. Tylko jak? Cały jej obecny świat ograniczał się do komunistycznej konspiracji, wiecznie czujnej, wzajemnie nieufnej. Za dużo wiedziała, żeby pozwolono jej odejść. Zresztą nie miała dokąd... Kościół wydawał się jedynym miejscem godnym zaufania. Wiele razy zastanawiała się, jak to mogłoby się odbyć.

– Szukam pomocy, proszę księdza – powie.

– Bóg jest twoją ostoją, dziecinko – usłyszy w odpowiedzi.

Potem spróbuje się więc wyspowiadać, wyjawic pod tajemnicą spowiedzi to, co ciąży jej od miesięcy. Nie chodziło przecież o jej prywatne grzechy, od dawna nie wierzyła w zbawczą moc sakramentu, ale o wszystko to, co działo się dookoła. Potrzebowała rady. Tylko czy ksiądz mógł jej udzielić? Poza tym, czy mógł jej zaufać? Tak samo jak ona doskonale wiedział, że świat roi się od szpiclów, prowokatorów, albo po prostu wariatów...

„Po raz ostatni byłam u spowiedzi ponad pięć lat temu... Byłam wtedy małą, głupią dziewczynką” – układała sobie początek wystąpienia. Znała również koniec: „Więcej grzechów nie pamiętam, żałuję za nie szczerze, a ciebie, ojciec duchowny, proszę o rozgrzeszenie”. Co jednak miało znaleźć się pomiędzy? Jak zmieścić w kilkunastu minutach zarówno okres nagłego odejścia od wiary, krótkotrwałą i powierzchowną fascynację judaizmem, pobyt w bolszewickiej szkole, sprawę z Pollerem, a potem cały ten okres warszawski? Czuła się brudna, potwornie brudna...

Rozległo się pukanie, które w pustej nawie kościoła huknęło jak seria wystrzałów. Spowiadająca się staruszka wstała, ucałowała stulę i ruszyła w stronę ołtarza. Moja mama również podniosła się z miejsca. Przez moment wraz z nią miałem wrażenie, że dębowy konfesjonał sam ruszył na przeciw. Jednak w ostatniej chwili Róża skręciła, przyklękła w środku nawy, uczyniła szybki znak krzyża i wyszła z kościoła.

„Jeszcze nie dziś, przyjdę jutro” – powiedziała sobie. A jej myśli stały się dla mnie niedostępne.

– A co ty tu robisz? – naraz, jak spod ziemi, wyrosła przed nią zwalista figura „Walerii”. Przypadkowo znalazła się na Nowym Mieście, a może współlokatorka ją śledziła?

– Przechodziłam i wpadłam się pomodlić – odparła zmieszana.

– Ty chyba głupia jesteś! I ciemna jak wiejska baba.

Dyskusje światopoglądowe stanowiły częsty temat ich domowych kontrowersji. „Waleria” uważała religię za zabobon i opium dla ludu, które znikną w bezklasowym społeczeństwie komunistycznym, ale tymczasowo była w stanie zaakceptować postawę Róży, która twierdziła, że wierzy w Boga, ale nie w księży. Tym razem jednak moja mama nie powiedziała ani słowa tylko śmiało spoglądała w oczy potężnej towarzyszki. Jeśli miała jakieś pytania, mogła zapytać.

– Ziąb okropny i ten cholerny wicher – stwierdziła ni z gruszki ni z pietruszki „Waleria”. – Wracasz do domu?

– Mam jeszcze parę spraw do załatwienia na mieście. Wrócę koło piątej.

Mimo przenikliwego wiatru Róża spociała się w mgnieniu oka. Pomyślała, jakie mogłyby być konsekwencje, gdyby ktoś z partii zdybał ją na długiej rozmowie z księdzem. Znów powróciło wspomnienie Stasiaka, karcącego ją za rozmowy z chłopakiem z sąsiedztwa: „Życie ci nie miłe?”.

* * *

To był ciężki dzień, w przerwie między lekcjami, udało mi się zapisać sprawozdanie ze snu, ale cały czas myślami byłem przy tragedii z minionej nocy. Ciągle nie mogłem się pogodzić z myślą, że starsza pani nie żyła. Naprawdę nie żyła! Nawet prowadząc lekcje, miałem przed oczyma postać przypominającą figurkę z miśnieńskiej porcelany, a w uszach ciągle rozbrzmiewał mi jej energiczny głos. Nie miałem wątpliwości, że zginęła, ponieważ oboje zbyt blisko zbliżyliśmy się do prawdy, ponieważ mogła zdemaskować niegdysiejszego kapusia, dzisiejszego prominenta. Tylko jak bez niej miałem to ustalić? „Kim jesteś dzisiaj, Feliksie Macaju?” – powracało do mnie jak refren. Dlaczego nie podała mi jego nazwiska przez telefon? Z naszej ostatniej rozmowy wynikało, że widziała go w dzienniku. Więc i ja musiałem go widzieć! Oglądałem przecież ten gadzinowy produkt reżimowej propagandy. Jednak spośród partyjnych pysków, których tam nie brakowało, nie zapamiętałem nikogo, poza triumfującym Jaruzelskim. Przyszedł mi jednak do głowy sposób jak to sprawdzić. Podczas działalności związkowej, jakieś pół roku wcześniej, poznałem pewnego człowieka z telewizyjnej techniki. Sprawiał wrażenie oddanego sprawie, chociaż trochę nawiedzonego. Tym lepiej! Wiedziałem, że dzienniki są archiwizowane, więc gdyby udało mi się je przejrzeć... Pojechałem do „Mazowsza”, na Mokotowską. Adamski błyskawicznie znalazł namiary na Waldka Paśnika i umówił nas jeszcze tego popołudnia w „Kurierku”, popularnej kawiarni nieopodal placu Powstańców.

Inżynier Paśnik, zwalisty mężczyzna o tubalnym głosie, emanował zyczliwością, nie krył zarazem

ciekawości, dlaczego kogoś aż tak zainteresował dziennik telewizyjny. Przyjąłem jednak zasadę, aby nie wtajemniczać nikogo, ponad tych, których wtajemniczanie jest niezbędne i postanowiłem się jej trzymać.

– Trudno będzie wprowadzić cię na plac Powstańców – powiedział Paśnik. – Ale jeśli powiesz mi, czego potrzebujesz, osobiście przejrzę materiał, pod pozorem sprawdzenia usterek technicznych.

– Znajoma szuka dojścia do kumpla z młodości, który dziś jest wielką szychą partyjną – kłamstwo w słusznej sprawie przyszło mi łatwiej niż myślałem. – Facet wystąpił we wczorajszym dzienniku...

– Jak się nazywa?

– Z tym właśnie jest problem. Ma około 55 lat...

– Znakomity opis, człowieku! – zaśmiał się inżynier. – Było plenum. Połowa zgromadzonych na nim facetów, to goście w tym wieku.

– Ale ten się wypowiadał... Co prawda niekoniecznie na plenum. Bardzo nam na tym zależy – dodałem z naciskiem. Dorzuciłem to „nam” w ostatniej chwili, bo przyszło mi do głowy, że jeśli zasugeruję Paśnikowi, że to jakaś sprawa polityczna, łatwiej mi pomoże.

Pomysł zaskoczył. Następnego dnia otrzymałem listę siedmiu mężczyzn po pięćdziesiątce, którzy zabrali głos w trakcie tego dziennika. Dwóch, aktora i znanego publicystę, skreśliłem od razu. Obaj od lat nie wychodzili z telewizji, podobnie trzeci działacz partyjny, od dawna dość często pojawiał się na wizji. Tymczasem, według pani Ruczajskiej, Macaj pojawił się na ekranie po raz pierwszy. I musiałem się tego trzymać. Z pozostałej czwórki jeden był dyrektorem kombinatu, drugi dyplomata, trzeci wojskowym, czwarty nowym członkiem ścisłego kierownictwa partii. „Który z nich kazał cię zabić, pani Alicjo? I dlaczego?” – szepnąłem sam do siebie, idąc do fiacika zaparkowanego na placu między „Juniosem” a „Kurierem”.

Na miejscu okazało się, że w lewym przednim kole mam kaptur zamiast opony. W wulkanizacji pokazano mi kawałek metalu, który przebił oponę, dętkę i utkwiał w feldze.

– Ktoś pana bardzo nie lubi, panie profesorze – powiedział cicho wulkanizator, prywatnie ojciec jednego z moich uczniów.

– Nie rozumiem. To nie jest gwóźdź?

– Bynajmniej. Ktoś wstrzelił ten kołek zamiast w ścianę, w koło pańskiego wozu i trudno wierzyć, że zrobił to przypadkiem.

Nie opowiedziałem o tym incydencie Marcie, nie chciałem jej przestraszyć. Zresztą spotykaliśmy się teraz tylko raz w tygodniu, we wtorek, kiedy miałem trzygodzinne okienko w szkole, a ona urywała się z lekcji. Konspiracja musiała być pełna. Spotykaliśmy się na Wisłostradzie. Dojeżdżając na Saską Kępę, dziewczyna kładła się na siedzeniu i nakrywała się kocem, a ja wprowadzałem wóz bezpośrednio do garażu pod domem. Podobnie wywoziłem ją po spotkaniu, nie zapominając o kocu, tak by dla jakiejś postronnej osoby zaglądującej do środka auta wyglądała jak tłumok bielizny

transportowany do pralni. A i tak mimo całej ostrożności raz omal nie nakryła nas moja teściowa, która nie wiadomo dlaczego wpadła z niezapowiedzianą wizytą. Na szczęście Marta przeszła wcześniej odpowiednie przeszkolenie. Kiedy ja maksymalnie długo guzdrałem się przy drzwiach, dodatkowo zabezpieczonych łańcuchem, ona tylnym wyjściem wybiegła do naszego mikroskopijnego ogródka, tam wspięła się na pochyły orzech i zwinnie zeskoczyła po drugiej stronie płotu.

W inne dni, kiedy już nie mogliśmy bez siebie wytrzymać, szliśmy do któregoś z bardziej odległych kin: Ochoty, Wisły czy Feminy i tam jak para nastolatków trzymaliśmy się za ręce, albo zaszywaliśmy się w jakiejś małej osiedlowej kawiarni, oczywiście po drugiej stronie Wisły. O śledztwie mówiłem jej mało, twierdząc, że na dobre utknęło. Z rozmysłem zataiłem śmierć Ruczajskiej. Po co straszyć dziecko. Wystarczy, że ja miałem niezłego pietra. Za każdym razem zanim ruszyłem samochodem, uważnie sprawdzałem hamulce i na wszelki wypadek zaglądałem pod maskę.

* * *

Lustro... I odbicie najdroższej twarzy, słoneczne refleksy, buteleczki, flakony, nożyczki. Napis na szybie „Fryzjer Damski” i znów to samo odbicie – regularne rysy laleczki, którą każdy chciałby się pobawić i tylko oczy nad wiek dorosłe, dojrzałe, smutne... Jaka ty byłaś piękna, mamusi!

Spałem dość płytko, czasami zdawało mi się, że dociera do mnie hałas jesiennej ulewy bębniącej w okno... Obraz wówczas zanikał, czasami zdawał się biec jak na przyspieszonej taśmie. Jakaś ulica, tramwaj, znowu ulica... Był to jeden z pierwszych dni marcowych roku 1943, wyjątkowo pięknych i ciepłych, jakie w naszych szerokościach geograficznych zdarzają się raz na kilka lat. Nagle z dnia na dzień stopniały śniegi, a nadchodzącą wiosnę czuło się w powietrzu. Nic za to nie wskazywało, żeby wojna miała się ku końcowi, walki toczyły się gdzieś daleko w północnej Afryce, nad Wołgą, na Pacyfiku. Nagły skręt w Kruczą, tak niepodobną do dzisiejszej, upewnił mnie, że mama zmierza do mieszkania „Profesora”. W trybie pilnym wezwał ją do siebie. Czy Teodor Delkacz przeczuwał nadciągające nieszczęście? Pewnie tak. Z samego rana wysłał żonę poza Warszawę, a kiedy Róża znalazła się w jego mieszkaniu, część najpotrzebniejszych rzeczy była już spakowana. Adwokat wydawał się nieobecny, zamyślony. Odpowiadał monosylabami, tak, że nie bardzo wiedziała czy ją słucha. Cekał na coś, czy na kogoś? Dlaczego w takim razie ją wezwał?

Naraz rozległ się dźwięk dzwonka, długi, dwa krótkie, jeden długi.

– Porozmawiamy później, zaczekaj – wskazał jej drzwi do sypialni. Weszła do środka, ale ciekawa, kto przyszedł do mecenasa, otworzyła wewnętrzny wywietrznik, dzięki któremu słycać było każde słowo z sąsiedniego gabinetu. Goście należeli do ścisłego kierownictwa. „Wiesława” poznała po głosie, to, że drugim był „Marek” wynikało z rozmowy, która początkowo przyjazna i ściszona szybko stała się nader emocjonalna.

– Słyszałem że odnieśliście sukces! Naprawdę wielki – Delkacz spokojnie zwrócił się do „Marka” (już przy jakimś wcześniejszym epizodzie rozpoznałem w nim późniejszego marszałka Polski i przewodniczącego Rady Państwa Mariana Spychalskiego, z którym zresztą kiedyś widziałem się osobiście na obozie harcerskim).

– O czym mówisz? – zdziwił się Spychalski.

– Podobno po jednym anonimowym donosie Gestapo zlikwidowało drukarnię na Grzybowskiej 23/25. To twoja robota?

– Nie będę ukrywał, moja! – ucieszył się „Marek”. – Dostałem stuprocentowo pewne doniesienie o drukarni AK-owskiej bibuły. I postąpiłem tak, jak nakazuje strategia o zwalczaniu wrogów naszej partii.

– Jeszcze „Stary” wydawał takie polecenia – dodał skwapliwie „Wiesław”.

– To rzeczywiście ciekawa sprawa – wycedził jak zwykle opanowany „Profesor”. – W ten właśnie sposób wydałeś Gestapo naszą najważniejszą drukarnię! Aresztowano towarzyszy Makowskich! I kilkanaście innych osób. Moja córka wpadła w „kocioł” i teraz jest na Szucha! Może już nie żyje!

Na moment Spychalskiemu odebrało mowę, Gomułka zaczął kasłać, żeby zakryć zaskoczenie, ale „Marek” już po chwili doszedł do siebie i nerwowo zaczął się bronić.

– Mój informator twierdził, że ta drukarnia z całą pewnością należy do AK. Postąpiłem według procedur.

– Powinieneś sprawdzić!

– Jak? Wpaść na miejsce i zapytać? Byłoby to wbrew zasadom konspiracji.

– Sprawę oceni sąd partyjny! Straty są nie do powetowania – lokal, maszyny, ludzie. Kto wie kiedy ukaże się następny numer „Trybuny Wolności”? Nie chciałbym być w waszej skórze, kiedy „Paweł” się o tym dowie...

– Nie wiem, czy chwilowo powinieneś zawiadamiac o tym „Pawła” – wtrącił się Gomułka. – Nie potrzebujemy nowych czystek. To rzeczywiście był błąd, ale co się stało, już się nie odstanie. Najważniejsze obecnie jest wyciągnięcie „Anki” i twoje ukrycie...

– „Anka” nie sypnie! Zwłaszcza własnego ojca.

– Miejmy nadzieję. Jednak w tej sytuacji uważamy, że powinieneś natychmiast opuścić ten lokal.

– Spokojnie, jestem w trakcie przeprowadzki, a jeśli Gestapo coś postanowi zostaną w porę ostrzeżony. Całe lata zabezpieczałem się na taką okoliczność. Chcę żebyście zabrali materiały dla „Pawła”...

Rozmawiali jeszcze kwadrans, potem wyszli, a Delkacz zajrzał do mojej mamy. Leżała na łóżku i udawała, że śpi. Otworzyła oczy dopiero po mocnym potrząśnięciu za ramię...

– Przepraszam, zdrzemnąłam się, miałam bezsenność – powiedziała.

– Nic nie szkodzi – odparł miękko. – Wezwałem cię z dwóch powodów, kwiatuszku. Po pierwsze, chciałem się pożegnać. Będę musiał wyjechać. Prawdopodobnie daleko, może na dłużej. Po drugie,

postanowiłem przydzielić ci nowe zadanie.

– Mam opuścić Wolffa i Kajzera?

– Niezupełnie. Na razie przejdiesz do ich filii przy Dworcu Gdańskim. Nadal będziesz pracowała w spedycji, tyle że znacznie lżej. A samo zadanie... Cóż... Chodzi o to, że będziesz musiała się zaprzyjaźnić z pewnym Niemcem.

Zaprotestowała. Tylko tego jej brakowało.

– Spokojnie, córuś – uśmiechnął się Teodor. – Nie proponuję ci niczego obrzydliwego. Major Otto Knapp, który zresztą sam się do ciebie zgłosi, nie zostanie twoim kochankiem. Choć wszelkie pozory będą o tym świadczyć.

– Nie rozumiem, czyli jak to ma być?

– To pederasta – odparł lakonicznie Delkacz. – A ponieważ już od czasów „nocy długich noży” jego przypadłość jest źle widziana w tysiącletniej Rzeszy, śmiertelnie boi się zdemaskowania. Tymczasem tak się złożyło, że jesteśmy w posiadaniu paru kompromitujących zdjęć. Z własnym ordynansem, pół-Czechem. Nie może być nic bardziej gorszego, niż nadczłowiek oddający się Słowianinowi. Daliśmy mu o tym znać... Nazwijmy to drobnym szantażem. Major jest przekonany, że chodzi nam tylko o pieniądze, gotów jest zapłacić za milczenie. Nie wyprowadzamy go z błędu. Pieniądze też nam się przydadzą. Natomiast jutro albo pojutrze ktoś wspomni mu o młodej, ładnej dziewczynie poszukującej mieszkania. W jego willi właśnie zwolnił się pokój. Jestem pewien, że chętnie cię tam przyjmie, a dla zachowania pozorów będzie się afiszował tobą jak kochanką...

– Ale co ja miałabym robić?

– Być czujną! Major Knapp został przysłany z Berlina celem wzmocnienia obrony przeciwlotniczej Warszawy, oznacza to, że hitlerowcy nie wykluczają rychłej radzieckiej ofensywy. Towarzysząc mu, musisz mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Będziesz słuchać, zbierać informacje i przekazywać staremu Wolffowi, lub komuś kogo ci wskaże. Zerwiesz wszystkie dotychczasowe kontakty.

– Nawet z „Walerią”?

– Zwłaszcza z nią.

Wyglądało jakby zdawał sobie sprawę, że widzą się po raz ostatni. Po ojcowsku przytulił ją i pocałował. Pierwszy raz podczas ich ponadrocznej znajomości. „Cóż za nagromadzenie sprzeczności w jednym człowieku? – pomyślałem, czując zapach mocnej wody kolońskiej i dotyk gładko wygolonych policzków „Profesora”. Z jednej strony brak skrupułów wobec najbardziej podłych postępów, jak zdrada własnego narodu, współpraca z wrogiem, czy wysyłanie ludzi na śmierć, z drugiej tkliwość starzejącego się mężczyzny, świadomego przemijania. A może wszyscy po trosze jesteśmy tacy?”.

Wychodząc z domu, Róża nie zwróciła jakoś uwagi na samochód, który zahamował w przecznicy i

na kilku facetów po cywilnemu pod dowództwem faceta w skórzanym płaszczu. Zamyślona doszła do Alej Jerozolimskich...

* * *

Resztę znalazłem w dokumentach u profesor Wierzchowskiej. Teodor Delkacz został aresztowany pół godziny po spotkaniu z moją matką. Wiele wskazuje, że ten wytrawny konspirator i fanatyczny komunista, mimo ciężkiego śledztwa, nikogo nie sypnął. 13 marca już nie żył. Do działaczy PPR-u docierały z Gestapo sprzeczne wersje na temat jego śmierci – wedle jednej, przesłuchujący go oprawcy przesadzili i zmarł na skutek tortur, wedle innej – popełnił samobójstwo, a najciekawsza pogłoska mówiła, że został pospiesznie rozstrzelany w kazamatach Szucha, ponieważ informacje, które mógł przekazać na temat rosyjskiej agentury w siłach niemieckich, były równie ciekawe i niebezpieczne jak te, które dotyczyły Gwardii Ludowej. „Annie”, która wyspała ojca i znaczną część jego siatki, powiodło się dużo lepiej, wysłana do Oświęcimia, przetrwała tam w roli funkcyjnej, aby w miarę bezpiecznie doczekać Polski Ludowej.

Fantastyczna historia. Prawda? Chociaż sprawa identyfikacji Macaja wydawała mi się o wiele ważniejsza. Niestety, nie miałem z kim o tym porozmawiać, przedyskutować wątpliwości, zwierzyć się z obaw, poszukać wytłumaczenia. Nawet „królowej Bony” nie chciałem w to mieszać. Boże, jak bardzo w takiej chwili brakowało mi Artura. Artur z pewnością coś by mi podsunął. A jeśli nawet nie podsunął, to przez samą swą obecność zmusiłby mnie do intelektualnego wysiłku.

– Coś mi tu nie pasuje, paaanie profesorze! – powiedziałby, zaciągając się papierosem tak dogłębnie, jakby miało to być jego ostatnie sztachnięcie w życiu.

– Co ci nie pasuje, Arturku?

– Wszystko.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– To ty się dobrze zastanów, komu zależy na tym, żebyś przestał drażnić sprawę swojej matki?

– Najprawdopodobniej mojemu naturalnemu ojcu?

– Głupia hipoteza. Co by się takiego nadzwyczajnego stało, gdybyś się dowiedział, że jesteś synem Moczara czy Zenona Kliszki?

– A co powiesz o towarzyszu Macaju? Nosząc dziś inne nazwisko i piastując wysoki urząd, mógłby się obawiać demonów przeszłości.

– Nie bądź śmieszny! Gdyby miano się czepiać dzisiejszych prominentów, o to, że donieśli kiedyś na jakiegoś patriotę, trzeba by rozwiązać całą Służbę Bezpieczeństwa i pół Komitetu Centralnego.

– Fakt! W takim razie pozostaje jeszcze taka ewentualność. Moja matka była naocznym świadkiem haniebnych początków komunistycznego systemu w Polsce. Grzebanie przeze mnie w tej tematyce to podważanie oficjalnej wersji zdarzeń.

– I co z tego, że sobie pogrzebiesz? Jest rok osiemdziesiąty pierwszy i o początkach PPR-u pisze się prawie jawnie. Wiadomo już, że „nowe” rodziło się wśród mafijnych porachunków. O aferze z Nowotką i Mołojcami, czy wpadce drukarni na Grzybowskiej możesz przeczytać w kilkunastu broszurach... Bez przesady, paaanie profesorze! Jeśli już musiałyby to być jakaś tajemnica, o której nikt nie wie, była ona okropnie kłopotliwa dla ludzi obecnie znajdujących się przy władzy.

– Masz jakąś hipotezę?

– Musisz kombinować sam, Maciejku, ja przecież nie żyję.

Uświadomiłem sobie, że gadam sam do siebie, na pustym o zmierzchu cmentarzyku w Marysinie Wawerskim. Zapaliłem znicz, zmówiłem krótką modlitwę za spokój duszy Artura i pojechałem do domu.

Według nekrologu Alicji Ruczajskiej zamieszczonego w „Życiu Warszawy” i podpisanego „syn i synowa”, pogrzeb emerytki przewidziano na piątek o 12.30. Miałem o tej porze dwugodzinne okienko pomiędzy lekcjami, wystarczyło więc tylko zamienić się godzinami z Wierzchowską w III b, żeby dysponować całkowicie wolnym popołudniem.

Jak na pożegnanie samotnej emerytki, w kościele świętego Karola Boromeusza na Powązkach zgromadziło się zaskakująco dużo ludzi, przeważnie starszych, najwyraźniej znajomych z dawnych lat. Przeważała inteligencja, z twarzy starszych pań i panów bił budujący wyraz zdecydowania, nieugiętości rzadko spotykany u zwykłych zjadaczy chleba. W swojej masie wydawali się nie przyjmować do wiadomości, że żyją w PRL-u, a ja miałem wrażenie, że otacza ich trudna do zdefiniowania sfera wolności. Liczyłem na jakieś przemówienia, ale poza księdzem, który mówił kwieciste i niesłychanie ogólnie o pięknym życiu świętej pamięci Alicji, przerwany w tak tragiczny sposób, nie było więcej wystąpień. Nie padła żadna aluzja na temat wypadku, nikt nie zasugerował, że mogło to być zwyczajne morderstwo.

Przed trumną zasiedli syn – wysoki, postawny, brodaty (chyba tak mniej więcej musiał wyglądać jego ojciec „Ryś”) i synowa, którzy jak widać zdążyli przyjechać z RFN-u, za nimi jakaś dalsza rodzina. Po mszy kondukt długo kluczył alejkami. Grobowiec rodzinny znajdował się chyba w najdalszym zakątku cmentarza, pod samym murem.

Poczekalem, aż trumna znajdzie się w grobie, posypią się grudy ziemi, po czym cierpliwie stanąłem na końcu kolejki składających kondolencje.

– Nazywam się Podlaski – szepnąłem panu Piotrowi po oficjalnych wyrazach żalu. – Chciałbym z panem pogadać.

– Naturalnie, musimy porozmawiać! Zostaję w Polsce parę dni, może wpadłby pan do mnie jutro na obiad?

– Wolałbym po obiedzie.

– Niech i tak będzie – syn „Rysia” ciągle nie puszczał mojej ręki. – Mama bardzo pana polubiła – stwierdził.

– Nie wiem, czy pan orientuje się, że byłem umówiony tego wieczora, kiedy to się stało...

Ruczajski nie dał mi skończyć.

– A więc spotkajmy się jutro o siedemnastej – powiedział z naciskiem i jeszcze raz uściśnął mi dłoń.

Skreśliłem w pierwszą luźniejszą alejkę i prawie natychmiast dostrzegłem między bezlistnymi drzewami znajomą postać.

– A wuj co tu robi?

Janisz nie wydawał się zmieszany.

– W pewnym wieku chodzenie na pogrzeby staje się jedyną rozrywką dla mężczyzny – rzekł.

– Zwłaszcza, gdy chowane są ofiary tragicznych wypadków?

– Wypadki chodzą po ludziach i każdemu mogą się zdarzyć. Każdemu!

– Wuj mnie ostrzega? – spojrzałem mu prosto w oczy.

– A przed czym, złociutki? Czyżbyś robił coś niedozwolonego, zakazanego prawem?

– Próbuję się tylko dowiedzieć, kto był moim ojcem?

– Beznadziejna sprawa. Rózia nie żyje, a potencjalny sprawca, jeśli nawet wie o swoim ojcostwie, raczej się nie zgłosi.

Znaleźliśmy się przy brzozowym krzyżu upamiętniającym mogiłę Rydza-Śmigłego. Jak zwykle dookoła paliły się dziesiątki zniczy. Przystanąłem i obróciłem się do pułkownika.

– Komuś bardzo zależy na tym, abym się tego nie dowiedział.

– Gdyby tak było, ja na twoim miejscu uszanowałbym takie pragnienie.

– Wuj oczywiście nie ma pojęcia, kto może być tym „szczególnie zainteresowanym”?

Janisz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni palta srebrzystą piersiówkę, odkręcił i pociągnął mocny łyk, potem wyciągnął naczynie do mnie, ale kiedy pokręciłem głową, łyknął jeszcze raz.

– Wiesz doskonale, że gdybym nawet wiedział, to bym ci nie powiedział – wyczułem w jego słowach odrobinę żalu. – Ale niestety nie wiem. Po prostu. Nie wiem.

– W takim razie inaczej, niech mnie wuj oświeci, co może być takiego groźnego w fakcie, że ktoś pragnie poznać swoją przeszłość?

Janisz nie odpowiedział od razu, kiedy jednak doszliśmy do jakiejś tablicy poświęconej młodym bohaterom z Powstania, rzekł.

– Pokolenie Kolumbów... Nigdy nie przyszło ci do głowy, Maciusiu, że Kolumb odkrył Amerykę, mimo że szukał czegoś zupełnie innego.

Zaraz była brama. Wujek Mirek nie poczekał na moją reakcję. Nie żegnając się, szybko skręcił w lewo i zniknął z oczu w gęstej grupie kolejnych żałobników podążających ulicą Powązkowską.

Piotr Ruczajski przywitał mnie na progu znajomego drewniaka.

– Żona poszła z wizytą do szkolnej koleżanki – powiedział – a więc nikt nie będzie nam przeszkadzać. Dosłownie nikt! – powtórzył z naciskiem.

Na potwierdzenie tych słów wskazał kupkę elektronicznych elementów leżących na kuchennym stole.

– Trochę przygotowywali się do naszej rozmowy. Chwalić Boga jestem inżynierem elektronikiem, a w Niemczech udoskonaliłem jeszcze swoje umiejętności – uniósł jakiś przedmiot mniejszy od guzika. – Tę pluskwę znalazłem w telefonie, tę w lampie, a to urządzenie było sprytnie przyklepione pod dnem szuflady kuchennego stołu.

– Ale kto to mógł zamontować pańskiej matce?

– Jak zwykle, nieznani sprawcy!

Wziął tacę ze świeżo zaparzoną herbacianką z herbatą i dwiema filiżankami, i zapraszającym gestem wskazał mi drzwi do sypialni, gdzie grube kotary zasłaniały dokładnie całe okno.

– Dobry mikrofon kierunkowy może odebrać treść naszej rozmowy na podstawie wibracji szyby – wyjaśnił. – Dla pewności jeszcze uruchomimy wentylator i radio.

– Jest pan bardzo ostrożny – zauważyłem z uznaniem.

– Mam to chyba w genach. Ale przejdźmy do rzeczy – podsunął mi pleciony fotel na biegunach. – Proszę opowiedzieć, co pan wie na temat śmierci mojej matki?

Powiedziałem mu wszystko. Najpierw pokrótce zrelacjonowałem wpływ jego artykułu na moje obecne życie. Scharakteryzowałem dotychczasowy przebieg śledztwa, które utknęło, a zakończyłem sprawą Feliksa Macaja i dziwnymi okolicznościami towarzyszącymi śmierci pani Ruczajskiej. Obserwując twarz jej syna, widziałem jak walczy, żeby się nie rozpłakać.

– Powinienem wrócić wcześniej – wyksztusił wzruszony. – Dla marnych groszy przedłużyłem pobyt.

– Myśli pan, że to by ich powstrzymało?

– Nie wiem. Ale i tak powinienem. W każdym razie nawet bez pańskich szczegółów wiem, że była to na zimno zaplanowana zbrodnia. W ogrodzie udało mi się wykopać zwłoki naszego psa. Ktoś fachowo przekręcił mu kark.

– Zabili psa, dlaczego?

– Może za bardzo jazgotał, broniąc swojej pani? Innych śladów przemocy, czy prób oporu nie znalazłem – kontynuował Ruczajski. – Jednak jestem pewien, że mama zostawiła mi istotną wskazówkę – tu skierował palec na kolekcję porcelanowych figurek. – Czy zauważył pan może jakąś

zmianę od swojej ostatniej wizyty?

Powiodłem okiem po półeczce.

– Nie wiem, nie przypatrywałem się im dokładnie... chociaż... wydaje mi się, że figurki stoją bardziej luźno.

– Właśnie! Brakuje dwóch – ulubionych! Jedna przedstawiała porwanie Sabineek, druga pasterza obłąpiającego pasterkę.

– Może ktoś ukradł? – zaryzykowałem.

– Raczej potłukł, w szparze podłogi znalazłem odprysk porcelany. Sądzę, że zrobiła to mama. Przeczuwając co się z nią stanie, nie straciła zdolności rozumowania i wiedząc, że prędzej czy później tu się zjawimy, celowo strąciła te dwa artefakty.

– Ale w jakim celu?

– Żeby powiedzieć nam, co się z nią stało i na czyje polecenie.

– Nie bardzo rozumiem w jaki sposób... – zacząłem, ale zaraz urwałem ugodzony pewną myślą. – Rzeczywiście! Porwanie Sabineek, to wygląda jak zawiadomienie o porwaniu. Ale nazwisko sprawcy?

Ruczajski uśmiechnął się jak domorosły Sherlock Holmes po rozwiązaniu zagadki.

– A proszę mi powiedzieć, jak brzmi tryb rozkazujący od czynności, którą pasterz robił pasterce?

– Obłąpiaj? Kochaj?... Macaj! O cholera!

– Cudowna mama! Nawet w takiej opresji nie straciła zimnej krwi! – w oczach Ruczajskiego pojawił się błysk tryumfu. – Ale na razie przejdźmy do sprawy pana matki. Dysponuję chyba dwoma dość istotnymi klockami do pańskiej układanki. Pierwszy miałem od dzieciństwa, drugi mam zaledwie od tygodnia...

Zamieniłem się w słuch, Ruczajski tymczasem nabrał oddechu i rzekł z teatralną emfazą:

– Odnalazłem Karla Pollera.

– Naprawdę?! – wykrzyknąłem. – Gdzie?

– Dokładnie tam, gdzie pan sugerował. W Bad Liebenzell w Schwartzwaldzie. To dziarski starszy pan, chyba od zawsze na rencie. Dzięki spadkowi po jakimś kuzynie żyje bez szczególnych trosk, pomimo swego kalectwa.

– Jest kaleką?

– Tak, stracił rękę w trakcie obrony Berlina. Nosi naturalnie protezę i na pierwszy rzut oka wydaje się całkiem sprawny. Poza tym wszelkie braki nadrabia gadatliwością.

– Rozmawiał pan z nim?

– Cały wieczór. Przyuważyłem go jak spacerował z pieskiem po parku. Zagadałem. Mimo upływu lat doskonale włada polskim.

– I rozmawiał pan o mojej matce? – wydawało mi się to po prostu nieprawdopodobne.

– Wyłącznie. Odniosłem wrażenie, że była kimś bardzo ważnym w jego życiu. A może stała się w miarę upływu czasu. Nigdy się nie ożenił. Nie miał naturalnie pojęcia, że pani Róża nie żyje... A pana kazał serdecznie pozdrowić.

* * *

Ogień wesoło buzował w kominku. Za oknem łagodne stoki wzgórz Schwartzwaldu pokrywała coraz gęstsza mgła i ciemność. Poller ściągnął buty i grzał stopy, wyciągnąwszy je w stronę ognia.

– Zakochałem się w niej jeszcze w Warszawie – opowiadał, a w jego głosie brzmiało autentyczne wzruszenie. – Z narażeniem życia wyciągnąłem ją z egzekucji. Nie uwierzy pan, ale zamierzałem nawet, kiedy wojna się skończy, ożenić się z nią... A ona uciekła. Jej wola! Nie ścigałem jej, chociaż mogłem. Gdyby chciała odejść nawet wcześniej, sam bym jej pomógł. Nie było moją intencją zatrzymać jej siłą. Przecież jedyną moją intencją było chronić ją za wszelką cenę... Potem wysłano mnie na Wschód. Do Warszawy wróciłem dopiero w kwietniu czterdziestego trzeciego. Zbuntowało się getto... – tu na moment podniósł głos. – Żeby było jasne, nie uczestniczyłem w pacyfikacji!

– Ja pana nie przesłuchuję – odezwał się Ruczajski – a tym bardziej nie osądzam.

– Mimo to chcę, żeby pan wiedział. Zajmowałem się wyłącznie zabezpieczaniem operacji. Niedopuszczeniem do przerzutu ludzi i broni. Nikt nie zginął z mojej ręki! Więcej, przymknąłem oczy na parę żydowskich dzieciaków, które wymknęły się na aryjską stronę. Kiedy już się to skończyło, dostałem na krótko robotę w komendanturze. Niestety, cały czas wisiała nade mną perspektywa powrotu na Wschód. Jak może się pan domyślać, nie była to wizja najprzyjemniejsza. Któregoś dnia znowu zobaczyłem Różyczkę. Musiał to być sam koniec wiosny, może początek lata, zorganizowano jakieś przyjęcie na świeżym powietrzu dla naszego garnizonu. Przyszła pod rękę z jakimś bardzo przystojnym oficerem... Niech sobie przypomnę – Hoppe, nie, Kopp... przekłeta pamięć – Knapp! Tak, Otto Knapp, z lotnictwa. Byli chyba najprzystojniejszą parą na tym pikniku. Ona, wiośniana, arcyaryjska Venus, on, jak na mężczyznę, zbyt lalkowaty, później dowiedziałem się, że był podejrzany o homoseksualizm. Jak widać niesłusznie. Róża chyba mnie nie zauważyła. Być może zresztą nie zwracała już uwagi na byle podoficerów. Przemogłem się i podszedłem do niej.

– Kłania się dawny wielbiciel – rzekłem po polsku.

Zrobiła się kredowobiała, myślałem nawet, że zemdleje, ale opanowała się.

– Czy my się znamy? – zapytała bezbłędną niemczyzną.

– Nie bój się, Rózo – ciągnąłem dalej po polsku. – Nie zamierzam cię wsypać.

– Nadal nie wiem, o co panu chodzi? O jakąś pożyczkę? – odparła, nadal po niemiecku, próbując zachować pełną obojętność.

Jeśli miała na myśli pieniądze, które mi ukradła, źle trafiła. Nie byłem pamiętliwy. Interesy szły mi niezłe i gdybym nie musiał jechać na front przeciw Sowiecom, mógłbym uznać się za człowieka zamożnego i zadowolonego. Nie mniej musiałem coś odpowiedzieć.

– Pieniądze mnie nie interesują – rzekłem. – Ale obraca się pani w wyższych sferach. I być może byłaby pani w stanie coś dla mnie zrobić.

– Tak? – zapytała, robiąc kokieteryjną minkę, jakby chodziło o bilet wstępu do opery.

Powiedziałem o moich obawach na temat wojskowego przydziału. Nie otrzymałem odpowiedzi. Chyba że za taką można uznać zdanie: „Miło spotkać znajomych po latach”. Odeszła, nawet się nie odwróciła. Podziwiałem jej nerwy. Było mi trochę smutno, ale niczego nie zrobiłem i niczego z jej strony się nie spodziewałem. Nieoczekiwanie, po tygodniu, dowiedziałem się, że przenoszą mnie do Berlina. Do dziś nie wiem jak to załatwiła. Chciałem jej podziękować. Dowiedziałem się, że mieszka u tego Knappa na Żoliborzu, opodal Cytadeli i pojechałem tam z kwiatami, ale na miejscu usłyszałem od sąsiadów tylko tyle że „ten Niemiec” wyjechał, a jego lokatorka pojechała prawdopodobnie razem z nim. Można powiedzieć, że jesteśmy kwita. Wielka szkoda, że nie żyje.

* * *

– To wszystko? – zapytałem, gdy Ruczajski umilkł i machinalnie mieszał dawno wychłodzoną herbatę.

– Jeśli idzie o pańska matkę, wszystko. Ale jeszcze chwilkę rozmawialiśmy na różne inne tematy. Pollera interesowała „Solidarność”, współczesna Polska. Ze zrozumiałych względów nigdy jej nie odwiedził. Wyczułem w nim ogromną nostalgię za krajem lat dziecińczych. Chyba nigdy na dobre nie zakorzenił się w Niemczech.

– Sam sobie winien. Jednak mówił pan, że ma dla mnie jeszcze jedną wiadomość?

– Chyba mam.

– Chyba? Nie rozumiem?

– Nie jestem absolutnie pewien, ale... nie dysponuje pan przypadkiem zdjęciem swojej matki?

– Mam tylko coś takiego... – zaskoczony jego pytaniem wyciągnąłem z portfela podniszczoną fotografię pannicy z pięknymi pszenicznymi warkoczami. – To ostatnie zdjęcie zrobione Róży Kupidłowskiej tuż przed wybuchem wojny...

Pan Piotr obejrzał je dokładnie.

– Nie ulega wątpliwości. To ona! Mimo że wtedy była znacznie starsza.

Poderwałem się na równe nogi.

Pan ją widział, kiedy? Człowieku!

– Dwudziestego pierwszego lipca czterdziestego piątego roku, rano. Zapamiętałem dobrze ten dzień, ponieważ następnej nocy aresztowali ojca.

– To pewne? Był pan bardzo małym dzieckiem.

– Nie tak małym. Miałem osiem lat. A pewne wydarzenia wbijają się mocno w pamięć nawet dzieciakowi.

– Pana matka nic mi nie wspomniała o tym zdarzeniu.

– Nie było jej wtedy w domu. Pewne poszła na zakupy do sklepiku albo po mleko. Bawiłem się sam w ogrodzie, w piaskownicy. Nie usłyszałem otwarcia furtki, ani tego, że ktoś wszedł do ogrodu. Dopiero jak na piaskownicę padł cień... Zauważyłem najpierw jej nogi. Wydawały mi się bardzo długie. Uniosłem głowę. Pańska mama przypatrywała mi się z uśmiechem. Zazwyczaj bałem się obcych ludzi, jednak ta pani wzbudziła we mnie zaufanie. „Gdzie twój tata?” – zapytała. Powiedziałem, że w domu. Weszła, skacząc po stopniach jak mała dziewczynka.

– Kto otworzył jej furtkę?

– W tamtych czasach, nie zamykało się jeszcze niczego na klucz. Pobiegłem za nią. Zauważyłem, że ojciec przywitał gościa bardzo oficjalnie, pocałował w rękę. Nie wyglądało na to, żeby się znali.

– Pamięta pan o czym mówili?

– Niestety nie. Dziecko nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Zresztą chyba była to bardzo krótka rozmowa, zapamiętałem coś innego, bardzo niezwykłego. To było lato, ale kiedy odprowadziłem tę piękną panią do furtki i wróciłem do domu zobaczyłem tatę, jak pali w piecu. Papierami. Niestety, to już wszystko. Nie pamiętam żadnych innych szczegółów z tego dnia, aż do chwili kiedy obudziłem się w środku nocy. Dom był pełen ludzi, ze wszystkich stron dochodziło łomotanie buciorów, twarde słowa po rosyjsku, hałas przewracanych mebli i sypiących się książek. Mama płakała. Chciałem wyjść z sypialni, nie dali mi, potem wywrócili całą pościel z mojego łóżeczka i książeczki z szafki. Zapamiętałem jeszcze jedno, potężny krzyk mojego ojca z jadalni: „Pozwólcie mi się z nim pożegnać!”.

– I pozwolili?

– Nie!

– Straszne!

– Pamiętam tylko, że łkając, nakryłem się kołdrą, modliłem się, płakałem, modliłem, aż usnąłem.

Umilkł wyczerpany. Pomyślałem, że w swym sieroctwie jesteśmy z panem Piotrem jakoś podobni. Tyle że ja nawet nie wiedziałem kogo powinienem opłakiwać.

– Potrafi pan jakoś zinterpretować wizytę mojej mamy u was? – zapytałem Ruczajskiego.

– Wiele lat nie miałem pojęcia, co o tym sądzić. Obraz się zacierał. Dopiero z zawartej w liście mojej mamy wzmianki o pana matce, pięknej blondynce, przyszło mi do głowy, aby skojarzyć te dwa wątki. Śmierć komunisty Podlaskiego i wizytę jego żony. Teraz myślę, że po prostu przyszła ostrzec mego tatę. Dlatego zniszczył papiery. Zapewne również te, na które natrafił przy „Chudym Gienku”. Ubecja ich nie znalazła, my z mamą też nie.

– Tylko dlaczego nie umieścił ich w tubusie, wraz z pamiątkami?

– Podejrzewam, że nie starczyło na to czasu. Żeby się tam dostać, musiałby zrywać kawałek dachu. A mógł podejrzewać, że dom jest obserwowany... Sam pan rozumie.

– Rozumiem. Choć nie potrafię sobie wyobrazić, jak moja matka trafiła na pańskiego ojca?

– A jak trafiło tam NKWD? Może też poznała Felka Macaja...

Nieoczekiwanie poczułem, że odpływam. Cały pokój zatańczył, ciężkie powieki opadły mi na oczy, zobaczyłem naraz ulicę Nowy Świat, domy zdawały się wyższe, a środkiem wąskiego przecież traktu jechał tramwaj... Obok niego szedł cień w mundurze niemieckim, cień nabierał coraz bardziej realnych wymiarów, podobnie jak kobieta obok niego...

– Co się z panem dzieje, panie Maćku? – z innego zda się wymiaru dobiegł do mnie głos Ruczajskiego. Zamrugałem oczami. Miraż zniknął. Zamiast na Nowym Świecie w roku czterdziestym trzecim, byłem w wawerskim drewniaku jesienią osiemdziesiątego pierwszego roku.

– Na pewno wszystko z panem w porządku? – dopytywał się gospodarz. – Może zrobię jeszcze herbaty? Albo przyniosę coś zimnego?

– Absolutnie nic mi nie jest – mruknąłem, ale przełknąłem łyk podanego płynu.

– Sprawiał pan wrażenie kompletnie nieobecnego.

– W rzeczy samej, myślami byłem bardzo daleko stąd.

– Pozostaje pytanie, co robimy dalej? – Piotr Ruczajski wstał, przeszedł się po pokoju, potem na chwilę odrobinę uchylił zasłony. Ogród tonął w mroku, pusty i smutny, na ulicy też nie było widać nikogo.

– Ja na pewno nie odpuszczę – też chciałem wstać, ale za bardzo kręciło mi się w głowie. – Będę badał sprawę dalej. W miarę swych możliwości ustalę, którym z czterech dzisiejszych prominentów jest dawniejszy Macaj.

– To może być niebezpieczne.

– Postaram się być ostrożnym.

– W każdym razie na mnie może pan liczyć – zadeklarował Ruczajski. – Jakakolwiek potrzebna byłaby pomoc, materialna czy inna...

– Chwilowo dziękuję. I tak bardzo mi pan pomógł. Zostanie pan w kraju?

– Niestety, do Nowego Roku muszę zakończyć moje sprawy za granicą. Potem wrócę do Polski.

– Nie myśli pan nigdy o emigracji na stałe?

Pan Piotr przyglądał swoją nieco rozwichrzoną brodę.

– Nie taję, życie w RFN-ie jest nieporównywalnie prostsze niż w Polsce. Zawodowo też pewnie mógłbym się nieźle realizować. Ale tu jest moje miejsce. Nie po to zginął mój ojciec... – urwał i wrócił do tematu. – Jednak nie wiem, co możemy dalej zrobić w naszej wspólnej sprawie.

– Kiedy już ustalę który z czterech prominentów jest Feliksem Macajem, przyjrzę się temu towarzyszowi w jego najnowszym wcieleniu, zajrzę w przeszłość...

– Oby coś pan znalazł. Na razie wiele na niego nie mamy. Fakt, doniósł na mojego ojca, ale to w świetle obowiązującego prawa żadne przestępstwo, raczej spełnienie powinności młodego komunisty.

– Może wyjdą na jaw jakieś inne sprawy – rzekłem. – Przecież gdyby chodziło tylko o aresztowanie pańskiego ojca nie działano by tak desperacko w jego obronie.

– Pytanie, skąd wziąć dowody?

– Ważne, że mam dobrą inspirację – postanowiłem zwierzyć się mu ze swoich snów, naturalnie bez szczegółów. – Nie wiem, czy to przekaz mojej matki zza światów, ale dowiaduję się z nich rzeczy, o których nie mógłbym dowiedzieć się skądinąd.

– Na przykład?

– Choćby o Pollerze. Czasami boję się, czy nie jest to schizofrenia. Jednak z drugiej strony wiem, że schizofrenik może wprawdzie uważać się za Napoleona, ale przecież nie odkryje nieznanych, a możliwych do weryfikacji szczegółów z historii.

– Te pańskie sny są chronologiczne? – dopytywał się Ruczajski.

– Niczym odcinki telewizyjnego serialu. Obecnie jestem w początkach lata czterdziestego trzeciego roku.

– Zatem musi pan uzbroić się w cierpliwość i dośnić historię pańskiej matki do końca. Robi pan z tego notatki?

– Naturalnie.

– Pilnowałbym ich jak żrenicy oka.

– Zawsze noszę je przy sobie.

– To nie jest żadna gwarancja, że zapiski w pewnym momencie nie przepadną. Na pana miejscu sporządziłbym kopię i starannie gdzieś ukrył. Albo... jeśli uzna pan to za celowe – proszę wysłać ją do mnie. Na Hafciarskiej w Międzyzlesiu mieszka mój kolega z dawnej pracy. Często wyjeżdża za granicę, a ja mam do niego pełne zaufanie. Może posłużyć za kuriera. Jeśli będzie trzeba, a nie uda się panu opublikować ich w kraju, wydamy je za granicą...

Pomyślałem, że mam szansę stać się autorem prawdziwego bestsellera i wyciągnąłem do Ruczajskiego rękę, którą ten energicznie uściśnął.

– Nie wiem jak mam panu dziękować – rzekłem.

– I vice versa. I proponuję, przestańmy sobie panować. Piotr jestem.

– Maciek.

Gospodarz odprowadził mnie aż do samochodu. Uliczka była cicha i pusta. Starannie obejrzelśmy wszystkie koła, Piotr sprawdził układ kierowniczy i hamulce. Wszystko w porządku. A benzyny było jeszcze przeszło pół zbiornika.

– Proszę wpaść za dnia, obejrzę wóz dokładniej – powiedział inżynier. – Teraz jest za ciemno, żeby poszukać ewentualnej pluskwy.

Wróciłem do domu zadowolony, chociaż był to kolejny dzień, w którym nie widziałem się z Martą. Grażyna gderała coś na temat jakiegoś niezapłaconego rachunku, który zobowiązałem się uiścić, ale puściłem jej gadanie mimo uszu. Chciałem się jak najszybciej położyć, przejść w krainę snu.

Dowiedzieć się, co było dalej.

* * *

Moja matka po raz pierwszy zobaczyła Otto Knappa dwa dni po ostatnim spotkaniu z Delkaczem. Przystojny oficer zajrzał do biura spedycji przy Dworcu Gdańskim około południa. Wolff przedstawił mu dziewczynę, mówiąc.

– To jest właśnie panna Kaczmarek, o której panu wspominałem.

Niemiec, ubrany jak spod igły, postawny, jasnowłosy, o wydatnych, jak na mężczyznę nazbyt czerwonych ustach, szarmancko stuknął obcasami i pocałował ją w rękę.

– Podobno szuka pani mieszkania? – powiedział głosem bardziej miękkiem niż wskazywałaby na to jego sylwetka. – Jeśli nie będzie się pani obawiać wynajęcia pokoju u samotnego mężczyzny, to moja

propozycja jest aktualna.

– Nie jestem bojaźliwa! – odpowiedziała z uśmiechem.

– Kiedy może pani obejrzeć lokal?

Róża zerknęła na Wolffa, a widząc w jego oczach pełne przyzwolenie, powiedziała energicznie.

– Choćby i zaraz.

– W takim razie zapraszam do mojego samochodu. Wóz z kierowcą, niewielkim blondynkiem o rozmarzonych oczach i zabawnie zadartym nosie, czekał opodal bramy. Na jej widok chłopak wyskoczył z samochodu i otworzył drzwiczki. Po raz pierwszy mogłem oczyma mojej matki popatrzeć na okupowaną Warszawę z okien limuzyny i zauważyć całą przepaść ziejącą pomiędzy zniewolonym społeczeństwem a okupantem. Łowić spojrzenia przechodniów, ukradkowe, ale wymowne. Żeby tylko mogły zabijać...

Willa okazała się nie za wielka, za to położona w ogrodzie, o tej porze roku wprawdzie jeszcze smutnym i bezlistnym, jednak wyobraźnia podpowiadała mi jak będzie wyglądać latem, pełen oszałamiającej zieleni i kwiatów. Róża wołała nie zastanawiać się nad losem poprzednich właścicieli. Ja też.

– Proponuję pani pokój wśród jaśminów – wskazał jej balkonowe drzwi na parterze wychodzące na taras i kępę gołych patyków pod murem. – Będzie pani miała do swej wyłącznej dyspozycji łazienkę. Kiedy zechce się pani wykąpać, proszę wcześniej uprzedzić, a Franc napali w piecu. Z apartamentu jest również niekrępujące wyjście do ogrodu, ale ze względów bezpieczeństwa prosiłbym o niekorzystanie z niego po zmierzchu. Dookoła mieszkają liczni Polacy.

– Będziemy w domu tylko dwoje? – zapytała

– Troje, licząc Franca.

W lusterku dojrzała uśmiech kierowcy.

Znów miałem wrażenie szybko przesuwającej się taśmy. Rychło wybuchła wiosna, jak zwykle piękna, ale i straszna. Niebo nad Warszawą zasnuły dymy, a nocami bezustannie gorzała krwawa luna, ponad płonącym, ledwie dwa kilometry dalej gettem. Południowy wiatr przynosił co jakiś czas skrawki spopielałych papierów, szmat i odrażający odór płonącego ludzkiego mięsa. Jednak kwiecień minął, a dymy opadły. Wiosna przeszła w swoją fazę dojrzałą. I spokojniejszą. W maju i czerwcu moja mama prowadziła naprawdę luksusowe życie. Ordynans Franc poza prowadzeniem samochodu i innymi usługami, w których istotę wołała nie wnikać, występował również w roli gosposi. Robił śniadanie, na które Knapp przychodził zawsze ogolony i wypachniony. Potem Franc wioził oficera do pobliskiej Cytadeli. Zaproponował również, że będzie podwoził Różę do biura. Ta jednak odmówiła. Wystarczał jej tramwaj. I tak ciążyła jej krążąca po okolicy opinia lafiryndy sypiającej z wrogiem. Co nie znaczy, że nie wywiązywała się z obowiązków „damy do towarzystwa”. Przynajmniej raz w tygodniu wybierali się razem z Knappem do kina, teatru lub na

koncert, jadali obiady w restauracjach. Otto zachowywał się wobec niej jak stary mąż, z ogromnym szacunkiem, ale bez czułości. Jako esteta doceniał urodę mojej matki, ale nigdy nie zapragnął jej dotknąć. Podejrzewała, że była dla niego stworzeniem zupełnie innego, seksualnie obojętnego gatunku. Pozostali sobie również obcy emocjonalnie. Oficer wytwarzał wokół siebie przedziwną barierę, której nie potrafiła pokonać. Ich rozmowy dotyczyły często sztuki, czasami historii. Ku zaskoczeniu Róży całkiem dobrze orientował się w dziejach Polski, a okres jagielloński wręcz go fascynował. Poza tym doskonale grał na fortepianie. A także malował. Dawny salon na parterze zamienił w pracownię, wstawił tam sztalugi i chętnie śmiałymi pociągnięciami pędzla rzucał na płótno zimowe pejzaże, martwe natury. Wspólną cechą tych płócien były chłód, pustka i samotność. Kiedyś jednak zaproponował, że namaluje jej portret i spytał, czy *Hebe Maria* zgodzi się mu pozować? – Mam się rozebrać? – zapytała filuternie.

– Nie maluję nagości – uciął. Nie było to prawdą. W jego szufladach, które przeglądała z obowiązku, znalazła szkice anatomicznych detali – rąk, stóp, łydek, a także penisów.

W sumie były to szczęśliwe miesiące. Ominęła ją wielka wsypa związana z Anną Delkaczówną. Okreśną drogą dowiedziała się o likwidacji „przejazdówki” na Płockiej. „Walercia” podobno zginęła, do ostatniej chwili ostrzeliwując się z grupą hitlerowców. Któregoś dnia poruszony Otto opowiedział jej o grobach znalezionych pod Smoleńskiem i w następnych tygodniach słowo Katyń było na ustach całej Warszawy. Wolff był przekonany, że to kłamstwo goebbelsowskiej propagandy, ale Róża w głębi duszy nie podzielała tej pewności. Marzyła, że Knapp załatwi jej pracę u rodziny w Rzeszy, o czym niekiedy napomykał. Rola „Maty Hari” wychodziła jej słabo i zwierzchnicy narzekali na brak efektów.

– Robię co mogę – tłumaczyła.

Faktycznie, nie za wiele mogła. Nie mając intymnych kontaktów z Knappem, nie mogła wyciągać od niego naprawdę istotnych informacji. „Prowadzący” sugerował, żeby znalazła sobie jakiegoś innego kochanka, najlepiej z Gestapo. Zwlekała, twierdząc, że jest to trudne, wręcz niewykonalne. Otto odludek, praktycznie nie prowadził życia towarzyskiego, a w domu praktycznie nikt go nie odwiedzał. W dodatku pedantyczny Niemiec zamykał na dzień swój gabinet, a nocą również przejście z jej apartamentu do reszty domu. Zapewne chodziło o intymne kontakty z Francem. Wolff przekazał Róży mały aparat fotograficzny, aby ta zrobiła jakieś zdjęcia mogące jeszcze bardziej skompromitować oficera, ale przekraczało to możliwości. Na okna sypialni Knappa nocą opadały ciężkie zasłony. W łazience była mleczna szyba, a za dnia stosunki obu panów pozostawały idealnie służbowe. Owszem, parę razy buszowała po pokojach, zaraz po wprowadzeniu się sporządziła w wosku odciski kilku potrzebnych kluczy, a Wolff postarał się o duplikaty. Jednak nie znalazła nic interesującego. Jeśli Otto zabierał coś z pracy do domu, trzymał to w kasie pancерnej.

I tak zaczął się czerwiec. Okazja do zawarcia cenniejszych znajomości nadarzyła się na pikniku, gdzie uwagę na piękną dziewczynę zwróciło co najmniej kilku wyższych oficerów. Wszystko popsuł wyrosły jak spod ziemi Poller. Ich rozmowa miała bardziej dramatyczny przebieg niż wersja, którą w Bad Liebenzell poznał Ruczajski.

Wiem, bo widziałem cały incydent. Karl dopadł moją mamę w jakiejś ustronnej altanie, kiedy całe towarzystwo udało się słuchać koncertu kwartetu skrzypcowego z Breslau. Nie miała szans udawać,

że go nie zna. Postawił jej ultimatum.

– Jestem gotów zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło, tylko wróć do mnie. Wówczas nikt się nie dowie kim jesteś.

Cuchnął alkoholem, ale jeśli nawet przestraszył ją, nie dała po sobie poznać.

– I co im powiesz, że żyłeś wbrew prawu z pół-Żydówką? Poza tym, jakie masz dowody, że jestem Różą Kupidłowską? Mam doskonałe dokumenty, a jak będzie trzeba dowiodę, że w czterdziestym pierwszym roku, kiedy rzekomo żyłeś ze mną na Podlasiu, ja mieszkałam na terenie Rzeszy. Może zauważyłeś jakich mam przyjaciół. Sądzisz, że trudno byłoby mi załatwić ci przydział na front wschodni...

– Róziu! – usiłował ją objąć, ale odepchnęła go.

– Co tu się dzieje? – do altany zajrzał Otto Knapp, któremu towarzyszył jakiś inny oficer w mundurze SS. – Czy ten człowiek cię napastuje?

– Skądże, pan Poller to mój stary znajomy, kiedyś pracował dla mojego ojca.

– Tak jest – wyprężył się podoficer.

– Choć Mario, posłuchasz Vivaldiego – kapitan ujął ją pod ramię. Przy okazji poznasz mego znajomego Kurta. A wkrótce ma nas zaszczyścić sam gubernator Ludwig Fischer.

Z Karlem nie spotkała się do końca przyjęcia. Miała nadzieję, że Poller zrezygnował z nagabywania jej. Myliła się. Tymczasem okazało się, że nie był to koniec serii niezwykłych spotkań. Następnego dnia, idąc Nowym Światem razem z Knappem, tuż przy Wareckiej, dostrzegła Reginę. Jej ukochana siostra, wyglądająca dość biednie ale zdrowo, na widok Róży omal nie wypuściła toreb trzymanyh w ręku. Moja matka, choć serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, nie dała po sobie niczego poznać, minęła ją bez słowa, bez gestu. Nie uszło to jednak uwagi jej towarzysza.

– Ta kobieta zachowywała się jakby cię znała? – zauważył Knapp.

– Wątpię. Raczej zazdrościła mi tak przystojnego towarzysza.

Nie zareagował na ten komplement.

– A ty na pewno jej nie znasz?

– Ja? Przez moment przypominała mi kobietę, która u nas w Gnesnen przynosiła mleko. Tyle że tamta miałyby dziś pięćdziesiąt lat.

– Acha!

Otto nie wrócił już do tematu. Na szczęście w ogóle mało wypytywał o jej sprawy rodzinne. Zadowolona go informacja, że Zenon Kaczmarek, jej ojciec, był stolarzem w Gnieźnie i umarł na

początku wojny, a ona sama nie ma żadnej bliższej rodziny. Tymczasem oba spotkania sprawiły, że odżyła w niej myśl wyzwolenia się z zaczarowanego kręgu, w którym przebywała. Jeśli Poller poniechał pościgu, nic nie groziło jej rodzinie. A w takiej sytuacji mogłaby, naturalnie bardzo dyskretnie, ją odwiedzić, a może nawiązać nawet kontakt z patriotycznym podziemiem i za cenę zgromadzonej wiedzy uzyskać możliwość ucieczki. Nawet na Zachód.

Wracając następnego dnia z pracy, była tak pochłonięta swymi myślami, że nie zwróciła uwagi na chłopka na rowerze, który mijając ją, zwolnił, przyjrzał się uważnie, a następnie stanął na pedałach i błyskawicznie się oddalił. Jako osoba spostrzegawcza powinna zauważyć, że przystojny blondynek już co najmniej dwa razy pojawił się koło domu Knappa. Willę zastała pustą, Otto z Francem wyjechali na dwa dni do Berlina, pozostawiając ją samą na gospodarstwie. Świetnie! Miała wreszcie trzy dni na spokojne przeszukanie gabinetu Knappa. Kto wie, może poradzi sobie z sejfem? Odczekała jeszcze dwie godziny, chcąc mieć pewność, że z jakiegoś powodu Niemiec nie zawróci, potem z bijącym sercem skierowała się w stronę gabinetu. Wsunęła dorobiony klucz w drzwi...

Dzwonek!

Odskoczyła, myśląc, że przypadkiem uruchomiła jakiś alarm. Dopiero drugi sygnał przekonał ją, że ktoś dzwoni do furtki.

Wyjrzała przez uchylone drzwi.

Jakiś młody człowiek w uniformie posłańca wyciągał ku niej kawałek papieru. O parkan oparty był jego rower.

– Pilna depesza! – zawołał.

– Do kogo ta depesza? – zapytała, otwierając szerzej drzwi.

– Do kapitana Knappa. Z Berlina.

– Kapitan Knapp wyjechał.

– Nie ważne, ja i tak muszę doręczyć.

– Nie jestem upoważniona do odbierania przesyłek – powiedziała, ale mimo to wyszła na schody.

– No to niech pokwituje pani nieczytelnie – łobuzersko puścił do niej oko.

Otworzyła furtkę. Wyciągnęła rękę i w tym momencie poczuła za uchem chłodne dotknięcie lufy pistoletu.

– Do domu! – syknął fałszywy doręczyciel.

Zamurowało ją. Nie potrafiła krzyknąć, ani się opierać. W mózgu kołatała się nadzieja, że pomyłono ją z kimś innym. Dość biernie dała się wprowadzić do środka. Nie wiadomo skąd wyrosli jeszcze dwaj inni młodzi mężczyźni, w tym przystojny blondyn, który w poprzednich dniach

przejeżdżał parę razy dziennie koło willi.

– W domu nie ma niczego wartościowego – próbowała tłumaczyć.

– To prawda – odezwał się trzeci z napastników, starszy od pozostałych, o urodzie Cygana. – Jest tylko bezwartościowa szmata, kolaborantka, puszczająca się z wrogami ojczyzny. Wiesz, co robimy z takimi jak ty?

„Zabiją mnie! – przemknęło mojej mamie. – Cóż za ironia losu. A jeśli im powiem, że pracuję dla konspiracji? Raczej nie pomoże. Kolaborantka, czy komunistka – jedno warte drugiego”.

W odróżnieniu od niej wiedziałem, że jej nie zbiją, niemniej z wielkim niepokojem oczekiwałem na rozwój wypadków. Wepchnęli ją do stołowego, „doręczyciel” z pistoletem zajął stanowisko przy oknie, blondynek zaś zaczął grzebać w torbie, którą dotąd miał przewieszoną przez ramię.

– Szybciej „Hektorze”! – przynaglał „Cygana”.

Pojawiły się nożyczki i brzytwa. I Różę zalało poczucie niewyobrażalnej ulgi. Nie zbiją. Ostrzygą, może ogolą. Mniejsza z tym. Włosy prędzej czy później odrosną.

„Hektor” był zmieszany swoją rolą. Starszy na oko rok od Róży miał jasną cerę, teraz pokrytą rumieńcem, błękitne oczy i długie, wręcz dziewczęce rzęsy.

– Siadaj suko! – „Cygana” pchnął ją na krzesło. – A ty, do roboty!

Blondynek nie był wprawnym fryzjerem, w dodatku trzęsły mu się ręce. Końcem nożyczek drasnął szyję mojej mamy, po której potoczyła się kropelka krwi.

– Przepraszam – szepnął – nie chciałem.

– Ech, ty niedojdo! – „Cygana” zgromił go jak kapral ofermę kompanijną. – Daj, ja to zrobię.

„Hektor” odsunął się. Widziała jak przypatruje się jej i porównuje z portretem wiszącym na ścianie. Reszta zabiegu przebiegała w absolutnym milczeniu. Róża próbowała nawiązać porozumienie wzrokowe z młodym AK-owcem. Zastanawiała się intensywnie, jak przekazać mu, że się mylą, że nie jest tym, za kogo ją uważają. „Hektor” w pierwszej chwili odwrócił wzrok. Nie zrezygnowała, złapała jego spojrzenie ponownie... „Cygana” to zauważył.

– A może chcesz się z nią zabawiać, „Hektorze”? Ty prawiczek, za to ona ma z pewnością wielkie zawodowe doświadczenie.

– Nie obrażaj jej, może naprawdę kochają się z tym Niemcem – blondynek wskazał na wiszący portret Róży.

– Polska dziwka ze szkopskim mordercą? – zaśmiał się „Cygana”. – Jedno warte drugiego!

– Wychodzimy! – zdecydował doręczyciel, najwyraźniej dowodzący akcją. – A ty, panienko,

potraktuj to jako ostrzeżenie.

Zanim zniknęli za drzwiami, idący na końcu blondynek odwrócił się, by na nią spojrzeć. Miał taką minę jakby chciał się zaraz rozpłakać.

– Szkoda, że poznaliśmy się w takich okolicznościach – powiedziała Róża.

Były to jedyne słowa, jakie padły z jej ust w trakcie całego incydentu.

Który z nich? Który sukinkot był sprawcą moich problemów?! Z niemałym trudem udało mi się zdobyć cztery zdjęcia osobników z dziennika i ich schematyczne życiorysy. W tę część śledztwa nie chciałem za żadne skarby mieszać pani Wierzchowskiej. Mozolnie przekopałem się przez zszywki „Trybuny Ludu” i „Żołnierza Wolności”, gdzie to i owo znalazłem. Potem rozpocząłem eliminację podejrzanych prominentów. Pierwszego skreśliłem dyplomatę. Kompletnie mi nie wyglądał na Felka Macaja. Po pierwsze urodził się na Wschodzie, w Żytomierzu, po drugie już w 1948 roku skończył studia i od roku 1950 pracował w dyplomacji. Uznałem, że mimo wszystko byłaby to zbyt szybka kariera i za dobre wykształcenie jak na warszawskiego chuligana. Także jego dość szlachetna twarz nie pasowała do oblicza podmiejskiego cwaniaczka. Może więc dyrektor kombinatu? Wprawdzie według oficjalnej biografii pochodził z kielecczyny, ale skoro zmienił nazwisko, mógł również wyretuszować życiorys. Od kilkunastu lat był typowym PRL-owskim dyrektorem rzucanym ze stanowiska na stanowisko. Patrząc na nalaną mordę „brojlera socjalizmu”, usiłowałem wyobrazić sobie jak jej właściciel mógł wyglądać trzydzieści pięć lat temu. Po chwili wahania jednak skreśliłem i tę kandydaturę. To, co przydarzyło się Witkowskiemu, Ruczajskiej, nie mówiąc o „poważnych ostrzeżeniach” pod moim adresem, przekraczało chyba możliwości towarzysza dyrektora.

Pozostawali generał i zastępca członka Politbiura. O obu informacje były nad wyraz skąpe – pierwszy pochodził z Warszawy i rozpoczynał swoją karierę w szeregach Ludowego Wojska Polskiego jako prosty żołnierz, uczestnicząc w operacji berlińskiej, potem (zapewne zgodnie z zasadą „nie matura lecz chęć szczerą”) szybko piął się po szczeblach wojskowej kariery, zaliczając w ekspresowym tempie rozliczne studia i kursy, aby wejść do grona najbliższych współpracowników Jaruzelskiego. Z pewnością związany był cały czas z Informacją Wojskową i dużo mógł. Dawniej i dziś. Podobnie jak drugi, teoretycznie „cywilny” kandydat. Wprawdzie jako miejsce urodzenia figurował Mińsk Mazowiecki, ale było to faktycznie przedmieście Warszawy. Życiorys, poza wzmianką o walkach o utrwalenie władzy ludowej, wyglądał na beznadziejnie szary. Dzisiejszy zastępca członka Politbiura przez całe swe życie był pracownikiem aparatu partyjnego. Jedyne ze wzmianek typu „kierownik wydziału organizacyjnego KW”, „zastępca kierownika wydziału organizacyjnego KC” można było wyczytać jego związki z tajnymi służbami. Plotki hulające po Warszawie mówiły, że jego dzisiejsze kompetencje w kierownictwie PZPR dotyczą cywilnej bezpieki.

Na Felka Macaja pasowali obaj. Zastanawiałem się nawet, co by było, gdyby ktoś za plecami jednego albo drugiego zawołał: „Czołem towarzyszu Macaj!”. Uznałem jednak, że byłoby to rozwiązanie zbyt drastyczne, a na pewno przedwczesne. Stosunkowo najbezpieczniej było dośnić swój sen do końca i dopiero potem podjąć jakieś działania.

A skoro o bezpieczeństwie mowa, pozwoliłem sobie na szaleństwo. Poszedłem na koncert Marty. Dostała zastępstwo w kwartecie z Wyższej Szkoły i koncertowała na Okólniku.

– Musisz mnie tam zobaczyć – nalegała, a oczy miała błyszczące z podniecenia. – Będę grała *Cztery Pory Roku* Vivaldiego. Nareszcie zademonstruję ci, co potrafię – a widząc moje wahanie dorzuciła – nie bój się, przecież nikt tam cię nie zna!

Argument przekonał mnie, przyszedłem, usiadłem w kącie sali, starając maksymalnie nie rzucać się nikomu w oczy. Widziałem jak moja dziewczyna wprowadza swoich rodziców. Jej matka wyglądała na osobę z mojej generacji, ojciec był łysy, bez wieku. Nie jestem melomanem i moje wizyty w filharmonii dałoby się policzyć na palcach jednej ręki, ale umówmy się, nie poszedłem tam dla barokowego kompozytora, przezywanego przez współczesnych „rudym księdzem”. Marta na scenie w długiej czarnej spódnicy prezentowała się doskonale (dużo lepiej niż w mundurku harcerskim, w którym wpadła na jedno z naszych spotkań), rozpuściła włosy, a jej szczupłe nogi oplatające instrument wywoływały we mnie najbardziej erotyczne skojarzenia.

Ale jak długo można tylko patrzeć. Słodkie tony rozmarzyły mnie, ale i uspiły, a kiedy po rześkiej *Wiośnie* nastąpiło rozleniwiające *Lato* powieki same po prostu nasunęły mi się na oczy...

* * *

Las o świcie. Chłód, rosa, nadzwyczajna rzeźkość, dochodząca zewsząd obfitość ptasich głosów... Musiała minąć dłuższa chwila zanim zdałem sobie sprawę, że od ostatniego pobytu w świecie mojej matki dokonał się znaczny skok czasowy. Gdzie byliśmy? W szałasie, raczej w ziemiance? Obok na zaimprovizowanym legowisku dostrzegłem odrzuconą derkę. Do niedawna ktoś tu spał. Mężczyzna! Mogąc wnikać w pamięć matki, odtworzyłem wygląd tego faceta, który oddalił się ledwie parę godzin temu. Silne muskularne ramiona kontrastujące z chudymi, wystającymi żebrami. Sekunda wystarczyła, aby ustalić tożsamość mężczyzny. Najnowszym kochankiem mojej matki był sam Eugeniusz Podlaski – „Chudy Gienek”.

A więc jednak się spotkali!

Tkanka pamięci szybko rozrastała się jak drożdże, jak pleśń. Róża nie była pewna, kiedy zetknęli się po raz pierwszy. Może rzeczywiście w Białymstoku? Kiedy on był milicyjnym harmonistą, a ona jeszcze podlotkiem...

– Codziennie idąc do szkoły, przechodziłaś pod oknami mojego posterunku – powiedział jej wkrótce po spotkaniu.

Śniąc, nie traciłem zdolności analizy. Dlatego w pierwszym rzędzie usiłowałem zdefiniować ich wzajemne relacje. Co moja mama mogła czuć do tego mężczyzny? Miłość? Z pewnością nie. Przywiązanie? Już bardziej. Zwolna zdałem sobie sprawę, że między moją matką a Eugeniuszem musiał stanąć układ. W oddziale GL-u dziewczyna mogła być albo żoną oficera, albo rotacyjną kochanką wszystkich. Widocznie wybrała to drugie...

Tymczasem Róża wstała i wyszła na zewnątrz. Odczuwała mocne parcie na pęczek. Jaśniejące zwolna niebo, z zaledwie jedną przybladłą gwiazdą ponad lasem zapowiadało piękny dzień. Dokuczliwy chłód wskazywał bardziej na koniec niż na początek lata. Teren był lekko pofałdowany, lesisty – ani chybi Lubelszczyzna albo Góry Świętokrzyskie.

„Co tu robiła, jak się tu znalazła?”

Wokół wygasłych ognisk spali gwardziści, niewielu, podobnie jak ona i Gienek, miało własne szałas. Wszystkich wyraźnie zmorzyła wieczorna pijatyka, bo nikt nie zareagował na dziewczynę zwinnie przymykającą między nimi. Również strażnik na skraju polany, okutany płaszczem, zastygły na kształt żony Lota, ani się poruszył. Obok obozu znajdowała się wykopana latryna, ale dla Róży miejsce to było najwyraźniej zbyt obrzydliwe, żeby z niego korzystać. Skręciła w las, starodrzew o bujnym poszyciu. Obawiając się, że ktoś się zbudzi oddaliła się może z pięćdziesiąt metrów i dopiero kucnęła nieopodal sporego wykrotu. I wtedy usłyszała... Właściwie najpierw zdała sobie sprawę, że jak na komendę umilkły ptaki. Kroki były lekkie, ostrożne, ale przybliżały się. Stado saren, młode dziki? Nadchodziły z dwóch stron, może z trzech. Usta same rozwarły się do krzyku, ale tylko złapały powietrze. Opanowała się. Przybyszami z pewnością nie byli Niemcy, ci nie zapuszczali się w las bez ciężkiego sprzętu, psów i z pewnością czynili znacznie więcej hałasu. A może jakiś patrol GL-u? Tylko czy bratni patrol tak by się skradał? Zamiast krzyknąć, wsunęła się jak najgłębiej w dziurę wykrotu powstałą pod korzeniami buku powalonego przez wichurę. Chwilę później metr od siebie zauważyła wojskowe buty, potem drugie. Z prawej strony rozległ się głos puszczyka... Zacisnęła mocno zęby, żeby nikt nie usłyszał jak szczękają...

* * *

Rozległy się brawa i zdałem sobie sprawę, że również klaszczę. Szybko wymknąłem się z sali. Wcześniej umówiłem się z Martą, że spotkamy się na pustej łączce pomiędzy szkołą a Domem Kultury Radzieckiej.

Myślałem, że zachowa dystans, a rzuciła mi się na szyję.

– Jak było?

– Przeżyłem niezapomniane wrażenia – odrzekłem zgodnie z prawdą.

– Chcesz poznać moich rodziców.

– Raczej nie.

– No to zmykaj. Zaraz tu będą, to jest nasz samochód – wskazała obszerną ładę. – Zobaczymy się jutro u ciebie?

– Tak, jutro, ale wpierw zadzwoń.

Zwiewając przed rodzicami, szybkim krokiem poszedłem w stronę ulicy Foksal. Zamierzałem wpaść do Domu Dziennikarza na spotkanie z redaktorem Stefanem Bratkowskim, niedawno usuniętym z szeregów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Na dalsze odcinki mojego sennego serialu musiałem poczekać parę dni, to zaś, co mi się przyśniło, stanowiło swoisty mętlik retrospekcji i wydarzeń z lata 1943 roku, tak jakby coś popsuło się w do tej pory doskonale działającym nadajniku. Dlatego ostatecznej redakcji moich zapisków z tego okresu mogłem dokonać dopiero po jakichś dwóch tygodniach, a i tak nie jestem z nich szczególnie zadowolony.

Decyzję o ucieczce z Warszawy moja matka wymusiła na swych przełożonych. I nie chodzi wyłącznie o akcję chłopaków z Szarych Szeregów. Po koszmarnej sobocie nastąpiła naprawdę czarna niedziela. Rano nie poszła do kościoła. Nawet w chustce zasłaniającej ostrzyżoną głowę czuła się okropnie. Chociaż tłumaczyła sama sobie, że chłopcy z podziemia zrobili to w dobrej wierze, niełatwo przychodziło jej się uspokoić, odreagować upokorzenie. Jej niepokój potęgowała kwestia, co powie Knappowi. Prawdę? Wówczas Otto wezwie policję, ta każe jej podać rysopisy chłopaków... Nie, nie! Nie chciała ich oskarżać. Zwłaszcza tego blondynka – „Hektora”. Za każdym razem kiedy wspominała jego jasną twarz, czułem jak serca biją nam żywiej. Czyżby oczarowanie od pierwszego wejrzenia? Coś takiego nie zdarzyło się jej od pensjonarskiego zauroczenia Andrzejem.

O ile jednak z Knappem mogła sobie jakoś poradzić, pozostawała sprawa raportu dla Wolffa. Przed nim niewiele mogła zataić. Precyzyjnie musiała obmyślić swoje zeznania, żeby nie naprowadzić na ślad młodych bojowców.

„A co z moim wyglądem? – zastanawiała się. – Może przed powrotem Knappa uda mi się skombinować jakąś perukę?”

Tymczasem koło południa zadzwonił telefon. Myśląc, że to może być Otto, odebrała.

– Cześć, aniołeczku! – rozległ się głos Pollera. – Niespodzianka, prawda?

– Nie mogę teraz rozmawiać! – wyksztusiła. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

– A kiedy? Jak chcesz zadzwonię później. A może po prostu wpadnę i odwiedzę cię w twojej pięknej willi.

– Nie jestem sama – powiedziała, ścisząc głos.

– Rozumiem, rozumiem – Poller tylko się roześmiał. – W takim razie może przyjdiesz do mnie, na kwaterę?

– Wybij to sobie z głowy!

– Nie denerwuj się, aniołeczku. Chcę tylko, żebyś do mnie wróciła.

– Nigdy!

– Nie zarzekaj się, skarbie. Jestem przygotowany, żeby cię do tego przekonać. Mam twoje oryginalne papiery, fotografię, a także, trochę mnie to kosztowało, zeznania niejkiej Halterowej. Baba siedzi na Pawiaku i chętnie opowie wszystkim jak pewna Żydóweczka dzięki niej zyskała nową tożsamość. Wspomni też w jakim interesującym towarzystwie obracała się w Warszawie. Delkacz – mówi ci coś to nazwisko? Tylko że wtedy na następną randkę będziemy musieli umówić się na Szucha.

– Czego chcesz? – wydusiła ze ściśniętym gardłem.

– Przecież już mówiłem – ciebie! Nawet nie na stałe. Możesz być nadal z twoim pięknym Niemcem. Mnie wystarczy na przychodne – dwa razy w tygodniu. Taki jestem wspaniałomyślny.

Milczała, gorączkowo próbując zebrać myśli.

– Dzisiaj jestem na służbie – ciągnął dalej Karl. – Pozwolę więc ci oswoić się z myślą o naszej odzyskanej miłości. Umówmy się tak: odwiedzisz mnie jutro, po południu. Mam kwatery przy ulicy Dobrej na Powiślu i postaram się, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Tylko pamiętaj, Różyczko, moja propozycja jest nie do odrzucenia...

* * *

Stary Wolff mieszkał na terenie swojego zakładu. Nigdy dotąd nie widział Marysi Kaczmarek w stanie podobnego wzburzenia jak w owe letnie popołudnie.

– Uspokój się. Ten reichsdojcz nic ci nie robi. Pójdiesz na spotkanie, które ci zaproponował, a my wyślemy za tobą grupę likwidacyjną – zaproponował.

– Boję się, że to nic nie da. Ten cwaniak na pewno opowiadał o mnie swoim kumplom. Dorwają mnie nawet jeśli on zginie. Muszę uciekać, towarzyszu. Ukryć się!

– To nie takie proste, „Narcyzo”. Nie tylko ten Poller, ale i Otto Knapp zaczną cię szukać.

– Knappowi zostawię list, że musiałam pilnie pojechać do rodziny... I że za jakiś czas do niego napiszę.

Wolff dłuższą chwilę drapał się w głowę. Wiedział, że kierownictwo miało wobec „Narcyzy” dalekosiężne plany. W zaistniałej sytuacji wszystko to brało w łeb. Przynajmniej na jakiś czas. Może propozycja dziewczyny, żeby zniknąć na jakiś czas, nie była taka głupia?

– Wracaj do domu. Zobaczą, co da się zrobić. – rzekł.

Nie czekała długo. Tego samego dnia, jeszcze przed wieczorem, pojawił się łącznik, który wydał się jej dziwnie znajomy.

– Jedziemy do lasu – oznajmił, przyglądając się jej wyjątkowo intensywnie. – Mam furmankę, jak się dobrze postaramy przed godziną policyjną będziemy w Puszczy Kampinoskiej.

– Muszę jeszcze napisać list.

– Byle szybko.

Skreśliła parę słów do Knappa, rzuciła spojrzenie na portret w błękicie i już jej nie było.

Ledwie wyjechali z miasta konwojent wyraźnie się rozprężył.

– A my to się przecież znamy – powiedział.

– Skąd?

– Jeszcze z Białegostoku. Codziennie idąc do szkoły, przechodziłaś pod oknami mojego posterunku, ale raczej nie zwracałaś na mnie uwagi.

* * *

Jeśli moja matka mogła jeszcze żywić jakiekolwiek złudzenia, co do charakteru organizacji walczącej „o nową lepszą Polskę”, to półtora miesiąca spędzonego w rejonie działania oddziału imienia Jana Kilińskiego potwierdziło opinie najgorszych wrogów komunistycznego podziemia. Mimo poszartpanej faktury snów obrazy, które dawało się rozpoznać, były wystarczająco przerażające. Łupienie dworów, napady na leśniczówki i terroryzowanie ludności, okazały się dla gwardzistów zajęciem dużo bardziej intratnym niż walka z Niemcami czy wysadzanie pociągów, którymi to zdarzeniami szczyły się komunistyczne gazetki.

Miejscowi ze wsi pod Kraśnikiem, gdzie ulokował ją „Chudy Gienek” (po pewnym czasie zorientowała się, że Podlaski pełni nie tylko funkcję kuriera, ale nade wszystko skrupulatnego kasjera zawożącego daninę dla kierownictwa) nie mówili wiele, ale jeśli już ktoś się rozgadał, mógł powiedzieć naprawdę sporo o wybrykach ludzi „Słowika”, „Liska” czy Jastrzębia”.

„Jastrzębia” znała jeszcze z „przejazdówki”. Teraz był on jednym z zastępców „Skrzypka”, przedwojennego bandyty z pobliskiego Łyskowa i podobnie jak „Lisek” miał przedwojenny staż więzienny za napady z bronią w ręku. Gienek na ich tle wydawał się nieomal rycerzem bez skazy. Nie grzeszył wprawdzie przesadnymi skrupułami, ale daleko mu było do brutalności kompanów. Nawet jego zaloty były, jak na okoliczności, delikatne. Wziął ją dopiero czwartej czy nawet piątej nocy wspólnej podróży. Zresztą ani wtedy, ani później nie stosował wobec niej przemocy. Oznajmił jej, co będą robili i fachowo zabrał się do rzeczy. Róży nie pozostało nic innego, jak realizować swój tradycyjny patent – obojętnej uległości.

– Zawsze leżysz jak kłoda? – zapytał ją za któryms razem.

– Przynajmniej nikomu nie przeszkadzam.

Szóstego czy siódmego sierpnia zabrał ją do lasu. We wsi mówiono, że w okolicy pojawiły się jakieś większe siły niemieckie. Może zresztą nie o Niemców chodziło, tylko o znaczny oddział Narodowych Sił Zbrojnych, który miał przybyć, aby ulżyć nieszczęsnym mieszkańcom znajdującym się między niemieckim kowadłem a młotem GL-u. „Chudy Gienek” musiał mieć nie lada posłuch w tym towarzystwie, ponieważ nikt nie wyciągnął łap po jego dziewczynę. Przydzielono im nawet osobne locum. Tamtego dnia wstał przed świtem, a wiedząc, że i Róża się zbudziła, szepnął:

– Muszę wykonać pewne zadanie we wsi, ale niczego się nie bój. Przed wieczorem wrócę...

* * *

Tyle rekonstrukcji, trzy dni po śnie podczas koncertu zobaczyłem ciąg dalszy. Tak jakby film z przeszłości nagle pojawił się na ekranie w pełnym wymiarze obrazów, dźwięków, zapachów.

Zmartwiała cisza poranka trwała ledwie parę sekund. Naraz, parę kroków od kryjówki Róży, rozległ się krótki charkot i łomot padającego ciała wartownika. Potem gruchnęła seria z RKM-u. I druga! Cały las naraz ożył tupotem kilkudziesięciu stóp biegnących tyralierą. Towarzyszył im szczęk przeładowanej broni.

– Poddać się, jesteście otoczeni! – zawołał donośny głos przywykły do rozkazywania.

– Rzucić broń! – krzyknął ktoś inny. – Rzuć to człowieku...

Potem rozległ się strzał i krzyk śmiertelnie ugodzonego mężczyzny. Teraz od strony polany odezwały się zaspane głosy.

– Nie strzelajcie, poddajemy się, nie strzelajcie... Ludzie, kto wy? Do kurwy nędzy, Polaków atakujecie?!

– Wstawać, bolszewickie nasienie, pojedynczo, z rękami do góry. Nie ruszać broni!

– Kim jesteście? – teraz rozpoznała głos „Słowika”. – Na jaki chuj nas atakujecie?

– Zgodne z prawem Rzeczypospolitej – odparł dowodzący akcją. – Jestem rotmistrz „Ząb” z Narodowych Sił Zbrojnych.

„Słowik” tylko zaklął. Nie mogli wpaść gorzej!

Na moment wybuchła strzelanina w odleglejszej części obozu. Najwyraźniej ktoś rzucił się do ucieczki. Kilku partyzantów pobiegło za nim.

– Wiązać ich! – rozkazywał tymczasem donośnie „Ząb”. – Potem przeszukacie las dookoła. Nikt nie ma prawa stąd się wydostać.

Moja mama nie miała zamiaru dłużej czekać. Wprawdzie dowódca oddziału Narodowych Sił Zbrojnych był wedle krążącej famy szarmancki wobec kobiet, ale nie miała ochoty sprawdzać tego na własnej skórze. Wypęzła z wykrotu, a następnie mocno przygięta pobiegła w głąb lasu. W rejwachu panującym w obozowisku nikt nie powinien jej zauważyć. Ubiegła kilkaset metrów, kiedy usłyszała parskanie koni. Zwolniła, a następnie szerokim łukiem ominęła miejsce, w którym ludzie „Zęba” umieścili swoje podwozy. Pół godziny później doszła do skraju lasu, znalazła się na drodze, minęła skręt na dwór w Borowie i trafiła do wsi. Znała tam jednego chłopca, który parę dni wcześniej wozem podrzucał ich do lasu. Było już całkiem widno, ale gospodarstwo wyglądało na uspięne, być może dzieciaki wygoniły bydło na pole, a gospodarz i gospodyni pojechali do miasta. Nawet pies na łańcuchu, stary, a może tylko leniwy, zamiast ujadać na jej widok, zamerdał przyjaźnie ogonem. Drzwi do izby zastała otwarte. Kuchnia była jeszcze ciepła, statki nie pozmywane. Ale ani śladu domowników, nawet hożej siostrzenicy gospodarza, na którą zwróciła uwagę, gdy ta karmiła ptaki w obejściu.

Wymordowano wszystkich, czy jak?

Krążąc po podwórku, dotarła do uchylonych drzwi stodoły. Podchodząc, usłyszała szelest słomy, a potem jęki. Czyżby ranni? Wbiegła do środka i wtedy zobaczyła najpierw sterczące wśród słomy bosc szczupłe stopy i podrygujące między nimi żylaste, chude dupsko mężczyzny. Nie potrzebowała nawet oglądać charakterystycznej myszki na udzie, by zidentyfikować sprawcę tych omłotów. „A więc tak wyglądało partyjne zadanie „Chudego Gienka”, które nocą kazało mu opuścić biwak i w ten prosty sposób uratowało mu życie” – pomyślałem równocześnie z moją matką.

* * *

W oficjalnych publikacjach historycznych (znalazłem co najmniej dwie takie) zdarzenie pod Borowem zyskało opinię bandyckiej rzezi, dokonanej przez faszystów z NSZ na bohaterskich bojownikach o równość i wolność. Inaczej rzecz zachowała się w archiwum Wierzchowskiego. Jeden z dwóch ocalałych gwardzistów, puszczonego wolno małolat, opowiadał, że po łatwym rozbrojeniu oddziału im. Kilińskiego rotmistrz „Ząb” przeprowadził regularny sąd polowy. Dowodów przestępstwa nie brakowało. Na jednej z kwater we wsi odnaleziono moc przedmiotów zrabowanych okolicznej ludności, wysłuchano też zeznań miejscowych na temat bandyckiej działalności GL-owców. Wyrok nie mógł dziwić: dwudziestu dziewięciu członków grupy zostało skazanych na śmierć przez rozstrzelanie. Puszczone tylko wspomnianego niedorostka i Aloszę, sowieckiego zrzutka, który później dołączył do polsko-sowieckiej grupy „Łońki”.

Natomiast epizod w stodole wyjaśnił późniejsze wzajemne relacje Róży i Eugeniusza. O powrocie do dotychczasowego statusu kochanków nie mogło być mowy i „Chudy” to zrozumiał. Rzecz zakończyła się, można powiedzieć, kulturalnie. Nie było między nimi kłótni, tłumaczeń czy przeprosin. Kiedy zobaczył ją w stodole – gdzie cicho i uprzejmie doczekała aż skończy uprawiać miłosną gimnastykę – pojął, że pewien etap ich znajomości dobiegł końca. Po rozbiciu oddziału im. Kilińskiego, nastawienie chłopów zrobiło się wręcz wrogie, Gienek pospieszył więc do Warszawy po instrukcje, a Róża została umieszczona w Kraśniku u pani Haliny Biernackiej, bezdzietnej wdowy po miejscowym aptekarzu, z zawodu akuszerki. Można powiedzieć, naprawdę zaciszna przystań. Moja mama na jakiś czas oderwała się od konspiracji. Zresztą partia też zdawała się o niej zapomnieć. Pół roku później, wyjaśniło się, że po prostu jeden z łączników zginął w leśnej strzelaninie z Niemcami, a „Chudy Gienek” głupio wpadł w trakcie łapanki w Lublinie. Nic na niego nie mieli, skończyło się więc tylko na wywózce do Niemiec, na roboty. Zanim zdołał uciec i przedostać się z powrotem do Generalnej Guberni upłynęło całkiem sporo czasu.

Wyglądało na to, że w Kraśniku moja mama nareszcie zazna spokoju. Otaczali ją przyjaźni ludzie. Pomagając w aptece szwagrowi pani Haliny, mogła zdobywać całkiem nowe kwalifikacje. Niestety jej żelazne dotąd zdrowie zaczęło się gwałtownie psuć. Przechorowała całą jesień i znaczną część zimy. Gdyby nie troskliwa opieka ze strony całej rodziny aptekarzy zapewne nie przeżyłaby tej złej passy (a ja bym nigdy nie zaistniał!). Kiedy w połowie lutego czterdziestego czwartego roku Eugeniusz Podlaski zjawił się wreszcie w aptecce, w pierwszej chwili nie poznał Róży. Chuda, o wyostrzonych rysach, wydawała się wyższa, doroślejsza.

– Dziewczyno, co się z tobą stało? Opowiedziała mu o chorobach, które ją dopadły. Najpierw

przewlekła grypa, potem tyfus...

– Ale chyba najgorsze mam już za sobą – stwierdziła, a pani Halina tylko przytaknęła.

– Jestem pewien – zgodził się Gienek. Nie wiedział jednak o tajemnicy, która połączyła obie kobiety.

Jeszcze pod koniec września moja mama zorientowała się, że jest w ciąży. Jej obawy potwierdził miejscowy lekarz. Wzburzona opowiedziała o tym Biernackiej, po czym zwróciła się do niej z błaganiem.

– Pani Halinko, na wszystkie świętości, niech mi pani pomoże!

– W jaki sposób, złotko? Nie przejmuj się aż tak bardzo. Jak się dzieciątko urodzi, zadbam, żeby nie zbywało mu na niczym.

– Ale ja nie chce go urodzić! A pani zna sposoby...

– Ależ złotko! – zachnęła się akuszerka. – Skąd ci takie pomysły przychodzą do główki. Ja nie znam żadnych sposobów, a poza tym jaki grzech...

– Większym grzechem będzie, jeśli je urodzę, a następnie zabiję!

Śmiertelna bladość twarzy i powaga w głosie utwierdziła Biernacką w przekonaniu, że nie są to słowa rzucane na wiatr.

– No dobrze. Ale skąd takie postanowienie, kochana? Mało to dzieci rodzi się bez ojca?

– Jeśli kiedyś urodzę, będzie to dziecko powstałe wyłącznie z miłości!

Wdowa usiłowała jeszcze uświadomić jej, że z miłości pojawia się zdecydowanie mniej potomków niż z przypadku, konieczności, lub trzeźwej kalkulacji, ale Róża postawiła na swoim. Zabieguomal nie przyplącała życiem. A seria chorób, jak już pisałem, nękała ją prawie pół roku.

– Mogłem mieć rodzeństwo – pomyślałem, analizując ten epizod. – Dlaczego tak bardzo nie chciała mieć tego dziecka. A mnie jednak urodziła? Czyżby mojego ojca kochała?

Mimo wysiłków nie byłem w stanie przeniknąć umysłu swej matki na tyle, aby dowiedzieć się kim był ojciec tamtego dziecka. Bardzo skrupulatnie usunęła tę informację z pamięci. Pozostały mi jedynie spekulacje. Czy ojcem mógł być Gienek? Zdrada, której dokonał, na pewno bardzo ją zabolęła, ale czy do tego stopnia, żeby zabić jego potomka? Może ktoś z bandy „Słowika”? Jakiś przypadkowy zboczeniec, wariat, Niemiec? Przeszukując jej wspomnienia, wydobywałem na wpół zatarte twarze ukrywających się Żydów, żandarma, który w Kraśniku zatrzymał ją na ulicy, szwagra – też aptekarza, wymoczka o wiecznie spoconych rękach, uporczywie prawiącego mojej matce komplementy. Jednak z żadnym z tych osobników nie wiązały się, a może nie chciały się wiązać najmniejsze choćby wspomnienia erotyczne. Kiedy chciałem szukać głębiej, powracały jedynie obrazy sprzed wojny – ślizgawka w Dolinie Szwajcarskiej, „walc łyżwiarzy” idący z głośników i

szczupły, wyjątkowo przystojny Andrzej, w wąskich spodniach, kręcący piruety... Czasami w myślach mojej matki pojawiała się inna twarz. Smukłego blondasa o mocnych rumieńcach na policzkach i nieśmiałym wejrzeniu błękitnych oczu – „Hektora”.

Dlaczego właśnie jego?

„Chudy Gienek” przybył do Kraśnika z gotowym planem, miał ponownie zabrać moją mamę do Warszawy. Przywiózł też bardzo mocne papiery niejakiej Ingi Schultz, rodowitej Niemki z miasta Hindenburg, przez Polaków nazywanego Zabrzem.

– Czy ta Inga naprawdę istnieje? – spytała Róża.

– Już nie. Zginęła w czasie bombardowań podczas wizyty w Vaterlandzie. Zdobyliśmy jej dokumenty i świadectwo pracy, była nawet trochę do ciebie podobna, wystarczy tylko postarzyć cię o pięć lat. I przefarbować cię na brunetkę... – tu wyciągnął autentyczną kenkartę. – Nie musisz martwić się swoim kolorem włosów, przywiozłem odpowiednią farbę. Francuską! – dodał z naciskiem.

– Mam wrócić do Wolffa? – zaniepokoiła się. – Nawet z innymi włosami mogą mnie rozpoznać...

– Zapomnij o starym, biednym Wolffie. Załatwił go jeszcze w zeszłym roku jakiś esesman niezadowolony ze wspólnych interesów. Twój jedyny problem polega na czym innym.

– Mianowicie?

– W trzy dni musisz nauczyć się obsługiwać centralę telefoniczną. Ale mam dla ciebie podręcznik, a w Warszawie ktoś zrobi ci krótkie szkolenie.

Cztery dni później smukła, ciemnowłosa dziewczyna, stanęła przed wysokim gmachem PAST-y i przeżegnawszy się w duchu, weszła do środka.

* * *

4 listopada 1981 roku napięcie w kraju nieco opadło. Spotkanie „wielkiej trójki” – Wałęsa, prymas Glemp, generał Jaruzelski – wielu Polaków uznało za kontynuowanie polityki dialogu, zda się pogrzebanej po usunięciu Stanisława Kani.

– Może rzeczywiście chcą porozumienia? – szeptało po kątach pokoju nauczycielskiego. – Przecież nie ma innego wyjścia. „Dalej jest ściana, a za ścianą Związek Radziecki” – powiedziałyby w takiej sytuacji Artur.

Trudno byłoby się z nim nie zgodzić. Kryzys w Polsce stawał się nie do wytrzymania. Znikło do niedawna tak powszechne poczucie wspólnoty. Z dnia na dzień ludzie stawali się coraz bardziej szarzy, źli, arogancy. W sklepach na półkach pozostał już jedynie ocet, a tu i ówdzie nawet octu zabrakło. Działacze „Solidarności” twierdzili, że rząd magazynuje żywność, ale trudno było to udowodnić. Od dwóch tygodni działały w terenie Wojskowe Grupy Operacyjne, które jedni interpretowali jako desperacką próbę zapanowania nad chaosem, a inni uznawali za zwiad przed

wzięciem narodu za mordę. Jeśli idzie o mnie, żyłem w stanie dziwnego zawieszenia. Coraz krótsze dni przelatowały mi jak obrazki w oszalałym kalejdoskopie. W dodatku znów spadły na mnie obowiązki związkowe.

W czasie kiedy inni rzucali legitymacje partyjne, pani Langmann przypominała sobie o wieloletniej przynależności do PZPR i krytykując związkową ekstremę, wystąpiła z NSZZ „Solidarność”. Ponieważ nikt nie kwapił się na jej miejsce, znów przewodziłem szkolnej komórce, która dziwnie się skurczyła. No więc spadło na mnie załatwianie spraw socjalnych, bieganie do Regionu, a nawet organizowanie występu Kabaretu „Sześćdziesiątka” dla związkowej publiczności, w budynku osiedlowego kina. Wszystko to odbywało się, rzecz jasna, kosztem mej działalności śledczej. Coraz trudniej też przychodziło mi znaleźć czas na spotkanie z Martą.

– Traktujesz mnie jak prostytutkę! – powiedziała mi któregoś razu moja prześliczna wiolonczelistka. – Nie znoszę jak w trakcie kochania co chwila rzucasz okiem na zegarek.

– Nie denerwuj się, kochanie – próbowałem ją uspokajać. – Niedługo wszystko się ułoży.

– Ułoży? Ciekawe jak? Na razie nic nie robisz w tym kierunku?

– Daj mi trochę czasu.

– A co innego robię? Daję i daję. Inna dawno by już z ciebie zrezygnowała.

W duchu przyznawałem jej rację. Coraz częściej miałem wrażenie, że jestem jak zepsuty zegarek o coraz bardziej rozedrganej sprężynie. Na szczęście ostatnimi czasy Grażyna była dla mnie miłsza niż zazwyczaj. Unikała domowych konfliktów, nie poruszała tematów politycznych i co najważniejsze, nie powracała do tematu przymusowego leczenia. Dlaczego? Może babską intuicją wyczuwała, że wspomniana sprężyna może pęknąć. Ze swej strony nigdy więcej nie mówiłem jej, że nadal miewam sny. Również na jawie. Zresztą co z tego, że miewałem?!

Przez blisko miesiąc ani te sny, ani wertowanie źródeł nie zbliżyły mnie do odpowiedzi na najważniejsze pytania. Prawie codziennie przenosiłem się do rzeczywistości swojej matki, jednak tam nie działo się nic interesującego, a na pewno przełomowego. Nie pojawiali się w jej życiu żadni nowi mężczyźni, a w nowej pracy nie udało się jej zawrzeć żadnej przyjaźni. „Inga” izolowana przez Polki, nie garnęła się do tych telefonistek, które podpisały volkslistę. Większość z nich zresztą pracowała dla Gestapo. Zresztą pewne zasady obowiązywały wszystkie pracownice. W momencie wybrania któregoś numeru z listy specjalnej lub pojawienia się określonych wątków w rozmowie, były zobowiązane do przełączenia połączeń na linie specjalne, nadzorowane przez kontrolerów rozmów, mających swoją kwaterę w podziemiach Poczty Głównej. Musiały też odnotowywać wszystkie połączenia. „Inga” przeszła w tym zakresie krótki kurs, jednak nie dopuszczono jej ani do łącz wojskowych, ani administracyjnych wiążących Generalną Gubernię z Berlinem. Praca na centrali była żmudna i ogłupiająca, rzadko zdarzało się jej podsłuchać rozmowę wartą raportu. Naturalnie orientowała się kiedy rozmówcy (zapewne konspiratorzy) zaczęli mówić szyfrem, ale akurat na ten temat meldunków nie składała. Na zlecenie PPR-u podsłuchiwała głównie rozmowy Niemców. Łącznik z centralą, pseudonim „Ignac”, na co dzień wykidajął w lokalu przy Mazowieckiej, przyjmował wszystkie jej komunikaty bez słowa – ani chwalił, ani też ganił. Z

kierownictwem żadnego bezpośredniego kontaktu nie miała. Nawet z kursującym po Polsce Gienkiem widywała się jedynie sporadycznie. Nigdy więcej nie poszli ze sobą do łóżka.

Coraz częściej co innego zaprzętało jej myśli. Podobnie jak inni Polacy, nie mogła się doczekać upragnionego końca wojny, której walec coraz szybciej spod Moskwy i Stalingradu przetaczał się w stronę dawnych granic Rzeczypospolitej. Na ulicach, bazarach i w kawiarniach coraz głośniej mówiono o „drugim froncie”. Południowe Włochy od jesieni cieszyły się wolnością, ale sprzymierzeni ugrzęźli na linii Gustawa. Przez parę miesięcy krwawy bój toczył się w rejonie miejscowości Cassino i słynnego opactwa benedyktynów, górującego nad doliną. Siedemnastego maja radio Londyn podało wiadomość o zdobyciu Monte Cassino przez II Korpus Polski generała Andersa. Informacja o tym sukcesie jak wiosenna burza przeszła przez Warszawę. A wkrótce w knajpach zaczęła rozbrzmiewać piosenka o makach „co z polskiej wzrosły krwi”. Podejrzewam, a właściwie jestem prawie pewien, że w myślach mojej matki coraz więcej miejsca zajmowała kwestia, jaki świat nastanie po wojnie? I jak ona będzie mogła się w nim znaleźć?

Obecne życie cechowała doraźność i emocjonalna pustka. W pokoiku na Miodowej, a właściwie w służbówce na górce, jak miejscowi nazywali ciemnawy strych, przebywała głównie sama, nie miała psa ani kota, a jedynym towarzyszem był przylatujący na okienko gołąb.

– Niech pani wpadnie do naszej restauracji – nie raz proponował jej łącznik „Ignac”. – Jest muzyczka, towarzystwo, goście przy forsie...

Nie miała ochoty. Czasami z wyrazu jej oczu domyślałem się, że czuje się bardzo staro. Wprawdzie przez ostatnie lata powinna przywyknąć do samotności, ale tej wiosny czuła się chyba jeszcze bardziej osamotniona niż kiedykolwiek. Śmierć zabrała większość ludzi, których znała. Nie żył jej pierwszy mentor Delkacz, przerażająca, lecz w sumie przyjacielska „Waleria”, zabito Wolffa, rozstrzelano rodzinę Stasiaków... Raz łącząc jakąś rozmowę z Żoliborza wydawało jej się, że słyszy głos Ottona Knappa, ale chyba było to złudzenie. Rozpłakała się kiedy na obwieszczeniu o wyrokach śmierci odnalazła imię i nazwisko Andrzeja. Doskonały łyżwiarz zginął w jednej z ulicznych egzekucji.

Na parę dni wydało jej się, że sama umarła. Zerwaniu uległa ostatnia więź łącząca ją ze światem międzywojnia, własnego dzieciństwa. Myślę, że wiele z tego, co wydarzyło się wkrótce potem, było konsekwencją tego zerwania.

Minął kolejny, posepny dzień listopada. Znowu wróciłem do domu potwornie znużony. Niepokojące, ale ostatnimi czasy męczyłem się znacznie szybciej, niż jeszcze kilka lat temu. „Może właśnie przekroczyłem moją smugę cienia?”

– Starość, paaanie, starość – zakpiłby w takim momencie Artur.

Ale kto nie byłby zmordowany. W szkole miałem naprawdę ciężki dzień, do Wierzchowskiej wpadłem tylko na chwilę. Ale i tak nie zdołałem nawet porozmawiać. Stara panna była kompletnie roztrzęsiona.

Drzwi do pokoju jej ojca były otwarte na oścież, półki wydały się jeszcze bardziej przygięte pod ciężarem książek, a w całym mieszkaniu czuło się trudny do zdefiniowania zapach...

– Jeszcze wczoraj czułem się lepiej niż zwykle, a dziś znalazłem go na podłodze nieprzytomnego, wezwałem pogotowie... Muszę jechać do szpitala na Grenadierów Ale jak chce pan pracować...

– Dziś sobie daruję.

Zajrzałem do księgarni na Marysinie, a potem pojechałem Chełmżyńską, na skraj Olszynki Grochowskiej, na spotkanie z Martą. Czekałem pół godziny, nie przyszła. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Pocieszałem się, że coś pilnego musiało jej wypaść. Wracając do domu, z najwyższą niechęcią myślałem o stercie klasówek czekających na sprawdzenie.

– Jestem – rzuciłem, od progu postanawiając zdrzemnąć się przynajmniej do dziennika. Idąc do sypialni, przystanąłem zaskoczony widokiem stołu nakrytego jak do uroczystej kolacji. To nie zdarzyło się od dawna. Jeszcze dziwniejsza była obecność dwóch kieliszków i butelka czerwonego wina. Znowu specjalna okazja? Myjąc ręce, zastanawiałem się nad możliwym powodem fety. Odpadały wszelkie imieniny, urodziny, ważne rocznice. Nawet doktorat Grażyna zrobiła już jakiś czas temu. Zaświtała mi nawet szalona myśl, że być może moja żona z własnej inicjatywy proponuje mi rozstanie. Jednak kiedy zobaczyłem jej twarz, zorientowałem się, że ani jej to w głowie. Grażyna wyszła z kuchni ubrana w ciemną sukienkę z głębokim dekoltem, którą kiedyś bardzo lubiłem. Z tajemniczym uśmiechem Mona Lizy przywitała mnie pocałunkiem w usta. I natychmiast przeszła do rzeczy:

– Byłam dziś u lekarza, Maciusiu. W przyszłym roku rodzina nam się powiększy. Cieszysz się, prawda?

Wziąłem ją w ramiona, przytuliłem, bo co innego miałem zrobić. Przecież nie mogłem wyznać jej, że podłogowa dębowa klepka sprowadzona przez teścia z Hajnówki właśnie rozstępuje mi się pod nogami. Jak to możliwe?! Ostatnimi czasy kochaliśmy się tylko raz. A więc musiało się to stać właśnie wtedy... Mistrzowski strzał!

– Strasznie jestem szczęśliwa – szepnęła mi w ucho Grażka. – Czuję, że tym razem będzie chłopak.

Zawsze powtarzałeś mi, że będziesz się cieszył z każdego dziecka, byleby to był syn, prawda?

Potwierdziłem, pocałowałem ją, wypilem wino, z każdą chwilą czując się bardziej podle. Byłem łajdakiem, owszem, ale tylko do pewnych granic. Dlatego wiedziałem, że na pewno nie opuszczę żony w tym stanie. Tylko jak wytłumaczę to Marcie.

Do pokoju zajrzała Basia, też już wiedziała.

– Kiedy przyjedzie braciszek? – zapytała, wskazując mi na kolana.

– Bardzo chcesz braciszka?

– Bardzo...

Kończąc butelkę wina, Grażyna wydawała się wniebowzięta. Aluzjami dawała do zrozumienia, jak bardzo ma ochotę na seks. Mnie tymczasem chciało się kochać jak psu orać. Pod pozorem zakupu papierosów wymknąłem się z domu. Było dżdżysto, nieprzyjemnie. Większość kiosków w okolicy zaryglowana na głucho, straszyla kłódkami i sztabami, toteż po fajki musiałem iść aż do ronda Waszyngtona. Dopiero na kładce nad Trasą Łazienkowską zdałem sobie sprawę, że przecież papierosy stanowiły jedynie pretekst do wyjścia z mieszkania, a w kieszeni płaszcz mam jeszcze jedną nierozpieczętowaną paczkę. Zawróciłem, zbiegłem schodkami z kładki, minąłem obskurny pawilon handlowy „Wszystko dla dziecka”. I wtedy zorientowałem się, że ktoś za mną idzie. Skręciłem między bloki w nadziei, że zgubię samotnego spacerowicza. Jednak ten zgubić się nie dał. Poszedł za mną. Wyjątkowo szybko. Zerknąłem do tyłu i w świetle latarni poznałem nocnego towarzysza. To był ten sam menel z Wału Miedzeszyńskiego. Przestraszyłem się. Dookoła nie było żywej duszy. Co miałem robić? Uciekać? Zaczekać z zaciśniętymi pięściami? Zawołać: „Odczep się pan ode mnie!”. Niestety, należałem do maminsynków. Chowany przez nadopiekuńczą ciotkę, miałem niewielkie doświadczenie w podwórkowych sportach walki, menel zaś, mimo swego wyglądu, nie poruszał się jak degenerat, krok miał koci, sprężysty...

Szczęściem przy krawężniku zobaczyłem rzadko w tej okolicy widywaną taksówkę.

– Wolny? – rzuciłem i nie czekając na potwierdzenie, władowałem się do środka.

– Dokąd jedziemy? – spytał szofer.

Wstydzilem się podać własny adres na sąsiedniej ulicy i jedyne co przyszło mi do głowy to pojechać na Grochów. Wysiadłem przy placu Szembeka. Sto metrów od domu Marty. Druga z budek telefonicznych przypadkowo była czynna. Wykręciłem numer, mając nadzieję, że odbierze dziewczyna, a nie jej matka. Jak zwykle Martusia okazała się najszybsza.

– To ja – powiedziałem, układając w myślach treść swego wyznania.

– Stało się coś?

Przełknąłem ślinę.

- Jeśli za coś takiego uznasz potrzebę zadzwonienia do ciebie, to tak.
- Wiem! – wykrzyknęła radośnie. – Powiedziałeś o nas twojej żonie?!
- Nie, nie – westchnąłem ciężko. – Mam do ciebie inną sprawę, otóż...

Z moimi plecami rozległ się dzwonek tramwaju.

- Skąd dzwonicz?
- Poszedłem do kiosku przy Trasie kupić fajki.
- Oszukujesz, słyszę tramwaj, a Trasą Łazienkowską chyba raczej nie jeżdżą tramwaje.
- No dobrze, jestem sto metrów od twojego domu... Wyjdiesz?
- Za ciebie. Natychmiast...
- Myślę o wyjściu z domu...

W słuchawce rozległ się jakiś hałas, nieśmiałe słowa protestu i nagle dobiegł do mnie stanowczy głos jej matki skierowany wprost do mnie.

- Martusia nigdzie nie wyjdzie po nocy. To nie jest czas na spacer.

Słuchawka została odłożona i zaległa cisza.

O dziwo odczułem ulgę. Byłem gotowy wyznać prawdę. Ale nie do końca. A przecież gdybyśmy się spotkali teraz, w moim stanie umysłu, po alkoholu, Marta wyciągnęła by ze mnie wszystko...

Kolejną taksówką wróciłem do domu. Wysiadając, rozglądałem się pilnie za prześladowającym mnie obszarpancem. Uliczka jednak była cicha i senna. Tylko deszcz bębnił po dachach i ciurkał z rynien.

* * *

Tylko sen mógł mi pomóc tej nocy. Liczyłem na kolejne spotkanie z moją matką. Tyle rzeczy mogło się wyjaśnić, a przy okazji oderwałbym się od terażniejszych kłopotów. Jednak przyśnił mi się jedynie Artur. Młodszy o parę lat, z sumiastym wąsem i włosami do ramion. Jednak, mimo że Artur wyglądał zupełnie jak w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy razem wybraliśmy się na wczasy do bułgarskiego Sozopola, to dysponował całkiem współczesną świadomością, tak jakby dokładnie śledził romans z Martą, który zaczął się, jakby nie było, już po jego śmierci.

- I jak to się ma do pańskich poglądów na temat etyki, paaaaanie profesorze? – pytał, zaciągając się papierosem. – Rozumiem, że wyjdzie pan z tego jak przystało na człowieka honoru.
- W łeb sobie mam strzelić, czy jak?

– Strzelić to sobie nie strzelisz, bo nie masz pozwolenia na broń. Na razie szukasz jakiegoś kompromisowego rozwiązania. Zadaję sobie sprawę z twojego położenia, chciałoby się zjeść jajko i mieć jajko. Ale tak się nie da.

– Przestań moralizować! Naprawdę mam kłopot.

– Przejściowy! Doskonale znam ciebie i wiem jak postąpisz?

– Jak?

– Kunktatorsko! Będiesz trzymał ciężę żony w tajemnicy przed Martą tak długo jak się da, korzystał z jej młodego ciała i duszy. A potem powiesz: „Sorry, głupio wyszło, good bye!”

– Wykluczone!

– Nie zaprzeczaj, wiem, że tak kombinujesz. Mam tylko jedno pytanie, paaanie profesorze. Jak to pogodzić z twoją wiarą w Boga? Ja stary ateusz ostatecznie mógłbym tak rozumować, ale ty... przynajmniej od wyboru papieża nawrócony katechumen. „Zaprawdę powiadam wam, jeśli skrzywdzicie któreś z tych najmniejszych...”

– Wynocha z mojego snu!

Posłuchał i zniknął. A może nie zniknął, tylko budząc się, nie pamiętałem dalszego ciągu naszej rozmowy.

W każdym razie wstałem z silnym postanowieniem poprawy. Muszę po męsku wyznać Marcie prawdę. Będzie bolało, trudno, ale przynajmniej postąpię uczciwie i dam dziewczynie wybór. Zgodzi się pozostać nadal moją kochanką – dobrze, odejdzie – jakoś sobie poradzę... „Tak zrobię, oczywiście tak!”. Ale im dłużej trwał dzień, tym planowany scenariusz rozmowy z wiolonczelistką ulegał modyfikacjom, a moje stanowisko stawało się bardziej „stonowane”. No bo czy miałem prawo wywalić kawę na ławę tak bez przygotowania? Przecież to będzie dla niej cios. I właściwie, z jakiego powodu miałem martwić ją już teraz? Przez te osiem miesięcy jeszcze się tyle może zdążyć. Grażyna już raz poroniła, poza tym zawsze istnieje szansa, że to Marta się w kimś zakocha... I pierwsza mnie rzuci. Poczekajmy!

Kiedy wieczorem spotkaliśmy się w kinie, ani słowem nie poruszyłem kłopotliwego tematu. Tym bardziej, że miałem dla Martusi dobrą wiadomość. Adamski zaprosił nas do siebie na małe party, które organizował w swym mieszkaniu przy ulicy Lazurowej. Rysiek był tolerancyjny. Od pewnego czasu wiedział o mojej pozamałżeńskiej przygodzie i odnosił się do niej z pełnym zrozumieniem. Co więcej dawał do zrozumienia, że moglibyśmy u niego zanoć.

– Oddam wam własną sypialnię.

Dla bezdomnych zakochanych, była to propozycja-marzenie.

Następny dzień, mimo że listopadowo krótki dłużył mi się nieładnie. Zupełnie nie mogłem skupić się na lekcjach i miałem potężne kłopoty z opanowaniem niesfornej klasy. Chrzańć to! Żonie, która

odwiozła mnie na Dworzec Wschodni, oświadczyłem, że muszę wyjechać na spotkanie Krajowej Sekcji Oświaty i Szkolnictwa Wyższego do Radomia. Miałem tam wystąpić jako ekspert. Brzmiało to całkiem wiarygodnie, sam bym uwierzył. Pożegnawszy Grażynę, która zawróciła na pętli kończącej ulicę Lubelską i pojechała do domu, przeszedłem tunelem pod peronami i w hali kasowej po drugiej stronie spotkałem się z Martą. Razem pobiegliśmy na przystanek tramwajowy. Okazało się, że party przy Lazurowej ograniczy się do czterech osób. Z Ryśkiem była jeszcze jakaś dziewczyna, niezbyt ładna, ale z wielkim sercem do seksu. Toteż szybko rozpiliśmy niecałe pół litra i wszyscy udaliśmy się do pokoi na zajęcia w podgrupach.

Co by nie mówić – życie może być piękne! Zwłaszcza, jeśli nie traktować go zbyt poważnie.

* * *

Tym razem obraz był najwyższej jakości. Jak na panoramicznym amerykańskim filmie w kinie Moskwa – właśnie zapowiadają tam *Czas Apokalipsy* Copoli (muszę się wybrać!).

Kolumnada Pałacu Saskiego lśniła w pełnym słońcu, za filarami prześwitywała świeża zieleń ogrodu, po błękitnym, jakby świeżo wypranym niebie szybowało stado gołębi. Moja mama przecięła energicznie Adolf Hitler Platz. Zamierzała chyba minąć Hotel Europejski, kiedy jakiś impuls kazał jej skręcić do cukierni Lourse'a. Ciekawe, nigdy nie przepadała za słodyczami. I wtedy zobaczyła znajome odbicie w lustrzanej szybie. Przeszył ją mocny, elektryzujący wstrząs, ale nie był to dreszcz strachu. Nawet gdyby chłopak się odwrócił, nie miał prawa jej poznać. Była teraz brunetką, krótko obciętą na „chłopczycę”, w dodatku w okularach. „Hektor” zmienił się mniej, choć przez ten rok znacznie wydorósł, zapuścił też płowy wąsik. Kobieta, która mu towarzyszyła musiała być od niego starsza o całą generację. Wyglądała na matkę i jak się okazało była nią. Do Róży dobiegła końcówka rozmowy.

– Tylko nie wracaj za późno, synku.

– Spokojnie, mamó, znajdę się w domu dobrze przed godziną policyjną.

Nie zwracając uwagi na obserwującą ich dziewczynę, wyszli z lokalu. Moja mama, sama nie wiedząc dlaczego, poszła za nimi. Po paru krokach amatorzy słodczy rozdziłili się, „Hektor” ruszył w stronę Starego Miasta, jego rodzicielka skręciła w przeciwnym kierunku. Rozterka Róży trwała krótko. Poszła za matką. Nadal nieświadoma dlaczego to robi? Cóż za niekonsekwencja! Swego czasu skłamała partyjnym towarzyszom, opisując rysopisy „brygady fryzjerskiej”, a teraz śledziła matkę jednego z młodych żołnierzy AK. Kobieta tymczasem, nieświadoma „ogona”, szła nieśpiesznie, oglądając witryny. Minęła „dom bez kantów”, uniwersytet, przeszła na drugą stronę przy kościele św. Krzyża, by skręcić w ulicę Kopernika, tuż obok opatrzonego niemiecką tablicą pomnika genialnego astronoma. Najwyraźniej zmierzała prosto do domu, bo w małym sklepiku na rogu dokonała skromnych zakupów, po czym weszła w bramę jednej z secesyjnych kamienic położonej w głębi zaułka. Róża wślizgnęła się za nią. Zdążyła zauważyć, jak ta znika w prawej klatce. „Narcyza” odczekała krótką chwilę i uchyliła następnie drzwi. Matka „Hektora” stąpała energicznie, a jej kroki rozbrzmiewały donośnie na schodach. Róża liczyła stopnie i podesty. Na trzecim piętrze zabrzączały klucze i zazgrzytał zamek. Potem trzasnęły drzwi. Policzyła do dziesięciu

i sama wbiegła na górę. Na klatce znajdowały się wejścia do trzech mieszkań. Dr Szymański, A i G. Herbutowie, Jan Kamieniecki... Lokal od frontu. Postanowiła spróbować właśnie w tych trzecich drzwiach. Intuicja podpowiadała jej, że pseudonim blondyna może mieć coś wspólnego z sienkiewiczowskim Panem Wołodyjowskim – hektorem Kamienieckim. Nacisnęła dzwonek. Trafiła! W drzwiach pojawiła się matka młodego konspiratora.

– Proszę? – zapytała, mierząc dziewczynę przenikliwym wzrokiem.

– Czy to może pani własność? – Róża wyciągnęła skórkową portmonetkę. – Leżała na schodach.

Surowe oblicze „matki Polki” złagodniało.

– Nie dziecinko, widocznie ten woreczek musiał zgubić ktoś inny.

– A to przepraszam, popytam obok...

Chciała odejść, pani Kamieniecka jednak nie kwapiła się z zamykaniem drzwi.

– Nigdy cię dotąd nie widziałam, mieszkasz w naszym domu? – dopytywała się, lustrując dziewczynę wzrokiem.

– Nie, nie... Ja... – na moment ogarnęła ją panika, ale w mgnieniu oka przypomniała się jej tabliczka na sąsiednich drzwiach. – Ja... ja do doktora Szymańskiego.

– Przecież doktor nie żyje od dwóch lat.

– Widocznie mojej babci znów się coś pomyliło – powiedziała, nie tracąc rezonu. – Przepraszam i do widzenia! – odwróciła się na pięcie i zbiegła ze schodów, zastanawiając się po drodze, jaki właściwie miała cel, pragnąc się dowiedzieć tego adresu.

* * *

Ostatniej listopadowej niedzieli, dwudziestego dziewiątego, wiedziony nie do końca uświadomianym impulsem wybrałem się na spacer po Warszawie. Zapewne miał w tym swój udział nękający mnie od paru dni ból głowy i łamanie w kościach. Ponieważ Grażyna wzięła wóz i pojechała z Basią do teścia, do centrum musiałem dotrzeć miejskimi środkami komunikacji. Dalej postanowiłem poruszać się pieszo, chociaż nie był to najlepszy czas na spacer. Pogoda wietrzna, od czasu do czasu mżyło, co sprawiało, że miasto wydawało się jeszcze bardziej smutne, brudne, wyciszone i okropnie socjalistyczne. Mijając cerkiew, kościół świętego Floriana czy bibliotekę stanisławowską nie potrafiłem nie konfrontować aktualnego obrazu miasta ze wspomnieniem Warszawy z lipca 1944 roku, które zdawało się jak mgiełka unosić ponad dzisiejszą rzeczywistością. Ież przypominało mi się detali, jak doskonale pamiętałem emocje warszawiaków tamtych dni, kiedy oczekiwanie na wyzwolenie, na koniec okupacji, sprzęgało się z wewnętrznym napięciem rosnącym z godziny na godzinę. Nawet ci, którzy przekonani byli, że Warszawa jako „miasto otwarte” nie stanie się terenem walk, przeczuwali, że coś ważnego się zdarzy, lada dzień, może tydzień.

Tramwaj dowiózł mnie pod Stare Miasto, schodami ruchomymi wjechałem na plac Zamkowy i ze

schodków pod gmachem Związku Literatów Polskich dłuższą chwilę obserwowałem trasę W-Z. Potem przymknąłem oczy. Udało się! Zrazu niewyraźnie, potem wcale ostro ukazał mi się Nowy Zjazd i kratownica mostu Kierbedzia niemożliwie zatłoczonego samochodami. W jedną stronę. Cały ruch szedł od wschodu. Ewakuacja wyraźnie przybrała charakter ucieczki. Dotychczasowy niemiecki *ordnung* pograżał się w bałaganie. Nic dziwnego. Według wiadomości podawanych przez BBC po przełamaniu linii Bugu, oddziały sowieckie (i podobno Polskie) parły na Warszawę. Niektórzy mówili, że czołgi sowieckie są o parę godzin od Pragi.

„Wieją!”, „To już koniec!” – takie przeświadczenie odczytywałem z wyrazu twarzy mijających mnie przechodniów. Nikt nie miał pojęcia, że w następnych dniach chaos zostanie opanowany, a przygotowania niemieckie do obrony stężeją. „Data, jaka może być data?” – pomyślałem z naciskiem. Świadomość mojej matki odpowiedziała mi – dwudziestego szóstego lipca...

Ktoś bardzo się śpieszący potrafił mnie, omal nie przewrócić. Odzyskując równowagę, oparłem się o latarnię. Wróciła teraźniejszość. Za to w głowie huczało mi od pytań? Co moja matka robiła w środku dnia przy placu Zamkowym? Dlaczego nie była w pracy? Skąd i dokąd szła? Z Miodowej? A może odwiedziła na Piwnej „Ignaca” (na moment zamajaczyła mi wąska dziupla stanowiąca mieszkanie młodego łącznika). Tylko co zamierzała zrobić dalej? Znow przymknąłem oczy i czekałem na powrót obrazu. Nie wracał. Nic! Żadnych wspomnień. Ani z 1944 roku ani innych. Pomyślałem o obecnej dacie. Dwudziesty dziewiąty listopada! Ciekawe, czy ktokolwiek potrafiłby przenieść się myślami do roku 1830 i popatrzeć na świat oczami jednego z młodych zapaleńców ze Szkoły Podchorążych, którzy listopadowej nocy maszerowali tą ulicą, wołając „Do broni! Do broni!”, a odpowiedzią był jedynie łomot zatrzaskiwanych okiennic. Kwestia nie do rozstrzygnięcia. Ja nie umiałem.

Tymczasem od tych prób łeb rozboleł mnie jeszcze bardziej. Żadnych senności! Kupiłem w kiosku proszek z krzyżykiem, przełknąłem bez popijania i poszedłem wzdłuż Traktu Królewskiego, nie zastanawiając się dokąd mnie to zaprowadzi. Przechodniów spotykałem niewielu. Mickiewicz wśród bezlistnych drzew wyglądał wyjątkowo posępnie. Gmach prezydium Rady Ministrów wyglądał na pozbawiony życia, a w Bristolu trwał remont. Mijając hotel Europejski, raz jeszcze mocno zacisnąłem powieki. Miałem nadzieję, że być może zobaczę moją matkę znowu zaglądającą do cukierni u Lourse’a. Ale żaden miraż się nie pojawił. Poszedłem dalej, w perspektywie uliczki ochrzczonej nazwiskiem komunisty Bagińskiego przesunął mi się fragment placu Zwycięstwa, z kolumnami Grobu Nieznanego Żołnierza. Znow przystanąłem, próbując się skoncentrować. Ale jedyne obrazy z przeszłości jakie przysły mi do głowy, to wspomnienia słynnej papieskiej mszy z 1979 roku („Niech zstąpi Duch Twój!”) i tegorocznego pogrzebu kardynała Wyszyńskiego. Tymczasem nogi same doprowadziły mnie do ulicy Kopernika. Po zaułku, w którym stał dom „Hektora” Kamienieckiego, nie został nawet ślad. Kręcąc się po parkingu przed wielkim gmazyskiem dawnego CRZZ-tu, usiłowałem jakoś zlokalizować przedwojenną kamienicę, ale mi nie szło. Niespodziewanie znow otoczyła mnie mgiełka („dobrze, dobrze!”), obraz zakołysał się, utracił ostrość i jak na zdjęciu w podczerwieni, zaczął się wydobywać spod niego inny, dawniejszy obraz – widok nasłonecznionego balkonu, na którym stał młody chłopak w szortach. Poczuję wielkie zamieszanie w myślach mojej matki. A więc przyszła tu także... Co ją tu przyciągnęło? „Hektor”? Byłaby aż tak głupia?

Klakson i okrzyk: „Uważaj, baranie!” przywróciły mnie do rzeczywistości. Niewiele brakowało! Stałem w środku potoku aut, a jakaś stara wołga zahamowała centymetr ode mnie. Przeprosiłem kierowcę i zszedłem na trotuar. Wybity ze wspomnień wróciłem na Krakowskie Przedmieście, potem wszedłem w ulicę Traugutta. Dałem w prawo przy Zachęcie, potem w lewo w burą Królewską. Nie zastanawiałem się dlaczego tak idę? Nawet nie próbowałem. Założyłem, że bezwiednie postępuję śladami matki, która trzydzieści siedem lat wcześniej właśnie tędy wracała do pracy po wizycie koło domu „Hektora”. Czy chciała mi w ten sposób coś przekazać?

Dochodząc do Marszałkowskiej, w momencie kiedy minąłem niski budynek „Orbisu” i ponad handlowymi pawilonami ukazała się charakterystyczna neorenesansowa wieżyca wzniesiona jeszcze przed I wojną światową dla towarzystwa Cedergren, od roku 1922 będąca siedziba polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, zorientowałem się, że matka tego dnia nie poszła do pracy. A w każdym razie nie weszła do budynku. A może nastąpił jakiś przeskok w czasie? I działo się to zupełnie innego dnia? Szukając jakiegoś impulsu, postąpiłem chwilę przed PAST-ą. Nic! Zapuściłem się w ulicę Bagno, ale uszedłem tylko niewielki kawałek w kierunku placu Grzybowskiego, gdy coś podpowiedziało mi, że nie tędy droga. Zawróciłem i skręciwszy w prawo, przeciąłem ruchliwą Świętokrzyską. Ciągle nic. Idąc skrajem palcu Defilad, przysiadłem dwukrotnie na ławkach, w oczekiwaniu na jakąś iluminację. Bez skutku. Widać nie ja decydowałem kiedy nastąpi kontakt. Mimo to, nadal nie opuszczało mnie przeświadczenie, że nadal jakaś siła kieruje moimi krokami i chce żebym tu był, i właśnie tędy szedł. Zdecydowałem się poddać tej sile. Wrażenie presji wzmoгло się, kiedy minąłem trybunę honorową na osi pałacu imienia Józefa Stalina. Szedłem dziwnym wężykiem tak jakbym meandrował wśród przedwojennej gmatwaniny uliczek, podwórek i przejściowych bram. Puls mi lekko przyśpieszył, a przeświadczenie, że mój spacer ma jakiś cel jeszcze się wzmoгло. Dlatego, mimo że ziąb był jak cholera, odtrąciłem pokusę skierowania się ku przystankowi autobusowemu w Alejach Jerozolimskich. Dziarskim krokiem minąłem Hotel Metropol, potem idąc jak po niewidzialnej nitce, skręciłem w lewo i znalazłem się na Poznańskiej. Jednej z niewielu ulic warszawskich zachowujących miejscami przedwojenny charakter. Nogi same mnie niosły, coraz szybciej, wreszcie pchnięty niewidzialną ręką wszedłem w jedno z zapuszczonych podwórek. I tu mnie wreszcie dopadło...

Róża z zadartą głową stała po środku dziedzińca, rozglądając się po oknach. Opodal dwie babiny modliły się przed figurą Matki Boskiej. „Ojczyznę wolną pobłogosław panie” – powtórzyłem bezwiednie za swą matką. Usiłując zlokalizować ten moment w czasie, znalazłem w jej świadomości wspomnienie komunikatu, który przed chwilą nadały uliczne szczekaczki: *Cała ludność Warszawy, bez względu na płeć, w wieku od siedemnastu do sześćdziesięciu pięciu lat ma stawić się jutro, dwudziestego ósmego lipca, w piątek, o godzinie ósmej rano na roboty fortyfikacyjne. Spośród ludności wybranych zostanie sto tysięcy osób, które zostaną zatrudnione przy kopaniu okopów.*

„Zatem musiał być dwudziesty siódmy – pomyślałem. – Za cztery dni Warszawę ogarnie powstanie”. Oczywiście moja matka nie miała o tym pojęcia. Ale czy nie było to dla niej lepsze? Przeszła pierwsze podwórko, potem drugie i zanurkowała w klatkę schodową najdalszej oficyny, a potem wyszczerbionymi przez czas stopniami wbiegła na ostatnie piętro. Zastukała w umówiony sposób.

– Znowu się widzimy, „Narcyzo” – powiedział jeden z trzech mężczyzn oczekujących w

dwupokojowym, zapuszczonym mieszkaniu. Od razu rozpoznała towarzysza „Wiesława”. Od ich ostatniego spotkania zmienił się niewiele, może tylko trochę bardziej wyłysiał. – Bardzo się cieszę, że przeżyłaś te wszystkie lata! I że nadal jesteś bardzo piękna – stwierdził i cmoknął ją w policzek. Zbyt ślisko, żeby uznać to za objaw czysto ojcowskich uczuć.

– To dobra towarzyszka – zwrócił się do pozostałych. – Zaczynała jeszcze pod okiem „Profesora”.

Pseudonim Delkacza nie był dla pozostałych komunistów obcy, bo podając jej rękę, okazywali coś w rodzaju wzmożonego szacunku.

– Fama niesie, że perfekcyjnie znasz niemiecki – kontynuował Gomułka, zapraszając ją by usiadła.

– Radzę sobie jakoś, towarzyszu „Wiesławie”...

– W takim razie powiedz, co myślisz o tym? Szczerze!

Wręczył jej ulotkę do niemieckich żołnierzy z tekstem o końcu wojny, wzywającą do dezercji i obiecującą bezkarność w wypadku przejścia na stronę Armii Czerwonej.

– Merytorycznie słuszna – powiedziała odważnie – ale wykonanie fatalne, w związku z tym może wywoływać skutki odwrotne od zamierzonych. – Tu wskazała pięć poważnych błędów gramatycznych i ortograficznych, a także wytknęła zwroty będące zbyt czytelną kalką z języka rosyjskiego.

– Widzicie – „Wiesław” potoczył triumfalnym wzrokiem po współtowarzyszach – oto właściwa osoba!

Aby dowiedzieć się na czym owa właściwość ma polegać musiała odczekać ponad pół godziny. Mężczyźni powrócili do rozmowy przerwanej jej przybyciem, i choć nie krępowali się obecnością dziewczyny, Róży trudno było zorientować się czego dyskusja dotyczy. Mówili coś o nowym polskim rządzie, powstałym poza linią frontu, a „Wiesław” odrzucił supozycję towarzysza posługującego się pseudonimem „Olek” (wedle mojej orientacji był to Aleksander Kowalski), żeby kierownictwo udało się na tereny wyzwolone. Parę razy padały zdania na temat szybkiego przejęcia miasta i zabezpieczenia mostów przed wysadzeniem, ale Gomułka zauważył, że ciągle istnieje dysproporcja sił.

– Powiedzmy sobie otwarcie, londyńczycy mają w mieście dziesięć razy więcej ludzi niż my – rzekł.

– Proporcje mogą ulec zmianie – zauważył „Olek”.

– Ile mamy informacji na temat „Burzy”? – zapytał trzeci, którego sposób mówienia zdradzał wschodnie pochodzenie.

– Około 30 procent. Ale ciągle spływają nowe – rzekł Kowalski. – Były pogłoski, że wszystko miało się zacząć już dziś, teraz niektórzy oczekują, że jutro. Moim zdaniem do wystąpienia dojdzie za jakieś trzy dni. W każdym razie jeśli decyzja na temat godziny „W” zapadnie, dowiemy się o niej

najdalej w ciągu godziny.

– Czyli cały materiał powinien być przetłumaczony wcześniej – podsumował Gomułka. – „Narcyza” powinna zabrać się do roboty od zaraz.

– Bezwzględnie, tylko za żadne skarby ta wiadomość nie może wyciec na zewnątrz – niepokoił się „Olek”.

– I nie wycieknie – powiedział kresowiak. Zadbamy, żeby naszemu kwiatuszkowi nikt nie przeszkadzał w pracy.

Wstali, „Olek” podszedł do okna i uchyliwszy zasłony, wyjrzał na podwórko. Oględziny widać wypadły pomyślnie, bo skinął na pozostałych.

– No to do roboty! – „Wiesław” na odchodnym uściśnął Kupidłowską. – Chyba że masz jakieś pytania, śmiało?

Lekko zaskoczona zapytała, co będzie z jej pracą w telefonach. Zgodnie z poleceniem partii wzięła tylko jeden dzień wolny, ale jutro powinna być na stanowisku. Poza tym, co miało się stać z jej mieszkaniem i z rzeczami osobistymi?

– Pomyśleliśmy o wszystkim – uspokoił ją „Olek”. – nasi ludzie zadbają, żeby wszystko było jak należy i nikt nie przeszkadzał wam w pracy.

Zastukał w odrapane drzwi. Z sąsiedniego pokoju wyszedł „Chudy Gienek”.

– Znowu będziemy razem pracować – powiedział wesoło do dziewczyny zaskoczonej jego widokiem. – Znaczący ty będziesz pracować, a ja będę cię chronić! – poprawił się.

– Jak ja mam to rozumieć?

– Dosłownie. Dla dobra sprawy przez najbliższe dni nie będziesz opuszczała mieszkania, chyba że pojawią się inne rozkazy.

Przedstawiciele kierownictwa pożegnali się i wyszli, pozostawiając na stole papiery i maszynę do pisania z niemiecką czcionką. Pięć minut później w lokalu pojawił się chłopak, najwyżej osiemnastoletni, o bezczelnej twarzy warszawskiego cwaniaka.

– Daj mu swoje klucze – powiedział Eugeniusz do Róży. – Felek dostarczy wszystko, co potrzebne, a jeśli jeszcze czegoś ci do szczęścia brakuje, ukradnie.

Zaśmiali się obaj, a młodzik uważnie przejechał wzrokiem po Róży i oblizał się, jakby miał przed sobą pyszne ciasteczko. Gienek zauważył ten gest.

– Nie dla psa kiełbasa, Feluś! Towarzyszka „Narcyza” jest niezwykle wybredna jeśli idzie o mężczyzn! – mruknął.

Małolat tylko wyszczerzył zdrowe wilcze zęby.

* * *

Otworzyłem oczy i zorientowałem się, że kompletnie przemoczony siedzę na kamieniu opodal kapliczki, na starym podwórku przy Poznańskiej. Serce łomotało mi jak machina parowa. Zanim oprzytomniałem, zdążyłem w wyobraźni pogrubić rysy Felusia, dopompować nieco tłuszczu w policzki i podbródek, przerzedzić czuprynę, dodać oczom więcej bezwzględnej zimna. Już wiedziałem, kim jest dzisiaj Felek Macaj! I ogarnął mnie strach. Większy niż kiedykolwiek dotychczas.

Tymczasem jakiś cień mignął w bramie między podwórkami. Wysoki, zwinny. Nie zdołałem dokładnie go obejrzeć. Wstałem, chcąc pobiec za nim, ale zakręciło mi się w głowie tak, że musiałem oprzeć się o ścianę, na której zachowały się ślady pocisków, wystrzelonych dawno temu. Począpiałem ku ulicy. Nikogo. Trotuar w obu kierunkach świecił pustkami, w odległej perspektywie majaczyła jakaś staruszka, z drugiej strony para nastolatków. Nikogo nie było w samochodach zaparkowanych w sąsiedztwie. A jednak nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że znów jestem obserwowany, i tym kimś jest rosły włóczęga, który już dwa razy napędził mi stracha. Co gorsza, byłem chyba w naprawdę kiepskim stanie.

Choroba powaliła mnie z siłą tsunami. Wieczorem dostałem czterdziestu stopni gorączki. Dla takiego hipochondryka jak ja był to stan terminalny. W takich sytuacjach żona przydaje się jak nigdy. Grażyna stanęła na wysokości zadania – przekazała małą teściowej, wezwała doktora Żaboklickiego, pobiegła do apteki.

– Ostra grypa i zapalenia oskrzeli – zawyrokował lekarz, a przynajmniej tyle do mnie dotarło. Falując pomiędzy gorączką a dreszczami, jawą i snem, przebywałem w dwóch epokach na raz, spiętych wspólnym mianownikiem – skurwysynem, który u zarania swej kariery nazywał się Feliks Macaj. Rozpoznałem go! Co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. A zarazem znalazłem się o krok od tajemnicy, o której milczeli najwięksi przeciwnicy komuny w Polsce, agentury PPR-owskiej w sztabie Armii Krajowej. Pytania, co miałem z tym zrobić? I kto by mi uwierzył? Nie miałem przecież najmniejszych dowodów. Grażyna opowiadała mi, że plotłem w malignie rozmaite bzdury, czasem mówiłem jak kobieta, wyrzucałem z siebie jakieś nazwiska, adresy, telefony...

Poza ścianami mojego pokoju Polska z dnia na dzień pogrążała się w podobnym stanie jak ja – gorączki, dygotu, lęku. W chwilach, kiedy byłem na tyle przytomny aby na łotewskim radiu Spidola łapać Wolną Europę dowiadywałem się, że wszystko idzie w stronę czołowego zderzenia. W całym kraju wrzało, nastrój załóg robotniczych udzielił się szkołom wyższym, a od paru dni trwał strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa na Żoliborzu. Jej rektor ogłosił rozwiązanie uczelni, milicja otoczyła gmach.

– Mamy do czynienia z testem, kto kogo – łapałem na wpół świadomie słowa Adamskiego, który odwiedził mnie z torbą pomarańczy. – Jeśli strażaki ugną się przed siłą, władza będzie wiedziała, co robić dalej.

– A jeśli się nie ugną?

– Kto to wie. Może jeszcze raz dojdzie do pertraktacji.

Moja mama, uwięziona w lokalu na Poznańskiej, też żyła w mieście ogarniętym gorączką, choć chyba nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Pod czujnym okiem Podlaskiego pracowała jak automat. Raz albo nawet dwa razy dziennie pojawiał się łącznik z tekstami. Róża tłumaczyła je, następnie jeszcze dokonywała korekty przekładu. Polskie egzemplarze zabierali kolejni łącznicy, a niemieckie wersje Gienek chował pieczołowicie do skrytki w piecu. Dłuższy czas nie mogła pojąć, czemu właściwie ma służyć jej robota? Tasiemcowe kolumny zestawień sprzętu wojskowego, adresy rozmaitych miejsc, z krótkim odnośnikiem „magazyn”, „punkty koncentracji”, „schronienia zapasowe”. Te wszystkie terminy, dyslokacja, ewakuacja, drugi rzut, rezerwa uderzeniowa? Materiały wyglądały jak sprawozdania z przeprowadzonych akcji. Przeprowadzonych albo właśnie przygotowywanych. „Ratusz, koszary, dworzec, elektrownia, przeprawy mostowe”... Ktokolwiek chciał marzyć o ataku na te wszystkie punkty, musiałby dysponować wielokrotnie większą siłą niż Armia Ludowa. Czyżby więc były to plany konkurencyjnej Armii Krajowej? Ale w takim razie skąd się u nich wzięły? Pod pozorem drobnych niejasności w tekście zwróciła się do Eugeniusza.

– Jak to „nic z tego nie rozumiesz”? – mruknął. Choć niewykształcony, głupi nie był. – Przecież wszystko jest jasne. Ludzie Mikołajczyka planują przejęcie władzy w Warszawie i rozbicie szkół. Jak w Wilnie...

– Acha, i zwrócili się do nas z propozycją współdziałania? – mama konsekwentnie postanowiła grać idiotkę.

– Do nas? Coś ty głupia? Przecież nienawidzą nas bardziej niż Niemców!

– Skąd więc są te dokumenty?

Zrobił tajemniczą minę.

– Jesteśmy wszędzie, nawet w ichniejszej Komendzie Głównej!

Przyjęła tłumaczenie za dobrą monetę, jednak po kwadransie znowu zapytała.

– Ale w jakim celu ja to wszystko tłumaczę na niemiecki?

Na moment wydawał się stropiony, ale po krótkim namyśle chyba przypomniał sobie, że został przygotowywany na podobne dictum.

– Współdziałamy z potężną antyfaszystowską komórką ruchu oporu wśród Niemców. Jeśli dojdzie do wybuchu, muszą wiedzieć skąd nastąpią uderzenia i jak z nimi współdziałać.

– Acha, a my będziemy walczyć razem z londyńczykami?

– Ma się rozumieć! Jak Polak z Polakiem.

Nie pytała o nic więcej, ale w głowie jej pojaśniało. Choć była to raczej pomroczość jasna. Gdyby nie wiedziała o praktyce wydawania Polaków z patriotycznego podziemia w ręce Gestapo, nie znała donosów w sprawie AK-owskich drukarni, może uwierzyłaby nawet w niemiecki, antyfaszystowski ruch oporu, choć jako żywo nie spotkała się z czymś takim. Stary komunista Wolff był wyjątkiem, zresztą nie do końca, współdziałając z PPR-em umiejętnie łączył konspirację ze swoimi interesami. Z paru wzmianek, które od niego usłyszała, wyciągnęła wnioski, że działał w ruchu robotniczym jeszcze przed wojną, a w miodowych miesiącach po pakcie Ribentropp-Mołotow kręcił z Rosjanami rozmaite geszefty.

A więc o co szła gra? Prostota konkluzja po prostu ją poraziła – w Warszawie Armia Krajowa przygotowywała szeroko zakrojone powstanie, ona zaś tłumaczyła dokumenty, które mogły je uniemożliwić... Znając dobrze cele i metody działania PPR-u, nie miała wątpliwości, że się nie zawahają wepchnąć kij w tryby. Tłumaczenie na niemiecki wyjaśniało kim zechcą się posłużyć. Z wrażenia dostała gwałtownych mdłości.

– Musiałam się czymś struć – zwierzyła się swemu cerberowi, wychodząc z łazienki.

Na szczęście jeszcze pierwszego dnia jej pobytu na Poznańskiej, Macaj przywiózł riksę

większość jej szczupłego dobytku, w tym parę książek, dwie butelki z domową nalewką i świetnie zaopatrzoną apteczkę, na której zależało jej szczególnie. Krople żołądkowe trochę jej pomogły. Przestraszony jej stanem Gienek zaproponował, żeby na jakiś czas dała sobie spokój z tłumaczeniem i się położyła. Posłuchała. Ale czy sen mógł cokolwiek pomóc? Nigdy jeszcze nie była tak przerażona, a jednocześnie tak bezradna.

* * *

Niekiedy moja imaginacja wędrowała jeszcze gdzie indziej. Zamiast być tu i teraz, albo razem z moją matką siedzieć na Poznańskiej, odnajdywałem się na przykład w latach sześćdziesiątych na obozie harcerskim w mazurskiej głuszy. Pachniała sosnowa żywica, żar szedł od nagrzanego brezentu, a ja tarmosiłem na pryczy opaloną harcerkę (Daniela jej było, a może Ala). Całowałem jej wydatne, jakby opuchnięte usta, macałem chaotycznie piersi ukryte pod mundurową bluzą.

– Co ty robisz, co ty robisz? – powtarzała zdyszana, rozpalona, uległa. Nie zauważyliśmy nawet jak do namiotu wszedł wizytujący akurat zgrupowanie Minister Obrony Narodowej Marian Spychalski. Ten incydent zdarzył mi się naprawdę. Sen jednak rozwinął się w nieoczekiwanym kierunku. Za generałem pojawiła się jego świta, hufcowy, komendant obozu, a ja wcale nie zerwałem się z łóżka.

– Zdrowa dupa! – powiedział z uznaniem towarzysz „Marek”. – Zerznij ją chłopcze a dobrze. Należy się jej to. Młoda jest! Jak wasza matka! Do ataku!

– Rozkaz, towarzyszu „Marku”. Ku chwale Ojczyzny! – zawołałem.

Ani ja, ani on nie wydawaliśmy się zdziwieni naszą wymianą zdań. Również dziewczyna (Daniela, Ala, może Małgosia) ochoczo rozpiniała szary mundurek. Majtek regulaminowo nie nosiła. Wiedziałem, że to sen i w dodatku niezgodny z faktami! Cnotę stracę dopiero za parę lat! Ale chrzanić anachronizmy! Bez najmniejszego wstydu rznąłem szesnastoletnią harcerkę ze sprawnością pułkowego jebaki, a przyszły marszałek Polski siedział półdupkiem na skraju pryczy, walił konia i podśpiewywał: „Bolszewika goń, goń, goń!”.

„Ratunku! Doktor Górski, ja chcę do Tworek!” – wrzasnąłem, budząc moją żonę, która przysnęła na fotelu obok łóżka.

* * *

Trzydziesty pierwszy lipca był czwartym dniem pobytu mojej mamy na Poznańskiej. Zamiast translatorskiej dłubaniny – nowych tekstów pojawiło się niewiele – długie godziny wypełniało głównie oczekiwanie. Huk dział dochodzący od wschodniego przedpoła stawał się coraz bliższy. Koło południa zajrzał „Ignac” z najświeższymi informacjami. Podniecony opowiadał jej i Gienkowi, że Rosjanie znaleźli się rzut beretem od Warszawy. Szpica Armii Czerwonej zajęła Otwock i doszła do Falenicy Niemcy ewakuowali Mińsk Mazowiecki i Wołomin. Łącznik z pewnością nie konfabulował, dwa dni wcześniej towarzyszył jako jeden z ludzi obstawy delegacji PPR-u, która w Świdrze miała spotkać się z wysłannikami Rządu Lubelskiego i wspólnie zdecydować „szto diełać?”. Po dostarczeniu „Wiesława” i „Logi” na umówione miejsce, „Ignac” zawrócił do miasta,

jednak następnego dnia, po południu, kiedy wracał po nich, w Miedzeszynie natknął się na szpice nadchodzących Rosjan. Kierownictwo pozostało za linią frontu.

– I co teraz? – zaniepokoił się „Chudy”.

– Bez nerwów! Czekamy nas decyzję „Olka”.

Czekali więc. Mojej mamie zaświtała nieśmiała nadzieja, że cała jej robota okaże się niepotrzebna, bo miasto zostanie zajęte za parę godzin. Po południu Gienek pierwszy raz na dłuższy czas wypuścił się do miasta, pozostawiając przy swej podopiecznej Felka Macaja. Nie ucieszyło to młodej tłumaczki. Spotkała w swoim życiu wielu ludzi gorszych i lepszych, ale żaden, wliczając w to Mołojca, Gomułkę czy nawet „Jastrzębia”, nie budził w niej tyle odrazy co Felek. Ledwie wyrostek, był już kompletnie zdemoralizowany. Przechwalał się, że od piętnastego roku życia sypiał z kurwami, wspominał też z dumą o paru facetach, których zlikwidował i wyliczał tych, których chętnie załatwi. Wyglądało, że nie ma dla niego żadnych świętości i żadnych ideałów. O marksizmie-leninizmie, wyjąwszy parę komunałów, nie miał najmniejszego pojęcia, chociaż z drugiej strony miał pamięć chłonną jak gąbka i nie ulegało wątpliwości, że jeśli pożyje wystarczająco długo, partia będzie miała z niego pożytek.

Czym się wobec tego kierował? Nie należał do natur skomplikowanych. W konspiracji podobały mu się rozróbka i możliwość zademonstrowania siły. Być może przeczuwał, że w „nowym wspaniałym świecie” będzie wielki popyt na takich osobników jak on. Róża, podejrzewająca jego aspiracje, chętnie opowiedziałaby mu o stalinowskich czystkach, które w pierwszej kolejności dotknęły podobnych mu oprawców z GPU. Ale wyrostek nie miał ochoty na wykłady, pręcej na panią wykładowczynię.

Już po godzinie dyżurowania przy niej zaproponował, żeby pójść do łóżka „skoro nie ma nic lepszego do roboty”, a kiedy Róża zachnęła się ze wstrętem, rzekł tonem zblazowanego czterdziestolatka.

– Znam takie panny obrażalskie! Wszystkie to lubicie! Zwłaszcza jeśli facet robi to dobrze i ma czym! A może chcesz zobaczyć z kim będziesz miała do czynienia? – jego ręce powędrowały niebezpiecznie w stronę paska od spodni.

– Rusz się, a oczy ci wydrapię! – syknęła, zrywając się na równe nogi.

– Nie to nie. Musu nie ma – odrzekł spokojnie. – Jeszcze poprosisz.

I wyszedł do drugiego pokoju, gdzie uwalil się na wyrku. Nie przejmowała się jego zaczepkami, zdawała sobie sprawę, że mimo całej fanfaronady doskonale zna swoje miejsce. I bez rozkazu nie tknie jej nawet palcem. Zresztą myśli mojej matki zaprzętało zupełnie coś innego. Od godziny, udając, że koncentruje się na książce kupionej na bazarze – *Ani z Zielonego z Wzgórza*, obmyślała pewien zuchwały plan. Była gotowa wprowadzić go w życie. Oczywiście jeśli zostanie do niego zmuszona.

Starłem się dość uparcie podążać za jej myślami i mimo że zatrząskiwała je przede mną, na

moment zamajaczyło mi ciemnawe wnętrze apteki Biernackich z charakterystycznym zapachem medykamentów. Dlatego szybko zorientowałem się co zamierza, po co rozpakowuje węzełki ze swym skromnym dobytkiem, sięga do swojej apteczki, ze zmarszczonym czołem wyciąga proszki, mikstury i miesza je.

* * *

Antybiotyki przez dwie doby nie skutkowały. A gorączka nawet jeśli na chwilę spadała, zaraz stromo pięła się do góry.

– Poprosiłam Józwiakową, postawi ci bańki! – oznajmiła Grażyna. – Po tym staniesz na nogi.

– Żadnych baniek – wyjęczałem, ale byłem zbyt słaby, aby skutecznie opierać się zwolenniczkom medycyny tradycyjnej.

Właśnie wróciłem do wyprawy we wczesne dzieciństwo, do krainy dotąd w moich snach nieobecnej. Janisz i Regina (wtedy jeszcze przykładne stadło) wywieźli mnie na jakieś kompletne zadupie – gdzie nie było ani wody, ani gór, a jedyną atrakcją stanowił lasek, rzadki jak czupryna wujka Mirka. Głównym atutem miejscowości miało być, wedle wujostwa, świeże powietrze (bo miejscowi chłopci nie otwierali okien). Ja zapamiętałem swój tamtejszy pobyt z powodu martyrologii kury. Janisz właśnie przy pomocy topora pozbawił ją głowy, a kura nadal biegała po podwórku, jakby licząc, że coś jeszcze uda jej się wychodzić.

– Tak się za dobrych czasów załatwiało reakcję – powiedział wuj, co ciotka skomentowała jakimś egzaltowanym wykrzyknikiem w rodzaju: „Nie przy dziecku!” albo „Miej Boga w sercu!”. Wcześniej zdążyłem polubić tę kurę. W myślach nazwałem ją Klementyną i przez parę następnych lat, w każdym oczku w rosole widziałem odbicie jej smutnego dzioba, rozdygotanych koralii, ale przede wszystkim oczu, w których wciąż błyszczało pytanie „Za co, za co?”.

Nie wiem czy bańki pomogły. Chyba nie zaszkodziły. W każdym razie znowu zapadłem w sen.

* * *

Około ósmej, trzydziestego pierwszego lipca, w lokalu na Poznańskiej pojawił się osobiście sam „Olek”, w stroju fabrycznego robotnika.

– Zdecydowali się! – mruknął do „Chudego” i podał mojej matce plik dokumentów ukrytych w pakunku z jakimiś szmatami. Na samej górze widać było odręczną notatkę:

„Alarm – do rąk własnych! 31 lipca godzina 19.00. Nakazuję godzinę „W” dnia 1 sierpnia, godzina 17.00. Adres miejsca postoju Okręgu Jasna 22 m. 20, czynny od godziny „W”. Otrzymanie rozkazu kwitować X”.

– A zatem to już jutro? – na twarzy Gienka pojawiło się podniecenie. – Pójdziemy z nimi bić Szwaba?

„Olek” zignorował pytanie i zwrócił się do mojej matki.

– Ile czasu zabierze wam przetłumaczenie tego wszystkiego?

Policzyła kartki.

– Przypuszczam, że dwie do trzech godzin.

– Doskonale, bierzcie się od razu do roboty. Potem prześpijcie się, na rano musicie być w formie

– rozwinął przyniesiony pakunek do końca i wydobył zeń jedwabną, letnią sukienkę, której nie powstydziliby się najlepszy krawiec paryski. – Załóżycie to na siebie. I o ósmej rano złożycie wizytę w pałacu Brühla...

– Komu mam złożyć tę wizytę? – z trudem pohamowała drżenie w głosie.

– Gubernatorowi Fischerowi, rzecz jasna. Przedstawicie się jako dobra Niemka, Inga Schultz, której przypadkiem w ręce wpadły te dokumenty. Wspólnie z towarzyszem „Chudym” wymyślicie jakąś prawdopodobną bajeczkę na ten temat.

– Z pewnością zechcą mnie zatrzymać i przesłuchać. Co wtedy?

– Nie sądzę, żeby chcieli. Wystarczy jeden rzut oka na te notatki, a będą mieli naprawdę mnóstwo roboty. Poza tym nawet Niemcy potrafią okazywać wdzięczność. W końcu odwalamy za nich świetną robotę.

– Ale dlaczego ja muszę... znaczy, my musimy...? – nie potrafiła powstrzymać się przed tym pytaniem.

Szef sztabu AL wzruszył ramionami.

– Chcemy zwyciężyć, chcemy zbudować lepszy świat i lepszą Polskę. Jeśli Gestapo sparaliżuje wystąpienie Armii Krajowej, nasze uderzenie na Niemców zaplanowane na następny dzień, dobrze zsynchronizowane z atakiem Armii Czerwonej, zakończy się pełnym sukcesem. Bez zbędnych ofiar. Warszawa będzie wolna. I nasza! Są jakieś pytania?

Zareagowała dopiero po dłuższej chwili:

– A jeśli Niemcy nie uwierzą w powiastkę o znalezionych materiałach, jeśli wezmą mnie na tortury, aby wydusić skąd je mam?

– Pomyślałem i o tym – „Olek” wyciągnął z kieszeni fiolkę i wydobył z niej niedużą pastylkę. – Miejcie to ze sobą na wszelki wypadek. W najgorszym razie rozgryzicie. Kres będzie szybki, praktycznie bezbolesny. Teraz wasze zadanie – zwrócił się do „Chudego”. – Zadbacie, żeby towarzyszka „Narcyza” bezpiecznie dotarła do celu.

– Jasne!

– No to życzę wam powodzenia, towarzysze – uśmiechnął się szeroko. Pojutrze, najdalej za tydzień znajdziemy się w Polskiej Republice Rad.

* * *

Biedna mama. Nie pozostawili jej wyboru. Musiała coś zrobić. Jeśli nawet pisana była jej śmierć, wolała ginąć jak patriotka, a nie jak zdrajczyni. Najchętniej by uciekła, była jednak troskliwie pilnowana przez Podlaskiego. Czuję jak przez moment zastanawiała się nad wykorzystaniem cyjanku. Ale odrzuciła tę myśl. Nie potrafiła zostać morderczynią. Nawet wobec tego, który ją skrzywdził. Wróciła do swego wcześniejszego pomysłu. Kiedy skończyła tłumaczenia zaproponowała Eugeniuszowi wspólną kolację. Na konto zwycięstwa! Do jadłospisu dołączyła nalewkę ze swoich zapasów. Raz się żyje! Gienek nie odmówił. Nigdy za kołnierz nie wylewał. Małolat Felek poszedł gdzieś w cholerę i miał wrócić dopiero rano. To jeszcze ułatwiło jej zadanie. Sama profilaktycznie przygotowała się do całej operacji, tuż przed kolacją wypła trochę oliwy, a kiedy wychyliła razem z Gienkiem szklankę nalewki (samogon z wiśniami i barbituranami dawał interesujące wrażenia smakowe), czym prędzej udała się do ubikacji i wszystko zwróciła. Potem już tylko symbolicznie maczała usta. Modliła się, żeby mieszanka zadziałała.

Senność spłynęła na „Chudego” gdzieś po piętnastu minutach, ledwie dowlekl się do wyrka i padł. Rozebrała go pieczołowicie. Zdjęła buty. Następnie zgasiła światło, odchyliła zasłonę wraz z zaciemniającym kartonem i wyjrzała na podwórko. Pusto! Nie miała jednak pewności, czy nikt nie obserwuje mieszkania i wolała nie ryzykować. Wyszła na korytarz. Już wcześniej zauważyła na jego końcu drabinę prowadzącą na strych. Szczęściem drzwi nie była zamknięte (być może ktoś inny wcześniej zostawił sobie taką drogą ewakuacyjną). Rozglądając się uważnie po poddaszu, znalazła kilkumetrowy, wyglądający solidnie kawał sznura do bielizny, który wpakowała do swojej torby. Chwilę potem natrafiła na mocne ogrodnicze grabki, bez trzonka, które również postanowiła zabrać ze sobą. Zdawała sobie sprawę, że jej koncepcja jest szalona, ale nie miała innego wyjścia. Przez kolejną klapę wydostała się na dach. Noc była ciepła, bezksiężycowa. Przeszła cały kwartał domów, kurczowo trzymając torbę, w której obok liny miała bezcenną przepustkę z centrali telefonicznej zezwalającą na poruszanie się nocą po Warszawie. Wreszcie uznawszy, że oddaliła się już dostatecznie daleko, poczęła szukać sposobu na zejście na ulicę. Dzięki Bogu była zwinna i wysportowana, a rynny solidne, przedwojenne.

O pierwszej w nocy okupowane miasto było prawie wymarłe. Ruch ograniczał się do wozów wojskowego zaopatrzenia, ciągnących Alejami Jerozolimskimi i posterunków na rogach ulic, częstych zwłaszcza przy granicy z dzielnicą niemiecką. W ciągu ostatnich paru dni, kiedy Róża nie chodziła po mieście, sieć ta zgęstniała. Czy był to efekt zbliżania się frontu, czy też hitlerowcy mieli informacje o przygotowywanym powstaniu.

Prócz emocji mojej matki, trudno było mi opanować własne wzruszenie. Zadawałem sobie sprawę, że po raz ostatni oglądam moje miasto w tym kształcie. Rzędy secesyjnych kamienic wokół wąskiej Marszałkowskiej, skrzyżowanie z Alejami Jerozolimskimi, w oddali bryła Dworca Głównego. Usiłowałem sobie wyobrazić w tym miejscu współczesny hotel Forum, rotundę PKO, Ścianę Wschodnią... Nie potrafiłem. Bardzo trudno było mi przyjąć do wiadomości, że jest to ostatnia w miarę normalna noc nadwiślańskiej metropolii. Jej mieszkańcy prędko nie zaznają zwyczajnego snu, jedni zginą, innym pisane będzie piekło obozów, emigracji, rozproszenia... Nic nie

będzie już takie jak wcześniej. Szalenie chciałem ten obraz zatrzymać, ocalić, uchronić! Ale mogłem jedynie obserwować i zapamiętać.

Na Nowym Świecie mama przeżyła moment niepokoju, kiedy, tuż za plecami, usłyszała ostre, zdecydowane: „Halt!”. Niepotrzebnie się złąła. Niemcy jako urodzeni słuźbiści honorowali jej przepustkę, nawet w środku nocy. Pokazała ją z uśmiechem, dorzucając jakąś grzecznościową formułkę. Jeden z Niemców zaproponował nawet, że ją odprowadzi, ale nie skorzystała z oferty. Tym bardziej, że to nie gmach PAST-y był celem jej spaceru.

Zaułek koło Kopernika pogrążony we śnie tonął w mroku. W żadnym z okien nie paliło się światło, co było zrozumiałe, choćby z powodu obowiązkowego zaciemnienia. Wprawdzie przy zaryglowanych bramach dom wyglądał na twierdzę, ale balkony z żeliwnymi, rzeźbionymi balustradami bardzo ułatwiły jej sprawę. Najpierw za pomocą grabek związanych na końcu liny, zahaczyła sznur o balkon na pierwszym piętrze i wspięła się nań, tam odczekała dłuższą chwilę, potem w podobny sposób pokonała dwa kolejne poziomy. Julia gramoli się do Rómea” – przemknęło mi. Za każdym rzutem zgrzyt metalu wydawał mi się porażający, ale mieszkańcy Warszawy przywykli do nalotów i kanonady dochodzącej z oddali, stali się chyba mniej wrażliwi na hałasy, ponieważ nikt się nie obudził.

Noc była bardzo ciepła, toteż okna balkonowe w mieszkaniu Kamienieckich pozostawiono uchylone. Róża rozchyliła je jeszcze bardziej i znalazła się w salonie. Starając się przyzwyczaić oczy do ciemności, bardzo ostrożnie, by niczego nie potrącić, dotarła do niedomkniętych drzwi z lewej strony. Czy był to pokój matki czy syna? A może jeszcze kogoś? Parę razy zdarzyło jej się kręcić w okolicy i obserwować ten dom, ale poza dwojgiem Kamienieckich nie zauważyła innych domowników. Czyżby starsza pani była wdową mieszkającą z jedynakiem, a może pan domu przebywał w oflagu lub na Zachodzie? Sypialnia pachniała męsko, także oddech wskazywał, że śpiącym jest młody mężczyzna. Zbliżyła się do łóżka. Trąciła „Hektora”, lecz zanim chłopak zdołał poderwać się z pościeli, położyła mu palec na ustach.

– Nie mów nic – szepnęła.

Zabełkotał coś na wpół przytomnie, ale usłuchał.

– Mam przyjazne zamiary i potrzebuję twojej pomocy – kontynuowała, cofając rękę.

– Ale jak się pani tu znalazła? – wyszeptał.

– Powiedzmy, przyfrunęłam. Można zapalić światło?

Coraz bardziej przytomny odnalazł zapałki i zapalił świeczkę. Był półnagi, a może w ogóle spał na golasa, bo nerwowo podciągnął prześcieradło. Uporczywie wpatrywał się w piękną brunetkę, która usiadła na krześle obok łóżka i marszczył czoło w namyśle, jak człowiek, który gorączkowo usiłuje sobie coś przypomnieć.

– Czy my się znamy?

– Przelotnie. Rok temu złożył mi pan wizytę w domu na Żoliborzu w charakterze fryzjera.

Teraz poznał ją i chyba się przestraszył. W każdym razie sporo wysiłku kosztowało go, aby nie krzyknąć.

– Spokojnie, „Hektorze” – powiedziała cicho. – Nie przyszłam, żeby się mścić za tę usługę, pan robił swoje, ja swoje.

– Nie rozumiem. Kto panią przysłał?

– Nikt. Ale czy nie przyszło panu do głowy, że mój pobyt u tego Szwaba mógł też być realizacją zadania?

– O Boże! – jęknął. – Co za błąd?!

– Nie szkodzi, dzięki temu się poznaliśmy. A teraz jest pan w tym mieście moją jedyną nadzieją.

– Ja?

– Proszę wysłuchać mnie uważnie, nie przerywać mi i niczemu się nie dziwić. Na koniec zadecyduje pan, czy mi pomoże, czy też nie. Jeśli nie, odejdę.

– Zamieniam się w słuch. Chociaż naprawdę nie pojmuję, w czym mógłbym pani pomóc?

Nie powiedziała mu zbyt wiele, nie przyznała się nawet do fałszywego nazwiska. Mówiła dokładnie tyle, ile potrzeba. O tym, że jest sierotą, że przypadkiem znalazła się w komunistycznej organizacji i że dziś musi porozmawiać z kimś z Polski Podziemnej.

– A jeśli powiem, że nie mam nic wspólnego z Polską Podziemną? – przerwał.

– Nie uwierzę. A potem i tak powiem to, co mam do powiedzenia. Kierownictwo PPR-u wie o waszym jutrzejszym planie powstania w Warszawie.

– Tego akurat nie trudno się domyśleć. Niemiachy wieją, Rusczy są coraz bliżej, a stan gotowości mamy od paru dni.

– Wiedzą naprawdę o wiele więcej, o godzinie „W”, punktach koncentracji, o magazynach broni, i o celach, na które pójdzie pierwsze uderzenie...

Zaniepokoił się.

– Sugeruje pani, że mają swoich informatorów?

– W najbliższym otoczeniu generała „Bora”. Wiedzą nawet, że punkt dowodzenia będzie się znajdował w zakładach Kammlera na Dzikiej – na poparcie swoich słów pokazała rozkaz Komendy Głównej, który ukryła, zanim zwróciła pozostałe papiery Gienkowi.

– Tego nawet ja nie wiedziałem – wyrwało się chłopakowi. Widać było, że jej informacje zrobiły na nim porażające wrażenie. Postanowiła jeszcze wzmocnić efekt.

– To, że Armia Ludowa zna wasze plany nie jest w tej sprawie najgorsze. Od dwóch dni mam polecenie przetłumaczyć je na niemiecki. Nie znam celu, choć mogę się domyślać.

– Nie sądzi pani chyba, że znaleźli się Polacy gotowi zdradzić plany powstania Niemcom. To niemożliwe, nawet wśród komunistów.

– Co ty wiesz o komunistach, „Hektorze”? Co ty wiesz?

Naraz poczuła się okrutnie stara i doświadczona.

– Ale dlaczego ty... dlaczego pani podjęła ryzyko zawiadomienia nas? – zapytał.

– Bo czuję się Polką, bo zbyt długo byłam słaba, przerażona, bezwolna! Proszę mi pomóc!

Sięgnął po spodnie i pod prześcieradłem wciągnął je na siebie. Potem wstał z łóżka i nałożył koszulę.

– Co zamierza pan teraz zrobić? – spytała.

– Skontaktować się ze swoim dowódcą.

– Zły pomysł! Teraz zgarnie pana pierwszy lepszy patrol, a rano będzie za późno, bo oddziały już wyruszą...

– Ma pani lepszą propozycję? – popatrzył na moją mamę, bezradny, wyrośnięty chłopiec.

– Przemyślałam sprawę, idąc do pana. Nie da się odwołać powstania. Machina została już uruchomiona. Rozkazy wydano, o świcie wszyscy ruszą na miejsca zbiórek. Zanim wiadomość, którą panu przekazałam, dotrze na górę, a potem zjedzie na dół, będzie po powstaniu.

– Więc co mam zrobić?

– Pomóc mi. Moje tłumaczenia nie zostały jeszcze przekazane gubernatorowi Fischerowi.

– Ma pani je ze sobą? – ożywił się.

– Nie, ale wiem gdzie są ukryte.

– Wystarczy zatem je zabrać, a potem pomożemy pani uciec.

– To nie wystarczy, jeśli rano kierownictwo się zorientuje, że nie wróciłam, podrzuci Niemcom informacje w inny sposób. Nawet jeśli będzie to tylko nieprzetłumaczona wersja polska, może okazać się jeszcze bardziej wiarygodna.

– Czyli nie ma ratunku?

– Od paru dni łamałam sobie nad tym głowę i mam pewien pomysł... Nie kryję, bardzo ryzykowny.

* * *

Pierwszego sierpnia „Chudy Gienek” ocknął się koło szóstej. Wyglądał jak siódme nieszczęście, a jedyną pamiątką po upojonej nocy był wściekły ból głowy.

– Ktokolwiek pędził to świństwo zasługuje na rozwałkę – mamrotał, potykając się o sprzęty. – Nie miał najmniejszego pojęcia o destylacji!

Moja matka podała mu namiastkę kawy – znów przez chwilę udało mi się zobaczyć jej odbicie w lustrze – pięknie uczesana, z makijażem ukrywającym podkrążone oczy i w swojej nowej sukience wyglądała jak gwiazda filmowa.

– Nieźle, Maryśka, nieźle! – próbował się uśmiechnąć Gienek. – To twój najważniejszy występ w życiu.

„Na twoim miejscu nie chwaliłabym dzionka przed zachodem słońca” – pomyślała. Kwadrans później w mieszkaniu pojawił się Macaj w towarzystwie drobnego faceta o przebiegłym wyrazie twarzy, który nawet nie zdradził swojego pseudonimu. Podlaski jednak musiał go znać. Moja matka w myślach ochrzciła go przezwiskiem „Spryciarz”.

– Nastąpiła zmiana planów – oznajmił przybyły i wręczył „Chudemu” pokaźny plik papierów. – Z tym zestawem informacji przejdziecie przez linię frontu i przekażecie to naszym w punkcie kontaktowym w Józefowie. Sprawa jest najwyższej wagi, a informacje bezcenne. Felek twierdzi, że zna bezpieczne przejścia z Saskiej Kępy aż do Radości przez bagna wawerskie, powinno wam się udać...

– Kiedy mam wyruszyć? – Podlaski widać nie należał do ludzi dyskutujących z przełożonymi.

– Natychmiast.

– Ale „Narcyza”? – niepokój przebiegł przez twarz „Chudego”. – Miałem ją konwojować.

– Spokojnie. Za kilkanaście minut pojawi się druga grupa, która odstawi ją pod same drzwi gubernatora. Przekażcie jej materiały i możecie pędzić.

– Rozumiem – Gienek pochylił się nad ruchomym kaflem z tyłu pieca, ale ból głowy dopadł go ponownie tak dojmująco, że aż jęknął.

– Co wam, towarzyszu? – zapytał „Spryciarz”.

– Głowa! – mruknął Podlaski.

– Mam proszki przeciwbólowe – rezolutnie włączyła się moja matka. – Pomagają jak ręką odjął.

– Świetnie, daj mi dwa i idziemy.

– Poczekaj, poczekaj. Musisz popić dużą ilością wody i usiąść na dłuższą chwilę, inaczej nie zadziała – Róża wyraźnie próbowała opóźnić jego wymarsz. Posłuchał jej dość niechętnie, ale po pięciu minutach na tyle poczuł się lepiej, że postanowił iść. Wraz z Macajem szybko przebrali się w stroje typowych, podwarszawskich wieśniaków.

– Dobra jest, ruszamy!

Jeszcze raz próbowała go zatrzymać.

– Pożegnajmy się, Gieniu – powiedziała, zastępując mu drogę. – Różnie między nami bywało, ale spędziliśmy ze sobą sporo czasu. A co się dziś wydarzy, kto to wie?

– To miłe z twojej strony – zaskoczony, ale uradowany wziął ją w ramiona i dorzucił między pocałunkami. – Dawno nie zegnałaś mnie w ten sposób.

– Bo dawno nie zaczynaliśmy równie niebezpiecznej gry – nadal trzymała go w ramionach i nie puszczała. Gdyby nie obecność „Spryciarza” i Macaja z pewnością udałoby się mu zaciągnąć ją do łóżka.

– Idziemy, towarzyszu. Za chwilę zrobi się tutaj tłok – przynaglał partyjny zwierzchnik.

Subordynacja zwyciężyła. Gienek posłuchał.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Róża ze wstrętem otarła usta. Nie dziwiłem się reakcji ani desperackim zabiegom, aby zatrzymać Podlaskiego choć chwilę dłużej. Cały jej plan walił się w gruzy. Dokumenty, które zabrał Podlaski, stanowiły piekielny zestaw. Teraz mogła jedynie liczyć minuty do pojawiania się obstawy, walcząc z pokusą, żeby nie rzucić wszystkiego i nie uciec. Wreszcie, po najdłuższym kwadransie w jej życiu usłyszała kroki na schodach. Narzuciła letni jasny płaszczyk, założyła berecik, wzięła do ręki elegancką teczkę wypełnioną tłumaczeniami.

Nie знаła obu konwojentów. Jednak po ich mordach poznała, że nie powinna raczej próbować im uciekać. Wymienili się hasłami i szybko zbiegli na dół. W bramie między podwórkami trzech bardzo młodych mężczyzn, pogrążonych w jakiejś namiętej dyskusji o cenach tytoniu, paliło papierosy. Młodzieńcy grzecznie rozstąpili się, dając przejście „Narcyzie” i jej eskorcie. Moja matka nagle przyspieszyła. Zaskoczeni bojowcy chcieli pójść w jej ślady, ale na głowę pierwszego z nich spadł cios zadany kastetem, a wokół szyi drugiego zacisnął się szpagat garotty. „Hektor” z pistoletem w ręku ubezpieczał akcję. Róża natychmiast poznała pozostałych członków oddziału „fryzjerskiego”. „Merkury” i „Wulkan” (chłopaki musieli być miłośnikami antyku, skoro zdecydowali się na takie pseudonimy) wydawali się być zadowoleni ze swego dzieła. Róża zdecydowanie mniej.

– Nie o tych mi chodziło – powiedziała, wskazując na powalonych. – Musimy szybko dogonić „Chudego” i Felka.

– Spokojnie, mamy samochód – uspokajał ją Kamieniecki. – Autentyczną sanitarkę ze szpitala Przemienienia Pańskiego. Oficjalnie jestem sanitariuszem, ale tak naprawdę studiuję tam tajnie

medycynę.

Jego koledzy znikli na moment, po czym wrócili z noszami. Po chwili żaden ślad nie wskazywał na dramat, jaki rozegrał się na podwórku. A jeśli nawet ktokolwiek z lokatorów obserwował incydent ze swoich okien, nauczony okupacyjnym doświadczeniem, nie miał najmniejszego powodu aby go zapamiętać.

„Chudy” i Feluś mieli nad nimi znaczną przewagę, ale poruszali się pieszo (tramwaje na Pragę tego dnia już nie kursowały). Poza tym ich marszruta była łatwa do przewidzenia. Aby najszybciej pokonać Wisłę musieli skorzystać z mostu Poniatowskiego. Miasto, mimo wczesnej pory, wyglądało inaczej niż zazwyczaj. Czujne oczy Róży, która narzuciła na siebie kitel pielęgniarki, co i rusz dostrzegały grupki młodych mężczyzn, najczęściej w długich płaszczach, mogących przysłać broń, przemieszczających się ulicami. Zaczynało się!

Na wysokości Cafe Clubu ścigający zrównali się z niepodejrzewającymi niczego AL-owcami. „Hektor” zwolnił tak, aby jego koledzy mogli dokładnie przypatrzeć się obu komunistom. Potem dodał gazu i wjechał na wiadukt. Posterunki przepuściły ich bez żadnej kontroli.

– I co teraz? – zapytała Róża.

– Poczekamy na nich za Wisłą. „Merkury” i „Wulkan” przykleją się do nich i w dogodnym momencie zlikwidują.

– Naprawdę muszą ich zabijać? – zapytała z lękiem.

– W świetle tego, co nam pani opowiedziała, nie mamy innego wyjścia?

Pasażerowie wysiedli na rondzie Waszyngtona, oczekując na AL-owskich kurierów, natomiast sanitarka skręciła na dół ku Wiśle.

– Co chce pan teraz zrobić?

– Przede wszystkim pozbyć się tych ciał – odparł „Hektor”, wskazując na komunistów leżących na noszach.

– Ale jeden z tych ludzi jeszcze oddycha?

– Tym gorzej dla niego – teraz dla odmiany jego głos lekko zadrżał. – Zawsze pragnąłem ratować ludzi, a nie ich uśmiercać, ale nie mamy innego wyjścia...

– Pomogę panu – wyciągnęła kapsułkę z cyjankiem i wsunęła go między szczerbate szczęki nieprzytomnego, potem zacisnęła je.

Ciał pozbyli się w krzakach nad Wisłą. Przy okazji spalili niemieckie tłumaczenia i starannie rozgrzebali popiół. Mimo ciepłej pogody okolica wyglądała na całkowicie wyludnioną. Żadnych zakochanych par, rybaków, nawet dzieci. Wszyscy mieli co innego na głowie.

– Teraz musi pan zrobić coś ze mną – powiedziała dziewczyna, kiedy chciał zawrócić do karetki.

– To znaczy? – obrócił ku niej wielkie błękitne oczy. – Nie rozumiem, co ma pani na myśli.

– Najlepiej jak mnie pan niegroźnie postrzeli.

– Chyba oszalałaś? – z wrażenia przeszedł na ty. – Nie mówi pani chyba poważnie? – poprawił się.

– Doskonale wiem, co mówię. Komuniści mi nie darują. Będą prowadzić dochodzenie, dlaczego nie wykonałam zadania.

– O kim ty mówisz, dziewczyno? Jacy komuniści!? Jutro tu będzie wolna Polska. Renegaci zostaną rozliczeni...

– Wolna Polska, ale na jak długo? Na dzień czy tydzień? Wiem, że wszyscy się łudzą wizją zwycięstwa. Ale ja głupia dziewczyna wiem swoje. Alianci są daleko. Niezależnie czy powstanie uda się, czy nie, do Warszawy wkroczą sowietci. A z nimi ich porządki. Tak jak w Wilnie. Tak jak w trzydziestym dziewiątym w Białymstoku.

– To jakiś absurd. Jesteśmy krajem należącym do wielkiej koalicji, mamy międzynarodowe gwarancje, potężnych sojuszników.

– Chciałabym, żeby pan się nie mylił. Niestety przeżyłam pod bolszewicką okupacją prawie dwa lata. I mogę dać panu słowo, że hitlerowcy wiele mogliby się od sowietów nauczyć... Nie mam czasu na dłuższe opowiadanie. Proszę robić, co mówię. Dla mojego i swojego dobra. Jeśli kiedykolwiek będę przesłuchiwana przez ludzi z PPR-u, powiem im, że zostałam postrzelona przez nieznanymi mi napastników, którzy zabrali papiery i uprowadzili moją ochronę. Mnie porzucono. Ktoś litościwy wezwał kartkę... Gdzie pan może mnie potem zawieść, do szpitala Przemieniania Pańskiego?

– Lepiej nie – pokręcił głową. – Szpital jest dziś częściowo ewakuowany. Jak wkroczą Rosjanie może być groźnie. Jakie pani ma papiery?

– Do wyboru niemieckie albo polskie, ale w takiej chwili wolę być Polką.

– Polaków przewozimy do Szpitala Dzieciątka Jezus na Nowogrodzką. Ale... – tu gwałtownie pokręcił głową – o czym my mówimy? Przecież za żadne skarby pani nie postrzele!

– To proszę dać mi pistolet, sama to zrobię.

Popatrzył na nią uważnie, jakby badał, czy jest w stanie zrealizować swoją groźbę. Zobaczył pełną determinację.

– Gdzie chce się pani zranić?

– Proponuję w udo, ale tak, żeby nie uszkodzić kości i żadnej ważnej tętnicy, za to żeby krwawienie było imponujące.

Podciągnęła wysoko sukienkę, aż ukazały się majtki i wystające spod nich kosmyki włosów. Początkujący lekarz spiekl raka.

– Znowu mam panią krzywdzić?

– Przysięgam, że to ostatni raz. Tylko proszę owinać lufę gazą, będzie ciszej i mniej prochu znajdzie się w ranie. – A widząc, że ciągle się waha, objęła go, przyciągnęła do siebie i delikatnie pocałowała w usta. – To na zachętę – powiedziała.

– A można jeszcze jedną zachętę? – zapytał „Hektor”.

Nie widziałem sceny okaleczenia. Zaraz potem film przyspieszył. Romantyczna scenka ustąpiła pod naporem innych, pełnych ognia i zniszczenia.

Warszawskie dzieci idziemy w bój...

Ze szpitalnego okna moja mama mogła obserwować ludzi biegnących budować barykady i oddziały w biało-czerwonych opaskach, potem pojawili się pierwsi ranni...

Nie wiem czy sprawiła to moja choroba, ale nie potrafiłem opanować dynamiki przekazu. Tak jakby niewidzialny operator mojej kabiny projekcyjnej zwariował. Sceny przeplatały się w szaleńczym tempie, bez logicznego związku, tworzyły płataninę wątków, migawek, które w końcu zlały się w jeden czarno-czerwony wir, który pociągnął mnie w korytarze oszalałych rozbłysków, topiel wody, smoły, ognia...

Ten pierwszy marsz ma dziwną moc...

Jeszcze chwila a także i to zniknęło, a ja leciałem, pędziłem poprzez aksamitną czerń, lekki, wolny, ku plamce widocznej na skraju kosmosu. A potem cały ów kosmos zwinął się jak naleśnik, zmieniając się w długi, ciemny tunel. Ze światełkiem na końcu! Leciałem w jego stronę, widząc, a co więcej, czując jak ogromnieje, jak zalewa mnie czystą światłością.

– To śmierć, ja umieram! – uświadomiłem sobie, że chyba przestałem się już martwić. Szybowałem wyzwolony na spotkanie nieuchronnego. Pogodzenie – tak to najlepsze określenie mojego stanu.

– Nie, nie – targnął mną gwałtowny sprzeciw. Nie mój. Impuls pochodził z zewnątrz.

Ktoś pochylał się nade mną. Nieostra twarz przybierała na zmianę rysy Grażyny, Marty, mojej matki... Artura? Pieprzony Arturku, czekasz już na mnie?!

– Wracaj, masz wracać! Musisz wracać! – usłyszałem głos. Jednak mama. Zdecydowana, kochająca swoje dziecko nad życie, wierząca we mnie i w moje zadanie.

Więc wróciłem.

Gorączka ustąpiła równie nagle jak się pojawiła. Nad ranem w piątek czwartego grudnia zdecydowanie powróciłem do świata żywych. Powrócił nawet głód, a razem z nim zainteresowanie światem. Przy pierwszej okazji, kiedy zostałem sam, udało mi się wstać na nogi i porozmawiać z Martą. Wcześniej nie byłem w stanie nawet podnosić słuchawki. Przez cały czas choroby ledwie raz zadzwoniłem do dziewczyny, aby powiedzieć, że choruję. Za to Marta próbowała porozmawiać ze mną wielokrotnie.

– Zupełnie nie wiem skąd się biorą te głuche telefony – dziwiła się Grażyna. – Ktoś nie może się do nas dodzwonić. A może sprawdza czy jesteśmy w domu?

Nie komentowałem. Udawałem, że to do mnie nie dociera.

Krótki telefon, słyszałem jak Marta szlocha po drugiej stronie: „Bałam się, że umrzesz! Zaraz do ciebie przyjadę! Jak to nie mogę przyjechać?” zmęczył mnie tak, że nie mogłem ustać na nogach. Wróciłem do łóżka. Znow się przespałem, a potem sięgnąłem do biurka po mój brulion, aby zapisać wszystko to, co przyśniło mi się od początku choroby. Zmartwiałem się, kiedy pod teczkami z wycinkami prasowymi nie znalazłem charakterystycznych marmurkowych okładek. Co gorsza nie znalazłem także moich wcześniejszych zapisków w żadnej z szuflad biurka, ani w teczce, ani na etażerze wśród numerów „National Geographic”. „Zabrali mi go! Mój Boże, byli tu, kiedy leżałem nieprzytomny i zabrali!” Zadzwoniłem do Grażyny, która uspokojona poprawą mego stanu poszła tego dnia do pracy.

– Jakie notatki? – zdziwiła się. – Duży, gruby brulion w marmurkowych okładkach? Niczego takiego nie widziałam, Maćku! Owszem, wiem, że od czasu do czasu coś tam sobie skrobiesz, ale przeważnie na luźnych kartkach, albo w stukartkowych zeszytach w kratkę. Nie, nikt nas nie odwiedzał. A w ogóle dobrze się czujesz?

Mogło to oznaczać jedynie, że albo moja żona jest w zмовie, albo rzeczywiście rzuciło mi się na mózg? Czyżby wszystko, co zaprzętało moją głowę, było gorączkową maligną?

Chciałem zadzwoniłem do Marty i zweryfikować kilka faktów, ale zorientowałem się, że już wyszła do szkoły. Wierzchowskiej też nie zastałem w domu... A Rysiek Adamski? Zadzwoniłem do Regionu Mazowsze. Kiedy odebrał zorientowałem się, że właściwie nie mam go co pytać, bo nigdy przecież nie widział tego brulionu na oczy. Ryszard bardzo się ucieszył, słysząc, że mam się lepiej, ale poza tym był pełen złych myśli. Ostatecznie przygnębił go desant helikopterowy i szturm oddziałów ZOMO, który złamał strajk w szkole pożarniczej.

– Zobaczysz, że to była ich próba generalna – krakał.

Nie miałem ochoty na dalsze słuchanie defetystycznych bredni, szybko więc zakończyłem rozmowę. Snując się w szlafroku po mieszkaniu, zaszedłem do przedpokoju i wówczas wzrok mój padł na lekko uchylony pawlacz. O tym nie pomyślałem! Z kuchni przyniosłem taboret i mimo zawrotów głowy wlałem na niego. Oba moje bruliony plus teczka z wycinkami tkwiły wciśnięte

między dwie walizy. Nienaruszone, kompletne. Notatnik był już do połowy zapisany. Hurra! Wziąłem się do roboty i z przerwami na sen pracowałem aż do wieczora. Z początkowego okresu powstania praktycznie nie udało mi się utrwalić żadnych scen, a jedynie odtworzyć przybliżone losy mojej mamy. Pełne zresztą luk i niejasności.

Powstanie zastało ją na Nowogrodzkiej w Szpitalu Dzieciątka Jezus, który po godzinie „W” zmienił się w powstańczy lazaret. Jej rana była niezbyt groźna, choć bolesna fachowo opatrzona goiła się szybko. Róża nie zamierzała być wyłącznie pacjentką, toteż bardzo szybko zaczęła pomagać jako pielęgniarka. Ku swemu zaskoczeniu odnalazła w sobie całkiem niezłe predyspozycje. Wkrótce jako instrumentariuszka asystowała przy operacjach, a nawet pomagała przy prostszych zabiegach, takich jak zszywanie ran. Mimo codziennej grozy od dawna nie czuła się tak potrzebna, tak na miejscu. Dopiero dziesiątego dnia powstania zlokalizowali ją partyjni towarzysze. Siły AL-u w tej części miasta nie były za duże. Wybuch insurekcji i jej wstępne sukcesy wnikające z zaskoczenia Niemców wprowadziły zamieszanie w szeregach komunistów. Pewni wielkiej operacji niemieckiej przeciw AK nie dokonali jeszcze koncentracji własnych sił, toteż wielu grupkom długo nie udawało się nawiązać kontaktu z dowództwem odciętym na Starówce. Trzynastego sierpnia w szpitalu pojawił się „Ignac”. Opowiedziała mu opracowaną wersję zdarzeń i sama w duchu uznała ją za prawdopodobną. Łącznik nie komentował.

– Chodzisz? – zapytał krótko.

– Coraz lepiej.

– To świetnie. Uważam, że powinnaś jak najszybciej przejść na Stare Miasto i zameldować się u „Olka”. Szukano cię od dwóch tygodni...

– Na Stare Miasto, ale jak...? – pochyliła się, poprawiając opatrunek, aby pokryć przestrach.

– Kanałami!

Rozkaz był jednoznaczny, a opowieści o rzeziach dokonanych przez hitlerowców na Woli i wiara, że za dzień, dwa Armia Czerwona przekroczy linię Wisły sprawiły, że zgodziła się ruszyć już następnego dnia.

Obraz przejścia kanałami utrwalił mi się już dwadzieścia lat temu na podstawie głośnego filmu Wajdy, może dlatego z całej długiej drogi mamy w mojej rozgorączkowanej głowie pozostało jedynie kilka mrocznych, ale niezbyt dramatycznych migawek... W porównaniu z rozległym Śródmieściem obszar kontrolowany przez powstańców w najstarszej części Warszawy wydawał się mikroskopijny. Oprócz powstańców koczowały tu tłumy bezbronných cywilów, na które nieomal nieustannie waliła się ogniowa nawała. Na miękkich nogach Róża zameldowała się w sztabie przy Freta. Tam, w jednej z głębokich średniowiecznych piwnic przesłuchał ją „Olek”, szef sztabu AL. Podejrzliwy, w pierwszej chwili wręcz chamski. Ostrem tonem żądał wytłumaczenia, dlaczego zawiódł ich plan. Wyrecytowała swoją wersję, starając się, żeby nie wyglądała na zbyt starannie opracowaną. Opowiedziała, jak wychodząc z mieszkania zostali zaatakowani przez trzech nieznaných osobników. Ona ranna i nieprzytomna pozostała na podwórku, skąd zabrała ją sanitarka...

– Ranna? – w głosie szefa sztabu pojawiło się powątpiewanie.

Gwałtownym ruchem zerwała bandażę, z niezagojonej rany ciągle sączyła się brudnożółta ciecz. Jednocześnie pobladła i gdyby „Olek” jej nie przytrzymał, runęłaby na ziemię.

Kowalski złagodniał i zmienił ton.

– Nie musicie się denerwować, towarzyszeko. Ufamy wam... Ale powiedzcie, co stało się z waszą obstawą?

– Nie wiem, zanim straciłam przytomność, widziałam, że jeden z chłopaków oberwał w pierś...

Kowalski tylko pokiwał głową.

– Rozumiem. A nie wiesz kim mogli być napastnicy?

– Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że mówili po polsku.

– Swołocz z Kedywu! – mruknął na wpeł do siebie „Olek”. – Musiał być jakiś przeciek, o którym nie mieliśmy pojęcia.

Zagadnął ją o „Chudego”. Na podstawie pytania wywnioskowała, że od momentu gdy obaj z Macajem wydostali się z mieszkania na Poznańskiej nikt z AL-u nie miał z nimi kontaktu. A więc akcja likwidacyjna się powiodła.

– Może dotarli do Lublina? – zasugerowała.

– Sprawdzaliśmy. Nie nawiązali kontaktu z nikim po tamtej stronie. Nie wiemy nawet czy przekroczyli Wisłę.

– W szpitalu ktoś mi mówił, że widział Gienka na Powiślu.

– Kto? – zainteresował się Kowalski.

– Jakiś umierający cywil, który znał „Chudego” jeszcze sprzed wojny... To chyba możliwe, że Gienek nie mogąc przedostać się przez linię frontu, wrócił do miasta...

– I nie nawiązał łączności z dowództwem? Przy jego doświadczeniu?

– Według tego cywila nasz przyjaciel w momencie wybuchu powstania zastał ich w jakiejś odciętej enklawie...

– Rozumiem. Tego nie można wykluczyć, ale będziemy musieli to sprawdzić. Pomówimy jeszcze o tym...

Następne parę dni spędziła w lazarecie na Freta, wróciła gorączka, rana paskudziła się. Widocznie podczas przeprawy kanałem przyplątała się dodatkowa infekcja. I nie wiadomo jakby się to

skończyło gdyby nie zastrzyk penicyliny z żelaznych zasobów kierownictwa.

Tymczasem, wobec dramatycznie pogarszającej się sytuacji na Starym Mieście, od dwudziestego czwartego sierpnia rozpoczęła się ewakuacja części prominentnych działaczy partyjnych na Żoliborz. Dwudziestego piątego sierpnia Róża poczuła się na tyle dobrze, że mogła się zabrać z kolejną grupą. Znowu pojawił się niezastąpiony „Ignac”, który ostatni etap czterogodzinnego przemarszu kanałami praktycznie ją niósł. Przydała się krzepa ekswykidajły.

W tym czasie na Żoliborzu panowała nieomal idylliczna atmosfera, walki toczyły się jedynie na obrzeżach, Powstańcy utrzymywali kontakt z Kampinosem. Liczne ogródki działkowe dawały owoce i warzywa. Moja mama mogła mówić o podwójnym szczęściu. Następnego dnia po opuszczeniu przez nią Starego Miasta hitlerowska „krowa” zdruzgotała budynek na Freta, grzebiąc w jego piwnicach prawie cały sztab AL. Na Żoliborzu znalazła się wśród ludzi, których właściwie nie знаła. Skierowano ją do lazaretu mieszczącego się w podziemiach Fortu Żoliborskiego, gdzie usiłowała kurować siebie i innych. Bardzo rzadko wychodziła na powierzchnię. Docierały do niej informacje o coraz bardziej kurczącym się obszarze obrony, sporadycznych zrzutach (większość sprzętu trafiała na stronę niemiecką) i daremnych oczekiwaniach na sowiecki desant. Znaczna część sił AL, w sumie podobno paręset osób, przedostała się do Puszczy Kampinoskiej. Mojej mamie nikt nie zaproponował kolejnej ewakuacji. Czternastego września gruchnęła wieść o zajęciu Pragi i pierwszy sowiecki samolot przeleciał nad Żoliborzem. Niestety zrzut ograniczył się do materiałów propagandowych. Równocześnie pojawili się radzieccy oficerowie łącznikowi, którzy przedostali się przez Wisłę. Nie zmieniło to jednak położenia powstańców, wśród których przeważały oddziały Armii Krajowej. Kontrolowany przez nich obszar oporu zmniejszył się do nieregularnego wielokąta, od północy ograniczonego ulicą Bieniewicką, Drużbacką i Mściśławską, od zachodu Stołeczną, od południa szeroką aleją Wojska Polskiego, na wschodzie od Wisły oddzielał go kontrolowany przez Niemców wał przeciwpowodziowy. Zdziesiątkowane resztki AL-owców musiały, o ironio losu, coraz częściej walczyć u boku swych rywali. Podobno zresztą były prowadzone jakieś rozmowy o współdziałaniu między „Żywicielem” z AK a majorem „Szaniawskim” i porucznikiem „Zenonem” z AL. Jednak wiedza mojej matki nie sięgała takich wyżyn... Ostatnie, co zapamiętałem, zanim pochłonął mnie kolejny wir chaosu, to udział Róży w jakiejś akcji na powierzchni i widok z okna któregoś z wyższych domów, na kompleks Cytadeli i dalej na Wisłę, a za nią na zielony brzeg praski zajęty przez Rosjan.

* * *

W sobotę doprowadziłem moje zaległe zapiski do końca, także byłem znowu na bieżąco. Czekałem niecierpliwie na następny odcinek snu. Przeczuwałem, że nie wiele brakuje abym poznał całość. Wiedziałem już, jaką niebezpieczną tajemnicę znała moja matka, wyraźniej rysowała mi się rola Macaja. Tylko kwestia podstawowa – kto był moim ojcem nadal była nieznaną. A czasu pozostawało niewiele. Wedle wszelkich wyliczeń powinienem zostać poczęty gdzieś między 20 września a 20 października. Tymczasem w szeregach AL nie widziałem żadnego kandydata na ojca. Momentami dostawałem gęsiej skórki na myśl, że spłodzić mnie mógł na przykład Zenon Kliszko. Ale na to się nie zanosilo. Mama dokładała jednak wszelkich starań, aby wyglądać jak najmniej atrakcyjnie. I to jej się udało. Z głową pełną jasnych odrostów wyglądała jak nieszczęsna zebra. W dodatku kulawa. Postrzał, choć fachowy, nie pozostał bez śladu, a w skutek słabej rehabilitacji trwałym efektem był

przykurcz nogi. Pomimo to miała co jakiś czas adoratorów. Jednak kiedy trzej młodzi AL-owcy próbujący się do niej zalecać zginęli w krótkich odstępach czasu, utrwaliła się opinia, że „Marysia”, takiego pseudonimu używała od początku powstania, przynosi pecha.

Tymczasem moja nadzieja na szybki koniec serialu nie została zaspokojona. Wraz z powrotem do zdrowia skończyły się sny. Czy drzemki dzienne, czy nocne bywały za głębokie? Czy mój mózg przestał zapamiętywać majaki? W każdym razie do niedzieli włącznie nie przyśniło mi się nic. Słownie zero.

W sobotę po południu Grażyna pozwoliła mi na chwilę wyrzecz do ogródka. A szóstego grudnia, w niedzielę, oznajmiła, że choć na chwilę muszę pojawić się na imieninach teściowej – Barbary. Towarzysz Waław nie uznawał wprawdzie kultu świętych, ale dla żony i patronki górników skłonny był zrobić wyjątek.

– Nie ma żadnego ryzyka – przekonywała mnie moja żona. – Już trzeci dzień nie masz gorączki, ja cię przywiozę i zawiozę. A pić przecież nie będziesz, bo bierzesz antybiotyki.

– No to jaki to ma sens? – jęknąłem.

– Zrobić przyjemność mamusi!

W willi w Konstancinie zjawilo się całkiem sporo ludzi. Przeważali członkowie partyjnego aparatu, ale znalazł się także ceniony lekarz, popularna aktorka oraz dziennikarz, uważany za dość liberalną tubę partii. W tym towarzystwie czułem się jak kolorowo upierzony kanarek pośród wróbli, czy raczej uwzględniając różnice w standardzie życia, jedyny wróbel w stadzie kanarków. Party należało do chodzonych, ale na dobrą sprawę nie miałem do kogo otworzyć ust. I wolałem tego nie robić, aby nie wywołać skandalu. Znakomita większość gości prezentowała bowiem postawy skrajnego „betonu”. Zjadliwie komentowano ostatnie posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności” w Radomiu, radykalizację Wałęsy, który dołączył do „związkowej ekstremy”, grożąc „targaniem po szczękach”. Przysłuchując się rozmowom, zauważałem z rosnącym przerażeniem, że wszyscy ci aparaczczyki naprawdę wierzą w bzdury serwowane przez dziennik telewizyjny i radiową Jedynekę. O organizowaniu grup terrorystycznych, o listach komunistów przeznaczonych do likwidacji (wraz z rodzinami), o zamiarze przejęcia rządów w kraju przy pomocy strajku generalnego, co oczywiście skończy się jednym – wkroczeniem Rosjan i morzem krwi. I były to opinie wygłaszane z niezmaconą pewnością zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety. Gdybym mógł zapić to drinkiem, z pewnością poczułbym się lepiej. Ale słuchać tego na sucho? Jakobin na salonach Targowicy? Ze szklaneczką czystej coli wymknąłem się do służbówki, przeznaczonej na skład palt, które nie mieściły się już w szafach i na wieszakach. Było tu trochę chłodniej, kupa kożuszków i futer emanowała jakimś dziwnym nomenklaturowym zapachem, ale przynajmniej byłem sam. Przynajmniej tak mi się zdawało. Po chwili jednak zorientowałem się, że kupa ubrań się porusza i wyłoniła się z niej ręka trzymająca niedopitą szklanekę whisky, a zaraz potem zażywna postać znanego dziennikarza. Przysnął, a może podobnie jak ja medytował? W każdym razie na mój widok uniósł do góry, a następnie wychylił do dna trzymaną szklaneczkę.

– To się musi niestety źle skończyć – powiedział, jakby zgadując moje myśli. – Normalka. Tak się to kończy zawsze od blisko trzystu lat. Konkretnie od bitwy pod Połtawą. Każdy zryw, każda

pieredyszka nie może trwać u nas zbyt długo. Czasem, żeby przywrócić porządek i ład wystarcza sam ryk niedźwiedzia, kiedy indziej potrzebna jest jego stalowa łapa.

– A jak będzie tym razem? – zapytałem.

– Sądzę, że wystarczy sam ryk. Nasze władze jak pies Pawłowa zachowają się zgodnie z odruchem warunkowym.

– To znaczy?

– Zduszą tę ruchawkę, która zresztą na naszych oczach słabnie i traci impet...

– Mówi pan, że zduszą? Nie wierzę, ale założmy, że tak. Co jednak będzie po tym?

– Noc czarna. Ale po jakimś czasie znowu dzień. Nasze paroksyzmy powtarzają się dość regularnie co dwanaście lat. Więc może spotkamy się w dziewięćdziesiątym trzecim przy kolejnej odnowie.

– Mówi pan o tym z ogromnym spokojem.

– Cóż liznałem trochę filozofii, nie tylko marksistowskiej... W życiu jestem hedonistą, w pracy cynikiem, a wobec samego siebie stoikiem. Wiem, ile mogę i poruszam się w tej przestrzeni, możliwie lekko, łatwo i przyjemnie.

– Tylko pogratulować! – mruknąłem cierpko.

– Mamy naprawdę ograniczoną swobodę manewru. Niezależnie jakbyśmy chcieli się szarpać!

– Wiem, wolność to uświadomiona konieczność.

Pismak uśmiechnął się krzywo.

– Czegoś innego spodziewałem się po płomiennym opozycjoniście.

– Mianowicie?

– Jakichś deklaracji o konieczności walki za wszelką cenę, morałów o lawinie, która zmienia bieg, w zależności po jakich kamieniach się toczy. Nie zaprzeczę, to byłaby dalekosiężna propozycja. Tyle że ja nie chcę być kamieniem na drodze lawiny. Mam jedno życie i wolę należeć do tych, którzy obserwują tę lawinę z awionetki, bądź z paralotni.

– I jest to przyjemny widok?

– Bardzo nieprzyjemny. Ale z drugiej strony, gdyby jakimś cudem wam się udało, gdyby zapadł się Związek Radziecki, czego podobnie jak profesor Brzeziński w tym tysiącleciu nie przewiduję, czy myśli pan, że wszyscy, z panem włącznie, bylibyśmy szczęśliwi? Przecież, nie oszukujmy się, w tym waszym pospolitym ruszeniu, pod cienką warstewką nielicznych inteligentnych doradców, kryją się

tabuny ultrakatolickiej czerni, roszczeniowej hołoty, zmiennej w nastrojach, niebezpiecznej i nieprzewidywalnej.

– To nasz naród.

– Może pański – zachnął się dziennikarz. – Ja czuję się bardziej obywatelem świata. Orientuje się pan, co zrobiłby ten lud Boży, gdyby dać mu pełnię władzy? Na początek zacząłby za wskazaniem Jurczyka budować dla nas szubienicę.

– Bez przesady! To był jednorazowy wyskok jednego nieodpowiedzialnego działacza.

– Wyskok? Czy naprawdę nie widzi pan, że ten ruch składa się z dziesięciu milionów Jurczyków, no, może dziewięciu, którzy pewnego pięknego dnia wypomną panu ojca AL-owca, matkę Żydówkę i teścia komucha. I wtedy, trochę późno, uświadomi sobie pan, że branie tego narodu co jakiś czas za mordę leży w jego własnym szeroko pojętym interesie... Tak, paaanie profesorze...

– Jezus Maria, Artur! Rozmawiam z Arturem! – przemknęło mi.

– Źle się poczułeś? – do pokoju zajrzała moja żona.

– Czuję się świetnie, rozmawiamy sobie...

– Z kim? – Grażyna rozejrzała się po wąskiej izdebce, zaglądając między sterty przyodziewku. – Przecież tu nikogo nie ma. Choć do ludzi!

Zmroziło mnie to dictum, na wszelki wypadek zajrzałem do szafy, ale ponieważ i tam nie było dziennikarza, posłusznie wróciłem do salonu. Otoczony wianuszkami znajomków, teść kończył jakąś dłuższą wypowiedź...

– ...więc, albo generał wykaże determinację, albo... – zwiesił głos – albo ktoś inny będzie to musiał zrobić za niego – tu zaważył swego zięcia i skinął na mnie, a do gości rzucił wesoło. – Kochani, co ja was będę zanudzał polityką. Bawmy się.

– Tak, bawmy się! – powtórzył Wybitny Aktor. – Bawmy się, kto wie, czy ten świat potrwa dwa tygodnie.

– Musimy porozmawiać, Maciej ku – rzekł towarzysz Waclaw, pociągając mnie do chwilowo opustoszałego gabinetu.

Nie znosiłem jak ktokolwiek mówi do mnie „Maciejku”, ale wobec teścia miałem niewielką możliwość sprzeciwu.

– Chcesz whisky? – zapytał, zamykając za sobą drzwi.

– Biorę antybiotyki.

– Szkoda! Lepiej by się nam gadało – nalał sobie pełną szklanekę i pociągnął tęgi łyk, zbyt tęgi, bo

alkohol pociekł mu po brodzie. – Nigdy nie prawiliem ci nauk, toteż i dziś nie będę. Wyrażę jedynie krótką prośbę: skończ z tym!

– Z czym? – zapytałem, zastanawiając się skąd teść mógł dowiedzieć się o moim śledztwie.

– Z tym! Każdy z nas bywa mężczyzną, ale są pewne granice – rzucił na blat biurka niezbyt wyraźną fotografię, mimo to dostrzec na niej mogłem dwa ciała w miłosnym splocie. Nie potrafiłem rozpoznać wnętrza, ale osoby były mi doskonale znane. Ja i Marta. Marta i ja.

– Ktoś mi to podrzucił! – kontynuował aparatczyk. – Nie wiem o co chodzi, może o jakiś szantaż. Mniejsza z tym. Chciałbym, aby pozostało to między nami. Ani Barbara, ani Grażyna by tego po prostu nie prze-ży-ły...

– Ja... to znaczy... Przypuszczam, że to może być zręczny fotomontaż... – rozpaczliwie usiłowałem znaleźć jakiś sensowny wykręt, ale teść nie dał mi dokończyć.

– Skończ z tym natychmiast! Albo ja to skończę.

– O czym tak tu plotkujecie? – do pokoju zajrzały moja żona i córka.

– Wymiana męskich opinii o polityce – odparł Waclaw, przykrywając zdjęcia gazetą.

– Strasznie jesteś blady – Grażyna dotknęła mojego pokrytego potem czoła. – Nie zmuszaj go do nadmiernego wysiłku, tatusiu.

Nie miała pojęcia jak ciężki to był wysiłek.

* * *

Czyżby łączność z moją matką uległa zerwaniu? Nic mi się nie przyśniło ani w nocy z niedzieli na poniedziałek, ani z poniedziałku na wtorek, ani z wtorku na środę. Może dlatego, że były to noce w dużym stopniu bezsenne. Moje podwójne życie znalazło się w ślepej uliczce. Wszystkie możliwe wyjścia z sytuacji były jednakowo złe. Rozwód, biorąc pod uwagę ciężę Grażyny, nie wchodził w grę, dalsza gra na zwłokę również... Co pozostawało?

W poniedziałek, mimo zwolnienia, powlokłem się do szkoły. Pierwszą osobą, którą tam zobaczyłem była woźna, posypywała odśnieżone schody popiołem z kotłowni, a na jej twarzy malował się wyraz cichego tryumfu. Wiedziała o mojej klęsce, czy jedynie ja odnosiłem takie wrażenie? W pokoju nauczycielskim nie zastałem ani pani Wierzchowskiej – była podobnie jak ja na zwolnieniu lekarskim – podobno miała coś z sercem, ani wf-mena. Plotka głosiła, że wezwano go na jakieś pilne szkolenie wojskowe. Za to dyrektor Wernicki potraktował mnie jak wskrzeszonego Łazarza. Zaprosił na herbatkę, pytał o zdrowie. Chwalił się możliwością załatwienia dobrego sanatorium „gdybym tylko potrzebował”. Wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Wie pan, panie kolego, jak pana cenię. Owszem, bywały między nami spory, ale, moim zdaniem, zawsze chodziło o drobiazgi. Pana wiedza, doświadczenie, a zarazem zaufanie w zespole są wartością nie do przecenienia...

„Do czego to jest wstęp, do wymówienia?” – zachodziłem w głowę.

– ...zapewne orientuje się pan, że mój zastępca, magister Madejski, w przyszłym roku osiąga wiek emerytalny. Być może zgodzi się uczyć na pół etatu, ale wicedyrektorstwo, niestety nie będzie dłużej możliwe...

– Rozumiem, że interesuje pana dyrektora moja opinia jako przewodniczącego związku? – zacząłem myśleć, że chodzi o formalną akceptację jakiegoś nominata.

– Na razie chodzi mi o pańską prywatną opinię. Zasięgnąłem już opinii w kuratorium. Chcielibyśmy mianowicie, drogi kolego, powierzyć tę funkcję panu – walnęło mnie to jak młotem i gdybym nie siedział, pewnie bym się przewrócił.

– Oczywiście nie wymagam od pana żadnych natychmiastowych deklaracji. Niech się pan z tym prześpi, porozmawia z RODZINĄ (to słowo zostało szczególnie podkreślone), z tym, że pańską decyzję chciałbym znać do świąt, no powiedzmy, do Nowego Roku.

Zabrział dzwonek kończący pauzę. Dyrektor wstał. Wiedziałem, że ma zaraz lekcję fizyki w klasie maturalnej. Machinalnie uściśnąłem podaną mu rękę. Uśmiechnięty dyro odprowadził mnie aż do drzwi wyjściowych, a w ostatniej chwili rzucił zniecka.

– Zależy nam w tych trudnych czasach na bezpartyjnych fachowcach. Ten warunek, ma się rozumieć, dotyczy również przynależności związkowej.

Drzwi z hukiem zamknęły się za mną. Jeszcze nie dotarło do mnie do końca, że jest to de facto próba wykupienia mnie z „Solidarności”, gdy ujrzałem szczupłą sylwetkę u stóp wysokich schodów.

– Marta? Tutaj!

Zbiegłem na dół.

– Co się stało? Strasznie jesteś zziębnięta. Chodź do samochodu – próbowałem objąć ją ramieniem.

Pokręciła głową.

– A ja ci tak ufałam! Tak ufałam – łzy strugą polały się z jej oczu.

– Na miłość Boską, o czym ty mówisz?!

– O uczciwości. Powiedz, że to wszystko nieprawda! Ze twoja żona nie spodziewa się dziecka! Ze nie żyłeś z nią od naszego poznania! Ze zawsze chciałeś być ze mną, tylko ze mną.

Nie czekając na odpowiedź, zakręciła się na pięcie i wyszła przez furtkę na zaśnieżoną ulicę.

– Posłuchaj, Marta! – wołałem, biegnąc za nią. – Nie wiem jakich bzdur naopowiadali ci ludzie. Może nie do końca mówiłem ci wszystko, bo nie chciałem cię ranić, ale pamiętaj o jednym: ja cię

kocham!

– A ja już nie!

Poczułem to jak smagnięcie pejczem. Nie poddawałem się jednak. Wiedziałem, że jeśli da mi kwadrans przekonam ją, wytłumaczę, utulę. Coś zrobię! Cholera, jeśli trzeba rozwiodeę się z Grażyną...

Otworzyły się drzwi volkswagena garbusa i Marta bez słowa wskoczyła do środka. Poznałem chłopaka za kierownicą. Maurycy! Pierwszy skrzypek, lider kwartetu z Wyższej Szkoły Muzycznej, z którym właśnie zaczynała koncertować. Koła na moment zabuksowały, ale potem wóz wystartował z impetem, obsypując mnie grudkami zmarzłego śniegu.

* * *

Co działo się we wtorek i środę? Kompletnie nie wiem. Niczego nie pamiętam poza uczuciem dojmującej pustki. Pewnie grzebałem w swoich archiwaliach, pewnie chodziłem do Regionu Mazowsze. Nie pamiętam. Ból, poczucie pustki, bezsensu. To wszystko. Grażyna zapewne uznawała mój stan za depresję pochorobową, zachowywała się wobec mnie dość opiekuńczo, ale nie narzucała się zbyt. Może zresztą była o wiele lepiej poinformowana niż przypuszczałem. Kiedy opowiedziałem jej o propozycji dyrektora, wpadła w entuzjazm. Nie zdradziłem jednak, że zamierzam tuż przed świętami poradzić Wernickiemu, aby wsadził tę ofertę sobie w dupę! Postanowiłem: jeśli nawet w jakimś sensie zdradziłem Martę, nie powtórzę tego z „Solidarnością”!

W środę nie mogłem zasnąć aż do drugiej. Mimo środków uspokajających, mimo pigułek nasennych. Przewracałem się w łóżku, usiłowałem opowiadać możliwie najbardziej nudne historie, liczyłem barany, wszystko na nic. Z rozpaczy postanowiłem się przejść.

Było mroźno, śnieg skrzypiał pod nogami, a wydmuchiwana para tworzyła wokół mnie prawdziwą chmurkę. Postanowiłem okrążyć moje osiedle i jeszcze raz spróbować się położyć. Ze względu na niedawną chorobę ubrałem się ciepło, założyłem szalik, rękawiczki, narciarską czapkę Grażyny...

Miasto wyglądało jak wymarłe. Ledwie w paru blokach jarzyły się pojedyncze okienka, wskazujące na nocnych marków, a może kochanków, preferujących seks w pełnym świetle. A ja byłem poza, poza tym wszystkim – sam. Szedłem energicznie, mroźne powietrze dyscyplinowało moje myśli. Wykonałem już z połowę przewidzianej marszruty, kiedy zdałem sobie sprawę, że kilkadziesiąt metrów za mną jedzie jakiś samochód. Obejrzałem się. I poczułem strach. Wóz jechał bardzo wolno i w dodatku bez świateł. Przyśpieszyłem kroku. On też jakby przyśpieszył. Skąd ja to znałem? Rzuciłem się do panicznej ucieczki. Kilkadziesiąt metrów przede mną majaczyły tyły naszych szeregowców. Nie zastanawiając się, który jest mój, skoczyłem, nie przejmując się, że siatka rozdarła moją ocieplaną kurtkę. Byłem po drugiej stronie. Wóz minął mnie w pędzie i zapalił światła. Przysięgnęłbym, że za kierownicą dostrzegłem twarz menela-komandosa i zęby wyszczerzone w uśmiechu. Udało mu się napędzić mi stracha! Kiedy po dobrej minucie uspokoiłem łomot serca, zorientowałem się, że jestem na posesji sąsiadów. Wykorzystując kraty i gzymsy dostałem się do siebie, a potem przez okienko piwniczne wróciłem do domu. Wycieczka pomogła. Zasnąłem błyskawicznie.

Najpierw zakolebał się świat. Potem wpadł ktoś, wołając, że bomba rozwalila dom w bezpośredniej bliskości szpitala, są zabici, ranni i zasypani. Kto żyw, w tym moja mama, wybiegł z podziemi nieść pomoc. Zaraz zorientowałem się, że musi to być sam koniec września. Hitlerowcy dokonywali przygotowania do ostatecznego szturmu na powstańczy Żoliborz. Samoloty już odleciały i można było rozpocząć akcję ratunkową. Solidarnie pomagali sobie ludzie z AK i AL. W pewnym momencie wraz z Różą zdaliśmy sobie sprawę, że postać wysokiego blondyna z bandażem na głowie jest nam doskonale znana.

– „Hektor”?

– „Narcyza”!

Padli sobie w objęcia. Urwanymi zdaniami opowiadali sobie o tym, co się im przydarzyło od dnia rozłąki. Jak się okazało od dość dawna znajdowali się niedaleko siebie.

Kamieniecki walczył najpierw na Powiślu, potem w Śródmieściu, ale kiedy mógł odwiedzić szpital Dzieciątka Jezus, już jej tam nie było, jakimś cudem nie spotkali się też na Starówce. Po przedostaniu się na Żoliborz walczył na Marymoncie, nie mając pojęcia, że i ona jest w tej dzielnicy. Obecnie po zdziesiątkowaniu oddziału zajmował się obroną ulicy Krasińskiego. Nie było jednak czasu na długie rozmowy, czekali ranni, a Niemcy wznowili ostrzał z dział.

– Jeśli wszystko będzie dobrze, spotkajmy się wieczorem – zaproponował „Hektor”.

Jak można przeczytać we wszystkich relacjach z tamtych lat, dwudziestego ósmego września pod wieczór raptownie ucichł ostrzał i nad Żoliborzem nastala głucha cisza. Tak dziwna, że aż strach. Dawała jednak szansę na odpoczynek, na sen...

Moja mama i Kamieniecki spotkali się w dużym, całkowicie pustym mieszkaniu przy ulicy Krasińskiego. Jego towarzysze wycofali się gdzieś dyskretnie. Po właścicielach od dawna nie było śladu, a szabrownicy rozkradli co mogli. Pozostały jednak łóżka, a nawet pościel... Słyszałem, wręcz czułem bicie ich serc. Mamie gdzieś jakimś cudem udało się umyć i założyć czystą sukienkę, Hektor musiał ogolić się jakąś wyjątkowo tępą brzytwą, bo na jego twarzy i szyi nie brakowało skaleczeń. Zmrok dopiero zapadał, usiedli naprzeciw siebie zakłopotani własną bliskością, a zarazem szalenie onieśmieleni. Zapytała o „Merkurego” i „Wulkana”, a także o Podlaskiego.

– Zadanie zostało wykonane – odparł sucho i niechętnie.

Zmieniła temat i zaczęła mówić, żeby zagłuszyć niezręczną ciszę, o swoich pielęgniarstwach doświadczeniach, kiedy on sam, widocznie po krótkiej walce z sobą, opowiedział jak było.

Chłopcy postanowili dokonać egzekucji poza terenem zabudowanym, kiedy jednak Podlaski z Macajem wyszli na odkrytą przestrzeń, musieli pozostać z tyłu. W pewnym momencie wpadli w panikę, sądząc, że zgubili ściganych wśród kęp i zarośli, zaczęli więc biec. Na szczęście komuniści

idący wśród wysokich traw porastających mokradła, pozostawiali wyraźny ślad. Grunt był tu grząski, niebezpieczny, tam i ówdzie czyhała zdradliwa topiel, pokryta delikatnym tylko naskórkiem darni. AK-owcy starali się nie robić wiele hałasu, jednak „Chudy Gienek” zorientował się, że są śledzeni. Nie miał broni palnej (na wypadek spotkania Niemców), miał jednak nóż, a posługiwał się nim znakomicie. Rozkazał iść Macajowi przodem i robić hałas, sam zaś poczekał przyczajony. Przepuścił idącego skokami od kępy do kępy „Wulkana”, po czym spadł na plecy „Merkurego”. Lewą ręką zatkał mu usta, prawą bezbłędnie trafił nożem pod żebro i wyrwał mu broń z ręki, wycelował... Szczęściem akurat „Wulkan” się potknął i strzał minął go o włos, błyskawicznie kucnął i odpowiedział ogniem. „Chudy” trochę go zlekceważył. Nie miał pojęcia, że w strzelaniu z broni krótkiej młody AK-owiec był mistrzem nad mistrzami. Trafiony w rękę i brzuch Podlaski osunął się na ziemię. Tymczasem w perspektywie wąskiego kanałku zamajaczyła uciekająca sylwetka Macaja. Duża odległość, ale... „Wulkan” strzelił i zobaczył jak młodzik pada.

Zawrócił do Podlaskiego. Jeszcze oddychał, ale oczy miał zamknięte, broń wypadła mu z ręki. Sądząc po ranie brzucha, nie miał szansy przeżyć.

– Nie potrafiłem go dobić – wyznał „Hektorowi”. – Zabrałem mu chlebak i dokumenty (nie miał pojęcia, że ważniejsze komunista ukrył w bucie). Potem klęknął przy „Merkurym”. Biedny chłopak nie żył. Nóż ugodził go prosto w serce. Nic nie mógł dla niego zrobić. Nawet pochować nie miał jak. Tym bardziej, że wiatr przyniósł jakieś nawoływania. „Wulkan” przestraszył się, świadom, że najważniejsze zadanie zostało wykonane, zawrócił...

– Naszym życiem rządzi przypadek – zakończył swą opowieść Kamieniecki. „Wulkan” należał do nieprawdopodobnych szczęściarzy. Nie zliczę ile razy udawało mu się wychodzić z najgorszych opresji. A poległ głupio, na Starówce, namawiając młodzież, aby nie pchała się do zdobycznego czołgu. Chyba jako jedyny podejrzewał, że to może być niemiecka pułapka. Zginął w czasie eksplozji...

– Nie wiem, czy to przypadek, czy wola Boża – powiedziała moja mama. – Chociaż często wydaje mi się, że wszystko ma jakiś sens. Nasze pierwsze spotkanie, nasze drugie spotkanie...

– Do trzech razy sztuka – zaśmiał się „Hektor” i nagle umilkł jakby poraziła go niestosowność własnych słów.

A potem już właściwie nie mówili. Zdali sobie sprawę, że nie potrzebują słów. Zauważyłem ten błysk w jego oku. Nagle dotarło do nich, że są dla siebie stworzeni i że teraz albo nigdy. Za oknem trwało zranione, zastygłe w wyczekiwaniu miasto. Nie mieli wątpliwości, że zbliża się ostateczny szturm, że praktycznie są bez szans. Moja mama bywała dotąd dość powściągliwa w przekazywaniu mi zarówno swoich intymnych uczuć, jak i fizycznych doznań, teraz jednak odsłoniła się zupełnie. W zaskakującym skrócie zobaczyłem jej marzenia i życie, które nigdy nie miało się im wydarzyć. Ślub u wizytek, podróż do Wenecji, dom nad rzeką, gromadę dzieciaków w ogrodzie i spacer alejką w Łazienkach dwojga bardzo starych i bardzo zakochanych ludzi w śnieżny dzień 1 stycznia roku 2000... Mogło się tak zdarzyć.

Nie mieli jednak czasu, ani na narzeczeństwo, ani na długotrwałe zaloty... Naraz zaczęli się całować, coraz śpieszniej, coraz bardziej gorączkowo. Potem rozbierać. Ściemniło się, a mimo to

doskonale widziałem jego nagie, muskularne ciało, a także ręce, piersi, nogi i łono mojej matki.

– Boże, jaka ty jesteś piękna – wyszeptał.

Nie miał chyba wielkiego doświadczenia w miłości fizycznej, Róża za to miała ich nadmiar. Ale nie było to ważne. Ich ciała odnalazły się błyskawicznie, reagując na każde drgnienie, każdą czułość, każdy impuls. Kiedy wchodził w nią, kiedy wypełniał ją sobą, poczuła szczęście nieporównywaną z niczym. Było w tym spełnienie i zatracenie zarazem, absolut i zachłanność, nade wszystko zdumienie, że można kochać aż tak, że nic innego się nie liczy. Ani wojna. Ani nadchodząca ciemną falą śmierć. W tym momencie w całym wszechświecie byli oni, tylko oni. No i ja, świadek tego wszystkiego, odczuwający bezbrzeżne wzruszenie, a nawet trochę zazdrość, że takiego spełnienia nigdy nie doznałem i nigdy chyba nie doznam. Naraz mężczyzna krzyknął coś spazmatycznie. Mogło to być zarówno „Kocham cię!”, albo „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”, albo „O Boże!”. Nie potrafię powtórzyć, bo równocześnie z ust mojej matki wyrwały się też trzy słowa.

– Maciek, Maciek, Maaaaciek...

Chwilę trwał stan uniesienia, upojenia, kiedy przeglądali się w swoich oczach, wisząc wysoko ponad światem, w połowie drogi do nieba. A ja byłem razem z nimi. Bliżej niż kiedykolwiek. Wtem stało się coś dziwnego. Wydało mi się jakby upadła bomba. Najpierw przeniknął mnie ostry błysk, jakby gigantyczny flesz lub wybuch atomówki. A potem ogarnęła mnie ciemność. Równocześnie poczułem jak niewidzialna więź łącząca mnie z myślami mojej matki bezpowrotnie pęka. Jak gwałtownie oddalamy się od siebie. Ja niczym kosmiczna rakieta wzbijam się nad tamtym miastem, nad tamtymi czasami i lecę nie wiedząc gdzie. Nadal spałem, i miałem tego świadomość, ale otaczał mnie absolutny mrok.

– Wielki Boże, tym razem naprawdę umarłem!!! Jakaś część mej jaźni, mądrzejsza od całej reszty, zaprzeczyła. „Bynajmniej. Ty się właśnie począłeś”.

Potem się obudziłem. Za oknem wstawał smutny, zimowy świt. Towarzyszyła mi dziwna, absolutna pewność, że nie będzie już więcej snów, zwidów i kontaktów z przeszłością, że komórka z pamięcią genetyczną mojej rodzicielki oddzieliła się definitywnie od jej ciała, opuściła jak taśma magnetofon, zaczęła dzielić się, dając początek nowej tożsamości i nowej pamięci. Już wiedziałem kim jestem, jak się naprawdę nazywam. Maciej Kamieniecki. Jak mój ojciec.

Szczęście w nieszczęściu, gwiazda zobaczona z dna studni? Powinienem tego dnia wstać z łóżka w zdecydowanie lepszym humorze niż ten, który towarzyszył mi ostatnio. Problem, który absorbował mnie od prawie pół roku, został rozwiązany. W dodatku informacja była niezwykle krzepiąca. Nie byłem synem komunistycznego aparaczyka, nie spłodził mnie Gomułka, Moczar, czy generał Sierow. Byłem dzieckiem poczętym z miłości, a mój ojciec... W źródłach dotyczących Armii Krajowej, którymi dysponowałem, to nazwisko i imię (dlaczego nie sprawdziłem wcześniej) pojawiało się kilkanaście razy. Po raz ostatni podczas walk na Żoliborzu. Według powstańczego indeksu opracowanego przez jednego z przyjaciół profesora Wierzchowskiego, Maciej Kamieniecki skapitulował razem ze swym oddziałem trzydziestego listopada na ulicy Krasieńskiego i trafił do obozu jenieckiego. Znaczek zrobiony ołówkiem przy jego nazwisku oznaczał, że został na Zachodzie. Brak daty śmierci dowodził, że w chwili sporządzania listy najprawdopodobniej jeszcze żył. Może dałoby się go odszukać? A mimo to czułem się jak rozbitek, który dopłynął do lądu, niby uratowany, ale bez sił. I trochę bez celu, który pasjonował mnie od pół roku. Bo co mogłem zrobić dalej?

Podczas dużej przerwy w pokoju nauczycielskim, jak zwykle kiedy nie było tam dyrektora, rozgorzał żarliwy spór między tymi, którzy uważali, że zaplanowany przez „Solidarność” strajk generalny zakończy się kolejnym ustępstwem władzy, a tymi, którzy utrzymywali, że w ostatniej chwili Związek jednak się cofnie, w ramach samoograniczającej się rewolucji. Nikt jakoś nie dopuszczał możliwości konfrontacji zbrojnej. Przecież rok temu Ruscy grozili interwencją w Polsce, a nie weszli... Oskarżenia o gromadzenie przez „Solidarność” broni nawet jej przeciwnicy uważali za groteskowe. Spieraliśmy się zawzięcie, kiedy do pokoju zajrzała pani Alinka, nasza sekretarka.

– Przyszedł ktoś do pana, panie Macieju – powiedziała.

Przeprosiłem koleżeństwo i poszedłem do wejścia.

Nie znałem przybysza. Nieduży człowieczek o wybitnie prowincjonalnym wyglądzie czekał na mnie u stóp rozłożystej palmy, chluby dyrektora Wernickiego, z kapeluszem w jednej, a z czarną staromodną teczką w drugiej ręce.

– Pan Podlaski? – zapytał, a gdy potwierdziłem przedstawił się. – Jan Olszak, notariusz.

Ponieważ dotąd nie miałem bliższego kontaktu z żadnym notariuszem, przez głowę przeleciały mi najrozmaitsze fantastyczne koncepcje o milionowym spadku, ale pan Olszak szybko rozwił moje nadzieje.

– Przybyłem, aby zgodnie z życzeniem mego klienta dostarczyć przesyłkę, do rąk własnych pana Macieja Podlaskiego, syna Eugeniusza i Róży z Kupidłowskich. Co niniejszym czynię. Mógłbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

– Zaraz! A kto jest tym klientem? – wyrwało mi się.

– Pan Ignacy Witkowiec – odparł notariusz. – To znaczy był. Muszę niestety wypowiadać się o

nim w czasie przeszłym. Zmarł tydzień temu w szpitalu w Świebodzicach na skutek kolejnego wylewu. Zlecenie, który złożył w mojej kancelarii, ciesząc się jeszcze wyśmienitym zdrowiem, polegało na tym, abym po jego ewentualnej śmierci dostarczył panu tę przesyłkę.

To mówiąc, wyciągnął z teczki niezbyt grubą kopertę.

– I... to wszystko? – zapytałem, nie kryjąc zdumienia.

– Tak jest, gdyby jeszcze był pan tak uprzejmy i pokwitował. O tutaj. Dziękuję.

Kiedy znalazłem się w domu, z ogromnym podnieceniem rozdarłem grubą kopertę, a następnie jeszcze drugą niewiele mniejszą. Nadawca najwyraźniej chciał, aby jego przekaz dotarł do mnie nieuszkodzony. Wewnątrz znalazłem kilkanaście kartek zapisanych dużymi czytelnymi literami przez człowieka wyraźnie nie nawykłego do pisania, ale zachowującego jasny umysł i dobrą pamięć. Pogрузyłem się w lekturze.

Szanowny panie Macieju!

Proszę wybaczyć, że tak nerwowo zareagowałem na pański telefon. Po prostu stchórzyłem. Pewnie wielu zachowałoby się podobnie jak ja. Nagle dopadło mnie to, o czym chciałem jak najusilniej zapomnieć, co ścigało mnie przez całe życie. Po namyśle jednak postanowiłem napisać do pana. Jestem jedyną osobą, która może opowiedzieć panu jak było naprawdę. Nie wiem, co wie pan o tamtych czasach, ale z pewnością nie wie pan wszystkiego, bo nie ma nikogo, poza mną, kto mógłby panu o tym opowiedzieć. I ja nie wiem wszystkiego. Pewnych rzeczy mogę się najwyżej domyślać. Jestem starym człowiekiem i nie mam wiele życia przed sobą. Może to czas, aby przestać się bać. Całe życie nie wierzyłem w Boga, ale lżej mi będzie umierać ze świadomością, że przynajmniej wobec pana jestem w porządku.

Kim jestem? Kiedyś byłem komunistą. Żarliwym i zaślepionym. Ale od kiedy umarł Stalin, kiedy zobaczyłem na własne oczy w 1956 roku, co się dzieje w Poznaniu, a potem był jeszcze przecież i gdański Grudzień, i radomski Czerwiec, i Sierpień 1980, moja wiara w lepszy, sprawiedliwszy ustrój złuszczała się jak cebula. Dziś pozostały jedynie łzy. Pochodziłem z rodziny z lewicowymi tradycjami, ojciec był w KPP, starszy brat poległ w Hiszpanii. Kiedy nastąpiła okupacja znalazł mnie jego kumpel, wprowadził w robotę i załatwił pracę w charakterze wykidajły w knajpie na Mazowieckiej. Od wiosny roku 1944 współpracowałem z pana matką, odbierałem od niej raporty i przekazywałem zadania. Chyba znała jedynie mój niezbyt wyszukany pseudonim „Ignac”. Nic więcej. Chociaż... nie wiem czy znalazłby się mężczyzna, którego by nie oczarowała. Nigdy jednak nie ośmieliłem się na poufałość. Po imieniu zaczęliśmy sobie mówić dopiero po wyzwoleniu...

Wiem, że tuż przed powstaniem otrzymała jakieś ważne zadanie, straciłem ją z oczu. Pod koniec drugiego tygodnia powstania kierownictwo wysłało mnie ze Starówki, do szpitala na Nowogrodzkiej, abym ją sprowadził. Nie znałem szczegółów, ani powodów, dla których „Olkowi” aż tak zależało, aby stawiała się w sztabie.

Później, kiedy dni Starego Miasta były już policzone, pomagałem jej w przedostaniu się na

Żoliborz. Tam, z tego co wiem, trafiła do szpitala. W trakcie kiedy przebywaliśmy razem mówiliśmy nieco o „Chudym Gienku” Podlaskim. Krążyły opinie, że był jej chłopakiem, niektórzy mówili nawet, że ktoś z kierownictwa udzielił im ślubu, ale w tej sprawie pewności nie mam.

Wiem, że w pierwszych dniach powstania ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo wychodzili ze skóry żeby go odnaleźć. Róża powtórzyła mi zasłyszaną w szpitalu opinię, że widziano go na Powiślu, a w dniu wymarszu ze Starówki, o zmierzchu, podczas ostrzału, „Narcyza” wskazała mi sylwetkę mężczyzny wśród ruin, grzejącego do Szkopów z automatu.

– Czy to nie Gienek?

Widziałem go przez sekundę, mogę stwierdzić jednak, że jeśli to nie był on, to facet miał sobowtóra. A może zadziałała potęga sugestii. W każdym razie, chwilę potem tuż obok nas eksplodował pocisk i wszystko przykrył kurz. Jeszcze w kanale Narcyza” powtórzyła ze dwa razy:

– Jestem przekonana, że to on.

Na Żoliborzu widywaliśmy się sporadycznie. Z tego co wiem, cały czas poświęcała rannym. Rankiem dwudziestego dziewiątego września Niemcy przypuścili szturm na Żoliborz. Zaląła nas prawdziwa lawina ognia. Od huku detonacji drżała ziemia, a mury trzęsły się w osadach. Potem ruszyły czołgi i piechota zmotoryzowana. Nasze punkty dowodzenia przestały istnieć. Domy i pojedyncze punkty oporu przechodziły z rąk do rąk. Sztabowcy jak żołnierze walczyli na barykadach.

Natarcie zostało jednak odparte, a pod wieczór walki ustały. I wtedy zobaczyłem po raz pierwszy od dość dawna pańską matkę, chodziła wśród żołnierzy AK i rozpytywała o jakiegoś „Hektora”. Nie знаła nazwy oddziału, którym dowodził. Udzielano jej różnych odpowiedzi. Podobno jakieś odosobnione grupki pozostały na terenie zajęтым przez Niemców, w klasztorze sióstr Zmartwychwstanek, także w zakładach Opla. Na mój widok „Narcyza” zmieszała się i zaczęła twierdzić, że szuka kuzyna, z którym widziała się wczoraj, i który nad ranem wyruszył w bój. Z jej zachowania wynikało, że ów kuzyn musi być jej bardzo bliski... Odprowadziłem ją do szpitala i z własnej inicjatywy dorzuciłem, że „nic nikomu nie powiem” albo coś takiego.

Wszyscy mówili o zaplanowanej ewakuacji. Dowództwo AK na czele z „Żywicielem” zdecydowało się skapitulować. Wkrótce miało się zacząć składanie broni, Niemcy zapewniali im status jeńców wojennych. Pojawiły się jednak wątpliwości, czy dotyczyć to będzie również Armii Ludowej.

Nasi dowódcy, „Aleksander” i „Zenon”, zdecydowali, że przebijamy się przez Wisłę. Kościuszkowcy z praskiego brzegu mieli dać nam wsparcie artyleryjskie i zapewnić łodzie. Rosjanie z kolei obiecywali sztuczną mgłę. Około 22 w rejonie ulicy Dygasińskiego zebrało się blisko pięćdziesiąt ludzi z AL. Większość znałem, ale zorientowałem się, że brak wśród nich Róży. Zawróciłem więc i rowem łącznikowym wróciłem pod szpital. Na Krasińskiego AK-owcy właśnie składali broń. Różę znalazłem w grupie lżej rannych.

– Na co ty jeszcze czekasz?! – krzyknąłem.

– Chyba powinnam tu zostać – spoglądała w stronę grupy kapitulujących żołnierzy, dla których wojna właśnie się skończyła..

– Oszalałaś – zawołałem z całą mocą. – Jako komunistkę rozwalą cię bez litości. Idziemy!

Pociągnięta, poszła za mną bezwolnie. Zaraz dołączył do nas starszy strzelec Karczoch, dwóch łez rannych i jeszcze dwaj powstańcy, nieznani mi osobiście, którzy korzystając z zawieszenia broni, jakoby przedostali się z Marymontu. Na Dygasińskiego było już pusto. Zza Wisły grzmiąły armaty, ale jeśli miało to być zapowiadane wsparcie, skutek tej kanonady nie mógł być wielki. Równocześnie ścichł ostrzał wału, tylko księżyc świecił wielki i zimny. Zaczęliśmy biec. Być może Niemcy sądzili, że ewakuacja jest zakończona, bowiem pierwsze strzały rozległy się dopiero, gdy znaleźliśmy się na szczycie wału, ktoś krzyknął i upadł. Nie zatrzymałem się. Biegając, obserwowaliśmy srebrzystą Wisłę i całą flotyllę łódek. Wszystkie odbiły już od brzegu.

– Zaczekajcie, zaczekajcie – zaczął wołać Karczoch. Ale kto mógł go wysłuchać. Dopadliśmy wodę. I przypadliśmy do mokrego piachu. Wszędzie dookoła walał się porzucony sprzęt, broń... Zaczęliśmy machać rękami w stronę odpływających. Ale nie było z ich strony reakcji. Co i rusz w powietrzu gwizdały kule.

– Co robimy? – zapytała Róża.

Rozglądałem się bezradnie, na prawo od nas widać było wrak statku osiadłego na mieliźnie, na lewo pusto.

– Patrzcie! – krzyknął naraz Karczoch. Kilkanaście metrów od nas pojawiła się niesiona z prądem łódź. Posiekana z broni automatycznej, przekrzywiona na bok, ale łódź. Wskoczyłem do wody. Wydała mi się lodowata. Za mną puścili się Róża, Karczoch i pozostali. W łodzi znaleźliśmy dwa trupy, sporo wody i ani jednego wiosła. Karczoch wyszukał jakąś deskę, która próbowała zastąpić wiosło. Pozbyliśmy się zwłok. Liczyliśmy na prąd. Powolutku zaczęliśmy się od oddalać od brzegu... Niestety posuwaliśmy się z prądem wzdłuż rzeki, a nie w poprzek. Przez kwadrans nie działało się nic szczególnego. Księżyc schował się za chmurę i spowił nas dobroczynny mrok. Niestety, na wysokości Bielan znowu zrobiło się widno. Na brzegu rozszczeł się karabin maszynowy. Dostrzeżono nas! Kule chwilę siekły wodę, potem dosięgły nas. Poczulem uderzenie i ognisty prąd, który rozszedł się po całym cieple.

– Do wody! – zawołał Karczoch. Za nim skoczyła Róża i może jeszcze ktoś. Ja nie mogłem się poruszyć. Na dnie przeciekającej łajby, z twarzą zwróconą ku księżycowi płynąłem gdzieś na północ. Ocalił mnie jakiś chłop z Łomianek, który znalazł mnie nieprzytomnego na brzegu. W jego chalupie przeżyłem zimę jak u pana Boga za piecem. Liżąc rany i dochodząc do siebie.

17 stycznia 1945 ruszyła wreszcie dawno zapowiedziana ofensywa radziecka. Dwa dni później znalazłem się w wyzwolonej Warszawie. Przeprawiłem się na Pragę, szukając starych towarzyszy. W jednym z biur spotkałem Różę. Musiała być tam jakąś sekretarką, a może tłumaczką. Wyglądała wyjątkowo ładnie, nabrała ciała, zaokrągliła się, w jej buzi, trochę dojrzałszej niż wcześniej, pojawiły się urocze dołeczki.

Jednak na mój widok w jej oczach pojawił się popłoch. Byłem zaskoczony taką reakcją. Półgłosem poprosiła, żebyśmy się gdzieś spotkali i porozmawiali. Obiecywała, że załatwi mi jakąś dobrą posadę. Niczego nie rozumiałem. Czego mogła się bać, na takim stanowisku, ze swoja przeszłością? Spotkaliśmy się wieczorem w jakiejś dziupli, trudno było nazwać mieszkaniem ten zrujnowany pokój, który jej przydzielono.

Pańska matka zapytała o moje losy, a następnie opowiedziała swoje. Po paru minutach w nurtach Wisły była przekonana, że to już koniec. Słabła, łapały ją kurcze. Na szczęście Karczoch wymacał nogami dno, natrafili na płyciznę. Brnąc w wodzie dotarli do piaszczystych łąch. Tam, kiedy wyczerpani i zziębnięci znaleźli się na brzegu, zorientowali się, że poza nimi nie ocalał nikt. Pańska matka trafiła do szpitala. Wprawdzie przyplątało się zapalenie płuc, ale jej organizm wyszedł z tego zwycięsko. Dostała posadę tłumaczki przy PKWN-ie, proponowano jej przyspieszone studia. Otwierały się przed nią wspaniałe perspektywy. Co zatem było powodem jej obaw?

– Chodzi o Gienka – wyjaśniła.

– Nie odnalazł się? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Gorzej. Skłamałam w jego sprawie.

– To znaczy?

– Podczas przesłuchania powiedziałam, że Gienek był w tej grupce z Marymontu, która wraz z nami przeprawiała się przez Wisłę.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia. „Narcyza” kłamała? Po co? Później, gdy dowiedziałem się, że osobiście przesłuchiwał ją po wyjściu ze szpitala generał Sierow, pojąłem, że każdy mógłby stracić głowę. Ale okazało się, że chodziło nie tylko o to.

– Jestem w ciąży – wyznała. – Chciałabym, aby myślano, że jest to dziecko Eugeniusza.

– A jest? – wyrwało mi się. I natychmiast pożałowałem tego pytania.

Spuściła głowę.

– Czy to ważne. Wydawało mi się, że tak będzie dla niego lepiej. Teraz nie wiem co robić, jedno twoje słowo wystarczy...

Ponieważ przeszła na ty odpowiedziałem jej podobnie.

– Jeśli chcesz, żebym potwierdził, że tamtej nocy towarzyszył nam „Chudy Gienek”, nie ma problemu.

Wywiązałem się z tej obietnicy przy pierwszej okazji. Ponieważ jako inwalida nie nadawałem się

na front, zaproponowano mi pracę przy poborze rekruta. Miesiąc później ukazała się broszurka Na pierwszej linii, o bohaterskim żołnierzu Armii Ludowej Eugeniuszu Podlaskim. Autor był mi nieznany, podejrzewałem, że za pseudonimem musiała ukrywać się sama „Narcyza”. Wedle zamieszczonej tam wersji, powstanie zastało Gienka na Powiślu, skąd po przedostaniu się na Starówkę, cudem przeżył uderzenie bomby w sztab, schwytany przez Niemców uciekł podczas egzekucji, przedostał się do Kampinosu, skąd dotarł na Marymont, tak, że w dniu kapitulacji mógł być obecny na Żoliborzu i zginąć podczas przeprawy, zasłaniając piersią ukochaną kobietę. Co ciekawe, choć ukochana pojawia się na kartach życiorysu parokrotnie, ani razu nie padało jej imię ani kryptonim. Całość niezłe napisana, robiła wiarygodne wrażenie. Może tylko trochę jak to się mówi, po babsku egzaltowane.

Ja sam wymieniony byłem tam pięć razy jako najlepszy przyjaciel bohatera, i choć było to niezbyt zgodne z prawdą, czułem się miło podbudowany. Oczywiście gdybym był świadom konsekwencji...

Z początkiem lipca 1945 odwiedziłem Was na Pradze. Byłeś dwutygodniowym berbeciem. Karmiła cię piersią Róża przypominała Madonnę. Towarzyszyła jej siostra Regina i jej kawaler, jakiś oficer. Od wczesnego dzieciństwa nie widziałem równie szczęśliwej rodziny.

Jednak kiedy tydzień później odszukała mnie w biurze i zaprosiła na spacer zdawała się zupełnie inną osobą. „Diabeł zmartwychwstał” – powiedziała niesłychanie poruszona. Gdy pytałem ją, co to znaczy rozplakała się i zaczęła mnie przeproszać, że wciągnęła mnie w to wszystko.

Pytałem, co oznacza to „wszystko”, ale nie chciała powiedzieć, sugerowała jedynie, abym jak najszybciej opuścił Warszawę, wyjechał na Ziemię Odzyskane, albo jeszcze lepiej za granicę.

– A ty? – zapytałem.

– Ja już nie żyję. A mój biedny Maciuś będzie kompletną sierotą!

Nie brałem tych lamentów serio, traktując je jako typowo kobiecą egzaltację. Oczywiście ani mi w głowie wyjazd. Kroił mi się właśnie awans...

Jednak to ona miała rację, a nie ja. Parę dni później zostałem aresztowany na ulicy i przewieziony do jakiejś wili pod Warszawą. Tam przesłuchiwali mnie: najwyżej czterdziestoletni Rosjanin i bardzo młody Polak. Nazwę go „szczeniakiem” – ujawnienie jego nazwiska przyniosłoby nieszczęście nam wszystkim. Interesował ich przede wszystkim „Chudy Gienek”. Na ile go znałem, jak zginął?

Powtórzyłem toczka w toczkę wersję z broszury i wtedy szczeniak syknął:

– Ile ci zapłacono?

– Co ile, za co?

– Za zdradę i za udział w zabójstwie Eugeniusza Podlaskiego.

Ponieważ zrobiłem wielkie oczy „szczeniak” wyjaśnił:

– Pierwszego sierpnia ubiegłego roku „Chudy Gienek” został skrytobójczo zamordowany przez faszystów z AK. Byłem świadkiem tego zdarzenia.

Ziemia otwarła się przede mną. Próbowałem iść w zaparte. Daremnie. Przesłuchujący umiejętnie podsycili mój gniew na Różę, która mnie w to wrobiła.

– Dlaczego – mówili – masz iść pod mur za zdradę jakiejś faszystki?

Po paru godzinach tego maglowania pękłem. Czulem się jak Judasz, ale powiedziałem wszystko: i jak Róża zasugerowała mi, że Gienek walczył na Powiślu, i jak wmówiła mi spotkanie na Starówce, i wreszcie jak skłoniła do potwierdzenia jego udziału w przeprawie.

Czulem się strasznie podle, ale milczący dotąd Rosjanin pogratulował mi postawy i w zamian za puszczenie w niepamięć „tego drobnego kłamstwa”, zażądał przysługi, jak zaznaczył, drobnej.

– Zadzwońcie do Kupidłowskiej i umówcie się z nią na spotkanie. Jest w Starej Miłosnej lokal „Szafa gra”. Zasugerujcie, że jutro wieczorem wpadnie tam facet, który może przerzucić was za granicę.

Mój opór przelamała obietnica, że nie będę musiał nawet tam jechać.

Zrobiłem co kazali. Parę dni później dowiedziałem się o jej śmierci. Do końca życia będę się gryzł, czy gdybym jej posłuchał i natychmiast uciekł, wszystko nie potoczyłoby się inaczej.

Z tej rady skorzystałem dopiero po jej śmierci. Wyjechałem na Dolny Śląsk. Nie zabiegałem o awanse. Nie chciałem, aby kiedykolwiek „szczeniak”, czy ktoś mu podobny, przypomniał sobie o mnie...

To wszystko, panie Macieju. Zmęczyłem się. Nigdy nie napisałem równie długiego listu. Niestety nie mam pojęcia, kto mógł być pana ojcem. Ale sądząc po matce, musiał to być naprawdę nieprzeciętny gość.

Z poważaniem

Witkowiec Ignacy.

** * **

Jak nie wierzyć w przypadki? A może raczej w Naczelnego Reżysera, który gdzieś wysoko z bezbłędnym wyczuciem dramaturgii rozpiął nasze role i ustalił kulminację akcji. Czy na karb przypadku należy złożyć fakt, że list Witkowca otrzymałem w momencie, kiedy śniona historia dobiegła do końca. Skąd wiem, że do końca? Nie wiem skąd wiem, ale jestem pewien.

Jednak Wielkiemu Scenarzyście i tego było za mało. Następnego dnia, w piątek rano jak zwykle w drodze do szkoły w kiosku obok kościoła kupiłem „Życie Warszawy”. Od pewnego czasu gazeta, kiedy zlikwidowano „Życie i Nowoczesność”, po starym spisała, ale wolałem wypełniać okienko między drugą a czwartą lekcją „Życiem” a nie „Trybuną Ludu” czy „Żołnierzem Wolności”. Przestudiowałem artykuły na temat aktualnych konfliktów, linii walki i porozumienia, ale nie znalazłem niczego bulwersującego. Już miałem odłożyć dziennik, kiedy wzrok mój wyłowił informację na jednej z dalszych stron. Tekst był krótki: „Na zaczynający się właśnie Kongres Kultury Polskiej przybył znakomity gość. Światowej sławy genetyk amerykański polskiego pochodzenia, profesor Maciej Kamieniecki. Po raz pierwszy w Polsce od wojny...”

Zakręciło mi się w głowie. Przeczytałem tekst powtórnie. Oczy mnie nie myliły. Pobiegłem do szkolnej biblioteki, oczywiście w wielotomowej encyklopedii PWN nie zamieszczono biogramu naukowca. Jego nazwisko znalazłem natomiast w książeczce z biblioteki Omegi poświęconej współczesnej genetyce. Cytowano tam trzy główne prace profesora, a także zamieszczono krótką notę: „Maciej H. Kamieniecki, ur. w 1923 r. w Warszawie, prof. genetyki na Columbia Uniwersyty w NY. Już pięć lat temu kandydat do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny...”

Mój tata.

Nagle wszystko inne stało się nie ważne. Musiałem się z nim spotkać. Zadzwoiłem do Adamskiego, pytając o program Kongresu Kultury. Miał go przed sobą. Przemówienie profesora Kamienieckiego przewidywane było na niedzielne przedpołudnie.

– Nie wiesz, czy mógłbym się z nim jakoś skomunikować?

– Proponuję, abyś zadzwonił do profesora Klemensa Szaniawskiego, albo do Stefana Bratkowskiego.

– Daj spokój, nie będę zawracał głowy TAKIM ludziom...

– No dobra, spróbuję się dowiedzieć gdzie się zatrzymał. Jak mogę cię złapać?

Podaliśmy mu telefon pokoju nauczycielskiego. Oddzwonił po kwadransie.

– Jest w Warszawie od wczoraj. Zamieszkał w hotelu Victoria. Znalazłem dla ciebie numer telefonu na recepcję...

– Dzięki Ryśku!

* * *

– Pan Profesor Kamieniecki? – zapytałem, kiedy telefonistka połączyła mnie z jego pokojem. Serce waliło mi jak na pierwszej randce. A może mocniej.

– Tak jest. Czym mogę panu służyć? – zapytał. Mój ojciec mówił znakomicie po polsku, zachował w dodatku ową rzadką przedwojenną dykcję, jaką słyszy się jedynie na archiwalnych filmach.

Właściwie powinienem złapać byka za rogi i przedstawić się: „Tu pański syn Maciej Kamieniecki, junior!”, ale stchórzyłem i wybrałem półśrodek.

– Nazywam się Maciej Podlaski i jestem synem Róży Kupidłowskiej...

Teraz on westchnął.

– Mój Boże, Róża...

– Wiem, że poznaliście się państwo podczas okupacji.

– To chyba nie najwłaściwsze słowo. Nasza znajomość była nadzwyczaj krótka, ale... – wyraźnie szukał właściwego słowa. – Róża była w moim życiu kimś niesłychanie ważnym. Nie wiedziałem, że miała syna – dodał po ledwo dostrzegalnej pauzie.

– Urodziłem się już po powstaniu.

– Ach tak! – powiedział. – Nie wiedziałem (czy stanęła mu w tym momencie przed oczyma egzekucja Podlaskiego?).

– Zupełnie niedawno zainteresowałem się rodzinną genealogią i dowiedziałem się o panu.

– O mnie? – wydawał się być zaskoczony. – Z tego co udało mi się ustalić przez Czerwony Krzyż pańska matka umarła niedługo po wojnie.

– Została zamordowana! – stwierdziłem dobitnie.

Znów na chwilę odebrało mu mowę.

– Chyba powinniśmy się spotkać – rzekł w końcu.

– Bardzo tego pragnę. Jestem do dyspozycji w każdej chwili.

– To znakomicie – zapalił się, ale po chwili zauważył ze smutkiem. – Możemy się spotkać, ale nie zaraz. Za kwadrans samochód zabiera mnie do Krakowa, mam tam odebrać doktorat honoris causa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Swoją drogą jak się te czasy zmieniają.

– Rozumiem, najpierw obowiązek!

Chyba odczuł żal w moim głosie, bo dodał:

– Naturalnie musimy spotkać się po moim powrocie. Na przykład... Co by pan powiedział na niedzielę? Wygłoszę wykład na kongresie i wczesnym popołudniem będę wolny. Zamierzam zresztą zabawić w Polsce do końca roku. Tyle sentymentalnych miejsc pragnęłoby się odwiedzić.

Powinienem dorzucić „razem z synem”. Ale rzekłem jedynie:

– Nie będę mógł się doczekać.

Chciałem się rozłączyć, ale Kamieniecki z własnej inicjatywy mnie powstrzymał.

– Jest pan może w Śródmieściu.

– Mogę być.

– Mamy w pół do jedenastej, myślę, że nic się nie stanie jeśli opóźnię mój wyjazd o pół godziny.

Zdąży pan?

– Bez trudu.

Wernickiemu skłamałem, że Basię pogotowie zabrało do szpitala, a po chwili pędziłem jak na skrzydłach w stronę Śródmieścia.

Milicja zatrzymała mnie zaraz za rondem Waszyngtona.

– Z jaką szybkością jeździ się po mieście? – zapytał rosły gliniarz z wąsikami.

– Wiem, panie władzo, przekroczyłem prędkość, ale śpieszyłem się do szpitala, do córki. Chętnie zapłacę. Ile?

Zignorował zarówno próbę usprawiedliwiania, jak i korupcyjną propozycję. Długo, bardzo długo oglądał moje dokumenty. Chodził z nimi do radiowozu, chyba coś sprawdzał, wreszcie zapytał.

– Dużo piło się wczoraj?

– Ani grama. Mogę chuchnąć.

Znów poszedł do wozu z szybkością kulawego ślimaka i wrócił z balonikiem. Dmuchałem.

– W samej rzeczy jesteście trzeźwi. Pogratulować!

– Mówiłem, bardzo chętnie zapłacę mandat.

Obszedł samochód, oglądając go uważnie.

– Światło stopu macie pęknięte.

– Ale działa. Wymienię przy najbliższej okazji.

Przyklęknął.

– I opony łyse.

– Jak to łyse – oburzyłem się – wymieniałem pół roku temu.

– Jak mówię, że łyse to łyse.

Znów zniknął w swoim samochodzie. Liczyłem upływające minuty. Chciało mi się płakać. Wreszcie wrócił.

– Macie niezapłacony mandat z września.

– Ja, niemożliwe!... Zaraz, może żona... – przypomniało mi się, że Grażyna wspominała, że złapano ją gdzieś za złe parkowanie. – Trudno, jak trzeba zapłacę hurtem.

– Wasza wola – znów pisał długo, bardzo długo. – A właściwie, czy to wasze pierwsze wykroczenie w tym roku?

– Pierwsze!

– W takim razie należy się tylko pouczenie.

Wygłosił odpowiednią sentencję, zapisał coś w notesie i podarł mandat. Na ulicy było chłodno. Ale w środku cały płonąłem.

– Mogę już jechać?

– Naturalnie – zsalutował. – Szerokiej drogi obywatelu.

Wskoczyłem do samochodu, chciałem zapalić kiedy znów na mnie zamachał.

– A wasze dokumenty, chcecie jechać bez dokumentów?

Znów zniknął na pięć minut.

Kiedy wreszcie zziąjany znalazłem się w Victorii od telefonu do mojego ojca upłynęło bite półtorej godziny. Po „Hektorze” ani śladu.

Kręciłem się po pustawym hallu, kiedy podszedł do mnie recepcjonista.

– Pan Podlaski?

– Tak.

– Profesor Kamieniecki nie mógł dłużej czekać na pana. Ale obiecał, że będzie miał dla pana czas w niedzielę. O piętnastej.

Jak balon, z którego wypuszczono powietrze, opadłem na jeden z hotelowych foteli opodal starszawego gościa z wielkim brzuchem i kozią siwą bródką zaczytanego w „Prawdzie”, a może „Izwestii”. Nieoczekiwanie zagadał do mnie łamaną polszczyzną.

– Izwientie. Zdaje się, że spóźnił się pan na spotkanie?

Potwierdziłem.

– Wot oszybka. Profesor Kamieniecki jest bardzo punktualny. Współpracuję z nim od lat, więc wiem. Jak na niego, czekał na pana oczeń dołgo.

– Miałem kłopoty z samochodem – wymamrotałem.

– Zdarza się. Ale jak wy to mówicie, co się dowlecze... Pan tożę zajmuje się genetyką?

– Nie, nie, jestem geografem.

– Interesnoje – nagle wyciągnął do mnie rękę. W zestawieniu z potężnym gargantuicznym brzuchem, suchą i malutką. – Izwienitie, nie przedstawiłem się, Iwan Mojsiejewicz Dawidow. Wykładam gienetyku na Uniwersytecie Łomonosowa.

– Ach tak – powiedziałem grzecznościowo. Udało mi się już złapać oddech i nie zamierzałem kontynuować rozmowy. Rosjanin nie nalegał. Wstał, by się pożegnać, a nawet doprowadził mnie do drzwi hotelu.

– Można skazać, że z doktorom Kamienieckim zajmujemy się podobną kwestią. Pamiatią genetyczną u ssaków. Interesnaja tiema.

– Jak dla kogo!

Wybiegłem z hotelu.

* * *

Sobotę dwunastego grudnia miałem wolną. Grażka i Basia pojechały do teściowej, nareszcie mogłem powylegiwać się aż do południa. Po raz pierwszy od pół roku nic nigdzie mnie nie goniło. Powoli układałem plan niedzielnej rozmowy z „Hektorem”. Spadał mi z nieba. Dzięki niemu będę mógł przekazać na Zachód moje ustalenia. Z satysfakcją myślałem o kłopotach Macaja, kiedy moje rewelacje o nim ukażą się w paryskiej „Kulturze”. A ile jeszcze czeka mnie pracy, żeby cała prawda o tamtych czasach dotarła do społeczeństwa... Ale dotrze.

Okolo dwunastej piętnaście rozległ się dzwonek u drzwi.

Bardzo się zdziwiłem, gdy do mieszkania wszedł Janisz. Zarumieniony od mrozu i trzeźwy jak świnia. Byłem więcej niż zaskoczony tą wizytą. Nie odwiedzał nas od bardzo dawna.

– Co wuja tu sprowadza? – zapytałem.

– Byłem w okolicy... – zaczął, ale urwał i sprawdził, czy na pewno zamknął za sobą drzwi. – Usiądźmy – wskazał mi moją własną kanapę, sam też przycupnął obok, nie ściągając kożucha. – Musimy porozmawiać.

– O czym?

– O tym, kim jesteś. Chciałeś przecież się dowiedzieć.

– Od naszego ostatniego spotkania sporo się zmieniło. Właściwie wiem prawie wszystko, co chciałem wiedzieć.

Prychnął tylko.

– Gówno wiesz, synku!

– Wiem, kim był mój ojciec.

– To akurat nie ma w sprawie większego znaczenia. Zresztą w gruncie rzeczy ja w innej sprawie. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął niewielką granatową książeczkę.

– Parę miesięcy temu chciałeś wyjechać do Niemiec, złożyłeś podanie o paszport i wizę.

– Złożyłem i dostałem odmowę. Władza ludowa nie ma do mnie zaufania i poskaąpiła mi tej łaski.

– Bywa. Ale żyjemy w czasach cudów. Mam dla ciebie miłą niespodziankę. Władza, do której masz tak niechętny stosunek, zmieniła zdanie. Możesz wyjechać nawet dzisiaj.

– Z niedowierzaniem zajrzałem do paszportu. Wszystko się zgadzało. Moje zdjęcie, pieczętka „Wszystkie kraje Europy”, wiza Republiki Federalnej Niemiec...

– Ale jak to możliwe? – wyksztusiłem.

– Powiedzmy, że położyłem na szali cały mój dorobek, autorytet i trochę pieniędzy. Są jeszcze ludzie, którzy coś mi zawdzięczają i poczuwają się do obowiązku zrewanżowania.

– Bardzo dziękuję, wuju. Chętnie pokryję wszystkie wydatki.

– Daj spokój, dzieciaku. To dla mnie drobiazg! – klepnął mnie po kolanie i zaraz twarz mu spoważniała. – Mam tylko jeden warunek. Wyjedziesz jeszcze dziś – widząc moje zaskoczenie, dorzucił – natychmiast. Tu masz pieniądze. Na początek dwa tysiące...

Wetknął mi w rękę zwitek banknotów studolarowych. Ze strony zaprzysięgłego komunisty zakrawało to na żart. A może zresztą to był żart, dlatego zapytałem.

– Co znaczy dla wuja, zaraz?

– Dziś. Powiedzmy w ciągu godziny.

– A Grażka, a Basia? – patrzyłem na niego jak na wariata. W swoim kozuchu zaczął się pocić, ale rozebrać nadal się nie zamierzał.

– Dojadą do ciebie kiedy tylko zechcesz. Świat jest mały, człowiek z człowiekiem zawsze się zejdzie. Proszę jednak, dziś pomyśl o sobie.

Mówił trochę mętnie, ale mimo to był przekonujący. Pod pozornym spokojem malującym się na czerstwej twarzy Janisza wyczuwałem strach. Co tu było grane?

– Może przynajmniej wyjaśni mi wuj o co chodzi?

– Nie mogę ci niczego wyjaśnić. Niech ci wystarczy jedno – kocham cię, synu!

Zobaczyłem, że drżą mu palce. Podszedł do barku, otworzył go, w pękatej butelce z koniakiem bułgarskim „Slancev briag” została mniej więcej jedna czwarta trunku. Wypił ją jednym duszkiem. Z gwinta.

– Ale skąd taki pośpiech – dopytywałem się. – Dlaczego nie można z tym poczekać do poniedziałku.

– Bo ja cię o to proszę. Bardzo proszę!

Doskonale wiedziałem, że wuj nie żartuje. Pułkownik nigdy nie rzucał słów na wiatr. Czyżby rzeczywiście bał się o mnie, może dzięki swym ubeckim kontaktom doskonale wiedział, że coś mi grozi. Znowu poczułem lodowate dotknięcie strachu. Zabili Witkowca, Ruczajską, dlaczego miałbym liczyć na jakieś szczególne względy? Nawet jeśli uznawano mnie za syna bohatera? Dotarłem do prawdy i zapewne o tym wiedzieli. Janisz robił co mógł, ale nie mogłem oczekiwać od niego wyjaśnień. Znowu się pomyliłem.

– A właściwie, co wiesz o śmierci twojej matki? – Janisz raptownie zmienił temat.

– Tyle, co podała ówczesna prasa – odparłem zaskoczony.

– Czyli?

Wyciągnąłem fotokopię gazetowego wycinka. Na marginesie było napisane długopisem „Życie Warszawy” 23 lipca 1945 roku.

„Wczoraj w godzinach wieczornych na ulicy Sportowej w Aninie, samochód potrącił kobietę jadącą na rowerze, 22 letnią Różę R. Kobieta zmarła na miejscu wskutek poniesionych obrażeń. Sprawca zdarzenia zbiegł. Świadców nie było...”

– Taaak – mruknął przeciągle pułkownik. – Nie było żadnych świadków. Wieczorna pora, po obu stron las, górka przez Miłosną, żadnego ruchu... – a potem dodał z pewnym wysiłkiem – oglądałem jej ciało przed pogrzebem. To nie było potrącenie.

– Jak to? – podskoczyłem. Domyślałem się tego od dłuższego czasu, ale zaskakujące dla mnie było, że mówi mi to właśnie wuj Mirek. Pułkownik Janisz z Informacji Wojskowej.

– Samochód dosłownie przejechał po niej. Mogę mieć tylko nadzieję, że wtedy już nie żyła.

– Dzięki Bogu.

– Ja bym nie dziękował, synku. Zanim umarła poddano ją bardzo dokładnej obróbce, zerwano paznokcie, wybito zęby. Kilkakrotnie zgwałcono.

– Chryste. I wyście to zrobili?!

– Nie my! Ruscy! – powiedział głucho.

– Na jedno wychodzi!

Wuj Mirosław westchnął.

– Co ty wiesz, synku, o tamtych czasach, co ty wiesz?

Chciałem powiedzieć, że dużo wiem, że znam człowieka, który stał za tą zbrodnią i innych, którzy ją zlecili, ale ugryzłem się w język. Zamiast tego zapytałem.

– A wie wuj przynajmniej dlaczego to zrobiono?

– Gdybym wiedział też pewnie bym nie żył – odparł powoli. – Są informacje, które zabijają. Dlatego proszę cię, synku, wyjeżdżaj. Masz paszport, pieniądze, ruszaj natychmiast. Teraz! Jedź najkrótszą drogą na Poznań. Jak się pospieszysz, przed dwunastą będziesz na granicy. Postaraj się ją przekroczyć przed północą...

Nie pojmowałem dlaczego tak silnie akcentuje tę północ. Ale akurat tego mi nie powiedział. Objął mnie za to mocno. Niczym stary zmęczony niedźwiedź. Rzadko pozwalał sobie na takie wybuchy czułości. Naraz na chwilę znowu znalazłem się gdzieś we wczesnym dzieciństwie, na stokach Kasprowego, w górach Stołowych, może w Karkonoszach. W epoce kiedy wydawało mi się, że wszyscy ludzie są dobrzy, świat rozsądny, i wystarczy być grzecznym, by nigdy nie oberwać pasem. Osunąłem się z jakiejś skałki, pojechałem na brzuchu parę metrów i wzywając pomocy, wisiałem wczepiony palcami w skalny występ. I wuj nie zawahał się i pośpieszył mi wtedy z pomocą.

– Napisz do mnie jak tam już będziesz, przyslij mi pocztówkę z tą pieprzoną Bramą Brandenburską widzianą od zachodu – powiedział mi do ucha, jeszcze raz klepnął w plecy i wyszedł. Lodowaty powiew wdarł się na moment do mieszkania. I zaraz roztopił się w rodzinnym ciepełku.

Może rzeczywiście powinienem wyjechać – pomyślałem. Z Martą skończone. Nad „Solidarnością” gromadzą się chmury. Nie ma szans na porozumienie narodowe. W szkole zaproponowano, żebym się politycznie sprostytuował. A zasygnalizowana groźba wygląda na całkiem realną. Jeśli coś powstrzymywało mnie, to tylko sprawa umówionego spotkania z moim ojcem. Już jutro. Jeden dzień zwłoki... Jednak skoro Janisz tak nalegał... Chyba mnie przekonał. W końcu z profesorem Kamienieckim mogę spotkać się także za granicą. W dowolnym punkcie globu. Ciekawe, jak bardzo się zdziwi, gdy dowie się, że ma trzydziestosześcioletniego syna...

Usiadłem i najszybciej jak mogłem uzupełniłem zapiski w brulionie. Uwinąłem się w godzinę. Zadzwoniłem do Adamskiego, chcąc by zdeponował moje notatki u siebie w Regionie, po co mieliby skonfiskować mi moje dzieło na granicy.

– Rysio jest w Gdańsku na „krajówce” – powiedziała jakaś dziewczyna. Pech. Zadzwoiłem do Międzylesia na Hafciarską. Ale „kurier” polecony przez panią Ruczajską nie wrócił jeszcze z zagranicy. Wierzchowskiej również w domu nie zastałem. A Marta? Jeszcze przeczyta i spali.

Patrzę na zegarek. Dochodzi druga. Najwyższy czas jechać. Przy możliwościach mojego malucha o siódmej będę w Poznaniu, o jedenastej powinienem wyrobić się do granicy. Kartkę „Odezwę się, kocham was” zostawiam na kredensie. Na więcej mnie nie stać. Z zaskoczenia wpadnę do Jurka Stręczyńskiego. Może nie odmówi i przechowa. A co potem. Jeden Bóg wie. Strasznie dużo dowiedziałem się ostatnimi czasy. Ale czy jestem przez to szczęśliwszy?

Po trzech miesiącach dopadło go zwątpienie. Trudno się dziwić. Czas spędzony w Instytucie Pamięci Narodowej nie wniósł niczego nowego do jego poszukiwań, mimo życzliwości zastępcy szefa działu archiwów i samego dyrektora. A tak wiele obiecywał sobie, podejmując tę pracę. Gdzie, jeśli nie tutaj, miał znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie? W końcu dla swej chorobliwej pasji zamiast grać w piłkę, czy oddawać się zabawom komputerowym, jeszcze w podstawówce zainteresował się historią, wygrywał kolejne olimpiady, studiował pilnie na UW i jako posiadacz indeksu ze średnią 5,0 nie pojechał na stypendium do Oxfordu.

Wszystko okazało się ściganiem cienia. Po Macieju Podlaskim w archiwach nie zachowało się praktycznie nic – ot, dokumenty paszportowe, odpisy urzędowej korespondencji z rodziną, natarczywie domagającą się kontynuowania poszukiwań i pusta teczka „figuranta”, wyczyszczona na długo przed Okrągłym Stołem.

– Jesteś taki sam jak ojciec – gderала matka Adama, na wszelkie sposoby próbująca ostudzić zapędy „młodego śledczego”. – Chcesz wszystko wiedzieć? A człowiek im więcej wie, tym staje się głupszy?

– To po co mama robiła habilitację? – odcinał złośliwie, narażając się na wykład o wyższości nauk ścisłych nad subiektywną humanistyką.

Sam nie wiedział skąd wziął się u niego ten zapal do z góry przegranej sprawy. Chyba musiał się z tym urodzić, bo nikt nigdy nie rozbudzał w nim zainteresowań tego typu. Ani dziadek Waclaw, obecnie rekin przemysłu paliwowego, ani matka, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, kanclerz wziętej prywatnej uczelni. Siostra Barbara też była osobą żyjącą bieżącym dniem. I nieźle na tym wychodziła. Była prezenterką w ekskluzywnym kanale TVN 24, prywatnie żoną senatora. Na ich tle Adam wyglądał na ewidentnego odmienca. Dlaczego? Może sprawiły to dziwne sny, trapiące go od dzieciństwa, a może... Kiedy miał siedem lat oglądał w telewizji jakiś koncert muzyki poważnej. Obserwował stado tych wyfraczonych pingwinów i nagle utkwiał wzrok w posągowo pięknej wiolonczelistce.

– Marta! – powiedział sam do siebie.

Wiele lat później sprawdził, że wiolonczelistka naprawdę miała na imię Marta, a jeszcze później poznał jej córkę... Ale to całkiem inna, ciągle niedokończona historia.

Zagadką dla niego samego był spontaniczny wybór tematu pracy magisterskiej. Nie potrafiłby powiedzieć skąd najpierw wzięła się koncepcja, aby zająć się biografiami Polaków, którzy odnieśli sukces w świecie i zachowali kontakty z krajem i wspomagali jego transformację. Początkowo myślał o profesorze Brzezińskim, lub o Janie Nowaku Jeziorańskim, ale w rozmowie z promotorem, nieoczekiwanie dla siebie, zaproponował profesora Kamienieckiego. Skąd wziął to nazwisko. Ze snu? Jego promotor w pierwszej chwili zaskoczony, później gorąco pochwalił wybór magistranta. Sędziwy genetyk należał do ludzi niesłychanie zasłużonych w pracy dla Polski. Pomagał solidarnościowej opozycji w stanie wojennym, lobbował w Waszyngtonie, gdy ważyło się polskie

uczestnictwo w NATO... W trakcie dwóch lat korespondowania dwukrotnie się spotkali, raz w Wiedniu, raz w Sztokholmie. Kamieniecki udzielił mu cennych uwag i zaprosił do odwiedzenia go w Stanach.

Latem 2005 roku, już po dyplomie, Adam przyjechał do rezydencji profesora w malowniczym Key West. Spędził na tej malowniczej wysepce cały miesiąc, nie przejmując się nawet szalejącym cyklonem Katrina, który zresztą przeszedł bokiem i całą swoją furię wyładował na Nowym Orleanie.

Profesor Kamieniecki od lat żył samotnie, ale nie miał duszy odludka. W dodatku, mimo ukończonej osiemdziesiątki, zaskakiwał młodzieńczą witalnością. Obok dysput poświęconych genetyce i historii, potrafił korzystać z życia. W trakcie tych wakacji wybrał się z Adamem na połów merlina, czego efektem było wyciągnięcie 250 kilogramowego potwora. Wspólnie zażywali rozkoszy *scuba divingu* i przemierzyli kajakiem mokradła Everglades. Ostatniego dnia wizyty wydało się wreszcie, dlaczego Kamieniecki tak miło podjął u siebie młodego magistranta. Pokazał mu zamknięty na co dzień pokój, w którym obok zbioru militariów z II wojny światowej i pamiątek z Powstania Warszawskiego uwagę przykuwał portret przepięknej młodej dziewczyny w błękitach, który profesor nabył przed laty na jakiejś aukcji w Republice Federalnej Niemiec. Wprawdzie malarz, Otto Knapp, nie zapisał się w historii malarstwa portretowego, jednak to jego dzieło posiadało głębię i emanowało jakąś metafizyczną siłą, właściwą obrazom z poprzednich stuleci. Adamowi namalowana kobieta wydała się znajoma.

– To twoja babka Róża – powiedział cicho profesor. – Gdybyśmy się spotkali w innych czasach...

Potem rozmawiali o Macieju Podlaskim. I o spotkaniu, do którego nie doszło.

– Byliśmy umówieni trzynastego grudnia, ale twój ojciec nie zjawił się w hotelu – wyznał profesor. – Myślałem, że podzielił los innych solidarnościowych działaczy i został internowany poprzedniej nocy. Ale nie. Nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej. Po paru dniach spędzonych w przypadkowym hotelu (w Victorii zakwaterowano batalion ZOMO), bez telefonu, ze świadomością, że jest się non stop obserwowanym, zmuszono mnie do opuszczenia Warszawy. Próbowałem nawet stąd interesować się jeszcze jego losem, ale jedyne czego dowiedziałem się to to, że zginął...

Adam w rewanżu opowiedział o swoich próbach wyjaśnienia zagadnienia zniknięcia ojca, które także spełzły na niczym.

– To dla ciebie bardzo ważne? – spytał Kamieniecki patrząc mu prosto w oczy.

– Bardzo, czasami nawet mam wrażenie, jakby żądał tego ode mnie, a czasem... – umilkł jakby przeraził się swej szczerości.

– Mów! – rozkazał genetyk.

– Wydaje mi się, że on ciągle żyje.

– W każdym z nas żyją wszyscy nasi przodkowie. Chyba taki jest sens posiadania dzieci... Ale...

Późna pora się zrobiła. Dobranoc, Adamie.

Następnego dnia kierowca Kamienieckiego, kubański emigrant Raul Sanchez, odwiózł Adama na lotnisko w Miami. Żegnając się na schodach rezydencji, Podlaski zaprosił profesora do odwiedzenia Polski.

– Jak Bóg pozwoli, przyjadę w rocznicę powstania – odpowiedział „Hektor”, a potem zadał interesujące pytanie. – Czy znasz może datę urodzenia swojego ojca?

– Naturalnie, pierwszy lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

Profesor dłuższą chwilę milczał, trzymając dłoń młodego mężczyzny w swojej. Potem przycisnął Adama mocno do siebie i dodał:

– A zatem, do zobaczenia w Polsce.

Jednak ten sympatyczny kontakt nie mógł pomóc mu w rozwikłaniu tajemnicy zniknięcia Macieja Podlaskiego. A inni? Od kiedy zaczął interesować się tą sprawą nie bardzo miał z kim o tym porozmawiać. Dziadek Janisz zmarł jesienią osiemdziesiątego piątego roku wskutek, jak mówiono, przypadkowego postrzału. Czyścił broń. A ta wypaliła. Bywa. Znamienne, że stało się to akurat w dniu odnalezienia koło tamy we Włocławku ciała księdza Popiełuszki. Czyżby tamtego dnia coś w starym ubeku pękło? Jego żona Regina zmarła parę lat później w domu starców, na raka płuc. Grażyna, która ją odwiedziła na krótko przed śmiercią, opowiadała, że ciotka wyglądała na stuletnią staruszkę, mimo że nie skończyła jeszcze siedemdziesiątki.

Matka mówiła niechętnie o swym mężu. Chociaż na tyle, na ile pamiętał nigdy nie stosowała zwrotu „zmarł”. Najczęściej używała formułę „opuścił nas”. Pokazywała wtedy pożółkły kawałek papieru, spełniający rolę listu pożegnalnego. Kto wie, czy w skrytości ducha nie uważała, iż wykorzystał zamieszanie związane z wprowadzeniem stanu wojennego, aby porzucić ich i związać się z jakąś inną kobietą?

Tropiąc wszelkie możliwe ślady, Adamowi udało się ustalić jedno. Zniknięcie Macieja Podlaskiego nie stanowiło wówczas żadnej sensacji. Trzynastego grudnia zniknęło około dziesięciu tysięcy obywateli, kwiat narodu, któremu sowieccy generałowie w polskich mundurach wydali wojnę. Tyle że Podlaskiego nie było na liście internowanych, nie zapamiętali go pensjonariusze Darłówka, Białoleki, Barczewa, czy Łupkowa. Janisz dzięki swym kontaktom ustalił, że nie opuścił też granic PRL-u, które zresztą o północy zamknięto. Zresztą jak miał opuścić? Wypalony wrak jego malucha znaleziono na przesiece parku im. Jana Sobieskiego w Aninie, kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie wiele lat wcześniej zginęła jego matka, potrącona na rowerze. Nawet wszechwładny generał Kiszczak, do którego osobiście pofatygował się dziadek Wacek, stwierdził, że nie ma pojęcia, co mogło się stać ze wścibskim nauczycielem geografii. Chyba prowadzone było nawet jakieś wewnętrzne śledztwo w resorcie. I nic. Maciej Podlaski po prostu zniknął. Jak kamień w wodę, jak moneta rzucona w śnieg. Tyle że nawet topniejące śniegi nie odsłoniły niczego. Adam miał szesnaście lat kiedy sądownie uznano jego ojca za zmarłego. Nie chciał się z tym pogodzić. Krzyczał, że to jakby pogrzebanie żywcem! Dostał nawet po buzi od matki. Przez kilka lat przestał z nią rozmawiać na ten temat. Zamknął się w sobie i realizował plan.

W swoim pierwszym tygodniu pracy w IPN-ie trafił na pewien kontakt – facet z racji zamiłowania do narkotyków nosił ksywkę „Marycha”, kiedyś był komandosem i zasłużonym funkcjonariuszem SB, a obecnie dogorywał w podwarszawskim hospicjum.

– Tak, inwigilowałem twojego ojca – wyznał Adamowi pomiędzy jednym a drugim atakiem bólu.
– Parę razy dostałem polecenie, by go nastraszyć, bo wtykał nos w nie swoje sprawy. Ale co się z nim stało, nie wiem. Dwunastego grudnia wykonywałem zupełnie inne zadania...

– Kto kazał go inwigilować, dlaczego?

„Marycha” wzruszył ramionami:

– Jak zwykle, myśmy byli od czarnej roboty! Tyle że w moim pionie wszyscy byli niekiepsko zaskoczeni jego zniknięciem. Brano pod uwagę, że upozorował własną śmierć, by dać nogę.

„Marycha” umarł parę dni po tej rozmowie i jeśli wiedział coś więcej, to coś umarło razem z nim.

W czasie pracy w Instytucie przy Towarowej Adam szybko zaprzyjaźnił się z grupą podobnych jak on zapaleńców, tropiących tajemnice PRL-u, dzięki przyzwoleniu nowego rządu ujawniających agentów. Jednak niewiele posunął się w swych badaniach. Ustalił, że krótko po Sierpniu założono jego Ojcu teczkę „figuranta”, jednak obecnie ograniczała się ona do czystych okładek. Całkiem przypadkiem znalazł ślady tej inwigilacji w teście pracy agenta posługującego się kryptonimem „Mazur”. Udało mu się go zidentyfikować jako pracownika Regionu Mazowsze – Ryszarda Adamskiego. Rozpracowywał on, pomiędzy innymi poważniejszymi zadaniami, również związkową działalność Podlaskiego. Jednak w dniu jego zaginięcia był w Gdańsku, gdzie obsługiwał posiedzenie Komisji Krajowej. Na krótko internowany, wyemigrował do Australii, gdzie przed paroma laty zginął w wypadku drogowym.

– Twój ojciec ufał mu bardziej niż mnie! W ogóle nie znał się na ludziach – skomentowała tę postać Grażyna Podlaska.

Obok młodych wilczków nadających ton bieżącej działalności Instytutu Pamięci Narodowej pracowało tam też kilku pracowników starszych, odziedziczonych jeszcze z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Wpadali też indywidualni badacze. Pewnego dnia siedząc w czytelni ogólnej, Adam zauważył, że przypatruje mu się pewien gość, łysy jako kolano mężczyzna około sześćdziesiątki, o szarej, pobrużdżonej twarzy. Wydawało się, że pragnie zagadać, ale coś go powstrzymuje. A kiedy Podlaski spróbował schwycić jego wzrok, natychmiast spuścił głowę. Ki diabeł? Jednak kiedy Adam skończył pracę i zamierzał wyjść, łysol wstał i podszedł do niego.

– Bardzo przepraszam, ale tak bardzo przypomina mi pan kogoś...

– Zapewne mojego ojca, Macieja Podlaskiego.

– Pan jest...? – na moment mężczyźnie odebrało mowę. – Nie miałem pojęcia nawet, że miał syna. Wiedziałem tylko o córce...

– Urodziłem się już po jego zniknięciu – wyjaśnił Adam.

– Tak, tak. Powinienem się domyśleć. W końcu rozmawiałem w tamtym czasie dwa razy z pańską matką. Najpierw w parę dni po jego zniknięciu. Potem jeszcze raz, dwa miesiące później. Rozpaczliwie szukała kogokolwiek, kto wiedziałby coś na jego temat. Mój Boże – plasnął się dłonią w czoło – przecież musiałem zauważyć, że jest w ciąży... – uderzenie wzbudziło w nim inne refleksje. – A właściwie z tego wszystkiego nawet się nie przedstawiłem. Nazywam się Jerzy Stręczyński i byłem, można powiedzieć, jednym z najbliższych przyjaciół pańskiego ojca. Naturalnie nie licząc Artura. Ale w końcu osiemdziesiątego pierwszego roku Artur już nie żył – tu mężczyzna nieśmiało wyciągnął rękę, miękką, inteligentną.

Z jego zachowania Adam wyczuł, że spotkanie nie jest przypadkowe, a łysy facet wie coś, tylko nie jest pewien, czy dojrzał do wyjawienia swej wiedzy.

– Moglibyśmy porozmawiać? – zapytał przyjaźnie. – Bardzo interesuje mnie ojciec, którego nigdy nie poznałem, a każda nowa informacja...

– Ale nie tutaj – przerwał mu Stręczyński, czujnie rozglądając się dookoła. – Przespacerujmy się.

Grzybowską dotarli aż do Jana Pawła II. Mimo że nastał już koniec października było dosyć ciepło, bezwietrznie, drzewa oszałamiały różnorodnością jesiennych barw. Przysiedli na jakimś murku. I wtedy Podlaski wyczuł spod taniej wody po goleniu lekki odór alkoholu.

– Jest pan uderzająco podobny do swego ojca – powiedział Stręczyński. – Silne geny. I chyba podobne zainteresowania.

– Co pan ma na myśli?

– Historia, własny rodowód. W ostatnim półroczu przed tym – jakąś sekundę szukał właściwego słowa – zniknięciem nie interesowało go nic innego. Podejrzewam, że właśnie dlatego go dopadli.

– Kto go dopadł?

– Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Byłem zawsze tchórzem, konformistą, małym, wiecznie przerażonym człowieczkiem, marzącym wyłącznie o świętym spokoju. Wtedy też zachowałem się jak palant. Najpierw obiecałem pomóc Maćkowi w penetrowaniu źródeł z lat okupacji, ale wystarczyło, że mnie postraszyli, dałem ciała...

– Kto pana postraszył?

– Pośrednio mój dyrektor. Ale były także ostrzegawcze, anonimowe telefony... Wpadłem w panikę. Zerwałem wszelkie kontakty z Maciejem. Przestaliśmy się spotykać. Odpowiadać na telefony.

– I to wszystko? Nie wierzę. Co pan chce ukryć? Przecież dzisiaj nie musi się pan już niczego obawiać. Od szesnastu lat żyjemy w demokratycznym kraju, a obecny rząd coraz szybciej likwiduje niedobitki komuny!

Stręczyński najpierw miauknął coś jak kot, którego zmuszają do kąpieli, potem odpowiedział.

– Chyba byłem ostatnim z jego znajomych, z którymi rozmawiał. Bez zapowiedzi, zniemacka przyjechał do mnie do domu dwunastego grudnia, to była wolna sobota. Był potwornie zdenerwowany. Mówił, że musi natychmiast wyjechać na Zachód, i że jeśli do północy nie przekroczy granicy, może być z nim źle. Prosił o jedno, żebym przechował jego dziennik. Grubą księgę zapisaną maczkiem. Mówił, że odbierze go w stosownym czasie. Obiecałem, że to zrobię.

– I ma pan go?! – oczy Adama rozbłysły. Stręczyński spuścił głowę.

– Już nie.

– Jak to? – Adam aż podskoczył.

– Kiedy wprowadzono stan wojenny i dowiedziałem się, że Maciek zniknął, spanikowałem.

– I???

– Spaliłem manuskrypt.

– Na Boga! – w oczach Adama pojawiła się autentyczna chęć mordu. Stary historyk zorientował się chyba jakie niebezpieczeństwo mu grozi, bo dodał prędko.

– Ale nie wszystko stracone. Wcześniej kupiłem kilkanaście rolek filmu i całą noc robiłem zdjęcia w piwnicy. Strona po stronie. A filmy ukryłem. Moja żona, nieboszczka, była rzeźbiarką, specjalizowała się wówczas w rzeźbieniu w gipsie, wgniotłem więc wszystkie pudełeczka w jedno z jej jeszcze miękkich arcydzieł. Siedzą tam zapewne do dziś dnia.

– I nie korciło pana żeby wyjąć, opublikować?

– Za duże ryzyko.

– Wtedy owszem, ale dziś... Żyjemy w wolnym kraju.

– Który jednak nie jest samotną wyspą.

– Sugeruje pan, że w sprawę mojego ojca mogą być zaangażowane siły zagraniczne? Cóż, na Boga, odkrył na tyle niebezpiecznego, żeby mogło to być groźne nawet dzisiaj?

Stręczyński wstał.

– I tak za dużo już powiedziałem – wtulił głowę między ramiona i ruszył przed siebie długimi krokami upodabniającymi go do jakiegoś brodzącego ptaka, bociana, czy żurawia... Adam Podlaski pobiegł za nim.

– Jeśli pan myśli, że pozwolę mu odejść...

Łysy odwrócił się.

– I co mi pan zrobi? Pobje mnie. Weźmie na tortury? Palce w imadło, a lokówka w odbyt?

– Po prostu nie dam panu spokoju. Będę nękał, zanudzał, nagabywał, dzwonił, stał przed domem...

Stręczyński westchnął.

– Tego się należało spodziewać. Powiedzieć „A”, wyduszą z ciebie nawet „Zet”. Dobrze, niech pan pojedzie ze mną. Tu robi się chłodno.

Po drodze Adam kupił butelkę whisky i to był doskonały pomysł. W mieszkaniu, a właściwie wielkiej pracowni, z której rozciągał się szeroki widok na hotel Hyatt i Ambasadę Rosyjską, a dalej pełen płomienistych barw Park Łazienkowski już po dwóch kolejkach język Stręczyńskiego zaczął się rozwiązywać. Adam nie naciskał zbyt mocno, krążył za to wśród gipsowych rzeźb, zastanawiając się, która w swym wnętrzu, jeśli opowieść była prawdziwa, kryje bezcenne fotokopie.

– Tu ich nie ma – wyprzedził pytanie stary historyk.

– A gdzie są?

– Być może nawet panu powiem, ale jeszcze nie teraz. Nawiasem mówiąc, niewiele to panu da. To, co najważniejsze znajduje się tu – znów się uderzył w czoło. Czyżby w dzieciństwie koń go kopnął? – Kiedy mówiłem, że jest pan podobny do Macjka, wiedziałem co mówię. On także kochał rozwiązywanie zagadek, za wszelką cenę chciał ustalić, kto i dlaczego polecił zabić pańską babkę i kim był jego ojciec.

– I udało mu się?

– Nadspodziewanie!

Przez dobre trzy godziny Stręczyński opowiadał o niezwykłych losach Róży Kupidłowskiej, o komunistycznym planie storpedowania Powstania Warszawskiego, wreszcie o serii przypadków, które doprowadziły do zabójstwa...

– A ten Macjaj jeszcze żyje? – zapytał Adam.

– Z tego co wiem jest zasłużonym emerytem. Jednak nie sądzę, żeby odpowiadał za to, co stało się z pana ojcem. Nie przypuszczam, żeby maczał w tym palce. Nie przypuszczam... – alkohol chyba właśnie przestał działać, na czoło Stręczyńskiego wystąpił pot, ręce zaczęły się trząść.

– Niech pan już idzie, niech pan idzie... – bełkotał. – Albo nie, proszę przynieść mi wódki. Może być piwo.

Podlaski wybiegł z mieszkania i powrócił z sześciopakiem.

– Kupiłem Żywiec, panie Jerzy! – zawołał. – Może być?

Odpowiedziała mu cisza. W pracowni było pusto. Rany Boskie, czyżby...?

Stręczyńskiego zastał za kotarą, skulonego na parapecie okna.

– Kiedyś skoczę, kiedyś na pewno skoczę! – powtarzał, dygocąc.

Już pierwsze piwo przyniosło mu wyraźną ulgę.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał przytomnie.

– Na Macaju. Podobno mój ojciec ustalił kim facet jest...

– Chwilowo zostawmy tego łotra w spokoju. To mylny trop! Gdyby chciał pozbyć się Maćka, zleciłby swoim ludziom zaaranżowanie jakiegoś wypadku. Najlepiej za granicą. Musiał wiedzieć, że Janisz poszedł do swego synowca z paszportem. Skoro spalili samochód, co szkodziło spalić go z ciałem. Co więcej, to zniknięcie sprawiło im więcej kłopotów niż pożytku. Istnieje jednak pewien trop – nie opowiedziałem jeszcze panu, że Maciek nie tylko ustalił, kto jest jego ojcem, ale i miał szansę, gdyby nie działania ludowej milicji, spotkać się z nim osobiście.

– Nie może być. A któż jest moim dziadkiem?

– Wie pan o nim więcej niż ja – Stręczyński chwiejnym krokiem podszedł do regału i wyciągnął debiutancką książkę dziadka Adama. *Historia i geny*.

– Maciej Kamieniecki?

– Powstańczy pseudonim „Hektor”. Wielka miłość pańskiej babki.

Adam, który pił równo z gospodarzem, w mgnieniu oka wytrzeźwiał. Naraz przypomniał sobie niezwykłą więź psychiczną łączącą go z profesorem. Ta błyskawiczna zgodność skojarzeń, kiedy rozmawiali... Jasne stało się również mnóstwo obrazów ze swoich snów, których wcześniej nie potrafił sobie wytłumaczyć.

– Ale jak to możliwe, że z tylu osób godnych monografii wybrałem właśnie jego?

– Otóż to!!! – Stręczyński jak nienasycony smok pochłoniął kolejne piwo. – Pamięć genetyczna! Dar i przekleństwo. I pan, pański ojciec i dziadek macie tę szczególną cechę, że czasami udaje się wam odblokowywać wspomnienia zdarzeń, które przytrafiły się waszym przodkom.

– Naprawdę?

– To nie wszystko, z tego co wiem profesor Kamieniecki nie zajmuje się już pamięcią genetyczną.

– W latach dziewięćdziesiątych uznano jego hipotezę za niemożliwą do udowodnienia.

– W rzeczy samej – w pracowni rozległ się gorzki śmiech. – A słyszał pan o eksperymencie z Princeton?

– Nie.

– Jeden z uczniów Kamienieckiego przeprowadził doświadczenie polegające na odblokowaniu pamięci w stosunku do dalszej przeszłości. Chciał udowodnić, że w genach mamy zapisane wszystko, co przydarzyło się naszym protoplastom od początku świata. Szczegółów eksperymentu nie znam. Wiem, że poddało mu się trzech ochotników. Skutki były porażające – jedna osoba zmarła, dwie doznały nieodwracalnego pomieszania zmysłów.

– Tylko, co to ma wspólnego z moim ojcem?

– Jego uzdolnienia w tym względzie były więcej niż rewelacyjne. I... rzecz znamienne, w przeddzień zniknięcia, w hotelu, zaczepił go radziecki genetyk, który rzekomo przybył do Polski spotkać się z profesorem Kamienieckim. Można zaryzykować pytanie, a jeśli celem jego podróży był nie Kamienicki, a jego syn, idealny królik doświadczalny?

– I pan sądzi że profesor Dawidow...

Na odmianę zdumiał się Stręczyński.

– A skąd pan zna jego nazwisko?

– Nie mam pojęcia, może mi się przyśniło – Adam poczuł, że jest już zupełnie pijany..

– Pamięta pan kontekst?

– Nie, to znaczy tak... Kiedyś, chyba jeszcze w szkole, wiele razy nawiedzał mnie taki obraz, biały pokój i głos, nie mój, ale podobny do mojego, mówiący po rosyjsku „Traciecie czas, Dawidow, traciecie czas, Dawidow”.

– Który to mógł być rok?

– Dokładnie trudno mi powiedzieć... Gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych.

– Tak jak myślałem. Grubo po pieriestrojce. Rosjanie nie zrazili się porażką Amerykanów i nie zaniechali badań. Zresztą prowadzą je po dziś dzień. To wydruk z tegorocznej prasy – wręczył mu kartkę papieru. – Jeśli nie zna pan rosyjskiego chętnie przetłumaczę. „Profesor Iwan Moisiejewicz Dawidow, odznaczony przez prezydenta Putina najwyższym cywilnym odznaczeniem...” Szczegółów badań profesora Dawidowa naturalnie nie ujawniono.

– Wielki Boże, a więc mój ojciec... żyje!

– Może żyć. Ale nie gorączkowałbym się tym. Może być na trwale uwięzionym obiektem, biologiczną częścią jakiejś cybermaszyny, może też jako ludzki wrak dogorywać ze zniszczonym mózgiem.

– Odnajdziemy go, profesor Kamieniecki mi pomoże – entuzjazmował się Adam. – Jeśli jeszcze da mi pan te filmy.

– Są nie do wydobywania.

– Gadanie! Odkupimy tę rzeźbę. Chyba że nie wie pan gdzie się teraz znajduje.

– Przeciwnie, wiem doskonale – Stręczyński odszedł do biurka i wyciągnął garść zdjęć. – To moja Zoja rok przed śmiercią – wskazał na postawną blondynkę w kitlu. – A to jej dzieło.

– Lenin? – Adam aż podskoczył. – Też wybrał sobie pan kryjówkę! Przecież mogli tę rzeźbę już dawno rozbić na kawałki.

– Tej nie rozbili. Na pewno nie rozbili! – zaśmiał się gorzko Stręczyński. – Przeciwnie, obdarzają ją znowu coraz większą atencją. Co gorsza, figura jest dla nas równie niedostępna, jak pański nieszczęsny ojciec.

– Skąd takie przekonanie? Niby gdzie się teraz znajduje?

– Tam! – Stręczyński pociągnął go ku oknu.

Minęła już północ, ale na tle mrocznego parku i uspiomych budynków mieszkaniowych, jaśniała rzęsiście oświetlona, ogromna bryła Ambasady Rosyjskiej.

KONIEC

Wawer, czerwiec-grudzień 2005

POSŁOWIE

Książkę Marcina Wolskiego przeczytałem jak zwykle w dwa wieczory, zaniedbując w tym czasie wszystkie obowiązki prywatne i służbowe. Tym razem studiowałem ją z jeszcze większą ciekawością.. Inspiracją dla *Nieprawego łóża* była moja książka o działalności konspiracyjnej PPR-u.

Propozycję oceny książki przez pryzmat ukazania realiów epoki przyjąłem z pewną obawą.. Współpracowałem już z wieloma publicystami i dziennikarzami o zacięciu historycznym. Przez wiele godzin, sfrustrowany, musiałem tłumaczyć im podstawowe fakty dotyczące II wojny światowej. Jeśli dziennikarze tak kiepsko radzą sobie z tą materią, to co będzie z pisarzem, któremu znacznie bliżej niż do historii, jest do *political fiction*?

Przyznam szczerze, byłem zaskoczony.

Czołowe postacie historyczne, takie jak Moczar, Nowotko czy bracia Mołojcowie zostały ukazane naprawdę wiernie. Podobnie zresztą jak realia epoki i szczegóły codziennej egzystencji w czasach niemieckiej okupacji. W biogramach postaci wymyślonych przez Wolskiego jest więcej prawdy niż fikcji. To autentyczne życiorysy komunistycznych działaczy, tyle że na potrzeby powieści nieco inaczej ponazywane. Symbolicznym wręcz przykładem jest znany komunista, przedwojenny adwokat Teodor Duracz. Wolski ukrył go sprytnie pod jego konspiracyjnymi pseudonimami: „Profesor” i „Delkacz”. Róża Kupidłowska, towarzysz Macaj i inne postacie stworzone przez Wolskiego w sposób iście anatomiczny odtwarzają zarówno dzieje komunistycznej konspiracji, jak i duch elit politycznych PRL.

Realizm historyczny zachowano tu znakomicie. Zgadzą się nawet tak drobne detale, jak przedpowstaniowa geografia stolicy, metody załatwiania „lewych” dokumentów, czy stosowane przez komunistów metody konspiracji.

Książka Wolskiego opisuje szerzej nieznanie opinii publicznej fakty historyczne dotyczące mechanizmów działania komunistycznej konspiracji. Takie chociażby, jak omyłkowe zadenuncjowanie w 1943 r. przez kierownictwo PPR własnej drukarni przy ulicy Grzybowskiej. Inne wydarzenia, jak chociażby likwidacja przez oddział NSZ grupy GL „Słowika” (1943 r.), przedstawia w sposób znacznie bliższy rzeczywistości, niż historiografia z czasów PRL-u. A nawet niektóre książki z czasów III RP. W nich w dalszym ciągu można znaleźć opinie, że za komunistami z PPR stały jakieś patriotyczne (choć inaczej rozumiane) racje polskie. Wolski obala podobne mity budowane przez 50 lat przez propagandówki Janusza Przymanowskiego, autorów *Popiołu i diamentu*, *Polskich dróg*, czy przygód Hansa Klossa. Fabuła stworzona przez Wolskiego zbliża nas do historycznej prawdy. Czytam książkę i myślę sobie: właśnie tak to wszystko mogło być...

Piotr Gontarczyk